



Tytuł oryginału: Wicked

Pierwsze wydanie: Harlequin Historical Romance, 2005

Redaktor prowadzący: Mira Weber

Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Zofia Firek

© 2005 by Heather Graham Pozzessere

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.

00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 83-238-1705-7 ISBN 978-83-238-1705-5

PROLOG

Miała tylko jedno wyjście: uciekać i modlić się o ocalenie.

Na pewno przybędzie policja. Umarł człowiek!

Niepotrzebnie się łudzi. Śmierć nastąpiła gdzie indziej i policjanci nie zjawią się w zamku. Ona, Camille, nie może pozwolić sobie na panikę. Musi zachować zimną krew. Uciekała przed złem.

Biegła już długo i znajdowała się daleko od zamku Carlyle; słyszała swój ciężki oddech. W końcu musiała stanąć i wtedy się przekonała, że pośród drzew, w zwartym gąszczu nad jej głową, huczy wiatr. Ucieszyła się, mając nadzieję, że rozszalały żywioł przepędzi gęstą mgłę, która zdawała się nigdy nie opuszczać tego lasu, położonego tak blisko jałowych wrzosowisk.

Była pełnia księżyca. Kiedy mgła opadnie, Camille będzie lepiej widzieć. Tak jak i ci, którzy deptają jej po piętach.

Odetchnęła głęboko i zanim ruszyła w dalszą drogę, rozejrzała się wokół. Delikatną sznurówką turniury zaczepiła o gałąź, ale nie bacząc na nic, szarpnęła się i uwolniła. W głowie miała tylko jedno - uciekać, ratować życie.

Na wschód od zamku biegnie droga. Droga do Londynu, do cywilizacji, do normalności. Może zatrzyma jakiś powóz, odwożący gości do miasta. Oby tylko zdołała tam dotrzeć, zanim zabójca na nią się natknie.

Nie miała wątpliwości, że ta gra toczy się już od dawna. Była pewna, że prześladowca chce ją zniszczyć, by nikomu nie powiedziała, co wie. Żeby nie zdradziła tajemnic zamku Carlyle.

W ciemności i we mgle rozrywanej przez wściekłe podmuchy wiatru usłyszała złowieszcze wycie wilków, równie niespokojnych jak ona. Jednak ich najmniej się bała, bo wiedziała, co naprawdę jej grozi. Bestia, ale pod postacią człowieka.

Szelest liści ostrzegł ją, że ktoś jest w pobliżu. Zebrała się w sobie, modląc się, żeby instynkt jej podpowiedział, w którą stronę uciekać.

Choć zrobiła już pierwszy krok, było za późno. Wypadł na nią zza krzaka.

- Camille!

Znała ten głos aż za dobrze. Zamarła, wstrzymała oddech i odważyła się spojrzeć w twarz mężczyzny, dotąd ukrywaną pod maską.

Kiedyś poznawała tę twarz tylko dotykiem, widywała jedynie w przelotnych chwilach uniesień. A była to twarz niezwykła, surowa, przecięta blizną, ale harmonijna, o wyrazistej szczęce, cienkim prostym nosie. A oczy...

Widziała je wyraźnie. Olśniewająco niebieskie oczy, które teraz rozjaśniły się czułością.

Upływały długie chwile, jakby czas stanął w miejscu. Co zatem jest maską? Ten skórzany pysk potwora? Czy ta ludzka twarz, znacznie bardziej szokująca, niż sobie wyobrażała, twarz o surowych, a zarazem fascynujących rysach, tak klasycznych w formie, że mogłyby należeć do niedosiętego boga. Co jest prawdą? Drapieżność groźnej bestii czy prawość i szlachetność bijące od tego mężczyzny?

- Camille, proszę, zaklinam na wszystko. Chodź ze mną.

Poprzez dźwięk jego głosu usłyszała kroki. Ktoś jeszcze? Czyżby wybawca? Ktoś o znajomej i zwyczajnej fizjonomii? Jeden z tych, którzy mieli się za jej mistrzów, a byli uwikłani w tajemnicę z przeszłości? Sam lord Wimbley, Hunter, Aubrey, Alex... i sir John.

Błyskawicznie się odwróciła, gdy ciemna postać wypadła spomiędzy drzew.

- Camille! Bogu dzięki!

- Zabiję, jeśli jej dotkniesz - ostrzegł mężczyzna, którego uważała za bestię.

- On cię zabije, Camille - powiedział cicho ten drugi.

- Nieprawda.

- Wiem, że to on jest mordercą! - padło oskarżenie z drugiej strony.

- Wiesz, że jeden z nas jest mordercą.

- Na miłość boską, Camille, ten człowiek to bestia. Wszyscy to wiedzą!

Udręczona, patrzyła to na jednego, to na drugiego. Tak, jeden z nich jest mordercą.

A drugi przynosi jej ocalenie. Ale który z nich?

- Camille, szybko, podejdź do mnie... tylko ostrożnie.

Mężczyzna, którego znała jako bestię, przytrzymał jej wzrok.

- Zastanów się, najdroższa. Pomyśl o wszystkim, co zobaczyłaś i czego się dowiedziałaś, Camille, i zapytaj swojego serca, który z nas jest bestią.

Sięgnąć pamięcią? Do czego? Do plotek i kłamstw? Albo do dnia, kiedy po raz pierwszy znalazła się w tym lesie, po raz pierwszy usłyszała wycie wilków i dźwięk jego głosu?

Do dnia, w którym poznała bestię?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Na Boga, co on znów zrobił? - przeraziła się Camille, spoglądając na Ralpa, służącego i kompana Tristana, a także, niestety, współnika jego przestępstw.

- Nic! - obruszył się Ralph.

- Nic? Mam więc sama zgadnąć, dlaczego stoisz tu zdyszany i patrzysz na mnie, jakbym znów miała spieszyć na ratunek mojemu opiekunowi i wyciągać go z celi, domu schadzek czy innego miejsca o złej reputacji!

Nie kryła złości i oburzenia. Tristan wiecznie pakował się w tarapaty. Dała jednak do zrozumienia, że nie zostawi go na pastwę losu, o czym oboje z Ralphem doskonale wiedzieli.

Tristan Montgomery - jej opiekun prawny - nie był osobą zbyt godną szacunku, chociaż los obdarzył go szlachectwem, co w czasach, gdy tytuł człowieka znaczył o wiele więcej niż jego faktyczne położenie czy reputacja, nie było bez znaczenia.

Dwanaście lat temu uchronił Camille przed przytułkiem albo nawet przed znacznie gorszym losem: życiem na ulicy. Zadrżała na myśl o innych sierotach zdanych wyłącznie na siebie. Środki na utrzymanie, jakimi dysponował Tristan, trudno byłoby uznać za zadowalające. Jednak od dnia, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył samą przy jeszcze nieostygłych zwłokach matki, zaopiekował się nią tak, jak potrafił. Starła się teraz spłacać dług wdzięczności.

Dobrze chociaż, że Ralph spotkał się z Camille na rogu ulicy, nie zaś w gmachu British Museum, gdzie jego niechlujny wygląd i nerwowy szept mogłyby zwrócić uwagę i kosztować ją utratę pracy, którą z takim trudem zdobyła. Na temat starożytnego Egiptu wiedziała więcej niż większość mężczyzn, którzy uczestniczyli w wykopaliskach, ale nawet sir John Matthews wzdrażał się na myśl o przyjęciu do pracy kobiety. Także sir Hunter MacDonald mógł pokrzyżować jej plany. Wprawdzie lubił ją i podziwiał, ale to mogło równie dobrze obrócić się przeciwko niej. Uważał się za wytrawnego badacza, podróżnika i poszukiwacza przygód i najwyraźniej nie wierzył w sufrażystki, uważając, że miejsce płci pięknej jest w domu. Przynajmniej Alex Mittleman, Aubrey Sizemore, a także lord Wimbley zdawali się akceptować jej obecność bez większego sprzeciwu. Właśnie lord Wimbley i sir John, do których należało ostatnie słowo, zdecydowali się powierzyć jej tę pracę.

Obecnie nie to było najważniejsze. Tristan znalazł się w tarapatkach, i to w poniedziałkowy wieczór, na początku tygodnia pracy.

- Przysięgam, że Tristan nic nie zrobił! - oburzył się Ralph. Był niewysokim mężczyzną, miał najwyżej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, za to niebywale zwinnym.

Camille wiedziała, że jeśli Tristan na razie nie zrobił nic złego, to z pewnością mógł coś planować, gdyby sytuacja go do tego zmusiła albo gdyby trafiła się okazja.

Odwróciła się. Właśnie pojawił się Alex Mittleman, zastępca sir Johna. Jeśli ją zobaczy, podejdzie, żeby porozmawiać i odprowadzić ją do stacji. Musi więc odejść, i to natychmiast.

Camille chwyciła Ralpha za łokieć i ruszyła ulicą.

- Chodźmy, a ty opowiadaj, tylko szybko! - przestrzegła Ralpa. Była bardzo niespokojna. Tristan, człowiek bystry i ogromnie odczytany, otrzymał w młodości staranne wykształcenie, ale zdołał też poznać najciemniejsze strony życia. Tak wiele ją nauczył - dzięki niemu wysławiała się ładnie, dużo czytała, znała się na sztuce, teatrze... Dowiedziała się też, że społeczeństwo rządzi się własnymi prawami: jeśli mówisz i nosisz się jak zubożała, ale szlachetnie urodzona dama, ludzie wierzą, że nią jesteś.

Tristan bywał zdumiewająco wnikliwy i spostrzegawczy, gdy chodzi o otaczający go świat, a jednocześnie sprawiał czasami wrażenie, że jest kompletnie pozbawiony zdrowego rozsądku.

- Przed nami "Dougray's" - nieśmiało zauważył Ralph, mając na myśli zajazd.

- Obejdiesz się bez swojej porcji dżinu! - obruszyła się Camille.

- Jak to!

"Dougray's" był lokalem uczęszczanym przez ciężko pracujących ludzi i cieszył się lepszą opinią niż wiele innych miejsc, do których Ralph i Tristan często zaglądali. W zajęzdzie chętnie obsługiwano kobiety, co w czasach rozwijającego się ruchu feministycznego, popularnego zwłaszcza w kręgach urzędniczek państwowych, było nie do pogardzenia.

Jako asystentka sir Johna Matthews, zastępcy kuratora prężnie rozwijającego się działu starożytności egipskiej, Camille dbała o stosowny wygląd. Ubierała się skromnie, lecz starannie. Dzisiaj miała na sobie ciemnopopielatą spódnicę z niedużą turniurą i o ton jaśniejszą, elegancką, dobrze skrojoną bluzkę ze stójką. Do tego gustowny, markowy zegarek. Musiał należeć do jakiejś damy z wyższych sfer, która, kupując inny, modniejszy, ten oddała do Armii Zbawienia. Pukle ciemnobrązowych włosów - zdaniem Camille jej jedyna ozdoba - były pieczołowicie upięte na czubku głowy. Nie nosiła biżuterii poza złotą obrączką, którą Tristan znalazł przy jej matce. Camille nigdy się nie rozstawała z drogą jej sercu pamiątką - jako dziecko nosiła obrączkę na łańcuszku na szyi, teraz na palcu.

Nie uważała, by pojawiając się w zajęzdzie z Ralphem, mogli wzbudzić szczególne zainteresowanie.

- Ukrywamy się? - zapytał Ralph.

- Tak, usiądźmy gdzieś z tyłu.

- Jeśli myślisz, że pozostaniesz niezauważona, Camille, to grubo się mylisz. Już i tak wszyscy na ciebie patrzą.

- Nie bądź śmieszny.

- To przez te twoje oczy.

- Oczy jak oczy, są po prostu brązowe. - Camille się zniecierpliwiła.

- Nie, dziewczyno, są złote. Obawiam się, że mężczyźni naprawdę się na ciebie gapią, ci właściwi i ci mniej właściwi! - powiedział, rozglądając się z błyskiem oburzenia w oku.

- Na razie nikt mnie nie napastuje, Ralph, więc proszę, ruszaj do przodu!

Pociągnęła go w zadymiony kąt na tyłach lokalu, zamawiając po drodze dzin dla Ralpa i filiżankę kawy dla siebie.

- Mów! - rozkazała.

- Tristan bardzo cię kocha, dziecko. Sama o tym wiesz.

- Ja też go kocham. I, chwała Bogu, nie jestem już dzieckiem - odparowała Camille. - A teraz powiedz wreszcie, z jakiej opresji mam go tym razem wyciągnąć.

Ralph mruknął coś, podnosząc do ust szklaneczkę z dzinem.

- Ralph! - upomniała go głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Dostał się w ręce pana na Carlyle.

Camille zaniemówiła. Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego.

Hrabia Carlyle uchodził za potwora. Jego rodzice, dziedzice wielkich fortun, erudyci, byli wybitnymi kolekcjonerami dzieł sztuki i archeologami. Zafascynowani starożytnym Egiptem, spędzili dorosłe życie w Kairze. Ich syn, a zarazem jedyne dziecko, dołączył do nich po odbyciu studiów w Anglii.

Potem, jak doniosła prasa, rodzinę dosięgła klątwa. Odkryli starożytny grobowiec kapłana, pełen bezcennych przedmiotów, pośród których znajdowała się kanopa¹ z sercem najukochańszej konkubiny kapłana. Wszystko wskazywało na to, że kobieta była czarownicą. Wyniesienie urny miało ściągnąć na rodzinę

¹ Kanopa - egipska urna grobowa, służąca do przechowywania wnętrzości zmarłego, (przyj. tłum.).

straszliwe przekleństwo. Podobno jeden z egipskich robotników, zatrudnionych przy wykopaliskach, zaczął okropnie pomstować i, wznosząc ramiona do nieba, oznajmił, że wykradzenie cudzego serca jest czynem samolubnym i okrutnym, który sprowadzi nieszczęście. Hrabia i hrabina skwitowali to śmiechem, co okazało się poważnym błędem, albowiem wkrótce, w sposób równie tajemniczy jak okropny, oboje przenieśli się na tamten świat.

Ich syn, obecny hrabia, służył w tym czasie w szeregach armii jej królewskiej mości Wiktorii, tłumiąc zamieszki w Indiach. Na wieść o śmierci rodziców nieprzytomny i oszalały z bólu rzucił się w wir walki; potyczka, w której wojska jej królewskiej mości walczyły z przeważającą liczbą rebeliantów, zakończyła się zwycięstwem. Młody hrabia uszedł z życiem, ale doznał poważnych ran, po których pozostały mu okropne blizny. A także gorycz. Obarczony rodzinną klątwą - w dodatku tak ciężką - pomimo odziedziczonej fortuny nie szukał żony i nie uczestniczył w towarzyskim życiu Londynu.

Krażyły plotki, że hrabia jest odrażający. Miał ponoć wyjątkowo oszpeconą twarz i zdeformowaną posturę; podobno był równie bezkształtny i niegodziwy jak serce, które przybyło do zamku Carlyle w kanopie.

Powiadano zresztą, że serce zniknęło, co dało asumpt do plotek, że połączyło się z sercem obecnego niegodziwego pana na włościach. A hrabia nienawdził wszystkich. Pustelnik żyjący w przytłaczającym swoją wielkością zamku, otoczonym gęstym lasem, ścigał sędownie wszystkich, którzy zapędzili się na jego ziemie, jeśli ich przedtem nie zastrzelił, i domagał się dla nich najsurowszych wyroków.

Camille była nieźle zorientowana w tej historii. Jeżeli nawet nie przeczytała o czymś w gazetach, to usłyszała w mocno podkolorowanej wersji, bo stanowiła ona częsty temat rozmów w dziale egiptologii, gdzie pracowała.

A to wystarczyło, żeby ogarnęła ją trwoga.

Nie dając nic po sobie poznać, możliwie swobodnie zwróciła się do Ralph:

- A czymże to takim Tristan naraził się panu hrabiemu?

Ralph dopił dzin, otrząsnął się, usiadł wygodnie i spojrzał na Camille.

- Bo chciał... chciał się zacząć na powóz jadący z północy.

Przerażona Camille wstrzymała na chwilę oddech.

- Chciał kogoś okraść jak zwykły rozbójnik? Przecież mogli go za to zastrzelić, a nawet powiesić!

Ralph poruszył się niespokojnie.

- Nie doszłoby do tego. Nigdy nie posuwamy się aż tak daleko.

Nagle strach minął, a Camille poczuła się urażona. Przecież ma teraz pracę, która nie tylko zaspokaja jej fascynacje, ale także przynosi wystarczający dochód. Może utrzymać ich oboje, a nawet Ralpa, jeżeli nie w luksusie, to na przyzwoitym poziomie; ci dwaj nie musieli uciekać się do oszustw i drobnych przestępstw.

- Bądź łaskaw mi wyjaśnić, co stanęło na przeszkodzie, że nie daliście się obaj pozabijać.

Ralph poprawił się na niewygodnym krześle.

- Zamek Carlyle - odrzekł.

- Mów dalej! - rozkazała.

Ralph zdecydował się przyjąć taktykę obronną.

- Tristan tak bardzo cię kocha, Camie, że za wszelką cenę chce ci zapewnić należne miejsce w towarzystwie.

Musiła odczekać, aż wyparuje z niej złość. Nie potrafiła wytłumaczyć Ralphowi, że nigdy nie wejdzie do tak zwanego towarzystwa. Co z tego, że jej ojciec był arystokratą; co z tego, że prawdopodobnie potajemnie poślubił jej matkę? Obrączka, którą teraz nosiła Camille, świadczyła o tym, że żywił dla jej matki uczucie.

Wszyscy uważali Camille za dziecko dalekiego krewnego Tristana, człowieka, który otrzymał tytuł za męstwo, walcząc w szeregach armii jej królewskiej mości w Sudanie. To nie była prawda. Matka Camille była prostytutką; zmarła w biednej dzielnicy Whitechapel. Z pewnością niegdyś marzyła o innym życiu, ale zakochała się nieszczęśliwie, po czym, opuszczona i bez grosza przy duszy, wylądowała na ubogim East Endzie. Ojciec, kimkolwiek był, ulotnił się na długo przedtem, nim Camille się urodziła. A Tess Jardinelle jak żyła, tak i zmarła na ulicy. Gdyby tamtego dnia nie zjawił się Tristan...

- Ralph. - Camille westchnęła. - Powiedz, co się stało.

- Brama do zamku była uchylona - wyjaśnił wreszcie.

- Uchylona?

- No dobrze... zamknięta. W murze widniała wyrwa, a to okazało się zbyt wielką pokusą dla takiego poszukiwacza przygód jak Tristan.

- Też mi poszukiwacz przygód!

Ralph się zaczerwienił.

- Był wczesny wieczór, wokół żadnych psów. Podobno po lesie krążą teraz watahy wilków, ale znasz Tristana. Uznał, że możemy zaryzykować.

- Po prostu chcieliście obejrzeć teren i pozachwytać się światłem księżycy!

Ralph poruszył się nerwowo.

- Prawdę mówiąc, Tristan myślał, że może znajdzie jakąś błyskotkę, którą ktoś właśnie zgubił, a on In sprzeda właściwym ludziom za furę pieniędzy. To wszystko. Nie ma w tym nic hańbiącego ani złego. Spodziewał się znaleźć zgubiony przedmiot, niekoniecznie przez hrabiego... a gdyby to odpowiednio sprzedać...

- Na czarnym rynku!

- On chce jak najlepiej dla ciebie. Przecież ten młody człowiek w muzeum wyraźnie się tobą interesuje.

Ralph miał na myśli sir Huntera MacDonalda; "konsultanta" lorda Davida Wimbley'ego i nominalnego szefa działu starożytności, doświadczonego archeologa i ofiarodawcę znacznej kwoty na rzecz muzeum.

Hunter, który za swoje zasługi otrzymał tytuł, był atrakcyjnym mężczyzną. Wysoki, ujmujący, elokwentny. Camille musiała zachować ostrożność mimo całego uroku Huntera, jego ciągłych pochlebstw i prób nawiązania bliższego kontaktu. Nie zapomniała o okolicznościach swoich urodzin. Nieraz wspominała matkę, kobietę samotną i piękną, która obdarzyła zaufaniem takiego właśnie mężczyznę, przedkładając uczucie nad rozsądek.

Camille wiedziała, że Hunter jest nią zainteresowany, ale nie widziała dla nich przyszłości. Była pewna, że nie jest kobietą, którą taki mężczyzna przyprowadzi do domu i przedstawi swojej matce. W jej życiu nie mogło być miejsca na prawdziwe zaangażowanie, nie wolno jej przedłożyć uczucia nad rozum. Camille zamierzała zachować godność i dumę - a także swoją posadę -

za wszelką cenę. Nie dopuszczała myśli o utracie pracy w muzeum i tym bardziej musiała zachować ostrożność.

- Potrzebuję mężczyzny, który byłby zainteresowany mną dla mnie samej.

- Wszystko to bardzo piękne, Camille, ale żyjemy w społeczeństwie, w którym liczą się pochodzenie i majątek.

Omam nie parsknęła śmiechem.

- Opiekun mieszkający pod takim adresem jak Newgate i protokoły z jego aresztowań nie przysporzą mi bogactw i tablic genealogicznych.

- Nie mów tak, nie mieliśmy złych zamiarów. Bywało, że różni wyjęci spod prawa rozbójnicy stawali się bohaterami legend, okradając bogaczy i rozdając pieniądze biednym. A tak się akurat złożyło, że my należymy do tych biednych.

- Wyjętym spod prawa rozbójnikom znacznie częściej zakładano stryczek na szyję! - przypomniała mu oburzona. - Próbowałam z iście anielską cierpliwością wytłumaczyć wam obu, że kradzież jest nie tylko niegodziwa, ale także karalna!

- Och, Camie - wystękał żałośnie Ralph i przymknął powieki. - Czy mogę poprosić o jeszcze jeden dzin?

- Mowy nie ma! Musisz zachować trzeźwość umysłu i dokończyć swoją opowieść, żebym wiedziała, co da się zrobić. Gdzie jest teraz Tristan? Czy doprowadzono go przed oblicze sędziego pokoju? A co, jeśli został schwytany...?

- Odepchnął mnie za drzewo, a sam dał się złapać - wyjaśnił Ralph.

- Został zaaresztowany?

Ralph pokręcił głową.

- Przebywa w zamku Carlyle. Przybiegłem najszybciej, jak zdołałem.

- Do tego czasu na pewno zamknęli go w lochu.

- Wcale nie! Na własne uszy słyszałem słowa potwora!

- Co takiego?

- Hrabia Carlyle pojawił się na ogromnym diabelskim wierzchołku i krzyczał do swoich ludzi, każąc im zatrzymać intruza, żeby...

- Żeby co?

- Żeby nie mógł powiedzieć, co widział.

Camille miała zamęt w głowie. Czuła, że oblewa się zimnym potem.

- I co... co tam widziałeś? - zapytała.

- Nic! Naprawdę nic! - zapewnił Ralph. - Z hrabią byli jego ludzie i natychmiast zaciągnęli Tristana do zamku.

- Po czym poznałeś, że to był on?

- Po masce.

- Był w masce?

- Ależ tak. Ten człowiek wygląda koszmarnie. Na pewno słyszałaś.

- Jest pokraczny, zgięty wpół i nosi maskę?

- Nie, nie, jest olbrzymi. To znaczy w siodle wydaje się bardzo wysoki. Rzeczywiście, nosi maskę. Chyba skórzaną, w kształcie zwierzęcego pyska. Jakby lwa albo wilka. A może smoka. Jest paskudna, to wszystko co mogę powiedzieć. To na pewno był on.

Z niedowierzaniem popatrzyła na Ralpa, który zrobił nieszczęśliwą minę.

- Tristan by mnie udusił własnymi rękami, gdyby wiedział, że cię niepokoję - dodał - ale... on tam nie może zostać. Nawet gdyby policja miała go posądzić o kradzież...

Oczywiście, że tak byłoby lepiej. Gdyby udało się ściągnąć Tristana do Londynu i postawić przed sądem, zapewniłaby mu przyzwoitą obronę. Mogłaby nawet zaświadczyć, że oszalał, że wiek pozbawił go zdrowego rozsądku. Mogłaby... Bóg jeden wie, co jeszcze mogłaby zrobić.

Jednak na razie Tristan przebywa w zamku Carlyle, więziony przez człowieka znanego z bezwzględności i okrucieństwa.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Ralph.

- Udać się do zamku Carlyle.

Ralph zadygotał.

- Co ja najlepszego zrobiłem. Tristan by nie pozwolił, żebyś się narażała na takie niebezpieczeństwo.

- Nic mi nie grozi - zapewniła Camille z wymuszonym uśmiechem. - Tristan nauczył mnie paru sztuczek, więc udam osobę całkowicie naiwną i niewinną, a oni oddadzą mi Tristana. Przekonasz się.

- Nie możesz udać się tam sama - zaprotestował Ralph i poderwał się z krzesła.

- Nie zamierzam - oznajmiła sucho. - Najpierw pójdziemy do domu, gdzie się przebiorę. Ty zresztą zrobisz to samo.

- Ja?

- Właśnie.

- Przebrać się?

- Trzeba być przewidującym - zauważyła Camille. Ralph spoglądał na nią, jakby nic nie rozumiał. - Nie szkodzi. Chodźmy. Musimy się spieszyć. - Nagle zatrzymała się i popatrzyła na swojego towarzysza. - Ralph, czy nikt o tym nie wie? Nikt nie wie, że hrabia Carlyle zatrzymał Tristana?

- Nikt poza mną. No i oczywiście tobą.

- Działajmy więc szybko - powiedziała, łapiąc go za ramię i pociągając za sobą.

- Nasz dżentelmen grzecznie odpoczywa - powiedziała Evelyn Prior, wchodząc do pokoju. Zapadła w jeden z wielkich, głębokich i miękkich foteli ustawionych przed kominkiem. Pan tego domu siedział obok niej w takim samym fotelu i melancholijnym wzrokiem wpatrywał się w płomienie, drapiąc po wielkim łbie irlandzkiego wilczura Ajaxa.

Brian Stirling, hrabia Carlyle, spojrział teraz na Evelyn wzrokiem pełnym zadumy.

- Bardzo jest poturbowany? - odezwał się cicho.

- Nie bardzo, ośmielę się zauważyć. Lekarz powiedział, że jest tylko rozbity i obolały, i że według niego nawet nie połamał sobie kości, chociaż mógł, spadając z wysokiego muru. Uważam, że za parę dni będzie zdrowy.

- Nie będzie się włóczył w nocy po domu?

- Ależ skąd! Wykluczone. Corwin pilnuje korytarzy. Jak wiemy, podziemia mają solidne zamki. Tylko ty i ja mamy do nich klucze. Nawet gdyby chciał chodzić po nocy, niczego nie znajdzie. Wszystko go bolało, dostał więc sporą porcję laudanum.

- Zatem będzie spał, już Corwin tego dopilnuje - uspokoił się Brian. Personel zamku był nieliczny. Każdy z zatrudnionych nie tylko pełnił tu służbę, ale był traktowany jak domownik i przyjaciel. Wszyscy oni, mężczyźni i kobiety, byli niesłychanie oddani i lojalni.

- Oczywiście, że tak. Corwin nie przeoczy niczego - przytaknęła Evelyn.

- Co, twoim zdaniem, opętało tego mężczyznę i popchnęło do takiego czynu? - Brian oderwał wzrok od płomieni i spojrział ponownie na Evelyn. - Tereny wokół zamku to przecież istna dżungla, łatwo się tam pogubić. Że też chciało mu się aż tak ryzykować.

- Pomyśleć, że za życia twoich rodziców posiadłość była doskonale utrzymana - powiedziała Evelyn ze smutkiem.

- Sama widzisz, co może zdziałać rok solidnego angielskiego deszczu - zajął Brian. - Mamy teraz tropikalną dżunglę. Co skłoniło tego człowieka, żeby się tu pchać?

- Perspektywa szybkiego wzbogacenia się.

- Sądzisz, że działał na czyjeś zlecenie?

- Mam być szczerą? Uważam, że zamierzał ukraść coś cennego, i tyle. Równie dobrze może pracować dla kogoś, kto kazał mu wyśledzić, co masz i co wiesz.

- Sprawdzę to jutro - zdecydował stanowczo Brian. W sprawach zamku i tego, co aktualnie go zajmowało, Brian był nieugięty. To prawda, że zgorzkniał, ale przecież miał ku temu powody. Musi nie tylko rozwiązać problem z przeszłości, ale także zmierzyć się z przyszłością.

Zaniepokojona tonem głosu Briana, Evelyn popatrzyła na niego z troską.

- Powiedział, że nazywa się Tristan Montgomery i klnie się na wszystkie świętości, że działał na własną rękę. Nie muszę ci zresztą tego mówić, skoro byłeś na miejscu z Corwinem i z Shelbym i sam słyszałeś.

- Przysięgał, że tylko zahaczył o zamkowy teren, a przecież przeskoczył dwumetrowy mur. Twierdzi, że jest niewinny i że nie miał złych intencji, wypiera się też, iż działał w zмовie. Jutro Shelby uda się do miasta i spróbuje się czegoś o nim dowiedzieć. Na razie pozostanie nieproszonym gościem.

- Mogłabym przy okazji wybrać się na zakupy - zasugerowała Evelyn.

- Myślę, że tak. - Brian zamyślił się, po czym dodał: - Może już czas, żebym i ja zaczął przyjmować zaproszenia, w każdym razie niektóre.

Evelyn roześmiała się.

- Oczywiście, przecież od dawna cię namawiam. Pomyśl tylko, jaki niepokój wzbudzisz w sercach matek licznych debiutantek.

- Chyba masz rację.

- Jaka szkoda, że nie masz czarującej narzeczonej czy żony. Byłby to znakomity dowód, że na domu nie ciąży klątwa, a ty nie jesteś potworem, tylko człowiekiem głęboko zranionym wielką rodzinną tragedią.

- Co zresztą jest prawdą.

- Błagam, nie patrz tak na mnie! - Evelyn się zaśmiała. - Jestem o wiele za stara, milordzie.

Evelyn była piękną kobietą. Z zielonych oczu wyzierała inteligencja i choć dobiegała czterdziestki, klasyczne rysy twarzy wskazywały, że nawet do dziewięćdziesiątki może się nie martwić o wygląd.

- Znasz mnie jak nikt i oczywiście masz rację. Przeraza mnie myśl, że jakaś kobieta mogłaby przeze mnie zginąć. Nie mógłbym jej skazać na tak niepewny los. Bóg jeden wie, jakie nieszczęście by się przydarzyło.

- Oczywiście, nikt by na siłę nie wciągnął niewinnej istoty w to całe zło - wyszeptała Evelyn. - Dziewczynie nie może nic zagrażać.

- A czy moja matka nie zginęła? - zapytał z naciskiem.

- Nie zapominaj, że twoja matka była niezwykłą osobą. Jej wiedza, pasja i odwaga nie miały sobie równych. Drugiej takiej nie znajdziesz.

- Masz rację - przyznał Brian. - Choć na myśl, że ci łajdacy mogliby zabić jeszcze jedną kobietę, ogarnia mnie wściekłość i ręczę, że ścigałbym ich bezlitośnie. - Zamyślił się na chwilę. - Och, Evelyn, martwię się również o ciebie, przecież też zostałeś w to wplątana.

- Nie wierzę, że coś mi grozi. Nie mam wiedzy ani talentu twojej matki. Nie sądzę, by twoja narzeczona czy żona znalazła się w niebezpieczeństwie. Jeśli ktoś jest w niebezpieczeństwie, to tylko ty. Twój wróg, jeśli taki istnieje, musi wiedzieć, że nie ustaniez w poszukiwaniach, dopóki twoi zmarli nie zazną spokoju.

- Jestem już jedynym, na którym ciąży klątwa - przypomniał jej.

- A więc naprawdę wierzysz w klątwy?

- Zależy, jak to rozumieć. Przekleństwo, klątwa... Niekiedy mam wrażenie, jakbym żył w piekle. A czy można zdjąć klątwę? Z pewnością. Muszę tylko znaleźć sposób.

- Potrzebujesz uroczej kobiety, kogoś, kto by ci towarzyszył na salonach, dowodząc, że nie jesteś potworem.

- A ja się tak ciężko napracowałem nad wykreowaniem swojego obecnego wizerunku! - zauważył szyderczo hrabia.

- Wiem, to było konieczne - przyznała Evelyn. - Dzięki temu, przynajmniej dotychczas, nie mieliśmy w zamku intruzów.

- Żadnego, o którym byśmy wiedzieli - skwitował.

- Brian! Nadeszła pora na zmianę.

- Nie mogę nagle zmienić wszystkiego, nie doprowadzając sprawy do końca.

- To może nigdy nie nastąpić.

- Mylisz się. Dopnę swego.

Evelyn westchnęła.

- Dodaj jeszcze jeden element do tej szarady. Zrobiłeś, co można, działając z ukrycia, i możesz dalej tak postępować. Ale uwierz mi, proszę, że nadszedł czas, żebyś wyszedł do ludzi. Przyjęcie zaproszenia na kwestę może być znakomitą okazją. Zawęziłeś już listę podejrzanych i uważasz, że za sprawą mogą się kryć ludzie ze środowisk naukowych, a twoje przypuszczenia wydają się mieć mocne podstawy. Kto mógłby tu pasować, jak nie ci, którzy dzielili z twoimi rodzicami fascynację światem starożytnym?

Brian poderwał się i zaczął nerwowo przemierzać pokój. Ajax, wyczuwając nastrój swojego pana, zaskomlał. Hrabia przystanął na chwilę, żeby uspokoić psa.

- Wszystko w porządku, staruszkule - powiedział, po czym zwrócił się do Evelyn. - Szukam kogoś, kto posiada głęboką wiedzę w tej dziedzinie, to pewne. Musi to być jednocześnie człowiek zdolny do morderstwa, działający podstępnie i z premedytacją. Ktoś taki zabił moich rodziców.

Evelyn milczała przez chwilę. Choć od śmierci hrabiego i hrabiny upłynął już rok, przypomnienie o tym, w jaki sposób zginęli, napełniało ją nadal bólem i przerażeniem.

Brian podszedł do stolika, nalał sobie porcję brandy, wypił do dna i popatrzył na Evelyn.

- Wybacz mi moje maniery, droga przyjaciółko - powiedział. - A może ty również napiłabyś się brandy?

- Czemu nie?

Brian napełnił szklaneczki i wznosił toast:

- Za noc. Za mrok i ciemność.

- Nie, za dzień i za jasność - powiedziała stanowczo Evelyn.

Skrzywił się.

- Już czas, naprawdę - nie ustępowała. - Musimy ci znaleźć uroczą młodą kobietę. Niekoniecznie bogatą i utytułowaną, to byłoby zbyt podejrzane, biorąc pod uwagę... twoją reputację. Nikt by w to nie uwierzył. Powinna to być osóbką młodą, ładną, dobrą, a także niepozbawioną wdzięku. Z właściwą kobietą u boku będziesz mógł kontynuować dochodzenie, nie przejmując się zdesperowanymi matkami, gotowymi poświęcić córki i oddać je bestii, a wszystko przez wzgląd na bogactwa Carlyle'a.

- Gdzie znajdę odważną piękność? - zapytał Brian, uśmiechając się szeroko. - Powinna również odznaczać się inteligencją, no i oczywiście wdziękiem, o którym wspomniałaś. Pomysł zatrudnienia kobiety z ulicy, według mnie, nie zda egzaminu. A już na pewno idealna kandydatka nie zapuka sama do naszych drzwi.

Właśnie w tym momencie rozległo się energiczne pukanie do drzwi pokoju.

- Pewna młoda kobieta chciałaby się z panem widzieć, hrabio - oznajmił lekko skonfundowany Shelby, ubrany w liberię lokaj, cokolwiek dziwnie wyglądający, ale imponująco umięśniony.

- Młoda kobieta? - powtórzył Brian, marszcząc czoło.

- Tak. W dodatku piękna młoda kobieta.

- Piękna młoda kobieta! - zawołała Evelyn, patrząc z niedowierzaniem na Briana.

- Tak, tak, już to ustaliliśmy - burknął Brian. - Jak się nazywa? I z czym przychodzi?

- Jakie to ma znaczenie? - obruszyła się Evelyn. - Zaproś ją, a się dowiesz.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Musi być szalona, skoro się tu pojawiła. Chyba że dla kogoś pracuje - powiedział Brian.

Evelyn przywołała Shelby'ego ruchem ręki.

- Przyrowadź ją, i to natychmiast. Błagam, Brian. Nikt nas nie odwiedzał od lat! - nalegała. - Mogę podać doskonałą kolację. To naprawdę będzie ekscytujące!

- Ekscytujące? - powtórzył z ironią Brian i wzruszył ramionami. - Shelby, zaproś więc tę młodą damę. - Patrząc na Evelyn, dodał: - Rzeczywiście zapukała do naszych drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Camille musiała działać ostrożnie i zważać na każdy krok, począwszy od wyglądu po wybór środka transportu. Ralph - elegancko odziany w jeden z garniturów Tristana i w odpowiednie nakrycie głowy - prezentował się godnie w roli służącego. Ona sama wyciągnęła najlepszą kreację, bardzo kobiecą, rdzawoczerwoną suknię z gorsecikiem o niezbyt dużym dekolcie i średniej wielkości turniurze, z podpiętą atlasową spódniczką wykończoną u dołu delikatnym haftem, spod którego prześwitywała koronka halki. Uważała, że taki ubiór przystoi szanującej się młodej kobiecie, niemającej wielkiego majątku, ale dysponującej wystarczającymi środkami na życie.

Odżałowała też pieniądze na jednokonkę, którą odbyli długą podróż za miasto. Woźnica okazał się uprzejmy i tak zadowolony z pasażerów, że zapewnił Camille, iż chętnie na nich zaczeka i odwiezie z powrotem do Londynu. Stała teraz przed masywną bramą, prowadzącą do zamku Carlyle, wpatrując się w solidną konstrukcję z kutego żelaza, która uniemożliwiała wejście.

- Postanowiliście wdrapać się na ten mur? z z niedowierzaniem zwróciła się do Ralpa.

- Niezupełnie. Idąc dalej wzdłuż muru, trafiliśmy na uszczerbek. Podsadziłem Tristana, a on mnie wciągnął. Kiedy uciekałem tą samą drogą, z deptającym mi po piętach olbrzymim psiskiem osobliwej rasy, omal nie połamane kości. Może zresztą nie był pies, lecz wilk, bo jak powiadają, hrabia hoduje te potworne bestie... ale to nie ma nic do rzeczy. Najważniejsze, że uciekłem, i przysięgam, że nikt mnie nie widział - zakończył, świadomy, że Camille nie pochwała ich wyczynu.

Pociągnęła za gruby sznur, który prawdopodobnie wprawił w ruch dzwonek gdzieś w zamku.

- Tristan został uwięziony - powiedziała.

- Camie, uwierz mi, nigdy bym go nie zostawił! Nie wiedziałem jednak, co robić, mogłem tylko poszukać twojej pomocy.

- Wiem, że byś go nie zostawił. Cicho, sza! Ktoś nadchodzi.

Usłyszeli tętent końskich kopyt i po chwili po drugiej stronie bramy ukazał się człowiek na grzbiecie ogromnego wierzchowca. Kiedy zeskoczył, Camille zrozumiała, dlaczego koń musi być taki wielki - mężczyzna okazał się olbrzymem. Nie był młodzieniaszkiem. Mógł mieć trzydzieści pięć lat.

- O co chodzi? - zapytał.

- Dobry wieczór - powiedziała Camille, tracąc pewność siebie z powodu potężnej postury i groźnego tonu mężczyzny. - Przepraszam, że przychodzę niezapowiedziana i o tak późnej porze, naprawdę przepraszam. Muszę koniecznie zobaczyć się z gospodarzem tego domu, hrabią Carlyle. Sprawa jest nadzwyczaj ważna i pilna.

Choć spodziewała się pytań, żadne nie padło. Mężczyzna popatrzył na nią spod krzaczastych brwi, po czym się odwrócił.

- Chwileczkę! - zawołała.

- Zobaczę, czy mój pan jest osiągalny! - zawołał przez ramię mężczyzna. Wskoczył na siodło i zniknął w ciemności.

- Na pewno okaże się, że nie jest osiągalny - zauważył pesymistycznie Ralph.

- Będzie musiał. Nie odejdę dopóty, dopóki się z nim nie zobaczę - pocieszyła go Camille.

Czekali tak długo, że aż zaczęła się obawiać, czy Ralph nie miał racji; wreszcie jednak usłyszeli tętent kopyt, a także stukot kół.

Tym razem olbrzym powoził zgrabnym niedużym pojazdem z budą. Zeskoczył z kozła i podszedł do bramy, otwierając wielkim kluczem kłódkę, a następnie wrota.

- Proszę za mną - powiedział grzecznie, choć równie oschle jak poprzednio.

Wielkolud podsadził Camille na tylne siedzenie, a Ralph wspiął się szybko i stanął za nią.

Jechali długą krętą aleją. Ciemności po obu stronach drogi zdawały się nieprzeniknione. Camille była pewna, że za dnia zobaczyliby tu potężne drzewa i gęsty las. Pan na Carlyle musiał lubić swoje odosobnienie, skoro upodobił posiadłość do ziemi zapomnianej przez Boga i ludzi.

- Naprawdę uważaliście, że znajdziecie tu jakiś skarb? - szepnęła do Ralpha.

- Jeszcze nie widziałaś zamku - równie cicho odrzekł Ralph.

- Obaj jesteście szaleni. To największa głupota, o jakiej kiedykolwiek słyszałam.

W tym momencie jej oczom ukazał się zamek, gigantyczny i otoczony fosą, przez którą przerzucono zwodzony most. Zamkowe mury były potężne i pozbawione okien, i tylko wysoko na górze widniały wąskie otwory strzelnicze.

Camille popatrzyła ze złością na Ralpha; co ci dwaj sobie wyobrażali?!

Powóz ze stukotem pokonał most i wjechał na rozległy dziedziniec. Camille ujrzała to, o czym musiał wiedzieć Tristan - wszędzie wokół było pełno starożytności, fascynujących posągów i dzieł sztuki. Antyczna wanna - chyba z okresu grecko-rzymskiego - doskonale przysposobiona, służyła za poidło. W rzędach wzdłuż muru stały sarkofagi, a wiele innych skarbów zdobiło prowadzącą do głównego wejścia aleję. Sam zamek został najwyraźniej przebudowany w stylu typowym dla dziewiętnastego stulecia. Nad arkadowym sklepieniem głównego wejścia wznosiła się smukła wieżyczka, a ze skrzynek wylewały się pnącza winorośli, zapraszając gości do środka.

Camille jeszcze rozglądała się po dziedzińcu, kiedy olbrzym wyciągnął do niej rękę i pomógł wsiąść z powozu. Pomyślała z oburzeniem, że te dzieła sztuki powinny należeć do muzeum. Miała jednak świadomość, że wiele przedmiotów, które uważa za cenne, może być czymś zupełnie zwykłym dla bogatych podróżników. Słyszała, że na rynku krąży tak wiele mumii, iż często sprzedaje się je na podpałkę do pieców i kominków. Zdążyła zauważyć zachwycające przykłady sztuki egipskiej - dwa ogromne rzeźbione ibisy, kilka posągów Izydy i wiele popiersi pomniejszych faraonów.

- Proszę tędy - powiedział olbrzym.

Udali się za nim alejką aż do drzwi, które otworzyły się na okrągły hol, dawniej chyba pełniący funkcję sieni. Mężczyzna wziął od Camille pelerynkę i wzruszył ramionami, kiedy Ralph zdecydował się zachować swoje okrycie.

- Zapraszam - powiedział wielkolud.

Minęli drugie drzwi i znaleźli się w imponującym westybulu. Tutaj widać było efekty modernizacji. Pomieszczenie było urządzone w dobrym stylu. Kamienne kręte schody prowadziły na wyższe piętro i na galerię; przykrywał je ciemnoszafirowy chodnik. Ściany zdobiły panoplia na przemian z olejnymi obrazami - były tu portrety, średniowieczne malowidła, a także sielskie krajobrazy. Camille nie miała wątpliwości, iż wiele z nich wyszło spod pędzla wielkich mistrzów.

W ogromnym kominku trzaskał ogień. Otaczające go meble, obite ciemnobrązową skórą, zachęcały do odpoczynku.

- Pan zaczeka tutaj, a panią proszę ze mną - odezwał się olbrzym.

Ralph popatrzył na Camille z miną przerażonego psiaka, pozostawionego po drugiej stronie rzeki. Dała mu jednak znać ruchem głowy, że wszystko w porządku i kręconymi schodami udała się za mężczyzną na górę.

W pokoju, do którego ją wprowadził, stało masywne biurko, a liczne szafy biblioteczne zawierały bogaty księgozbiór, na widok którego mocniej zabiło jej serce. Boże, ile tu wspaniałych dzieł! Z lubością potoczyła wzrokiem po grzbietach książek, zatrzymując się na drogim jej sercu woluminie traktującym o starożytnym Egipcie, stojącym obok równie pasjonującej książki "Szlakiem Aleksandra Wielkiego".

- Pan hrabia wkrótce przybędzie - oznajmił mężczyzna, wychodząc i zamykając za sobą drzwi.

Kiedy Camille stanęła przy oknie, uderzyła ją panująca wokół cisza. Stopniowo zaczęły jednak docierać słabe odgłosy. Gdzieś z oddali dobiegło pełne skargi, mrozące krew w żyłach wycie wilka. Potem, jakby dla równowagi, dotarło do jej uszu trzaskanie ognia w kominku po lewej stronie drzwi.

Na stoliku z ciemnego drewna, w otoczeniu kieliszków z delikatnego szkła, stała kryształowa karafka z brandy. Camille miała ochotę chwycić wytworny flakon i opróżnić go do dna, aby dodać sobie odwagi.

Odwracając się, zauważyła duży i piękny portret, wiszący nad biurkiem. Przedstawiona na nim kobieta, ubrana według mody sprzed dziesięciu lat, miała prześliczne jasne włosy i promienny uśmiech, ale najbardziej przyciągały uwagę ciemnoniebieskie, niemal szafirowe oczy. Zafascynowana Camille podeszła bliżej.

- To moja matka, lady Abigail Carlyle - rozległ się za Camille niski i bardzo męski głos, brzmiący ostro i surowo.

Zaskoczona, że nie usłyszała otwarcia drzwi, natychmiast się odwróciła. Mimo woli aż drgnęła z przerażenia, bowiem twarz człowieka, który wszedł, kryła się za zwierzęcym pyskiem. Mężczyzna nosił skórzaną maskę, dopasowaną do twarzy. I chociaż nie była właściwie brzydka - a z pewnością artystycznie wykonana - wyglądała przerażająco. Camille przemknęło przez głowę, że może to być zamierzony efekt.

- To piękny obraz - udało jej się w końcu wykrztusić. Miała nadzieję, że nie patrzyła na gospodarza zbyt długo z otwartymi ustami. Nie była też pewna, czy udało jej się do końca opanować drżenie głosu.

- Dziękuję.

- Bardzo piękna kobieta - dodała Camille z przekonaniem.

Była świadoma obserwujących ją oczu. Zauważyła też - dzięki widocznym spod maski ustom - kpiące rozbawienie tego człowieka, szyderczą wesołość, jakby był przyzwyczajony do zbędnych grzecznościowych komplementów.

- Tak, rzeczywiście była piękna - powiedział i podszedł bliżej z założonymi do tyłu rękami. - A zatem, kim pani jest i z czym pani przybywa?

Uśmiechnęła się i z wdziękiem wyciągnęła do niego dłoń, niezadowolona, że musi grać rolę trzpiotki, którą nie była i nigdy nie będzie.

- Camille Montgomery - przedstawiła się wyraźnie. - Przyszłam tutaj, bowiem jestem bardzo zdesperowana. Szukam wuja, mojego opiekuna, który zaginął, a którego podobno widziano na drodze przed tym zamkiem.

Przyjrzał się jej dłoni, zanim ją przyjął, i pochylił nad nią kurtuazyjnie. Rozpalone wargi pod maską dotknęły skóry Camille. Mężczyzna szybko puścił jej dłoń, jakby się sparzył.

- Rozumiem - powiedział.

Choć nie był tak wysoki jak olbrzym, który podjechał do bramy, mierzył co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów, a elegancki surdut nie ukrywał szerokich ramion. Miał smukłą sylwetkę, nogi długie i mocne. Wydawał się silny i zwinny niezależnie od tego, jak wygląda jego twarz. Potwór? Bestia? Być może, a przecież wciąż odczuwała na dłoni żar jego warg.

Nie odzywał się, jakby on także z uwagą wpatrywał się w obraz wiszący nad biurkiem.

W końcu to Camille przerwała milczenie.

- Milordzie, proszę przyjąć moje przeprosiny. Przepraszam, że pozwoliłam sobie na niezapowiedzianą wizytę o tak późnej porze. Ale, jak się pan domyśla, znalazłam się w wielkim kłopotcie. Zaginął drogi memu sercu człowiek, który mnie wychował. W lesie czyha wiele niebezpieczeństw. Zdarzają się tu wilki, a w ciemnościach mogą się też kręcić najprzeróżniejsze kreatury. Zaniepokoiłam się tak bardzo, że ośmieliłam się zwrócić do tak wysoko postawionej osoby jak pan.

Znów go rozbawiła.

- Czyżby pani nie wiedziała, że uchodzę za ohydny potwora!? Gdybym był po prostu hrabią Carlyle, traktowanym z szacunkiem, nie zaś ze strachem, szanowna pani nie stanęłaby u bram tego domostwa z duszą na ramieniu.

Camille nie mogła już dłużej udawać. Byłaby nawet gotowa się wycofać, gdyby nie cel, w jakim tu przyszła. Chodziło przecież o dobro Tristana.

- Wiem, hrabio, że gdzieś tutaj przebywa Tristan Montgomery. Znalazł się w tej okolicy ze swoim towarzyszem, po czym zniknął obok pańskiej bramy. Chcę go stąd natychmiast zabrać.

- A więc jest pani spokrewniona z tym zuchwałym gagatkiem, który wdrapał się na mój mur niczym pospolity złodziej.

- Tristan nie jest zuchwałym gagatkiem! - Camille się oburzyła, choć wolała powstrzymać się od stwierdzenia, że nie jest też złodziejem. - Uważam, hrabio, że przebywa on w zamku, a ja stąd bez niego nie wyjdę.

- Zatem będzie pani musiała tu zostać - orzekł hrabia głosem pozbawionym emocji.

- A jednak on tutaj jest!

- Ależ tak. Tyle że podczas próby pozbawienia mnie mojej własności trochę się potłukł.

Camille starała się zachować spokój. Nie spodziewała się spotkać kogoś tak bezdusznego, mówiącego głosem jednocześnie beznamiętnym i kategoriycznym.

- Czy jest ciężko ranny? - zapytała.

- Przeżyje - padła sucha odpowiedź.

- Muszę go zobaczyć, i to niezwłocznie!

- W swoim czasie - odparł hrabia. - Wybacz pani, że ją na chwilę opuszczę? - Właściwie to nie było pytanie; zamierzał wyjść z pokoju i było mu absolutnie wszystko jedno, czy wybacz mu tę niegrzeczność. Skierował się w stronę drzwi.

- Chwileczkę! - zawołała Camille. - Chcę zaraz zobaczyć Tristana!

- Pozwolę sobie powtórzyć, że ujrzy go pani, lecz w odpowiednim czasie.

Wyszedł, zostawiając ją samą. Była zdezorientowana i zła. Czy po to zgodził się z nią spotkać, by zniknąć po paru minutach gwałtownej wymiany zdań?

Najważniejsze, że przyznał, że Tristan przebywa w zamku.

Przecież nie będzie siedziała z założonymi rękami, kiedy jej opiekun leży gdzieś niedaleko, może cierpiący, a może nawet poważnie ranny.

Ruszyła ku drzwiom, ale ledwo je otworzyła, zamarła ze strachu. Miała przed sobą olbrzymiego psa. Choć siedział, łbem sięgał jej dopasą! Zwierzę zawarczało ostrzegawczo.

Zamknęła drzwi i wróciła do kominka. Czy pies został wytresowany, aby rozerwać na strzępy każdego, kto na własną rękę spróbuje wyjść z pokoju? Kipiąc ze złości, Camille postanowiła jednak spróbować, ale zanim zdążyła dotknąć klamki, drzwi się otworzyły.

Spodziewała się ujrzeć hrabiego, ale zamiast niego do pokoju weszła kobieta. Atrakcyjna, choć niemłoda, o żywym spojrzeniu. Ubrana była w śliczna jasnopopielatą, aż srebrzystą suknię i się uśmiechała. Jej widok w tym miejscu stanowił prawdziwe zaskoczenie.

- Dobry wieczór, panno Montgomery - powiedziała kobieta łagodnym tonem.

- Dziękuję za miłe powitanie - odrzekła Camille - ale obawiam się, że dla mnie ten wieczór wcale nie będzie dobry. Mój opiekun został zatrzymany w zamku w charakterze zakładnika, a na dodatek odnoszę wrażenie, że i ja zostałam uwięziona w tym pokoju.

- Uwięziona? - zdumiała się kobieta.

- Po drugiej stronie drzwi siedzi pies, a raczej zębaty potwór - wyjaśniła Camille.

Na twarzy kobiety pojawił się szeroki uśmiech.

- Och, Ajax. Proszę nie zwracać na niego uwagi. To sama poczciwość, zapewniam. Jeszcze pani się przekona.

- Nie sądzę, żeby mi zależało na bliższej z nim znajomości. Chciałabym za to jak najprędzej spotkać się z moim opiekunem. Bardzo proszę, aby mi to pani umożliwiła.

- Ależ zobaczy go pani, wszystko po kolei. Może odrobinę brandy? Przygotowałam lekką kolację dla pani i hrabiego, niedługo możecie zasiąść do stołu. Nazywam się Evelyn Prior i prowadzę hrabiemu dom. Hrabia poprosił mnie także, żebym zadbała o przygotowanie pokoju dla pani.

- Pokoju? - Camille się zdenerwowała. - Ależ ja przyjechałam zabrać Tristana do domu! Zapewnię mu wszelką niezbędną opiekę.

- Bardzo mi przykro - ze smutkiem oznajmiła Evelyn Prior - ale o ile wiem, hrabia nosi się z zamiarem wniesienia oskarżenia przeciwko pani opiekunowi.

- Błagam panią! Nie uwierzę, że Tristan chciał czyjejs krzywdy.

- Obawiam się, że hrabia nie dał wiary wersji pani opiekuna, który podobno tylko potknął się o bramę - lekkim tonem powiedziała kobieta. - Zdaje się, że już rozmawiała pani o tym z hrabią.

Camille pomyślała, że ta piękna i rozsądna kobieta nie pasuje do tego otoczenia. Wszystko w zamku wydawało się mroczne i groźne; tylko Evelyn była jak światło, jak tchnienie wiosny. Jednak i ona najwyraźniej miała obiekcje co do wypuszczenia Tristana z zamku.

- Chętnie wynagrodzę wszystkie...

- Panno Montgomery - wpadła jej w słowo Rvelyn - w sprawie winy czy niewinności pani opiekuna, a także wszelkich form zadośćuczynienia musi się pani zwrócić do hrabiego. Jeśli zechce mi pani towarzyszyć, zaprowadzę panią do jadalni w komnatach hrabiego. W odpowiednim czasie będzie pani mogła zobaczyć się ze swoim opiekunem, a potem obejrzeć pokój, w którym spędzi pani noc.

- Ależ my nie możemy tu zostać! - zaprotestowała Camille.

- Obawiam się, że będziecie musieli. Lekarz powiedział, że pani opiekun nie powinien na razie się ruszać. On naprawdę jest potłuczony.

- Potrafię się nim zająć - zapewniła Camille.

- Powinien poleżeć. Oczywiście, nie możemy pani zatrzymać, ale pani opiekun będzie musiał skorzystać z naszej gościnności.

Pomimo całej uprzejmości i miłego uśmiechu Kvelyn Prior Camille poczuła zimny dreszcz na plecach. Zostać tutaj? W samym środku gęstego lasu! Z tym zamaskowanym mężczyzną, ponurym, szorstkim i chyba nieustępliwym!

- Ja... ja... - bąkała.

- To nic takiego. - Evefin się zaśmiała. - My, mieszkańcy zamku, zupełnie dobrze radzimy sobie z naszą samotnością. W dodatku nie żyjemy w prymitywnych warunkach i nie jesteśmy pozbawieni wygód, nawet jeśli pozory mówią co innego. Bez względu na swoją reputację, hrabia jest panem na Carlyle, jak pani wiadomo. Ma liczne zobowiązania wobec Korony i cieszy się zaufaniem samej królowej.

- Przybyłam ze służącym. Czeka na mnie w dużym holu.

- Postaramy się, żeby i on spędził wygodnie tę noc, panno Montgomery. A teraz proszę za mną.

Camille nie miała wyboru. W holu czekał pies, przyglądający się Camille równie podejrzliwie jak jego pan.

- Dobry piesek! - powiedziała panna Prior, głaszcząc wielki łeb. Psi potwór pomachał ogonem.

Camille nie odstępowała Evelyn. Długim korytarzem dotarły na sam koniec wschodniego skrzydła zamku. Pośrodku ściany znajdowały się drzwi, które panna Prior otworzyła. Pan tego zamku już czekał.

W niewielkim westybulu prywatnej części rezydencji przeszklone, rozsuwane drzwi odsłaniały widok na ciemny gęsty las. Coś jednak oprócz drzew musiało znajdować się na zewnątrz, bowiem gdy panna Prior wprowadziła Camille, hrabia stał zapatrzony w dal.

W sąsiednim pomieszczeniu czekał stół nakryty nieskazitelnie białym obrusem, z zastawą z kruchej porcelany. Srebrne półmiski z kopułkami pokryw, lśniące srebrne sztućce i kryształowe kieliszki na długich nóżkach dopełniały eleganckiej całości. Przy stole stały dwa krzesła.

Panna Prior odchrząknęła lekko, ale Camille była pewna, iż hrabia Carlyle wie, że są tutaj.

- Panna Montgomery, hrabio - odezwała się gospodyni. - Zostawiam państwa samych.

Gdy Camille weszła, a za panną Prior zamknęły się drzwi, pan domu odwrócił się w stronę gościa.

Wskazał na stół, podszedł i wysunął krzesło, żeby Camille mogła usiąść. Lekko się zawahała.

- Och, przepraszam. Czyżby sama myśl o zjedzeniu kolacji z oszpeconym mężczyzną w masce była dla pani tak okropna?

Hrabia mówił łagodnym tonem, ale jego słowa nie miały wzbudzać współczucia. Były raczej wyzwaniem. A może sprawdzianem?

- Uważam, hrabio, że wybrał pan dziwną maskę, ale to pańskie prawo. Mało jest rzeczy, które mogą popsuć mi apetyt, a mój szacunek dla bliźnich nie ma nic wspólnego z ich wyglądem.

Wydawało się jej, że pod brzegiem maski znowu dostrzega ledwo widoczny kpiący uśmiezek.

- Jakie to szlachetne, panno Montgomery! Ciekaw jestem tylko, czy pani wyznanie płynie rzeczywiście z serca, czy też uważa pani, że ta odpowiedź sprawi mi przyjemność.

- Obawiam się, że każda moja odpowiedź wzbudziłaby pańskie podejrzenia, może więc powiem tylko, że nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo

jestem głodna, i że będę zachwycona, mogąc dzielić z panem posiłek, omawiając jednocześnie sytuację, w jakiej znalazł się mój opiekun.

- A zatem, szanowna pani... - Wskazał ręką krzesło.

Usiadła.

Hrabia obszedł stół, zajął swoje miejsce i podniósł z półmiska srebrną pokrywę. Zapach był cudowny. Na talerzu Camille znalazły się puszyste ziemniaki, plaster apetycznej pieczeni i prześliczne malutkie marchewki. Od dziesiątej rano nie miała nic w ustach, a i wtedy ograniczyła się tylko do drożdżowej bułeczki z dżemem.

- To skromny i mało wykwintny posiłek, ale za to łatwy do przyrządzenia.

- Biorąc pod uwagę porę i okoliczności, jestem zachwycona - powiedziała uprzejmie Camille. Dostrzegła, że hrabia czeka, aż ona zacznie pierwsza, sięgnęła więc po widelec i nóż i odkroiła kawałek mięsa. Było tak wyborne, jak sugerował zapach.

- Wyśmienite - pochwaliła.

- Cieszę się, że pani smakuje.

- A jeśli chodzi o mojego opiekuna... - zaczęła.

- Złodzieja - poprawił ją hrabia. - Słucham panią.

Westchnęła.

- Milordzie, Tristan nie jest złodziejem. Zachodzę w głowę, co go sprowadziło pod pańskie mury, ale na pewno nie chęć kradzieży.

- Jesteście dobrze sytuowani, czy tak? - dopytywał się hrabia.

- Stać nas na przyzwoite życie - zapewniła.

- Zapewne nie chodziło mu o mały zysk, tylko szukał większego skarbu.

- Nic podobnego! - zaprotestowała, mając świadomość, iż jej sugestia, że nie potrzebują pieniędzy, zdenerwowała hrabiego i uczyniła bardziej podejrzliwym.

- Milordzie - zaczęła, starając się wyrazić swoje oburzenie i głębokie przekonanie - naprawdę nie ma pan podstaw, by podejrzewać mojego opiekuna o próbę ograbienia pana. On...

- Z tego, co sam mówił, wynikało, że znalazł się zupełnie przypadkowo na terenie mojej posiadłości. A przecież widziała pani tutejsze mury i bramę. Zgodzi się pani chyba, że sforsować je przypadkiem byłoby dość trudno.

Zamaskowany hrabia miał nienaganne maniery. Górna część maski zakrywała policzki i nos, ale usta były odsłonięte. Nagle Camille zapragnęła się dowiedzieć, jak ten obcy mężczyzna wygląda, i czy i rzeczywiście jest tak okaleczony, że musi się ukrywać pod maską.

- Dotąd jeszcze nie udało mi się zobaczyć z Tristanem, bo pan na to nie pozwolił - przypomniała. - Nie mam pojęcia, co go sprowadziło na teren pańskiej posiadłości. Wiem tylko, że muszę go jak najszybciej zabrać do domu. Mogę przysiąc, że nie znam żadnego powodu, dla którego chciałby pana okraść.

- Czy pani ma własny majątek? - zainteresował się gospodarz.

- Czy to by pana zdziwiło?

Odłożył widelec i nóż i popatrzył na nią taksującym wzrokiem.

- Tak. Pani suknia jest naprawdę ładna i umie ją pani nosić, ale wedle mojej oceny ten fason wyszedł z mody przed paroma laty. Nie przyjechała tu pani własnym powozem, tylko jednokonką, która zresztą została odesłana z powrotem do Londynu.

Camille przeklęła w duchu dzisiejszy dzień. Jeśli szybko nie wydobędzie się stąd Tristana, straci pracę, której tak bardzo potrzebuje.

Odłożyła sztucę na talerz.

- To prawda, nie posiadam wielkiego majątku, hrabio, ale los mi sprzyja, bo jestem zdolna i kompetentna. Pracuję i otrzymuję przyzwoite wynagrodzenie.

Hrabia obrzucił Camille taksującym spojrzeniem. Wstrzymała oddech, uświadamiając sobie, że ten człowiek pomyślał o zupełnie innym zajęciu.

- Jak pan śmie, hrabio!

- O co pani chodzi?

- Nie robię niczego takiego!

- Czego pani nie robi?

- Nie robię tego, o czym pan myśli!

- Zatem czym się pani zajmuje zawodowo?

- Pan nie jest potworem, tylko gburem, hrabio! - oświadczyła Camille, gotowa rzucić serwetkę i wstać, w gniewie zapominając nawet o Tristanie.

Przykrył dłonią jej rękę, udaremniając ten zamiar. Pochylił się nisko nad stołem, a ona wyczuła jego napięcie.

- Panno Montgomery, dotknęliśmy ważnego tematu. Chodzi o to, czy powinienem kazać aresztować pani opiekuna. Jeśli uważa pani, że poszukiwanie prawdy panią obraża, nic na to nie poradzę. Pytam więc jeszcze raz, czym się pani zajmuje?

Nadal była wściekła, ale postanowiła patrzeć mu prosto w oczy i nie wrywać ręki, skoro i tak walka była z góry skazana na niepowodzenie.

- Pracuję w muzeum, w dziale sztuki starożytnego Egiptu!

Gdyby powiedziała mu spokojnie, że jest prostytutką, nie wywołałaby z pewnością takiej reakcji.

- Co takiego?! - niemal ryknął.

Zaskoczona, zmarszczyła brwi.

- Chyba wyraziłam się jasno. Pracuję w muzeum, w dziale sztuki starożytnego Egiptu.

Hrabia poderwał się tak nagle, że wywrócił krzesło.

- Zapewniam, że pracuję absolutnie legalnie i że posiadam odpowiednie kwalifikacje - dodała stanowczo Camille.

Ku jej zdumieniu, hrabia obszedł stół z tą samą gwałtownością, z jaką podniósł się z miejsca.

- Ależ milordzie! - zawołała, wstając. Hrabia położył ręce na ramionach Camille i wpatrywał się w nią z taką złością, że aż obleciał ją strach.

- I pani twierdzi, że przybyła tu bez powodu! - wykrzyknął.

- A pan uważa, że mogłabym przyjechać w innym celu niż po to, by zabrać stąd człowieka, którego kocham? Ogromnie mi przykro, hrabio, ale pańska uprzywilejowana pozycja w społeczeństwie nie uprawnia do tak skandalicznego demonstrowania złych manier i stosowania przemocy!

Zabrał dłonie z jej ramion i się odsunął.

- Gdybym miał pewność, że mija się pani z prawdą, panno Montgomery, dopiero by się pani przekonała, do czego jestem zdolny.

Odwrócił się, jakby nie mógł dłużej znieść jej widoku. Szybkim krokiem podszedł do drzwi, a wychodząc, zatrzasnął je z taką siłą, że pewnie aż mury zadrżały.

Jeszcze długo po jego wyjściu Camille stała nieruchomo i wpatrywała się w drzwi.

- Jest pan potworem! - krzyknęła, pewna, że jej nie- usłyszy.

Zdrętwiała, kiedy otworzyły się drzwi. Na szczęście była to panna Prior.

- Och, moje biedactwo! - zawołała. - Hrabia ma taki gwałtowny charakter. Nie ustaję w wysiłkach, żeby mu to uświadomić. On naprawdę potrafi być czarujący i dobry.

- Muszę się zobaczyć z moim opiekunem. Chcę go stąd zabrać - odpowiedziała z godnością Camille.

- Moja droga, hrabia nie jest okrutnikiem. Tylko... no cóż, wiadomość, że pracujesz w muzeum, była dla niego szokiem.

- To jest ucziwe i zaszczytne zajęcie!

- Nie wątpię, lecz... - Panna Prior przechyliła głowę, uważnie popatrzyła na Camille i zniżyła głos: - Chodzi o to, że twoja posada... że grupa ludzi związanych z twoim działem... że wszyscy oni byli tam, kiedy...

- Kiedy co?

- Kiedy zamordowano rodziców hrabiego - wyjaśniła Evelyn Prior. - To nie twoja wina, ale mimo to... Chodź ze mną, zaprowadzę cię do twojego opiekuna. Poza tym, moja droga, to prawda, że on wygląda odpychająco, a jego zachowanie bywa gwałtowne, należy jednak pamiętać, że te okropne morderstwa odmieniły całe jego życie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Camille pospieszyła za Evelyn.

- Oczywiście, słyszałam plotki na ten temat - przyznała. - Może gdybym poznała szczegóły, mogłabym okazać się...

Słowo "pomocna" nie zdążyło paść z jej ust, bo Evelyn się zatrzymała i otworzyła jedne z drzwi.

- To tutaj, moje dziecko. Oto twój opiekun - oznajmiła, pozostawiając bez komentarza słowa Camille, która w tym momencie zapomniała o doznanych przykrościach. Stała w drzwiach, wpatrując się w ciemny pokój. Wprawdzie w kominku palił się lipień, ale pomieszczenie pogrążone było w mroku. Gdy wreszcie spostrzegła łóżko, a na nim nieruchomą postać, strach chwycił ją za gardło.

- O mój Boże! - zawołała, czując, że uginają się pod nią kolana.

Evelyn odwróciła się i w ostatniej chwili chwyciła ją w ramiona.

- Nie martw się, moja droga. Podaliśmy mu laudanum, dlatego leży tak nieruchomo. Oczywiście, że on żyje. Może jest tylko trochę niekomunikatywny. - Evelyn, która wyglądała na osobę opanowaną, musiała być wrażliwa na cudze nieszczęście, skoro straciła głowę na widok przerażonej Camille. - Drogie dziecko - dodała - uściśnij go. Może się ocknie i cię rozpozna.

Żyje, żyje! To było wszystko, co zarejestrował umysł Camille. Kiedy podbiegła do łóżka, zobaczyła, że Tristan ma lekko zaróżowione policzki i że oddycha głęboko. Miał na sobie porządną lnianą nocną koszulę. Był czysty, uczesany i najwyraźniej przyzwoicie traktowany. Widać potwór z Carlyle życzył sobie, by jego więźniowie prezentowali się dobrze przed sądem.

Camille uklękła obok opiekuna i objęła go delikatnie, kładąc głowę na jego piersi.

- Tristan! - szepnęła ze łzami w oczach, darowując mu w tym momencie wszystkie przewiny. Jeżeli popełnił w życiu jakieś grzechy, odkupił je z nawiązką. Nie tylko ją uratował; nie szcędząc grosza, nie zawsze uczciwie zdobytego, utrzymywał dzieci ulicy, których pełno było w tamtych czasach. - Nieszczęsny głupiec! - mruknęła i uniosła głowę, ocierając łzy. - Coś ty najlepszego zrobił?

Tristan zachrapał, uniósł powieki i napotkał wzrok Camille. Rozczulił się na jej widok.

- Kruszyńko! - Zmarszczył brwi, jakby sobie uświadomił, że jego podopieczna nie powinna się tutaj znajdować. Zamrugął oczami, ale zaraz je zamknął i ponownie zapadł w sen.

- Sama widzisz - powiedziała Evelyn. - Dbamy o niego. A teraz chodźmy stąd, moja droga. Pokażę ci, gdzie możesz spędzić dzisiejszą noc.

Camille podniosła się z klęczek, pocałowała Tristana w czoło, poprawiła na nim kołdrę i odwróciła się, wychodząc z pokoju za Evelyn, która zamknęła drzwi i szybkim krokiem ruszyła korytarzem.

- Panno Prior - zaczęła Camille, prawie biegnąc - przekonałam się, że mojemu opiekunowi nie stało się nic złego, ale mam nadzieję, że mnie pani zrozumie: nie zaznam spokoju, póki nie zabiorę go do domu.

- Przykro mi, moja droga, ale zdaje się, że Brian zamierza wnieść sprawę do sądu.

- Brian? - zdziwiła się Camille.

- Hrabia Carlyle - wyjaśniła panna Prior.

- Ależ on nie może tego zrobić!

- Może rano uda się pani porozmawiać o tym z hrabią. Och, moja droga, gdyby tylko nie pracowała pani w muzeum!

- Ale przecież... wiele osób padło ofiarą jadu egipskiej kobry. Na terenach pustynnych należy się liczyć z podobnym niebezpieczeństwem - zwróciła uwagę Camille.

Poczuła się nieswojo, gdy panna Prior obrzuciła ją karcącym spojrzeniem.

- To są drzwi do pani pokoju, panno Montgomery. Zamek jest duży i nieregularnie rozplanowany, więc korytarze są kręte. Zaczęto go wznosić w

okresie podboju normańskiego, a później ciągle go rozbudowywano, nie zawsze pod okiem najlepszych architektów. Sugeruję, żeby powstrzymała się pani od nocnych wędrówek. Pozwolę sobie zauważyć, że do gościnnego pokoju przylega nowoczesna łazienka. Czekają na panią bielizna nocna i przybory toaletowe. A rano, moja droga, tak czy owak sytuacja się wyjaśni.

- Tak... dziękuję. Ale... gdybym dowiedziała się więcej...

- Czeka na mnie hrabia, panno Montgomery. Dobranoc.

- Ale Ralph, nasz służący...

- O niego też już zadbano! - zawołała przez ramię panna Prior, znikając za rogiem.

Trochę poirytowana taką odprawą Camille weszła do przedpokoju, zastanawiając się, czy nie pobiec za gospodynią i nie zadać jej więcej pytań.

Podobnie jak bezszmerowo zniknęła panna Prior, jakby spod ziemi wynurzył się pies. Usiadł w korytarzu i wpatrywał się w Camille. Nie przypuszczałaby, że pies tak bezczelnie potrafi z kogoś szydzić.

- Uważaj, mój drogi, bo jeszcze się kiedyś doigrasz! - pogroziła mu palcem, na co psisko warknęło.

Weszła szybko do pokoju. Oparła się o drzwi i zamknęła oczy. Od natłoku różnych sprzecznych doznań serce waliło jej jak oszałałe. W końcu otworzyła oczy i oniemiała.

Pokój był wspaniały. Na łóżko z baldachimem rzucono kremową, bogato haftowaną tkaninę, a także masę poduszek. Pozostałe meble były egipskie. Zaskoczona, podeszła do toaletki i stwierdziła, że w pokoju znajdują się kopie antycznych sprzętów, zręcznie skomponowane z elementami wiktoriańskiej sztuki użytkowej, z czego powstała całkiem udana całość. Toaletka o regularnych surowych liniach miała trójdzielne lustro z wyrzeźbionym symbolem Horusa, bóstwa opiekuńczego, przedstawionego pod postacią sokoła z rozpostartymi skrzydłami. Cały mebel, łącznie z wąską szafką, pokrywały hieroglify. Krzesła stojące przy oknie też zdobiły wielkie opiekuńcze skrzydła Horusa.

Camille przeniosła wzrok i ze zdumieniem dostrzegła duży posąg. Statua była autentyczna. Wszystko wskazywało na to, że jest to Hatszepsut – kobieta-faraon, pokazana z brodą, co oznaczało, że choć jest kobietą, ma władzę i moc równą mężczyźnie.

Posąg był bezcenny. Co taki muzealny obiekt robi w gościnnym pokoju? - oburzyła się w duchu Camille.

Pu drugiej stronie drzwi odkryła inną naturalnej wielkości statwę - tym razem bogini Anat. Ta bogini wojny miała chronić faraona w boju. Zwykle wyobrażana była z tarczą i z mieczem lub oszczepem. Choć lekko uszkodzona, rzeźba była bezcennym dziełem sztuki. Ona też nie powinna znajdować się w takim miejscu.

Camille zaczęła zastanawiać się, czy celowo otrzymała ten pokój. Posągi mogły wystraszyć niejedną kobietę. Przypuśćmy, że jakaś młoda dama - na przykład przygotowująca się do pierwszego sezonu towarzyskiego - obudzi się w nocy z krzykiem, przekonana, że klątwa ciążyąca na zamku ożywiła posągi, a ona za chwilę padnie ich ofiarą. Trzeba przyznać, pomyślała Camille, że w świetle ognia z kominka wyglądają naprawdę złowieszczo i niesamowicie.

- Ale ja się nie boję - powiedziała głośno i zaraz się skrzywiła. Zabrzmiało to tak, jakby zapewniała kogoś dawno nieżyjącego lub jakąś mityczną postać, że nie podlega ich władzy. - Bzdura! - wyszeptła im koniec.

Na stolikach po obu stronach łóżka paliły się lumpy, także ozdobione motywami egipskimi. Były szokujące, przedstawiały bowiem boga Min, bóstwo płodności, z ogromnym fallusem i w wymyślnej peruce. Camille nie uważała siebie za osobę pruderyjną, ale jednak!

Kręcąc głową, doszła do wniosku, że chyba nie wyznaczono by jej tego pokoju, gdyby niewinnym przyznaniem się do pracy w muzeum nie doprowadziła hrabiego do furii. Została tutaj umieszczona z zemsty. Ładna mi zemsta, pomyślała, kwitując pomysł uśmiechem.

Podeszła do łóżka i sięgnęła po przygotowaną dla niej nocną koszulę, a następnie udała się do łazienki, która jakby na nią czekała. Nie brakowało niezbędnych przyborów toaletowych i miękkich ręczników, paliła się też świeca, a przy wannie stała taca z brandy i z kieliszkami. Nie zwlekając, napuściła gorącej wody, rozebrała się, nałapała sobie brandy i zanurzyła się w wannie.

Jednak nawet ten luksus nie uwolnił jej od złych myśli. Pozostała spięta, a szósty zmysł podpowiadał jej, że coś jest nie w porządku. W pewnej chwili wydawało jej się, że słyszy jakiś ruch. Nie szmer, nie kroki, tylko jakby przesuwanie kamieni.

Czekała, ale dźwięk się nie powtórzył. Czyżby wyobraziła to sobie? Nagle zza drzwi sypialni dobiegło ją wściekłe ujadanie. A więc pies też coś usłyszał.

Wyskoczyła z wanny i włożyła gruby brokatowy szlafrok, który wisiał na drzwiach. Przez chwilę myślała, czy nie lepiej zamknąć się w pokoju, ale instynkt jej podpowiadał, że powinna raczej dotrzeć do źródła dźwięku, który wprawił ją w popłoch.

Wypadła z łazienki i usłyszała:

- Panno Montgomery!

To był głos hrabiego.

Dobiegła do drzwi w momencie, gdy się otworzyły. Stali teraz naprzeciwko siebie: on w masce, spod której surowo spoglądały niebieskie oczy, ona przestraszona, potargana i w rozchyłonym szlafroku.

Szukając paska, ściągnęła poły.

Pies wbiegł do pokoju. Już nie szczekał, tylko stał przy nodze swojego pana.

Tymczasem hrabia zapytał:

- Wszystko w porządku?

Camille nie mogła wydobyć głosu, więc tylko skinęła głową.

- Czy coś pani słyszała?

- Prawdę mówiąc... nie wiem.

- Panno Montgomery, albo pani coś słyszała, albo nie! - zachnął się hrabia. - Był tutaj ktoś? - Zmarszczył czoło, jakby nie dopuszczał takiej możliwości.

- Nie!

- I nic pani nie słyszała?

- Chyba nie.

- Nie wie pani? I dlatego stoi pani w drzwiach, jakby wypłoszono panią z łazienki?

- Zdawało mi się - powiedziała trochę pewniejszym tonem Camille - jakby coś chrzęściło, ale jak pan widzi, nikogo tu nie ma. Podejrzewam, że w takich starych miejscach nawet mury hałasują.

- Właśnie - mruknął.

Camille postanowiła wziąć się w garść i wycofać z godnością.

- Pan wybaczy, hrabio, ale skoro jestem tutaj w najlepszym razie niechcianym gościem, wołałabym własne towarzystwo o tak późnej porze.

Ku jej zdumieniu, hrabiemu wcale nie spieszyło się z wyjściem.

- Nie uważa pani, że ta sypialnia jest niepokojąca?

- Nie. A powinnam tak uważać?

- Nie mam na myśli urządzenia wnętrza. - Zbył jej pytanie machnięciem ręki.

- Tylko...

- Chodzi o odgłosy, które pani i mój pies słyszeliście.

Tak! Chcę się wynieść z tego pokoju! - domagał się wewnętrzny głos. Jednak nie zamierzała pokazać temu mężczyźnie, że jest przerażona.

- Z przyjemnością tutaj zostanę - oznajmiła.

Spojrzał na nią z uwagą, więc pomyślała, że pewnie będzie nalegał, żeby zmieniła zdanie.

- A więc zostawię pani psa - powiedział jedynie.

- Co takiego?

- Zapewniam, że przy Ajaksie będzie pani bezpieczna, cokolwiek by się działo.

- Ale on mnie nie lubi!

- Pani raczy żartować. Proszę podejść i pogłaskać go po łbie.

Popatrzyła z niedowierzaniem.

- To pan raczy żartować, hrabio. Czuję zbyt duży respekt przed takim zwierzęciem.

- Naprawdę nie ma się czego bać, on już wie, że ma pani pilnować.

Ponieważ postanowiła nie okazywać strachu, podeszła bliżej, mimo że serce waliło jej jak młotem, lecz nie z powodu psa. Sprawiała to bliskość tego mężczyzny, jego dominująca osobowość.

- Naprawdę w tym pokoju nie ma się czego bać. Jestem pewna, że pański pies...

- On panią lubi.

- Akurat - mruknęła.

- Ależ tak, proszę mi wierzyć. Pies wyczuwa charakter. Jest nie mniej czujny niż pani opiekun.

Zdobyła się na szeroki uśmiech.

- Czy to aluzja do tego, że jestem tu więźniem, hrabio? A może obydwójce zostaliśmy... wynajęci?

Spodziewałaby się raczej irytacji z jego strony niż powściągliwego śmiechu, którym skwitował jej pytanie.

- Kto wie? Być może. Zostawiam zatem Ajaksa z nadzieją, że ta noc upłynie pani spokojnie i bezpiecznie. Dobranoc, panno Montgomery.

- Jeszcze chwileczkę!

- Dobranoc - powtórzył hrabia i niezwłocznie wyszedł.

Patrzyła za nim z niedowierzaniem i złością. Czy zostawił psa w trosce o jej bezpieczeństwo, czy też może nie chce, by się dowiedziała, że coś jej grozi?

Ajax zaskamlał, merdając ogonem. Podeszedł bliżej, a Camille pogłaskała go po łbie. Pies z uwielbieniem spojrzał jej w oczy.

- Jesteś dobrym i grzecznym psem - powiedziała. - Co więc znaczą te twoje groźne miny i powarkiwania? Czy to tylko kamuflaż? Jak maska twojego pana?

Wszystko to razem nie miało sensu. A jednak nagle, choć nie było tu przewiewu, światło zamigotało. Ajax warknął.

- Wiesz, co to takiego? - zapytała Camille szeptem. Czuła się nieswojo. Posągi stały nieporuszone. - Zdaje się, mój drogi, że będę musiała poprawić sobie humor brandy. Muszę przyznać, że cieszę się z twojego towarzystwa.

Ajax najwyraźniej w to uwierzył. Kiedy Camille pogasiła lampy - poza jedną na szafce obok - wskoczył i ułożył się w nogach łóżka. Na szczęście było dość miejsca. *Dobrze mieć takiego anioła stróża*, pomyślała, zasypiając.

Rano mogła sobie tylko pogratulować, że zaprzyjaźniła się z Ajaxem. Przynajmniej teraz będzie mogła swobodnie poruszać się po zamku.

Zamierzała udać się prosto do pokoju Tristana i odbyć z nim szczerą rozmowę przed ponownym spotkaniem z panem tego domu. Gdyby dokładnie wiedziała, co Tristan przeszkrobał i co z tego wynikło, mogłaby go skuteczniej bronić. Jednak gdy wyszła z pokoju, natknęła się na olbrzyma, który ją eskortował od bramy. Czyżby stał w holu przez całą noc i czekał na nią? Na to wyglądało.

- Jego hrabiowska mość czeka na panią w saloniku - zakomunikował.

- Co za niespodzianka - odparła. - Proszę mnie zaprowadzić.

Ajax szedł przy nodze, kiedy mężczyzna prowadził Camille korytarzami i schodami do drugiego skrzydła rozległego zamku. Przez olbrzymią komnatę, która kiedyś mogła być salą balową, przeszli do mniejszego pokoju. Przeszklony prawie do sufitu, wyglądał pięknie w promieniach porannego słońca, które rozjaśniało marmurową posadzkę i wytworne tapety.

Hrabia już był. Stał z założonymi do tyłu rękami przy jednym z wysokich okien, wychodzących na zamkowy park.

- Dzień dobry, panno Montgomery - powiedział, odwracając się na powitanie.

- Rzeczywiście, wygląda, że będzie ładny.

- Czy po tych drobnych kłopotach miała pani dobrą noc? - zapytał uprzejmie, jakby naprawdę była mile widzianym gościem.

- Bardzo dobrą, dziękuję.

- Ajax nie naprzykrzał się?

- Ajax jest łagodny jak baranek.

- Zazwyczaj - przyznał hrabia z widocznym zadowoleniem. - Zapraszam panią na śniadanie. Mam nadzieję, że coś z tego, co przygotowaliśmy, przypadnie pani do gustu. Omlet, owsianka, tosty, dżem, bekon, ryba...

- Rzadko jadam takie duże śniadania, hrabio, ale doceniam pańską gościnność. Wołałabym jednak jej nie nadużywać.

Uśmiechnął się, choć według Camille nie był to promienny uśmiech.

- Gościnność to nasza niezmienna cecha.

- Nie wątpię - odparła z przekąsem.

- Przepraszam za wczorajsze niestosowne zachowanie, ale mnie pani zaskoczyła. Rzeczywiście pracuje pani w muzeum?

- Tak, i zapewniam pana, że mam do tego wystarczające kwalifikacje. - powiedziała z naciskiem.

Hrabia podszedł do stołu, gdzie na śnieżnobiałym obrusie obok połyskujących sreber stały podgrzewane naczynia. Podniósł jeden z dzbanków.

- Herbaty, panno Montgomery? A może woli pani kawę?

- Poproszę o herbatę.

- Od dawna pracuje pani w muzeum?

- Mniej więcej od pół roku.

- Pani praca w muzeum nie ma żadnego związku z pojawieniem się tutaj pani opiekuna?

Camille wołała, kiedy hrabia był zły. Było coś zdecydowanie irytującego w jego swobodnych ruchach i w uprzejmym tonie. Chcąc nie chcąc, usiadła na krześle, które gospodarz dla niej wysunął. Sam zajął sąsiednie krzesło.

- Zapewniam pana, że Tristan nie ma absolutnie nic wspólnego z moją pracą. - Przewrotnie nie dodała, że starała się trzymać opiekuna jak najdalej od muzeum. - Przysięgam panu, że dostałam tę posadę wyłącznie dzięki własnej wiedzy, pracowitości i determinacji. Ogromnie się boję, że ją stracę - dodała z goryczą. - Sir John nie toleruje spóźnień.

- Sir John?

- Sir John Matthews. Jest moim bezpośrednim przełożonym.

- Kierownikiem działu jest David, lord Wimbley - powiedział ostro hrabia.

- Tak, ale lord Wimbley rzadko... - Powstrzymała się i nie dodała, że rzadko pojawia się w pracy. - Pełni liczne odpowiedzialne funkcje. Wiele czasu spędza poza muzeum. To sir John sprawuje pieczę nad eksponatami, zarówno od strony naukowej, jak i wystawienniczej. Współpracuje blisko z dwiema osobami, które osobiście uczestniczyły w wykopaliskach, z Alexem Mittlemanem i Aubreyem Sizemore'em. Lord Wimbley i sir Hunter MacDonald decydują o nowych nabytkach dla galerii, są też odpowiedzialni za stypendia naukowe i kolejne ekspedycje.

- A gdzie w tym jest miejsce dla pani? - zapytał.

Zaczerwieniła się lekko.

- Ja odczytuję hieroglify. A ponieważ uwielbiam to zajęcie, robię to cierpliwie i dokładnie.

- W jaki sposób udało się pani dostać tę pracę?

- Przyszłam do muzeum obejrzyć nową ekspozycję przedmiotów pochodzących z okresu Nowego Państwa. Akurat pojawiła się nowa skrzynia, a sir John, który pilnował wyładunku, nie mógł znaleźć okularów. Udało mi się rozszyfrować informację wykutą na kamieniu, który znajdował się w środku. Sir John właśnie szukał pracownika. Odbyła się narada zespołu, po której zostałam przyjęta.

Kiedy Camille mówiła, hrabia uważnie się jej przyglądał. Poczula się nieswojo.

Odstawiła filiżankę na spodek.

- Nie rozumiem, na jakiej podstawie uważał pan, że kłamię. Może pan zapytać każdego, z kim pracuję, i przekonać się, że mówię prawdę. Zaznaczam jednak, że ta praca jest dla mnie bardzo ważna. - Zawahała się. - Mój opiekun... No cóż, jego przeszłość nie zawsze była kryształowo czysta. Robię wszystko, co mogę, hrabio, żeby nas szanowano. Jestem ogromnie zmartwiona, że Tristan potknął się o pański mur...

Hrabia parsknął śmiechem.

- A już byłem skłonny dać wiarę pani słowom! - zawołał.

Camille zaczerwieniła się ze złości i wstała od stołu.

- Obawiam się, hrabio, że chce się pan zemścić nie tylko na Tristanie, ale i na mnie. Obojętne, co powiem czy zrobię, nie powstrzymam pana przed wniesieniem oskarżenia. Powtórzę tylko, że ta praca jest dla mnie bardzo ważna, nie zaprzeczę również, że Tristan często bywa nieodpowiedzialny, ale to nie jest zły człowiek. Jeśli chce pan złożyć skargę, musi się pan pospieszyć. Jeżeli wkrótce nie zjawię się w muzeum, z pewnością zostanę zwolniona. Zresztą... gdy się dowiedzą, że wniósł pan oskarżenie przeciwko mojemu opiekunowi, i tak mnie wyrzucą.

- Proszę usiąść, panno Montgomery - powiedział hrabia. - Przyznaję, że nadal żywię pewną... nieufność, jeśli tak można powiedzieć, wobec was obojga. Mimo to sugeruję, żeby pani skorzystała z sytuacji i zaczęła ze mną współpracować. Jeśli jest pani gotowa, odwieziemy panią teraz do muzeum, a ja osobiście dopilnuję, żeby nie dostała pani nagany za spóźnienie.

Zaniemówiła ze zdumienia.

- Proszę usiąść i dopić herbatę.

- Ale... - zaczęła.

- Już nie pamiętam, kiedy ostatnio zaglądałem do muzeum. Nawet nie orientuję się w tamtejszej hierarchii służbowej. Chyba nadszedł czas, żeby się tam udać. - Wstał z miejsca. - Proszę czekać za pięć minut przed frontowymi drzwiami.

- A co z Tristanem?

- Dzisiaj powinien poleżeć.

- Muszę go zabrać do domu.

- Nie dzisiaj, panno Montgomery. Shelby będzie czekać na panią w powozie w porze zamknięcia muzeum.

- Ale przecież...

- Czyżbym o czymś zapomniał?

- Ja... muszę udać się do domu. A poza tym jest jeszcze Ralph.

- Ralph może się zająć pani opiekunem. Nie wymknie się. Dopilnowałem, żeby go zakwaterowano w dawnej ślusarni na dziedzińcu.

- Ależ hrabio, nie może pan więzić ludzi.

- Chyba jednak mogę. Nie sądzi pani, że będzie i tu tam lepiej niż w więziennej celi?

- Pan mnie szantażuje! Bawi się pan moim kosztem, prowadzi ze mną grę.

- Jest pani bystrą młodą kobietą i powinna pani się włączyć do tej gry.

Odwrócił się, żeby odejść, nie wątpiąc, że Camille postąpi zgodnie z jego sugestią. Ajax pobiegł za swoim panem. Kiedy obaj zniknęli, Camille poderwała się z miejsca.

- Ani myślę tańczyć, jak mi zagrają! - oznajmiła głośno, ale po chwili opadła na krzesło i popatrzyła w nieskończenie długi korytarz. Chyba jednak zatańczy, jak jej zagrają. Nie ma wyboru.

Zła na cały świat, dopiła herbatę, po czym udała się w kierunku głównej klatki schodowej, gdzie na dole czekał hrabia.

Stała przed nim wyprostowana, z dumnie podniesioną głową.

- Musimy dojść do porozumienia, milordzie - oznajmiła.

- Ach tak?

- Proszę mi obiecać, że nie wniesie pan sprawy do sądu.

- Czy dlatego, że odwożę panią do Londynu?

- Pan mnie w pewnym sensie wykorzystuje, sir.

- Przekonajmy się więc, do jakiego stopnia okaże się pani pożyteczna.

Otworzył drzwi.

- Zyskuje pani na czasie, prawda? Przybyła tu pani z własnej inicjatywy, uważam więc, że chęć odwiezienia pani do pracy to z mojej strony czysta uprzejmość.

Camille bez słowa przeszła obok hrabiego.

Powóz, z Shelbym na koźle, czekał na nich przy drzwiach. Była tak zła, że wyrwała ramię, gdy pan tego zamku chciał jej pomóc wsiąść. Omal nie straciła równowagi na stopniach, ale, chwała Bogu, jakoś dała sobie radę. Opadła niezgrabnie na przednie siedzenie powozu, ale zdążyła się poprawić, nim hrabia do niej dołączył i usiadł naprzeciwko. Trzymaną w ręku laską ze srebrną gałką zastukał w dach.

Ruszyli. Camille ostentacyjnie wpatrywała się w okno powozu.

- Co pani chodzi po głowie, panno Montgomery? - zapytał hrabia.

Odwróciła się do niego.

- Tak sobie myślę, że przydałby się panu nowy ogrodnik.

Zaśmiał się i to, o dziwo, sympatycznie.

- Kiedy ja lubię mój gęsty ciemny las.

- Przykro mi, że tyle pan wycierpiał - powiedziała Camille. - Przykro mi również, że człowiek z pańską pozycją odcina się od świata, chociaż mógłby pan zrobić tak wiele dla innych ludzi.

- Nie czuję się winny za całe zło świata.

- Świat będzie lepszy, gdy życie choćby jednego człowieka korzystnie się zmieni, sir.

- Co według pani miałbym zrobić?

- Są dziesiątki spraw, którymi mógłby się pan zająć, będąc właścicielem takiej posiadłości.

- Czy mam ją podzielić na małe działki i rozdać?

Obruszyła się mocno.

- Nie, ale... mógłby pan tu zapraszać dzieci z sierocińca, aby mogły spędzić dzień na pikniku. Może pan zatrudnić więcej ludzi i upiększyć tereny wokół zamku, dając przy okazji pracę tym, którzy jej tak bardzo potrzebują. To, rzecz jasna, nie usunie wszystkich bolączek, ale...

Przerwała, kiedy nachylił się w jej stronę.

- Skąd pani wie, panno Montgomery, że nic nie robię dla dobra innych?

Do tej pory nikt nie patrzył na nią tak przeszywająco i jednocześnie potępiająco. Złapała się na tym, że wstrzymała oddech.

- Cóż... nie wiem - odparła po dłuższej chwili.

Cofnął się i wsparł o oparcie siedzenia.

- Ach, prawda! - ożywiła się Camille. - Już wiem, co o panu słyszałam. Jest pan jednym z najbardziej wpływowych ludzi w naszym królestwie. Podobno królowa Wiktoria i pańscy rodzice byli sobie bardzo bliscy. Słyszałam też, że jest pan jednym z...

- Ach tak?

- Że jest pan jednym z najbogatszych ludzi w kraju. A skoro został pan tak szczerze obdarzony od urodzenia, powinien pan być wdzięczny. Inni ludzie także stracili najbliższych, ale nie są aż tak zgorzkniali.

- Naprawdę? - rzucił poirytowany.

- Naprawdę. Jeśli jednak dobrze zrozumiałam, pańscy rodzice zginęli od ukąszeń egipskich kobr. Cóż, jest mi bardzo przykro, ale nie widzę tutaj niczyjej winy.

Tym razem nie odpowiedział, tylko odwrócił głowę. Camille uświadomiła sobie, że odgrodził się emocjonalnie od świata, i to daleko szerszej niż dzięki masce. Wiedziała, że ich rozmowa jest zakończona. Zapatrzyła się więc w dal i trwała tak dopóty, dopóki nie wjechali w ruchliwą część Londynu. Kiedy stanęli przed muzeum, hrabia nie odmówił jej pomocy przy wysiadaniu, nie wypuszczał też jej łokcia w drodze do budynku. Jednak przed bramą zatrzymał się nagle i spojrzał jej w oczy.

- Proszę mi wierzyć, panno Montgomery, że moi rodzice zostali zamordowani. Wiem, że zabójcą jest ktoś, kogo oboje znamy, niewykluczone nawet, że tego kogoś widuje pani prawie codziennie.

Przebiegł ją zimny dreszcz. Nie wierzyła wprawdzie słowom hrabiego, ale jego rozgorączkowane spojrzenie było tak sugestywne...

- Chodźmy - powiedział, ruszając z miejsca. Potem dodał mimochodem: - Cokolwiek powiem albo zrobię, pani to zaakceptuje, panno Montgomery.

- Hrabio, może nie będę mogła...

- Cóż, będzie pani musiała! - orzekł stanowczo, a ona zamilkła, ponieważ dotarli do drzwi jej działu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Hrabia znał drogę.

Jego natomiast znali - albo chociaż o nim słyszeli - wszyscy pracownicy, a także odwiedzający muzeum goście, którzy, starając się nie patrzeć na maskę, kłaniali mu się z szacunkiem i z odrobiną strachu. Być może robiła na nich wrażenie postura hrabiego - wysoki wzrost i szerokie ramiona, a także elegancka swoboda, z jaką nosił ubranie. A może tylko sam fakt, kim jest.

- Pracuję w pokoju na...

- Na pierwszym piętrze, ma się rozumieć - powiedział.

Kiedy już weszli na górę, niezwłocznie skierował ją ku drzwiom, które prowadziły do niedostępnych dla publiczności pomieszczeń. Camille weszła

pierwsza. Przy biurku, nad stertą porozrzucanych papierów, siedział sir John Matthews.

- Nareszcie, panno Montgomery! Chyba znana jest pani moja opinia na temat spóźniających się pracowników. Jestem... - Urwał na widok wkraczającego za nią hrabiego. - Lord Brian Stirling! - zawołał zdumiony i zaskoczony.

- John, stary druhu. Jak się masz?

- Eee... mam się niezgorzej - wykrztusił sir John. - Brian, jestem zaszokowany, ale i zachwycony! Czy twoje pojawienie się tutaj oznacza, że zamierzasz...

Brian Stirling zaśmiał się dobrotliwie.

- Łożyć na dział egiptologii, tak jak dawniej? - dopowiedział.

Policzki sir Johna pokryły się rumieńcem, którego jaskrawość podkreślały siwe bokobrody i włosy.

- Skądże znowu, nawet przez chwilę o tym nie pomyślałem. Należysz do rodziny, która... wiesz, że byliście specjalistami w tej dziedzinie. Gdybyś się ponownie włączył, byłoby wprost fantastycznie.

- To miło z twojej strony, John. Rzeczywiście rozważam możliwość wzięcia udziału w waszej kweście.

- Czy ja dobrze słyszę? - zawołał sir John. - Mówisz poważnie?

Zbity z tropu, popatrywał to na Camille, to na hrabiego. Potrząsał głową, jakby próbował odgadnąć sens ich równoczesnego wejścia, ale mu się nie udało.

Stirling spojrzał na Camille.

- Nie wątpię, że pani również tam będzie, panno Montgomery.

- Nie! - pospieszyła z odpowiedzią, czując, że ona również czerwieni się po uszy. - Nie jestem pracownikiem wyższego szczebla.

- Panna Montgomery jest z nami od niedawna - dorzucił sir John.

- Ależ panno Montgomery, musi pani przybyć jako osoba wprowadzająca mnie ponownie w świat. Bez pani czułbym się zagubiony.

To nie była prośba. Choćby tylko z uwagi na ton hrabiego Camille wolałaby odmówić, ale znalazła się w potrzasku, chociaż nazwanie tego szantażem lepiej oddawałoby stan rzeczy.

Sir John nie przestawał na nią patrzeć, dociekając nadaremnie, jakim sposobem znalazła się w towarzystwie hrabiego.

- Camille, skoro hrabia Carlyle ma się lepiej czuć w pani towarzystwie, weźmie pani udział w kweście.

Stirling przeszedł kilka kroków, dzielących go od Camille, i ujął jej dłoń.

- John - zwrócił się do muzealnika, patrząc jednak na Camille. - Nie mów tak. Przecież to zabrzmiało jak pogrożka.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, hrabio. Obawiam się jednak, że moje skromne towarzystwo może się okazać niezbyt odpowiednie.

- Nonsens. Żyjemy przecież w oświeconej epoce. Nie wyobrażam sobie lepszego towarzystwa niż młoda kobieta, nie tylko piękna, ale i inteligentna, a do tego świetnie zorientowana w tematyce wieczornego spotkania.

- No, Camille! - zachęcił szeptem sir John.

Stirling zdawał się wybornie bawić. Prawdę mówiąc, Camille korciło, żeby mu powiedzieć, że wolałaby spędzić wieczór w palarni opium w towarzystwie opryszków i złodziejasków.

- Chyba nie chodzi o moją maskę? - zapytał hrabia.

Cóż za przesadny ton!

- Ależ skąd - odrzekła. - Sam pan powiedział, hrabio, że żyjemy w oświeconej epoce. Nie należy osądzać człowieka po jego wyglądzie.

- Brawo! - pochwalił ją sir John.

- A zatem postanowione - podsumował hrabia - wezmę udział w kweście. Może pan być pewny, że z dawnym zapałem oddam się wspieraniu i finansowaniu naszych oświatowych ideałów. Widzę, że ma pan dużo pracy, a do tego panna Montgomery spóźniła się przeze mnie, więc już nie zabieram wam czasu. Cieszę się, John, że pomimo nawału obowiązków i naukowej pracy widzę pana w tak świetnej formie. Panno Montgomery, Shelby zajędzie po panią powozem o szóstej, tak?

- Zwykle zostaje co najmniej do wpół do siódmej - odrzekła, świadoma, że sir John nie spuszcza z niej wzroku, próbując cały czas odgadnąć, co ją łączy z hrabią.

Stirling postanowił zaspokoić ciekawość sir Johna.

- Opiekun tej uroczej młodej damy uległ wczoraj wieczorem wypadkowi. Trudno dać temu wiarę, sir, ale stało się to na drodze przy mojej posiadłości. Oczywiście, jest teraz moim gościem. A panna Montgomery, ma się rozumieć, przybyła w pośpiechu, żeby się nim zająć. W ten sposób, ku mojemu zadowoleniu, Carlyle znów stał się otwarty dla gości. A teraz życzę wam obojgu miłego dnia.

- Mi... miłego dnia, Brianie! - wykrztusił sir John i powiódł oczami za Stirlingiem, który odwrócił się i z godnością wyszedł.

Minęło parę chwil, zanim sir John oderwał wzrok od drzwi i zwrócił się do Camille.

- Wielkie nieba! - rzekł. Skwitowała te słowa wzruszeniem ramion.

- To naprawdę zadziwiające! - dodał sir John.

- Przyznaję, że nie bardzo wiem, o co chodzi - przyznała Camille. - Ja... udałam się tam tylko po to, żeby zająć się moim opiekunem.

- Miał wypadek? - spytał sir John, marszcząc czoło. - Wyjdzie z tego?

- Tak, tak, dziękuję. Prawdopodobnie poza potłuczeniami nie doznał poważniejszych obrażeń.

- To wszystko przez stangretów dwukółek i powozów - obruszył się sir John. - Powinni bardziej uważać. Nie wystarczy usiąść na koźle, żeby powozić. - Był najwyraźniej oburzony brakiem specjalnych kursów, uczących powożenia. W końcu wielu zamożnych ludzi inwestowało w pojazdy, nie zastanawiając się, kto usiądzie na koźle.

Camille się uśmiechnęła, zatrzymując dla siebie informację, że wypadku nie spowodował pojazd. Zwierzchnik nie spuszczał z niej wzroku.

- Zadziwiające, naprawdę zadziwiające - powtórzył.

- No cóż - mruknęła, pochylając głowę - gdyby pan pozwolił, mogłabym...

- Pozwolił! - zawołał sir John. - Drogie dziecko, nawet nie wiesz, jak wielkimi dobroczyńcami i mecenasami muzeum byli rodzice Briana Stirlinga. I nie tylko! Leżał im także na sercu los prostych Egipcjan. Wierzyli, że dzięki pomocy wielkich mocarstw tamtejsi ludzie nie będą cierpieć. A ile dokonali! - Spojrzał na nią; wyglądało na to, że podjął decyzję. - Chodź ze mną, drogie dziecko. Pokażę ci częśćkę dziedzictwa, jakie po sobie zostawili.

Camille oniemiała. Dotychczas wykonywała tylko zlecenia szefów - zwykle najzwyklejszą pracę - i nic poza tym. Tymczasem teraz sir John chciał ją zaprowadzić do mieszczących się w podziemiach magazynów muzeum. Sięgnął po pęk kluczy i wyszli z pokoju. Poprowadził ją korytarzami i schodami na dół, gdzie w specjalnych pomieszczeniach stały drewniane paki, z których część była otwarta. Minęli szereg skrzyń pochodzących z Turcji i Grecji, a także z odleglejszych stron świata, aż dotarli do najciemniejszej części magazynu. Także tutaj niektóre skrzynie były otwarte. Oczom Camille ukazał się rząd sarkofagów.

- Popatrz tylko! - Sir John zatoczył ręką łuk, by zademonstrować skarby.

Camille rozglądała się w milczeniu. Rzeczywiście zgromadzono tu masę bezcennych dzieł sztuki.

- To tylko połowa. Wiele przedmiotów znajduje się w zamku - poinformował sir John. - Niestety, część skrzyń zginęła - dodał z ponurą miną.

- Może i one są w zamku.

- Nie sędzę. Oczywiście, podczas transportu... kto to może wiedzieć? Stirlingowie byli niesłychanie skrupulatni. Wszystko zostało dokładnie opisane. - Zamyślił się, zakłopotany. - Jestem przekonany, że skrzynie dotarły do Anglii. Ich ostatnie znalezisko obfitowało w tyle drogocennych przedmiotów, że nawet nie zaczęliśmy ich badać i katalogować.

- Domyślam się, że zostały odkryte przez rodziców lorda Briana na krótko przed ich śmiercią - powiedziała Camille.

Sir John skinął głową.

- Nieduże fragmenty reliefów, które pani odczytuje i tłumaczy, pochodzą właśnie z tego znaleziska - wyjaśnił. - Naprawdę wspaniałego. - Ze smutkiem pokiwał głową. - Taka cudowna para! Byli świadomi swoich powinności wobec królowej, a jednocześnie niezwykle pochłonięci pracą badawczą. To istny dar od losu, że lord Stirling spotkał taką kobietę. Ach, lady Stirling! Jakże ją dobrze pamiętam! Nie znam drugiej kobiety, która z takim wdziękiem i serdecznością

potrafiłaby powitać zgromadzonych w pokoju przyjaciół i znajomych, dawnych czy nowych. Była olśniewająco piękną kobietą. Na wykopaliskach wślizgiwała się w różne zakamarki, czołgała się w kurzu i w błocie lub chwytła za łopatę. Umiała też delikatnie posługiwać się pędzelkiem, odkrywając i badając teksty, szukając odpowiedzi i rozwiązując tajemnicze zagadki... Niepowetowana strata...

Siwe włosy sir Johna zaśniły w bladym świetle gazowej lampy, kiedy potrząsał głową. Skrzywił się boleśnie.

- Bałem się, że Brian na zawsze zaszyje się w swoim zamku, zarośniętym, ponurym i niedostępnym, przeświadczony, że jego rodzice zostali zabici. Wygląda na to, że doszedł w końcu do ładu z przeszłością i przewycięzył smutek. A jeśli ty, moje drogie dziecko, masz jakiś udział w jego cudownym powrocie do życia, niewykluczone, że okażesz się najcenniejszym nabytkiem, o jaki wzbogaciłem muzeum.

- Dziękuję, sir Johnie, ale nie sądzę, żebym to ja wywarła wpływ na tego mężczyznę. Prawie się nie znamy.

- A jednak on pragnie, żeby mu pani asystowała podczas gali z okazji dorocznej kwesty.

- To prawda. - Nie wyjawiała sir Johnowi, że hrabiemu wcale nie chodzi o jej towarzystwo.

Sir John zrobił marsową minę.

- Camille czy pani zdaje sobie sprawę, że ten mężczyzna jest dziedzicem tytułu i majątku Carlyle? Prawdę mówiąc, jestem zdumiony, że człowiek z jego pochodzeniem zaprasza kogoś, kto nie należy do towarzystwa. Bez obrazy, drogie dziecko. Chodzi o to, że... No cóż, my Anglicy najczęściej trzymamy się we własnym gronie.

- Czy nie ustaliliśmy, że żyjemy w oświeconej epoce?

- My tak, panno Montgomery, ale hrabia? Nawet z tą jego okaleczoną twarzą, to po prostu niesłychane!

Okrucieństwo sir Johna było niezamierzone, ale pod jego zdumionym wzrokiem Camille poczuła się tak, jakby na jej twarzy wyrosła szpetna narośl. Nie czuła się uprawniona do wyjaśniania, że w hrabim raczej nie odżyło zainteresowanie sprawami muzeum i że chodzi mu przede wszystkim o

kontynuowanie poszukiwań mordercy rodziców. Dopóki ona, Camille, jest mu potrzebna, nie liczy się jej społeczny status.

- Pani się go boi? Z powodu zniekształconej twarzy czy jego reputacji? - zapytał sir John.

- Nie boję się.

- Nie czuje pani odrazy?

- Ludzkie zachowania i poglądy bywają znacznie obrzydliwsze od ich twarzy.

- Dobrze powiedziane, Camille! - pochwalił sir John. - Chodźmy zatem. Czeka nas dużo pracy. Skoro zajmuje się pani transkrypcją i tłumaczeniem, będę rad, mogąc pani opowiedzieć trochę więcej o ich odkryciu. Oczywiście, za najwspanialsze obiekty uważa się groby faraonów. Niestety, większość z nich dawno temu została splądrowana i rozgrabiona. Wielkim sukcesem Stirlingów było odkrycie nietkniętego grobowca, należącego do arcykapłana, który był człowiekiem nie tylko bardzo wpływowym i poważanym, ale i bogatszym od samego króla Midasa. W grobowcu znaleziono bardzo wiele przedmiotów. W Egipcie nie wymagano, by nawet znaczących ludzi grzebano wraz z żonami i konkubinami, ale proszę się przyjrzeć przepychowi tego sarkofagu! No i pozostaje sprawa klątwy. - Sir John machnął niecierpliwie ręką. - Wedle wierzeń ludowych prawie każdy grobowiec kryje w sobie zaklęcie. Może wynika to z zamiłowania do tajemniczości? Otworzyliśmy wiele grobowców, w których przy wejściu nie natrafiliśmy na zaklęcia. W tym wypadku i w paru innych było inaczej. Znaleziona w środku, zapisana na papirusie klątwa zawierała następujące słowa: "Niech przeklęty będzie ten, kto zakłóci spokój błogosławionego kapłana w jego wędrówce do drugiego życia". Wkrótce potem Stirlingowie zmarli.

- Czy oprócz nich stracił życie inny uczestnik ekspedycji? - zapytała Camille.

Sir John był wyraźnie zmieszany.

- Ja... prawdę mówiąc, nie wiem. Na pewno nikt tak znany jak Stirlingowie.

Camille się odwróciła, bo w miejscu, gdzie leżały mumie w sarkofagach, usłyszała cichy chrobot.

- Czy pani mnie słucha?

Najwyraźniej do sir Johna nie dotarł żaden dźwięk.

Czyżbym miała omamy słuchowe? - pomyślała Camille. *W imię czego wyolbrzymiam drobną sprawę do niebotycznych rozmiarów?* Wiedziała, że kocha starożytny Egipt i wszystko, co się z nim wiąże, ale żeby aż tak? Przecież nie należy do zwariowanych romantyczek. Nie uwierzy, że mumie powstają z grobów i prześladują żywych.

- Przepraszam, zdawało mi się, że coś słyszę - odpowiedziała.

- Znajdujemy się w muzeum. Dużo ludzi chodzi nad naszymi głowami.

- Ale mnie się wydawało, że dźwięk dobiegł od tych skrzyń - odpowiedziała z uśmiechem.

Sir John obruszył się.

- A czy widzisz tu kogoś?

- Nie. Po prostu...

- Inni też mają klucze do piwnic. Nie jesteśmy jedynym działem muzeum.

Pomyślała, że irytacja sir Johna bierze się stąd, że nie dość uważnie słuchała jego wywodu na ważny temat.

- Kobry to groźne stworzenia. Każdy, kto się wyprawia do Egiptu, ma świadomość ryzyka. Aż strach pomyśleć, ilu zwykłych turystów podróżuje dziś wzdłuż Nilu.

- A jednak - zauważyła - gdyby ktoś się postarał, żeby kobry znalazły się w apartamencie Stirlingów, czy to nie oznaczałoby morderstwa?

Sir John wyglądał na przerażonego. Rozejrzał się dookoła, jakby się bał, że ktoś ich śledzi.

- Nawet o tym nie myśl! - ostrzegł.

- Z pewnością hrabia tak uważa.

- Radzę zachować dla siebie te domysły. Takie słowa nie powinny przejść pani przez gardło, Camille. Nigdy! - Sir John ruszył w stronę wyjścia, a kiedy nie dość szybko do niego dołączyła, odwrócił się. - Chodźmy. Straciliśmy już dość czasu.

Udała się za sir Johnem, zmartwiona, że zakłóciła jego spokój. Jednego była pewna: teraz, kiedy poznała więcej szczegółów o pochowanym arcykapłanie, a zwłaszcza o klątwie, jeszcze bardziej przyłoży się do pracy.

- Pospieszmy się! -ponaglił sir John, oglądając się nerwowo, by się upewnić, czy Camille za nim podąża.

W muzeum było już dość dużo ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że jest to prawdziwy klejnot Korony angielskiej. Otwarcie muzeum dla publiczności 15 stycznia 1759 roku było sensacją.

Wstęp był bezpłatny, więc Camille przychodziła tu jako mała dziewczynka, ufnie trzymając matkę za rękę. Dział, w którym pracowała, nazywał się teraz Działem Starożytności Egipskich i Asyryjskich, niektóre z najcenniejszych eksponatów zawdzięczał Napoleonowi Bonaparte, który w swoim dążeniu do podboju świata jako pierwszy udał się do Egiptu, zabierając ze sobą historyków i badaczy. Po zwycięstwie Anglików nad Napoleonem większość jego zbiorów trafiła do British Museum.

Przeszli obok gabloty z kamieniem z Rosetty, drogocennym eksponatem, który umożliwił odczytanie starożytnych pism egipskich, w tym hieroglifów.

Mijając jedną z sal, Camille usłyszała, jak jakiś chłopiec pyta swojego ojca:

- Tatusiu, po co oni to robią? Czy dlatego wolno wykopywać zmarłych, że od dawna nie żyją? Czy ludzie nie boją się wykopywać mumii?

- No właśnie, mój drogi, czy należy wykopywać zmarłych? - zainteresowała się matka chłopca, ładna kobieta w eleganckiej muślinowej sukni i w modnym, noszonym zawadiacko kapelusiku typu budka.

- Kochanie, przecież odkopaliśmy i przenieśliśmy szczątki wielu naszych własnych obywateli, zmarłych znacznie później - odpowiedział jej mąż. On także był wykwintnie ubrany w popielaty surdut. - Zwłaszcza w tym stuleciu zbezczeszczono u nas wiele przykościelnych cmentarzy. Restauracja... tak to teraz nazywają. Podczas takiej właśnie "restauracji" przeniesiono wszystkie groby, znajdujące się wokół katedry w Salisbury. To skandal, nie zawaham się powiedzieć. Restauracja! Strach pomyśleć. Ale ci ludzie... to znaczy te mumie nie pochodzą z przykościelnych cmentarzy, synu, są pogańskie - zakończył tyradę ojciec rodziny.

Chociaż Camille zgadzała się z mężczyzną co do obecnych "restauracji" historycznych miejsc w Anglii, podczas których bezpardonowo obchodzono się

z ciałami tych, którzy dawno odeszli, to jednak kusilo ją, żeby przystanąć i przekazać chłopcu właściwą wiedzę na temat innych kultur i wierzeń. Mogłaby mu, na przykład, opowiedzieć o znakomitych dokonaniach inżynieryjnych starożytnych Egipcjan. Niestety, w zakres jej obowiązków nie wchodziło pełnienie funkcji przewodniczki. A szkoda! Przecież nie była naukowcem, nigdy nie uczestniczyła w wykopaliskach, powinna więc się cieszyć, że w ogóle ją tutaj przyjęto.

Podążała więc dalej za sir Johnem, a gdy się odwrócił, uśmiechnęła się blado.

- A teraz do pracy - orzekł stanowczo. Powrócił do swojego biurka i zagłębił się w lekturze. Odniosła wrażenie, że trapią go niewesołe myśli, którymi nie zamierza się z nią dzielić.

Sięgnęła po fartuch i weszła do niedużego, wydzielonego pomieszczenia, gdzie rozszyfrowywała inskrypcję na płaskorzeźbie. Kamień, leżący na długim stole do pracy, miał prawie dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości, sześćdziesiąt szerokości i siedem i pół centymetra grubości. Był bardzo ciężki i zwieńczony egipską kobrą, co wskazywało, że wyryte na nim słowa - w tym wypadku zakłęcie - zostały pobłogosławione przez faraona. Wszystkie symbole graficzne były wykute w kamieniu z niesłychaną precyzją; znaki były maleńkie, dlatego tę żmudną robotę powierzono Camille.

Pochowanego mężczyznę najwyraźniej darzono za życia czcią i uwielbieniem. Teraz, kiedy Camille wiedziała, ile osób z nim pochowano, jej fascynacja i zainteresowanie postacią arcykapłana wzrosły. Czyjego liczne żony i konkubiny zostały zabite po to, by towarzyszyć mu w wiecznym życiu w zaświatach?

Usiadła i przyjrzała się kamieniowi. Wiedziała, że Neferszut był arcykapłanem, ale z tego, co już przetłumaczyła, wynikało, że był kimś więcej, może kimś w rodzaju współczesnego czarownika? Popatrzyła na przetłumaczone już słowa: "Ten, kto tu wejdzie, niech wie, że wkroczył na najświętszą ziemię. Uszanujcie spokój kapłana, który zmierza do nowego życia, i niech wszystko, co miał na tej ziemi, pozostanie przy nim. Uszanujcie go i nie zakłócajcie jego spokoju. Jako Neferszut rządził powietrzem i wodą, był szafarzem kaprysów bogów, a przy jego stole siedziała Hethre. Jego błogosławione życie sięga poza ten świat. Jego moc się wzmacnia, ponieważ Hethre siedzi po jego prawicy".

- Hethre - szepnęła Camille. - Hethre... Kim właściwie jesteś i dlaczego ty jedna zostałeś wymieniona? Chyba nie byłeś jego żoną, prawda?

- Ten człowiek miał chyba magiczną moc.

Zaskoczona, podniosła wzrok. Nie usłyszała kroków sir Huntera MacDonalda. Wyprostowała się, świadoma, że w fartuchu i z opadającymi kosmykami nie wygląda zbyt schludnie.

Sir Hunter przyciągał wzrok. Wysoki, dobrze ubrany, miał gęste ciemne włosy i ciemne oczy. Wiedziała, że w towarzystwie cieszy się opinią ryzykanta i, oczywiście, miłośnika kobiecych wdzięków. Jeśli nawet miał w sobie coś z rozpustnika, nikomu nie wyrządzał tym krzywdy, nie był bowiem żonaty ani nawet zaręczony. Rodzice posażnych i utytułowanych panien na wydaniu mogli się pocieszać, że młody człowiek z czasem się ustatkuje.

Camille dobrze rozumiała, na czym polega jego atrakcyjność, zwłaszcza że wobec niej był uprzejmy i czarujący. Nie była jednak głupia i nie zamierzała poznać smaku takiego życia, jakie doprowadziło jej matkę do tragicznego końca. Nie bez pewnej ironii umiała docenić fakt, że również ona pociąga Huntera. Trudno byłoby ją zaliczyć do sfery, z której mógłby wybrać żonę, ale też nie należała do tych, które dają się uwieść dla rozrywki. Wyraźnie, choć milcząco, dawała to do zrozumienia. Co nie przeszkadzało, że sir Hunter prawił komplementy, uważając pewnie w swojej męskiej pysze, że gdyby się naprawdę postarał, osiągnąłby cel.

- Ach, droga panna Montgomery - dodał Hunter, stając obok niej. - Nasza przykładna i sumienna piękność jak zawsze w swoim pokoiku, ukryta pod starym, pachnącym piżmem fartuchem. - Pochylił się nad stołem, spoglądając na nią zalotnie. - Proszę uważać, droga Camille. Lata mijają. Jak tak dalej pójdzie, ominą panią uciechy współczesnego świata, a na dodatek zostanie pani krótkowidzem.

Zaśmiała się cicho.

- Chyba ma pan na myśli własne uciechy, sir Hunterze?

Uśmiechnął się z żalem.

- Sama pani wie, jak bardzo byłbym szczęśliwy, mogąc pani towarzyszyć i pokazać prawdziwy Londyn.

- Bałabym się skandalu - odrzekła.

- Mogłaby pani zdobyć się na odrobinę lekkomyślności.

- Łatwo panu powiedzieć, sir - skwitowała. - Lubię moją pracę. Jeśli mam się zestarzeć, posiwieć i zostać krótkowidzem, nie widzę na to lepszego miejsca niż muzeum.

- Takie marnowanie młodości i urody to po prostu tragedia.

- Jest pan czarujący, ale za dobrze pan o tym wie - zgasła go Camille.

Spoważniał.

- Jestem bardzo zaniepokojony.

- Pan? Dlaczego?

Przyciągnął sobie krzesło, usiadł obok niej i trochę zbyt czułym gestem odgarnął do tyłu lok, który opadł jej na czoło.

- Właśnie dotarło do mnie, że spędziła pani wyjątkowy wieczór... i rano.

- Och, ten wypadek - mruknęła.

- Nocowała pani dzisiaj w zamku Carlyle?

- Mój opiekun został ranny. Nie miałam wyboru.

- Czy mogę być szczery, Camille? - zapytał, patrząc na nią życzliwie.

- Bardzo proszę.

- Boję się, że się pani rozczaruje. Hrabia Carlyle to potwór. Wybrał wzór maski najbliższy jego sercu. Wiem od sir Johna, że hrabia przywiózł panią dzisiaj do muzeum i że nalega, aby pani towarzyszyła mu podczas kwesty. Camille, on jest niebezpieczny.

- Proszę mi wybaczyć, jeżeli jestem w błędzie, ale czy pańskie nieustanne zabiegi nie są równie niebezpieczne?

Z powagą potrząsnął głową.

- Ja tylko usiłuję zdobyć pani względy. Za to hrabia Carlyle jest bliski szaleństwa. Boję się o pani życie i zdrowie. Wkroczyła pani w jego świat, do którego w ostatnich czasach dopuszczał tylko nielicznych. - Odchrząknął. - Camille, nigdy nie mógłbym zranić pani uczuć. Jak pani wie, jesteśmy społeczeństwem o ugruntowanym poczuciu różnic klasowych. Chodzą słuchy, oczywiście to tylko plotki, że hrabia, odkąd oszpecony i okaleczony, przestał

bywać w salonach dobrze urodzonych panien, krąży nocami po zaułkach Londynu w poszukiwaniu niewybrednych uciech. Boję się, że on naprawdę bawi się pani kosztem w najokrutniejszy i najbardziej haniebnym sposób.

Camille pomyślała, że hrabia istotnie bawił się jej kosztem, tyle że nie w taki sposób, jak to wyobrażał sobie sir Hunter.

- Proszę się o mnie nie martwić - powiedziała z przekornym uśmiechem. - Niezłe sobie radzę. Z pewnością zdążył pan to zauważyć. Jeśli się nie mylę, sir, próbował pan od początku... zaofiarować mi wszystkie wspaniałości tego świata

- Ale nie zachowałem się niegodziwie! - zaprotestował.

- Bo potrafię sobie radzić.

- Zawsze odnosiłem się do pani z kurtuazją! - wykrzyknął Hunter. - Gdyby było trzeba, moglibyśmy powiedzieć, że już zgodziła się pani udać na kwestę w moim towarzystwie.

- Jest pan bardzo uprzejmy, sir - odparła Camille, kładąc rękę na jego ramieniu; naprawdę wierzyła, że się o nią martwi. - Proszę jednak pomyśleć o skandalu. Wyobrażam sobie, że co najmniej tuzin dobrze urodzonych dam zażądałoby mojej głowy na samą myśl, że taka kobieta jak ja próbuje pana usidlić. - Żartowała, ale w jej słowach było ziarno prawdy.

Ujął jej obie dłonie i wnikliwie popatrzył w oczy.

- Naprawdę, Camille, nie byłoby źle, gdyby hrabia Carlyle uwierzył, że mamy się ku sobie. Ale cóż, hrabia odziedziczył tytuł i majątek.

- Sir, czy to są oświadczenia? - Zawahał się, a ona cofnęła rękę. - Proszę, niech mi pan wierzy. Jest pan zawsze dla mnie taki miły, a ja, jak każda kobieta, nie jestem na to nieczuła. Gdybym romansowała z panem, natychmiast dostałabym się na języki.

- Och, Camille, rozpala pani ogień w moim sercu. Kusi mnie, by machnąć ręką na to wszystko... poza tobą.

- To by było niemądre - stwierdziła stanowczo Camille. - Wierzę, że nic złego mi nie grozi. Kto jak kto, ale pan mógł się przekonać, że znam swoje miejsce. To dlatego unikam poważnego angażowania się w związek z majątniejszymi, utytułowanymi mężczyznami.

- Camille, pani jest urzekająca... doprawdy urzekająca.

- Hunter, najbardziej urzeka pana we mnie to, że jestem nieosiągalna.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Czy pani nie rozumie, jak czarowne są pani oczy, zielone i złote, fascynujące jak u tygrysicy. Musiałaby pani być ślepa i pozbawiona zdrowego rozsądku, żeby nie być świadomą kształtów, w jakie wyposażyła panią matka natura. Przecież każdy wchodzący tu mężczyzna zachwyca się panią, niczym najwspanialszym klasycznym posągiem. Jest pani błyskotliwa, pełna życia i inteligentna. Na pewno potrafi pani tak oczarować mężczyznę, że będzie gotów zrobić wszystko, by zdobyć pani rękę.

Przeraziła ją ta żarliwa tyrada.

- Sugeruje pan, że odmawiając hrabiemu swojego towarzystwa, mogłabym mieć z tego korzyść, czyli doprowadzić w ten sposób do małżeństwa? - powiedziała z niedowierzaniem. Jeszcze przed chwilą była poruszona, ale nagle ogarnęła ją złość.

- Powoduje mną głębokie uczucie. Podziwiam panią i szczerze się o panią troszczę.

Potrząsnęła głową.

- Sir...

- Czy o to chodzi? Pragnie pani małżeństwa, Camille? Dobrze, oświadczę się pani.

Znów pokręciła głową.

- Hunter, przecież pan by mnie znienawidził. Gorzko by pan pożałował, że dopuścił do skandalu. I pomyśleć, że pan naprawdę gotów byłby ożenić się ze mną wbrew zdrowemu rozsądkowi. Nie minęłoby wiele czasu, a przestałabym pana fascynować, ponieważ już nie byłabym nieosiągalna.

- Camille, pani mnie rani.

- A pan, Hunterze, niepotrzebnie o mnie się martwi - zapewniła go.

- Uważa pani, że potrafi rozegrać tę partię ze Stirlingiem? W końcu on jest tylko dziedzicznym hrabią, a nawet królowie brali za żony kobiety z niższych sfer. Niech pani jednak nie zapomina, jaki los spotkał pewną kobietę z gminu, która poślubiła króla.

- Hunter...

- Historia, moje drogie dziecko, historia! Proszę pomyśleć o Annie Boleyn. Wymusiła ślub na Henryku, bo inaczej była nieosiągalna. A kiedy on dojrzał do następnego ruchu, ona straciła głowę.

Camille nie mogła się nie roześmiać.

- Hunter, teraz powinnam się na dobre na pana obrazić. Gdybym była młodą damą ze świetnej rodziny, wychowaną w szkole dla panienek z dobrych domów, powinnam chyba pana spoliczkować. Obawiam się jednak, że straciłam zbyt wcześnie rodziców, by móc uczęszczać do prywatnych szkół, przygotowujących do życia w wielkim świecie, więc jako osoba z gminu, mimo że żadna wiedza, będę musiała powstrzymać się od użycia siły.

- Pani żartuje, a ja mówię poważnie.

- Och, Hunter, pan jest bardzo miły, ale nigdy za pana nie wyjdę, chociaż jest pan przystojny, czarujący, no i uprzejmy, żeby złożyć mi taką propozycję.

- Nie jestem dla pani pociągający?

- Aż zanadto, a pańskie oświadczyzny były wzruszające. Wiem jednak, że w rzeczywistości nie mówił pan tego poważnie. - Zamierzał zaprotestować, ale powstrzymała go ruchem ręki i kontynuowała: - Proszę dać sobie spokój, Hunterze! Jeszcze, nie daj Boże, sam pan w to uwierzy, a honor nie pozwoli się panu wycofać. Wiem, co mówię. W końcu zacząłby pan mną gardzić. Idąc dalej tym tropem, również hrabia Carlyle nie mógłby mnie uwieść, ponieważ mam jedną z tych zalet, które mi pan przypisał, a mianowicie inteligencję. Poradzę sobie. Pozostanę w zamku do chwili, kiedy bezpiecznie będę mogła zabrać stamtąd mojego opiekuna. Wezmę również udział w kweście, ponieważ wierzę, że hrabia, mając u boku pracownicę muzeum, będzie się czuł swobodniej wśród licznie zgromadzonych gości. To się odbędzie tutaj, w muzeum, Hunter, czegoż więc miałabym się bać, skoro pan, Alex i sir John będziecie w pobliżu? No i oczywiście lord Wimbley.

Hunter nie zdążył odpowiedzieć, gdy ponownie otworzyły się drzwi.

- Camille! Właśnie usłyszałem, że... - zaczął Alex Mittleman. Widząc, że Camille ma już towarzystwo, urwał raptownie. - Witaj, Hunter - powiedział.

- Witaj, Alex.

Alex, dość drobnej budowy, o płowych włosach i jasnoniebieskich oczach, wyglądał raczej na przystojnego młodzieńca niż na dojrzałego mężczyznę. Rzucił gniewne spojrzenie w stronę Camille. Zwykle obaj mężczyźni odnosili się do siebie z szacunkiem, choć Alex często utyskiwał, że Hunter jest raczej bogatym dandysem niż uczonym. Alex uważał, że jest odpowiedniejszym powiernikiem dla Camille, albowiem z nich obu to on był uczciwie zarabiającym człowiekiem. Tak jak ona była uczciwie pracującą kobietą.

Chrząknął i potrząsnął lekko głową, jakby się wahał, czy powinien zabrać głos i podnieść drażliwy temat, skoro Hunter najwyraźniej go uprzedził.

- Przyjechałaś tu rano z Brianem Stirlingiem, hrabią Carlyle?

- Tristan miał wczoraj wieczorem wypadek w pobliżu bramy hrabiego - wyjaśniła jeszcze raz. - Został przeniesiony do zamku, ponieważ się potłukł. Przeżył lekki wstrząs, ale na szczęście nie doznał większego urazu. Oczywiście, udałam się do niego natychmiast. No cóż, to wszystko.

- Powiedziałaś jej, że on jest... - zaczął Alex.

- ...niebezpiecznym człowiekiem i być może niezupełnie przy zdrowych zmysłach - dokończył Hunter.

- Camille, musisz naprawdę bardzo uważać - powiedział Alex. Wyglądał na ogromnie przejętego. - Nie ukrywam, zdumiewa mnie, że sir John jest taki z tego zadowolony.

- Hrabia Carlyle jest bogaty - zauważył trochę zgryźliwie Hunter. - Ma u siebie prawdziwe skarby. Sir John chętnie by je widział w muzeum.

- Pojadę z tobą, Camille - zaofiarował się nagle Alex. - Zaraz po pracy. Możemy wynająć powóz i bezpiecznie przewieźć nim do domu twojego opiekuna.

- Alex, mnie będzie łatwiej, ponieważ dysponuję własnym powozem - ostro wkroczył Hunter. - Masz rację. Trzeba szybko wydostać stamtąd Camille i jej opiekuna, oby dalej od tego zamku.

Przyglądała im się z rozbawieniem. To prawda, że już wcześniej okazywali jej sympatię i przyjaźń, ale teraz wyraźnie rywalizowali o jej względy. Obaj za wszelką cenę chcieli ją wydostać z zamku Carlyle.

- Doskonale - zdecydował Alex z dumnie zadartą głową, jakby składał swoją osobę na ołtarzu wielkiej sprawy. - Hunter może to załatwić. Każdy sposób na wydostanie cię z tego miejsca jest dobry.

- Alex, Hunter... - zaczęła łagodnie, ale zanim zdążyła coś dodać, drzwi otworzyły się gwałtownie.

Pojawił się w nich Aubrey Sizemore - ostatni ze starszych pracowników działu. Chociaż mniej wykształcony od pozostałych, pasjonował się egiptologią, był pracowity i zdeterminowany. Ten trzydziestoparoletni mężczyzna był łysy jak kula bilardowa, zażywny, ale muskularny. Mógł bez trudu przesunąć najcięższe skrzynie, lecz z najdrobniejszymi i najbardziej kruchymi fragmentami wykopalisk obchodził się nadzwyczaj delikatnie.

Wpatrywał się w Camille, jakby była dziełem sztuki, które nagle okazało się być najoryginalniejszym odkryciem stulecia.

- Przyjechałaś do muzeum z Brianem Sterlingiem, hrabią Carlyle? - zapytał.

Westchnęła. Miała już dość ustawicznego wyjaśniania, więc odpowiedziała jednym słowem:

- Tak.

- Więc on opuścił zamek!

- Na to wygląda.

- No cóż - powiedział Sizemore. - To nawet dobrze. Jeśli uzyskamy jego akceptację, przybędzie nam dużo pieniędzy. Mógłby nawet sfinansować nowe prace wykopaliskowe. Nie ma to jak praca w terenie, w piaskach pustyni.

- Na razie nie planuje żadnej ekspedycji - ostro wtrącił Hunter.

- Ale... - mruknął Aubrey, patrząc na Camille

- Coś jeszcze? - zapytał Hunter.

Aubrey nachmurzył się.

- Chodzi o tego człowieka w podeszłym wieku, zgarbionego, z siwą brodą, który do nas przeszedł z działu starożytnej Azji. Nie widzieliście go?

Popatrzyli na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- No, ten staruszek. Pracuje u nas od paru godzin. Nazywa się Arboc. Jim Arboc. Widzieliście go?

- Nie, nie widzieliśmy - odrzekł poirytowanym tonem Hunter. Nie lubił Aubreya.

- Już od dawna mówiłem sir Johnowi, że musimy mieć tu kogoś na cały dzień! - powiedział Aubrey. - Nie chodzi o wyręczanie w pracy, ale, na przykład, o sprzątanie, które pochłania tyle czasu.

- To może już go nie trać - rzucił zgryźliwie Hunter.

Aubrey spojrzał na niego spode łba, po czym uśmiechnął się do Camille.

- Byłoby wspaniale, gdyby można było sprowadzić z powrotem do domu twego opiekuna. Nawet mimo jego wątpliwej sławy. Może ten facet jest przeklęty? - Mrugnął do niej, po czym wyszedł.

Ledwo zniknął, pojawił się sir John.

- Co tu się dzieje? - zapytał nerwowo. - Uważam, że Camille doskonale sama poradzi sobie z tą płaskorzębą. Hunter, wprawdzie jesteś członkiem zarządu, ale twoja rola nie polega na zajmowaniu czasu moim pracownikom. Lord Wimbley będzie tu lada chwila, a ja nie życzę sobie, żeby mój dział zamienił się w salon towarzyski.

Alex zeszywniał, a Hunter wzruszył ramionami.

- Camille, porozmawiamy później - rzucił lakonicznie i pomaszerował do drzwi. Otworzył je i wyszedł, ale zaraz wrócił.

Omiótł całą trójkę wzrokiem, po czym powiedział:

- Wygląda na to, że jeszcze ktoś dołączy do salonu towarzyskiego.

- Kto taki? - zapytał Alex.

- Brian Stirling, hrabia Carlyle - oznajmił Hunter, nie spuszczać wzroku z Camille. - Musimy uważać, zbliża się potwór.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chociaż rozmawiali cicho, Brian słyszał ich spłóśnione i, jak mu się zdawało, zatrwożone szepty.

- Lord Stirling? - dopytywał się zaszokowany sir John.

- Sądziłem, że odjechał! - wykrzyknął z paniką w głosie Alex Mittleman.

- No cóż, okazuje się, że nie. I uprzedzam was... - Starszy pan, nie kończąc zdania, wyszedł na korytarz i odezwał się głośno, tonem serdecznego powitania. - Brian! To dla nas prawdziwy zaszczyt! Tak dawno cię nie widzieliśmy, tymczasem dzisiaj... naprawdę czujemy się zaszczyceni!

- Wprawia mnie pan w zakłopotanie - odrzekł Brian, biorąc sir Johna pod rękę.

- Zdaje się, że on w ogóle stąd nie wychodził - szepnął Hunter do ucha Camille, po czym wysunął się naprzód.

- Brian, ty stary nicponiu! Brakowało nam ciebie.

Powiedział to z wymuszonym entuzjazmem i udawaną serdecznością. Brian służył z nim w wojsku i dobrze się znali. Kiedyś wspólnie wałęsali się po zajazdach. Mogliby nawet uchodzić za przyjaciół. Hunter lubił, gdy go uważano za wielkiego podróżnika, poszukiwacza przygód, miłośnika płci pięknej. To ostatnie było prawdą; uwielbiał kobiety.

Czy to odruchowy brak zaufania do człowieka, który mógł być mordercą, sprawił, że Brian patrzył teraz na niego z nieufnością? Czy może to, że stał za blisko Camille? Czy ona zna Huntera i reputację, jaką się cieszy? Czy są już kochankami?

Sam zna ją zaledwie od wczoraj i nadal jej nie ufa. Pojawiła się przecież ni stąd, ni zowąd w jego domu, a do tego pracuje w muzeum. Gdy Brian stał i patrzył na Camille, zdał sobie sprawę, jaka jest piękna, z tym rzadko spotykanym kolorem włosów i niezwykłymi przejrzystymi oczami. Nawet w roboczym fartuchu emanowała rzadko spotykanym wdziękiem i godnością, a nawet zmysłowością.

- Lord Stirling! - wykrzyknął Alex, wysuwając się do przodu. Pozornie niezdecydowany i łagodny, potrafił być niebezpieczny. Wyciągnął rękę.

Brian nią potrząsnął.

- Alex, stary druhu. Miło cię widzieć. - Obrzucił wzrokiem Camille. - W tym gronie nierobów widzę tylko jedną zapracowaną osobę - zażartował.

Camille nie przypadły do gustu te słowa. Uśmiechnęła się z przymusem.

- To miło, hrabio, że okazuje nam pan dzisiaj zainteresowanie.

- Zbyt długo trzymałem się na uboczu - wyjaśnił spokojnie Brian. - Czy to nie dziwne? Mijają dni i miesiące, upływa rok, a człowiek błądzi w mroku. I nagle okoliczności sprawiają, że pojawia się szansa spotkania. Pomyśleć, że wystarczył drobny wypadek przed moim zamkiem, żeby los zetknął mnie z najpiękniejszym obiektem tego muzeum i jego działu starożytności. To tak, jakbym na nowo zbudził się do życia.

Z trudem hamował śmiech. Tymczasem sir John, skłonny złożyć niewinne dziewczę na ołtarzu nauki i pogoni za przeszłością, przesunął się o krok bliżej Camille.

- To fakt, Camille to prawdziwe dzieło sztuki - powiedział Hunter, ważąc słowa. - Cieszy się tutaj szczególnymi względami.

Brian znał ten klub dżentelmenów. Miała szczęście, że dostała tę pracę. Chyba że dali jej posadę, biorąc pod uwagę urodę i wdzięk, a nie ze względu na wiedzę...

Ogarnęła go złość i choć tłumaczył sobie, że to bezzasadne, nie umiał jej pohamować. Nie widział innej możliwości zapanowania nad tą kobietą, jak tylko poprzez groźby lub przekupstwo. Równie dobrze mogła powiedzieć mu prawdę, jak skłamać w żywe oczy. Sam nie wiedział, dlaczego czuje się tak, jakby Camille stała się jego własnością. Odnosił wrażenie, że wszyscy tu obecni prowadzą między sobą grę, a ona jest piłką w tej rozgrywce.

Sir John przerwał milczenie:

- Chciałbyś zobaczyć, nad czym obecnie pracujemy?

- Mamy czas. Spotkałem na dole lorda Wimbley'ego i umówiliśmy się na lunch. W tej chwili rozmawia z dostawcami przygotowującymi oprawę i poczęstunek na kwestę.

- Tak, lord Wimble woli osobiście wszystkiego dopilnować.

- Jak zdążyłem zauważyć, niewiele się zmieniło - powiedział Brian. - Nie widzę Aubreya - dodał, marszcząc czoło.

- Cóż, on, oczywiście, jest zajęty - odparł sir John.

- Oczywiście. Pozdrówcie go ode mnie. A zatem, panno Montgomery, pracuje pani nad znaleziskami, które moi rodzice przysłali do muzeum.

- Rzeczywiście. Zdaje się, że sir John zaprosił pana do obejrzenia tego, co robię?

- Ach, jak to miło z jego strony. - Brian dostrzegł, jak Camille się rumieni, kiedy zrozumiała, iż popełniła gafę. Lord Stirling, hrabia Carlyle nie potrzebował zaproszenia do odwiedzenia muzeum. - Obiecałem lordowi Wimble'emu, że spotkam się z nim przy posągu Perseusza, waszym nowym nabytku, muszę więc już iść. - Ruszył ku wyjściu, świadomy, że zebrani odprowadzają go uważnymi spojrzeniami. - Panno Montgomery, mój powóz będzie na panią czekał - dodał jeszcze.

- Coś podobnego! - rozległ się nowy głos, po czym w drzwiach stanął lord David Wimble we własnej osobie.

- Widzę, że cały mój personel jest pogrążony w beczynności! - zawołał groźnie, ale zaraz się uśmiechnął. Lord Wimble, mężczyzna o nieokreślonym wieku, miał gęste, białe jak śnieg włosy i szare oczy o przenikliwym spojrzeniu. Niewiele się zmienił od czasu, gdy Brian był dzieckiem. Wysoki i szczupły, wyglądał w każdym calu jak arystokrata.

- Obawiam się, że to moja wina - powiedział Brian. - Ogromnie niegrzecznie nie pokazywać się długo, a potem nagle wpaść, by zająć czas ludziom tak zajęтым jak wy - dodał z przekąsem.

- Całe szczęście, że wpadłeś! Bardzo nam miło - zapewnił sir John.

- W rzeczy samej - mruknął oschle Hunter. Spojrzał na Briana i przez chwilę mierzyli się wzrokiem niczym dwaj rywale. - Najwyższy czas, żebyś do nas wrócił - orzekł. - Na kogo możemy liczyć, jak nie na hrabiego Carlyle?

- Dziękuję.

Lord Wimble klepnął go mocno w plecy.

- Tak, tak, mój chłopcze. Do diabła z bliznami, chociaż ta twoja maska...

- Lordzie Wimbley! - przerwał zdegradowany sir John.

Brian roześmiał się głośno.

- Lubię moją maskę.

- Ależ, mój chłopcze, ludzie po cichu nazywają cię bestią - wyjaśnił lord Wimbley.

Oto oni: sir John, Hunter, Alex, a teraz jeszcze lord Wimbley. Cała czwórka była w Egipcie i pracowała z jego rodzicami. Byli świadkami odkrycia, a także śmierci jego rodziców. A teraz udają zadowolenie z jego pojawienia się i ponownego zainteresowania sprawami muzeum. Ofiarowują mu gałązkę oliwną na znak przyjaźni. Sami uczeni, a jednak jeden z nich jest mordercą.

- Odpowiada mi to, że budzę postrach - zauważył Brian, spoglądając na Camille. - Może macie rację. Najwyższy czas, żeby w hołdzie moim rodzicom kontynuować ich dzieło.

- Słusznie, słusznie! - przytaknął sir John. - Musisz otrząsnąć się z bólu, wyjść z osamotnienia i zająć należne ci miejsce w społeczeństwie. Powinieneś dawać przykład całej arystokracji, której rolą winna być troska o edukację narodu.

- I o biednych - dodała cicho Camille.

Zebrani, skonsternowani, utkwili w niej wzrok. Brian wiedział, że tych mężczyzn nie obchodziła biedota Londynu. Ostatnie zbrodnie Kuby Rozpruwacza może nawet odebrali jak zniewagę, ale przede wszystkim byli naukowcami. Zgromadzenie cennych eksponatów, dogłębne poznanie kultury starożytnego Egiptu - to były główne cele ich życia. Oraz bogactwa i sława, jakie przynoszą takie badania.

- Tak, tak, trudna jest sytuacja naszych ubogich - rzekł lord Wimbley. - Mamy wiele do zrobienia, prawda? - Ponownie klepnął Briana po plecach. - Chłopcze, możemy już wyjść? - zapytał.

Brian przytaknął skinieniem głowy.

- Panowie, zobaczymy się wkrótce. Camille, będę zachwycony, mogąc spotkać się z panią wieczorem.

- Naturalnie - odrzekła półgłosem. - Może jednak przy odrobinie szczęścia mój opiekun poczuje się na tyle dobrze, że będziemy mogli oboje podziękować za tak uprzejmą gościnę.

- Nie próbujmy na siłę przyspieszać jego powrotu do zdrowia.

- Jest pan naprawdę zbyt uprzejmy, hrabio.

- Nic podobnego. Chyba już nieraz wspominałem, że wasza obecność w zamku Carlyle jest dla mnie zaszczytem. Nie przesadzam. Lordzie Wimbley, jestem do pańskiej dyspozycji.

- Sir Johnie, zjawię się jutro skoro świt, żeby porozmawiać o ostatnich przygotowaniach. Ach, jaka to będzie wspaniała impreza! Po prostu wspaniała! A wszystko to dla zbożnych celów. Ufam, że lord Carnarvon weźmie w niej udział, a także ten jegomość, w którym lord pokłada takie nadzieje... Carver, Carter, coś w tym rodzaju.

- Carter. Howard Carter² - podpowiedział Alex.

- Tak, tak, on także weźmie udział w kweście! A także wszyscy ci, którzy popierają naszą wspólną ideę, nie mówiąc o grupie ludzi zainteresowanych tylko inwestowaniem. Żegnajcie was zatem, nie przeszkadzajcie sobie w pracy - zakończył lord Wimbley.

- Wracajcie do roboty, i to wszyscy! - polecił sir John, zakazując dalszych rozmów.

Camille była zadowolona. Chciała zamknąć się w swoim pokoiku, by uniknąć natrętnego zainteresowania zarówno ze strony Huntera, jak i Alexa.

- Ale, sir... - zaczął Alex, lecz sir John nie dopuścił go do głosu.

- Do pracy! Już i tak z trudem trzymamy się harmonogramu. Alex, idź do magazynu. Mamy tyle do rozpakowania. Hunter, zechciej usiąść ze mną przy biurku.

Sir John był wyraźnie zaaferowany. Alex i Hunter spojrzeli na Camille, a ich oczy wyrażały głęboki żal, że muszą ją opuścić. Zrewanżowała im się chłodnym uśmiechem i zamknęła w pokoju.

Ktoś na pewno był w magazynie, kiedy udała się tam z sir Johnem. Była przekonana, że ten ktoś, kimkolwiek był, pojawił się, by ich podsłuchiwać. Coś musiało znajdować się tam na dole, skoro warto było się fatygować i szpiegować.

² Z nazwiskami lorda Carnarvona i Howarda Cartera związana jest historia największego z odkryć grobów królewskich w Egipcie. Punktem kulminacyjnym ich badań było odkrycie grobu Tutenchamona. Koncesję od rządu egipskiego na prowadzenie prac wykopaliskowych otrzymali oni w 1914 roku, (przyp. tłum.).

Czy Brian Stirling, hrabia Carlyle, mógł wcześniej znaleźć się w piwnicy i przysłuchiwać się rozmowie, którą prowadziła z sir Johnem, na temat śmierci jego rodziców?

Powróciła do pracy i nagle zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. No tak, klątwa! Może hrabia słusznie uważa, że do śmierci rodziców doszło w podejrzanych okolicznościach. Pomyślała o tych, którzy przed chwilą się tutaj zebrali. Czyżby hrabia uważał, że mieli coś wspólnego ze śmiercią Stirlingów? Lord Wimbley? Na Boga, nie! Sir John? Nigdy. Hunter? Jest niepoprawnym kobieciarzem, ale mordercą? Oczywiście że nie! Łagodny jak baranek Alex...

Camille, zła na siebie, że się nad tym zastanawia, powróciła do pracy.

Tristan Montgomery obudził się na wspaniałym pościeliu w zamku Carlyle. Łóżko było szerokie i miękkie, pościel pachnąca, a koce ciepłe.

Gdy sobie jednak przypomniał, że jest gościem tej bestii, hrabiego ciarki przeszły mu po plecach. A co do tego, że hrabia jest potworem, nie miał wątpliwości. Maglował Tristana, jakby to były czasy inkwizycji. Jeśli hrabia zechce, Tristan będzie gnąć w więzieniu do końca swoich marnych dni.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział ostrożnie.

W drzwiach stanęła kobieta, która, jak się domyślał, zarządzała zamkiem, chociaż w każdej sprawie zdawała się na hrabiego.

Tristan okrył się szczerzej, zastanawiając się, dlaczego w obecności tej kobiety czuje się niewyraźnie. Wstyd? No cóż, to możliwe. Nic dziwnego, że od czasu do czasu oskubywał bogatych i łątał budżet, skoro od tylu lat był zdany wyłącznie na własną pomysłowość. Przecież nie był z gruntu zły ani samolubny. Czy nie dzielił się łupami z innymi? Kiedyś znalazł Camille, zanoszącą się

płaczem nad ciałem matki, i wziął ją na wychowanie. Ma też na utrzymaniu Ralpa, a co pewien czas wspierał wycieńczoną żalosną ulicznicę, wydeptującą trotuary - najczęściej bezzębną i tak szpetną, że aż trudno sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek chciał mieć z nią coś wspólnego. W istocie był kimś w rodzaju poczciwego Robin Hooda, okradającego bogaczy i rozdającego biednym. Tyle że nie spotkał się z podobną wdzięcznością. Przynajmniej na razie.

- Panie Montgomery - odezwała się bezceremonialnie kobieta. Nazywała się Prior. Chodziła, szeleszcząc jedwabiami, pachnąc perfumami, zawsze dostojna. Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był... No cóż, gorszy niż w rzeczywistości.

- Tak? - zapytał, podciągając nakrycie pod brodę.

- Jak pan się czuje?

Prawdę mówiąc, całkiem nieźle, pomyślał.

- Jestem obolały, droga pani, jakby jeszcze nie wszystkie kości trafiły na swoje miejsce - odparł i na wszelki wypadek jęknął. Zawahał się i dodał: - Moja Camille... zdaje się, że tutaj była. - Usiadł raptownie, zapominając, że powinien udawać, jak bardzo cierpi. - Tak, na pewno! Camille była tutaj. Jeśli ten potwór wyrządził jej choćby najmniejszą krzywdę, ja... wydrę mu serce! - zakończył brawurowo. Kobieta opuściła głowę, by ukryć uśmiech. - Jeżeli ten człowiek zrobił coś złego mojej małej... - nie ustępował Tristan.

- No, no, panie Montgomery. Hrabia Carlyle nie jest potworem.

- Tak? No cóż, może gość mnie nabrał - mruknął do siebie Tristan. - Gdzie ona jest?

- Sądzę, że jeszcze w pracy.

Tristan zmarszczył czoło.

- Ale była tutaj.

- To prawda. Była i wróci.

- Tutaj? - Skrzywił się ponownie.

- Oczywiście. Pozostanie w zamku tak długo, jak długo pan tutaj będzie, panie Montgomery. Ma pan naprawdę szczęście. Ta dziewczyna nie widzi świata poza panem. - Evelyn Prior odciągnęła zasłony, wpuszczając dzieńne

światło. Tristan cofnął się w cień, wiedząc, że jest nieogolony i że prawdopodobnie wygląda jak stary opój.

- Choć Bóg raczy wiedzieć, dlaczego jest do pana tak bardzo przywiązana - dodała kobieta, zbliżając się i przyglądając mu się w ostrym dziennym świetle.

- Czyżby hrabia Carlyle był zajęty i postanowił zastosować wobec mnie subtelniejszą formę tortury? - zapytał Tristan.

Zaśmiała się lekko.

- Cóż, wdrapał się pan na jego mur jak pospolity złodziej.

- Przysięgam, że niechcący spadłem.

- Zdziwiałe!

- Na ogół jestem zwinny jak kot. Naprawdę. Niejedno potrafię.

- A teraz leży pan tu taki obolały.

- Obolały i skonfundowany - odpowiedział Tristan i westchnął. - Jeśli hrabia chce wezwać policję, niech się nie krępuje i robi swoje. Może noc w celi okaże się lepsza od przypiekania żywcem przez takiego człowieka jak on. Można by pomyśleć, że chciałem zrabować klejnoty koronne.

- Gdyby chodziło o klejnoty koronne, hrabia nawet w połowie nie byłby taki wściekły - wyjaśniła panna Prior.

- Zdarzyło mi się widzieć jeden czy dwa dobre okazy sztuki egipskiej, a to dzięki mojej podopiecznej. Dziewczyna wie wszystko o tych różnych dynastiach, chociaż oni wszyscy wydają się być kupą żalonych szczątków. Trzymali się kurczowo nic niewartego złota i nie umieli zrobić z niego użytku za życia. Skądinąd wiem dobrze, że za niezłą rzecz z tej branży można dostać sporą sumkę, ale niech sobie pani nie myśli, że spiskowałem z zamiarem popełnienia morderstwa. To wykluczone.

- No cóż, jestem przekonana, że hrabia nie zamierza wnieść skargi, zwłaszcza że pan nadal cierpi. Bo cierpi pan, prawda?

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Jeszcze nigdy w życiu Tristan nie spał w tak wygodnym łożu, nawet gdy dostał tytuł szlachecki za odwagę w służbie jej królewskiej mości w Indiach. A tutejsze jedzenie...

Przyjrzał się pannie Prior. Rozumiał, że ta inteligentna kobieta jest kimś daleko więcej niż zarządzającą. Postanowił zostać w zamku dopóty, dopóki nie wyzdrowieje. Tak jak ona sobie życzy.

Dawno temu taka kobieta mogłaby do niego należeć. Po co myśleć o czymś, co mogło się kiedyś zdarzyć; przeszłość jest już zamknięta. Był pewny, że teraz ta kobieta ma go w nie większym poważaniu niż ulicznika. Chociaż...

Usiadł, wyprostowany i dumny.

- Umarłbym dla tej dziewczyny. Nie pozwolę, by to ona broniła mnie przed potworem!

Ku jego zdumieniu, panna Prior podeszła i usiadła w nogach łóżka.

- Ostrzegam, hrabia jest porywczy, ale zapewniam, że nie skrzywdzi pańskiej podopiecznej. On nie jest potworem. Chodzi o to, że pragnie wytropić pewnego człowieka - powiedziała dość tajemniczo. - Może to dziwne, sir Tristanie, ale kto wie, czy spadając z dwumetrowego muru nie oddał nam pan przysługi - dodała.

- Nie narażę Camille na niebezpieczeństwo.

- Jest piękna, sir Tristanie, a przy tym czuła, wrażliwa i nieugięta. Czy jeśli w pięknej sukni pójdzie na bal u boku jednego z najznamienitszych mężczyzn w tym kraju, będzie to pańskim zdaniem narażaniem jej na niebezpieczeństwo?

- Władza i bogactwo nic nie znaczą, jeżeli ten mężczyzna jest potworem.

- Pozory mogą mylić.

- To dlaczego on tak wrzeszczy?

Panna Prior znów się uśmiechnęła i, ku zdumieniu Tristana, zwróciła się do niego nieśmiało.

- Proszę mi dać kilka dni. Tylko kilka - powiedziała.

Popatrzył na nią uważnie i ściągnął brwi.

- Przysięgam panu, że nie pozwolę narazić dziewczyny na niebezpieczeństwo - dodała.

Delikatny zapach perfum owiewał Tristana z każdym łagodnym podmuchem powietrza.

- A więc... Camille tutaj wróci? - upewnił się. - A co z moim człowiekiem, Ralphem? Czy jest uwięziony w lochach baszty tego średniowiecznego zamczyska?

- Niech pan nie będzie śmieszny.

- Nie uwierzę, że nie ma tutaj średniowiecznej baszty.

- Oczywiście, że jest. To bardzo stary zamek, ale pańskiego człowieka trzymamy gdzie indziej. Sądzę, że przyjemnie spędza czas, wykonując drobną pracę wspólnie z ludźmi hrabiego.

- Przymusowe roboty?

- Odniosłam wrażenie, że tkwiąc w beczynności, trochę się nudził. Nie, sir Montgomery, nie biczujemy tu nikogo i nie zakuwamy w kajdany. Potrzebujemy tylko czasu. Kilku dni!

- Kilku dni - powtórzył nieufnie.

Panna Prior się podniosła.

- Przyślę panu przybory do mycia i służącego, który pana ogoli. Na pewno znajdę też czyste ubranie. Jest pan wysoki i szczupły, podobną posturę miał ojciec pana hrabiego. I chyba umiera pan z głodu.

- Skoro tak pani mówi...

Uśmiechnęła się i ruszyła do wyjścia.

- Panno Prior?

Zatrzymała się w drzwiach.

- Co mógłbym dostać do jedzenia?

- Woli pan rostbef czy rybę?

- Hm... a może być i to, i to?

Skinęła głową.

- Jak pan sobie życzy.

Gdy wyszła, szeleszcząc spódnicą, i zamknęła drzwi, Tristan położył głowę na poduszce i uśmiechnął się szeroko, ale już po chwili znów się zasępił.

Camille poczuła, że musi rozluźnić ramiona i rozetrzeć kark. Wstała z krzesła, przeciągnęła się i rozejrzała po niewielkiej pracowni. Na razie starożytni nie wyjawili jej nic poza tym, co już wcześniej wiedziała.

- A zresztą ja nie wierzę w klątwy, czary i zaklęcia - powiedziała na głos, jakby chciała samą siebie przekonać.

Opuściła pokój. Sir Johna nie było za biurkiem, kiedy zdejmowała fartuch, zamierzając przejść się trochę po dziale, a potem wrócić do pracy. Pomyślała z ironią, że chyba jest dzieckiem szczęścia, skoro hrabia Carlyle publicznie okazuje jej zainteresowanie. Przecież dobrze wiedziała, że jest tylko pionkiem w prowadzonej przez niego grze.

Zajrzała do galerii, gdzie wielu zwiedzających zgromadziło się przy mumiach, które przyciągały i fascynowały tłumy. Obiektom towarzyszyły znakomicie opracowane objaśnienia na temat wierzeń ludzi z okresu różnych dynastii. Sposób pokazania eksponatów stanowił świetną lekcję poglądową - ukazano tu na wpół zabandażowane mumie z maską i te całkowicie zabandażowane, a także mumie w sarkofagach zdobionych malowidłami i hieroglifami.

Kamień z Rosetty, jeden z ulubionych eksponatów Camille, również przyciągał uwagę. Ale tutaj ludzie zatrzymywali się i szybko odchodzili. W końcu był to tylko kamień, nieożywiony przedmiot. Nigdy nie chodził po ziemi, nie śmiał się, nie płakał i nie kochał. Co innego mumie.

Obok stałej ekspozycji specjalna wystawa ukazywała życie Kleopatry, z uwzględnieniem jej wszystkich namiętności i żądzy władzy. Historia tej pięknej

kobiety również cieszyła się wielkim zainteresowaniem, mimo że nie było tu jej mumii. Zamiast niej pokazano doskonałą figurę woskową legendarnej Królowej Nilu, a także wiele cennych przedmiotów, przybliżających okres jej panowania. Na wystawie pokazano także kobrę egipską, taką samą jak ta, która, według różnych źródeł, spowodowała tragiczną śmierć królowej.

To właśnie kobra, przechowywana w szczelnej szklanej gablocie, przy której zgromadziła się grupka wymądrzających się sztubaków, interesowała dzisiaj Camille.

- To tylko wąż! Sama skóra! - powiedział jeden z chłopców.

- Mogę go wyjąć i w jednej chwili ukręcić mu szyję - przechwalał się drugi.

- Czy on w ogóle ma szyję? - zastanawiał się trzeci.

Któryś z nich zastukał w szybę. Kobra, która dotąd nie była w bojowym nastroju, uniosła się nagle i rzuciła z sykiem w kierunku chłopców, uderzając o szybę. Smarkacze odskoczyli błyskawicznie.

- Wynośmy się stąd! - zawołał ten, który chciał wiedzieć, czy kobra ma szyję.

- Jeśli się jej nie drażni, można ją oglądać spokojnie i bez obaw - powiedziała Camille, podchodząc do uczniów. - Jak wiecie, według legendy Kleopatra poprosiła, by dostarczono jej koszyk fig z kobrą w środku. Tak naprawdę nie chciała popełnić samobójstwa. Kobra symbolizowała władzę królewską, a Kleopatra wierzyła, że jeśli zostanie ukąszona i umrze, stanie się nieśmiertelna.

- Czy naprawdę tak było? - zapytał jeden z chłopców.

- No cóż, Kleopatra przeszła do historii, więc w jakimś sensie stała się nieśmiertelna. W rzeczywistości zmarła po ukąszeniu węża. - Camille się uśmiechnęła. - Muzea to miejsca służące do oglądania dzieł sztuki i do pogłębiania wiedzy, nie zaś do drażnienia i niszczenia obiektów - podkreśliła stanowczo. Odwróciła się, na chwilę zatrzymała, po czym dodała: - A skoro już o tym mowa, tak, węże mają szyję.

- A gdzie się ona znajduje? - zapytał chłopiec.

- Z tyłu głowy.

- Ale za głową jest cała reszta ciała! - zauważył jeden z chłopców.

- Powiedzmy, tuż za głową - uściśliła Camille.

- Czy w muzeum jest więcej węży?

- Tylko ten jeden - uspokoiła chłopca. - Kiedy wystawa zmieni miejsce, to samo uczyni wąż.

- Rany! To najlepsza rzecz w całym muzeum! - zachwycił się inny.

- Jest tu całe mnóstwo interesujących rzeczy.

Tylko patrz i odwołuj się do wyobraźni! - poradziła.

Chłopcy porozumieli się wzrokiem.

- Nie mogłaby nas pani oprowadzić? - zapytał najodważniejszy z nich. - Proszę - dodał szybko.

- Nie mogę. Muszę wracać do pracy.

- A co pani robi?

- Tłumaczę.

- Potrafi pani odczytywać znaki na sarkofagach? - Nawet ten z chłopców, który jeszcze niedawno lekceważył zbiory, wyglądał na zafascynowanego.

Uśmiechnęła się i przytaknęła ruchem głowy.

- Radzę wam, poczytajcie tabliczki przy obiektach. Obiecuję, że jeśli tylko uruchomicie wyobraźnię, będziecie mieć dużo zabawy.

- Chodźmy obejrzyć kamień z Rosetty - powiedział jeden ze starszych chłopców.

Odeszli, a ostatni jej podziękował, najwyraźniej pełen podziwu. Uśmiechnęła się do niego i pomachała ręką.

Wróciła do kobry. Wiedziała, że są bardzo groźne i że zabiły wielu ludzi. Miała też świadomość, że nieprovokowane rzadko atakują. Popatrzyła na gada i nagle zrobiło jej się go żal. Musiało go zboleć, kiedy uderzył głową w szybę. A z drugiej strony... Ciekawe, co by zrobiła, gdyby szyby nie było...

Zastanawiała się, co czuli Stirlingowie. Czy widzieli węże, przez które zmarli w męczarniach? Czy to był godny ubolewania wypadek... A może jednak morderstwo? Okrutne, nikczemne morderstwo?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Camille opuszczała pracę w eskorcie aż trzech mężczyzn. Hunter, Alex i sir John nie odstępowali jej na krok.

Kiedy wyszli z muzeum, na ulicy czekał już powóz hrabiego.

- Nie wsiadaj! - ostrzegł z desperacją Alex.

- Kamille... - szepnął z zakłopotaniem Hunter. Cicho, tak żeby nikt inny nie słyszał, dodał: - Ożenię się z tobą. Mówię poważnie.

- Nie powinna tego robić - powiedział głośno Alex do sir Johna. - Młoda kobieta sam na sam z takim... potworem - zakończył bez przekonania.

- Jakże to! - obruszył się sir John. - Przecież rozmawiamy o hrabim, o szanowanym człowieku, walecznym żołnierzu, niegdyś przyjacielu nas wszystkich - przypomniał.

- O człowieku, który został ranny, okaleczony i przez to zgorzkniał - zauważył Hunter. - Ona nie może tam jechać.

- Musi - upierał się sir John.

- Ona sama zdecyduje - powiedziała stanowczo Camille. Shelby zsiadł z kozła; uśmiechnięty, wyglądał jak nieszkodliwy olbrzym. Ukłonił się i otworzył przed nią drzwi, żeby mogła zająć miejsce. Nagle Camille uświadomiła sobie, że Hunter MacDonald oznajmił, że się z nią ożeni. Skorzystaj z propozycji, zmusz go do wyłożenia kart, zachęcała się w duchu. To atrakcyjny mężczyzna, znany w towarzystwie, no i ma nieodparty urok. Nieraz czuła, że ją pociąga...

Jednak hrabia Carlyle, choćby był Bóg wie jak okropny i odpychający, miał u siebie Tristana. W dodatku hrabia, chociaż ją szantażował i wykorzystywał, wydał się jej interesujący. Nawet w złości i w gniewie pozostawał na swój sposób uczciwy i szczerzy, co wydawało się jego wielkim atutem. Poza tym Camille była zaintrygowana; nade wszystko, tak jak i hrabia, chciała poznać prawdę o tajemniczej śmierci jego rodziców.

Zwróciła się do towarzyszących jej mężczyzn.

- Bardzo wam wszystkim dziękuję. Hrabia Carlyle zaproponował gościnę mojemu opiekunowi, więc muszę tam jechać.

Gdy powóz ruszył, chcąc nie chcąc, zastanawiała się, co kryje się za słowami i postępowaniem jej kolegów.

Brian zamknął się w bibliotece. Evelyn zastała go ślęczącego nad dziennikiem, który prowadziła jego matka podczas ostatniej brzemiennie w skutki wyprawy do Egiptu.

- Daj spokój, jeszcze się rozchorujesz na nerwy - zaniepokoiła się.

Podniósł głowę, jakby nieświadomy faktu, że ktoś wkroczył w jego prywatny świat. Ajax przywitał Evelyn szcęknięciem i merdaniem ogona. Jak zawsze czujny, warował u stóp hrabiego, podczas gdy jego ukochany pan zdawał się nie dostrzegać niczego z wyjątkiem zeszytu, który miał przed sobą.

Popatrzył na Evelyn, jakby ważył jej słowa. Miał zwyczaj niezdejmowania maski nawet we własnym zamku, ilekroć pojawiali się w nim obcy.

- Jestem blisko, Evelyn. Wiem, że jestem bardzo blisko.

- Czytałeś ten dziennik już setki razy - przypomniała łagodnym tonem.

- Powinnaś być ze mnie zadowolona. Opuściłem zamek, odwiedziłem muzeum, zjadłem lunch w klubie z lordem Wimblim. Może też ucieszy cię wiadomość, że poczyniłem pewne kroki w związku z udziałem w kweście, która odbędzie się w najbliższą sobotę i niedzielę.

- Naprawdę?

- Naprawdę - ożywił się hrabia. - Zabieram też pannę Montgomery. Muszę przyznać, że ta kobieta stanowi dla mnie zagadkę. Jej opiekun, chociaż dostał tytuł szlachecki za zasługi oddane w służbie królowej, nadal pozostaje drobnym złodziejem. Skąd więc u tej dziewczyny tak doskonała znajomość starożytnego Egiptu?

- Spróbuję się tego dowiedzieć - powiedziała półgłosem Evelyn.

- Tak? Ja zamierzam zwrócić się do zaufanego człowieka, żeby poszperał w jej przeszłości.

- Mam lepszy pomysł.

- Naprawdę? Podziel się nim ze mną.

- Zapytaj ją o to sam - zaproponowała Evelyn.

Uśmiechnął się smętnie.

- Czy ona powie mi prawdę?

- Warto spróbować. Shelby lada chwila ją przywiezie. Przygotowałam kolację dla was na ósmą.

- I tak nie zmuszę jej siłą, żeby tutaj została - zauważył.

- Przecież jej opiekun czuje się kiepsko - przypomniała Evelyn.

- Sądziłem, że jest tylko potłuczony.

- Zadbaliśmy o to, żeby potłuczenia nadal go bolały.

- Na Boga, Evelyn, chyba go nie okaleczyłaś?

- Skądże, Brianie - odrzekła ze śmiechem. - Po prostu odbyliśmy rozmowę, to wszystko.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Jesteś absolutnie cudowna!

- Staram się służyć ci najlepiej, jak umiem - odparła żartobliwym tonem i dodała już poważnie: - Radzę ci, Brianie, zapytaj ją o to, co chcesz wiedzieć. A nuż okaże się szczerą.

- Może i tak, ale...

- Ale co?

- Gdy pierwszy raz rozmawialiśmy, ukrywała prawdę równie gorliwie, jak ja skrywam swoją.

- Chyba nie wierzysz, żeby panna Montgomery spiskowała przeciwko tobie.

- Wiem tylko, Evelyn, że wszyscy w muzeum sprawiają wrażenie, jakby uczestniczyli w maskaradzie i że na pewno panna Montgomery ma swoje sekrety.

Gdy Camille otworzyła drzwi, usłyszała cichy jęk. Serce podeszło jej do gardła.

- Tristan?

- Camie, skarbie, to ty?

Miał niewyraźny, słaby głos. Camille podbiegła i usiadła na łóżku, przyglądając się z niepokojem Tristanowi.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Jestem najzdrowszym człowiekiem na świecie, dziecko, kiedy na ciebie patrzę - odrzekł, ale się przy tym skrzywił.

- Co cię boli, Tristanie? Może masz połamane kości? Muszę wy dostać cię stąd i przewieźć do szpitala - orzekła stanowczo.

- Nie, Camille. Nie! - Złapał ją za rękę. Jak na słabego i cierpiącego człowieka, uścisk miał zaskakująco silny. - Nie połamałem sobie kości, dziewczyno. Tego jestem pewny, bo gdy poruszam starymi gnatami, nic się nie dzieje. Nie, dziecko, jestem tylko obolały.

Odprężyła się trochę. Nadal jednak nie wiedziała, czy powinna się martwić o Tristana, czy na niego złościć. Położyła mu rękę na czole.

- Nie masz gorączki - oznajmiła.

- No widzisz? Jestem tylko... słaby. No i obolały. Jeszcze trochę, a wyzdrowieję. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Jestem przekonany, że mojemu życiu nic nie zagraża.

- Nigdy nie wiadomo - ostrzegła go. - Może ja cię uduszę, gdy tylko stąd wyjedziemy.

- Ależ...

- Tristanie, przez ciebie mogłam stracić pracę.

- Dziewczyna nie powinna pracować - powiedział z wyrzutem.

- Nie uduszę cię tylko pod jednym warunkiem.

- Pod jakim, kochanie?

- Obiecuj, że nigdy, przenigdy nie zrobisz już niczego równie głupiego. Ten człowiek jest potworem, Tristanie. Może cię i nie powiesi, ale mógłby sprawić, że latami będziesz gnął w więzieniu - pogroziła Camille z naganą w głosie.

- No tak, ale... ten człowiek ma tak dużo wszystkiego.

- I zamierza to zachować. Wcale zresztą nie jestem pewna, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Nagle w Tristana jakby wstąpiła nowa energia. Zrobił surową minę i usiadł na środku łóżka.

- Wiedz, dziewczyno, że jeśli tylko odważy się ciebie tknąć...

- Tristanie! Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że... Wiesz chyba, że hrabia, poprzez rodziców i ich zainteresowanie egiptologią, jest związany z muzeum. Jest święcie przekonany, że jego rodzice zostali zamordowani.

- Z tego co wiem, zabiły ich węże.

- Myślę, że on nie może pogodzić się z prawdą. Jeżeli to jest prawda.

- Coś ty powiedziała? - zdziwił się Tristan.

- Nic takiego. - Położyła mu ręce na ramionach, martwiąc się, czy nie zdradziła zbyt wiele. - Tak tylko sobie rozważam, ale przede wszystkim martwię się o ciebie. Niepokoję się o ciebie, chociaż okropnie mnie zezłościłeś. Jak mogłeś coś takiego zrobić!

- Camille, jest mi naprawdę przykro. Wiesz, że moim obowiązkiem jest zapewnienie ci godziwych warunków. Martwię się, dziecko, że musisz zarabiać na życie.

- Tristanie, kiedy ja lubię to, co robię. Bardzo lubię. Gdzie tu więc powód do smutku? Dbałeś o mnie i dawałeś z siebie wszystko, kiedy byłam za młoda, żeby pracować. Teraz powinienes pozwolić, żebym to ja zatroszczyła się o ciebie. I pamiętaj, nie musisz mi już pomagać. To, co robisz, jest złe.

- Akurat. Zawsze byłem całkiem niezłym złodziejem.

- Tristanie! Musisz mi natychmiast obiecać i przysiąc na Boga, że już nigdy niczego nie ukradniesz.

- Posłuchaj, dziecko...

- Tristan!

Odsunął się z miną obrażonego dziecka.

- Jestem w tym dobry.

- Tristan!

- Zgoda, ale przecież udawało nam się czarować, jak to się mówi, przez wiele lat.

- Ale już nie musimy tego robić. Twoje zachowanie... Przysięgnij, że nigdy więcej nie zrobisz niczego podobnie idiotycznego.

Wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Przysięgnij! - rozkazała.

Popatrzył na nią z ukosa.

- Przysięgam, dziewczyno. Nigdy więcej nie zrobię niczego tak głupiego. Zadowolona?

- Niezupełnie.

- Co?

- Zrobisz kolejne głupstwo i będziesz mnie przekonywał, że nie było równie idiotyczne jak to. Dobrze wiesz, co masz powiedzieć i do czego się zobowiązać. Obiecuj, że już nigdy niczego nie będziesz próbował ukraść, że nie popełnisz oszustwa i nie zrobisz nic, co byłoby niezgodne z prawem!

- Camille! - oburzył się Tristan.

- No już, słucham - nalegała.

W końcu, opierając głowę na poduszkach i krzyżując ramiona na piersi, powtórzył jej słowa. Wyglądał jak znudzone i nadąsane dziecko.

- Nie powinnaś pracować. Powinnaś wyjść za mąż, dziewczyno, za porządnego i majątnego człowieka, który ofiaruje ci wszystkie wspaniałości tego świata.

- Nie chcę żadnych wspaniałości, Tristanie. Kocham ciebie i Ralpa. Czuję się szczęśliwa, mogąc się wami zajmować...

Wzdrygnęła się, bo uznała, że powiedziała coś niewłaściwego. Tristan miał swoją dumę. To dlatego wołał kraść, żeby ją utrzymywać, niż pozwolić, by ona, wykonując uczciwe zajęcie, utrzymywała jego.

- Camille! - oburzył się. - To nie w porządku, by dziewczyna zarabiała na mężczyznę.

- Tristanie, ty chyba żyjesz w średniowieczu. Przecież sam zaszczyliłeś mi miłość do wiedzy, a także...

Urwała, bo ktoś zapukał do drzwi. Evelyn Prior, nie czekając na zaproszenie, weszła do pokoju.

- Panna Montgomery! Już pani wróciła - ucieszyła się gospodyni.

Camille zeszywniała.

- Tak. Shelby wysadził mnie przy drzwiach, więc, ma się rozumieć, natychmiast przyszedłam zobaczyć się z Tristanem.

- Ma się rozumieć - zgodziła się panna Prior. - Jednak hrabia czeka już na panią w swoim salonie, gdzie zostanie podana kolacja.

Camille uśmiechnęła się słodko.

- Sądziłam, że będę mogła spokojnie posilić się razem z Tristanem, nie nadużywając gościnności hrabiego.

- Ale hrabia czeka na panią.

- Ja już jadłem - wtrącił Tristan.

Camille obrzuciła go karcącym wzrokiem.

- Jesteś tutaj tylko przypadkowym gościem - przypomniała mu.

- Panno Montgomery, gdyby pani łaskawie zechciała... - nalegała panna Prior.

Camille westchnęła i popatrzyła na Tristana.

- Musisz iść, dziewczyno, skoro hrabia Carlyle nalega - powiedział, uśmiechając się zachęcająco.

- Jesteś pewny, że nabierasz sił? Że to nic poważnego i nie trzeba szukać pomocy w szpitalu?

Odniosła wrażenie, że Tristan spojrział niepewnie na pannę Prior.

- Zapewniam cię, że szpital jest zbyteczny. Muszę tylko podreperować zdrowie i nabrać sił.

- Jak sobie życzysz - skwitowała Camille. Pocałowała Tristana w czoło i udała się za panną Prior.

- Zdaje się, że opiekun ma się całkiem dobrze -zagała Evelyn.

- Tak - mruknęła Camille. Zanosiło się na długi i raczej nieprzyjemny wieczór. Była zmęczona, a spędzenie reszty dnia w towarzystwie mężczyzny, który tak bezczelnie wykorzystywał ją dla własnych celów, nie poprawiło jej nastroju.

W milczeniu dotarli do części mieszkalnej, gdzie czekał Brian Stirling. Stał przy oknie z założonymi do tyłu rękami i wpatrywał się w ciemną dal parku.

Siedzący przed kominkiem Ajax tym razem powitał Camille życzliwym szcęknięciem i uderzeniem ogona o podłogę.

- Panna Montgomery - zaanonsowała półgłosem panna Prior. Już zamierzała wyjść, gdy hrabia się odwrócił.

- Evelyn! - zawołał.

Zatrzymała się i czekała na polecenie.

Hrabia długo i z uwagą przyglądał się Camille.

- Musimy zdobyć dla panny Montgomery odpowiednią suknię - powiedział wreszcie.

- Na pewno znajdzie się coś praktycznego i eleganckiego - odparła panna Prior. - Zajmę się tym niezwłocznie.

Hrabia machnął ręką.

- To dobre do pracy, ale jeśli ma udać się ze mną na kwestę, musi mieć coś specjalnego.

- Jest bardzo szczupła.

Camille poczuła, że pieką ją policzki. Na takie grubiaństwo nie mógłby sobie pozwolić sam książę Walii!

- Przepraszam, ale jestem tutaj - wtrąciła. - Mam własne, bardzo praktyczne suknie, musiałabym tylko udać się po nie do domu.

- Jestem świadomy pani obecności, panno Montgomery. Proszę o wybaczenie - rzekł hrabia. Camille była pewna, że ten człowiek rzadko o coś prosi. - Obawiam się, że na jazdę do domu jest za późno. Uważam jednak, że choć czasu jest mało, siostry zdążą przygotować coś odpowiedniego dla panny Montgomery. Evelyn, powiedz, proszę, Shelby'emu, że przed jutrzejszą kolacją ma zawieźć pannę Montgomery do dworku w lesie.

- Shelby może mnie równie dobrze zawieźć do domu - zaprotestowała Camille. - Panno Prior, proszę go poprosić, żeby był uprzejmy zatrzymać się na krótki postój.

- Jestem przekonana, że tym razem to będzie gala, panno Montgomery. Z wielką przyjemnością zadbam o to, by miała pani najodpowiedniejszy strój na tę uroczystość.

- Hrabio...

- Jak ma się dzisiaj opiekun? - zapytał uprzejmie. - Nie wątpię, że pani do niego wstąpiła.

- Ma się dobrze - odrzekła lodowato.

- Poszukam Shelby'ego - zameldowała panna Prior, zostawiając ich samych.

Camille stała nieruchomo, kipiąc z wściekłości.

- Głodna? - zapytał hrabia uprzejmie.

- Jest pan prawdziwym potworem, i nie ma to nic wspólnego z maską - wyrzuciła z siebie ze złością.

- Tak czy owak, kolacja podana - powiedział, wskazując na stół nakryty śnieżnobiałym obrusem, zastawiony talerzami i półmiskami o srebrnych pokrywach. - Potwór też musi jeść. Proszę zająć miejsce. Ciekaw jestem, czy dlatego uważa mnie pani za potwora, że rad byłbym widzieć panią pięknie ubraną?

- Nie przyjmuję jałmużny.

- Za to pani opiekun chętnie korzysta z cudzych rzeczy.

- Czy przyłapał go pan na kradzieży czegokolwiek? - Camille się zdenerwowała.

- Nie.

- Skąd więc może pan wiedzieć, czy on po prostu nie spadł z muru? Może był ciekaw, jak wygląda pańska posiadłość.

- Panno Montgomery, proszę nie obrażać nas obojga.

- Dlaczego nie? Panu to przychodzi z wielką łatwością!

- Myli się pani. Zaprosiłem panią na towarzyskie spotkanie. Suknia nie jest dla pani, lecz dla mnie. A więc to nie jałmużna.

Camille prychnęła z irytacją, po czym stwierdziła, że trudno, przynajmniej zje kolację. Podeszła do stołu.

Hrabia podsunął jej krzesło. Milczała, zaciskając usta, kiedy pomógł jej usiąść, a następnie obszedł stół i zajął miejsce po przeciwnej stronie.

Nalał Camille kieliszek czerwonego wina i podniósł nagrzaną pokrywkę ze swojego talerza. Tym razem podano im kruchą pieczeń jagnięcą z groszkiem i młodymi kartofelkami. Już od samego zapachu Camille poczuła głód.

- Za muzeum, panno Montgomery - powiedział hrabia, wznosząc kieliszek.

- Czyżby pańskie ponowne i tak nagłe zainteresowanie muzeum było autentyczne? - zapytała uprzejmie, upijając wina.

- Nigdy nie przestałem interesować się muzeum, droga pani. Nigdy.

- No cóż, widzę, że skutecznie udało się panu zmylić tych wszystkich, którzy traktują tę pracę jako swoją pasję.

- Tak, ci wszyscy ludzie... - Zadumał się i zakręcił winem w kieliszku. - Jak dziś się zachowywali? Słyszę niemal te ciche uwagi, które padły po moim wyjściu.

- A czego pan się spodziewał?

- Że będą przerażeni, oczywiście. Traktują tam panią jak pierwszą naiwną, podziwianą i pożądaną przez wielu, a chronioną przez kilku. Trzymają panią pod kloszem, by mieć z kim żartować i flirtować, i mają nadzieję, że zostanie

pani jedną z nich. Aż tu nagle zjawia się wilk, potwór z tytułem i pieniędzmi, i co się dzieje? Spróbuję powiedzieć pani, jak ja to widzę. Sir John, porządny jegomość, chciałby, żeby wszystko toczyło się gładko i bez scysji. Spojrzał dziś na panią świeżym okiem, zastanawiając się, jak to się stało, że do tego stopnia zaprzęta pani moją uwagę. Oczywiście, jest świadomy faktu, że zatrudnia piękną młodą kobietę, ale... no cóż, piękno jest dziś raczej powszechnym towarem. A przy tym jest zachwycony wszystkim, co mnie się podoba. Z jednej strony, stara się dojść, na czym polega pani wyjątkowość, z drugiej zaś, woli nie zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

- Ostrożnie, bo pańskie pochlebstwo jeszcze uderzy mi do głowy - zauważyła z ironią Camille.

- Nie zamierzam pani obrażać. Zgaduję po prostu, co zdarzyło się po moim wyjściu. Lord Wimbley się nie liczy, bo wspomniałem mu, że przyjdę na kwestę z panią. Niektórzy moi koledzy są przekonani, że powinienem rozejrzeć się za żoną, ale sama pani rozumie, z odpowiedniej klasy społecznej. Uważają, że niezależnie od maski majątek i tytuł umożliwią mi znalezienie takiego ucieleśnienia wszystkich cnót. Dalej mamy Alexa. Choć jest świadomy swojego skromnego pochodzenia, uważa się jednocześnie za odpowiedniego partnera dla pani. Nie jest natarczywy ani wygadany, ale z pewnością wydaje się głęboko zaniepokojony. Wreszcie ostatni, ale nie mniej ważny, czyli Hunter. Mógłbym się założyć, że tak go zaszokował fakt, że jest pani moim gościem, że gotów jest zaproponować pani nawet małżeństwo po to tylko, by odsunąć panią ode mnie.

Camille miała nadzieję, że po wyrazie jej twarzy hrabia nie pozna, jak bardzo trafnie ocenił reakcję zespołu na swoje pojawienie się i złożoną przez siebie deklarację.

- Nigdy nie wyjdę za Huntera - oznajmiła hardo.

- A więc złożył już taką propozycję, prawda?

- Powiedziałam tylko, że nigdy nie poślubię Huntera.

- A to dlaczego? Przecież to czarujący przystojny mężczyzna, a w dodatku potrafi odgrywać poszukiwacza przygód, na którego widok omdlewają urocze panienki z dobrych domów.

- Pan sobie z niego kpi?

- Skądże znowu! Ciekawi mnie po prostu, dlaczego taki mężczyzna nie miałby pani pociągać. Ale przecież pani wcale tego nie powiedziała, zapewniła tylko, że nie wyjdzie za niego za mąż.

- Co pan właściwie sugeruje?

- Ja? Nic! Nawet nie próbuję wmówić pani czegokolwiek, skoro pani sama tak ochoczo mnie koryguje

- A jednak sugeruje pan rzeczy w bardzo złym stylu. - Była naprawdę oburzona.

- Czy rozważa pani możliwość romansu z tym mężczyzną? - zapytał bez ogródek.

Miała ochotę cisnąć mu kieliszek wspaniałego czerwonego wina w twarz, ale się powstrzymała.

- Odpowiem - wysyczała lodowato. - To nie pańska sprawa.

- Przepraszam, Camille, ale tak się ostatnio składa, że traktuję każdy aspekt pani życia jak własną sprawę.

- W przeciwieństwie do mnie.

Dostrzegła cień uśmiechu pod maską i poczuła, że ogarnia ją drżenie. Ten człowiek zachowuje się niegrzecznie, to gbur, potwór. A jednak... choć ją złości, to także budzi w niej nowe uczucia. To te jego oczy, ten enigmatyczny uśmiech. Ciekawe, jaki był, zanim życie - i śmierć - doświadczyły go tak gorzko.

- Jestem tym, kim jestem - przypomniał jej. - A że zamierzam pani towarzyszyć podczas kwesty, ludzie będą sobie strzępić języki. Byłoby więc lepiej, gdybym nie wyszedł na dumia.

- Naprawdę, hrabio? Czy nie powinien był pan o tym pomyśleć, zanim pan oznajmił, że wybiera się ze mną na galę?

- Zawarliśmy umowę.

- Nic podobnego. To pan mnie szantażuje albo mi grozi. A może jedno i drugie.

- Na pewno jedno i drugie. Wyświadczamy sobie nawzajem przysługę.

- Czy pańska przysługa polega na tym, że nie wniesie pan skargi do sądu przeciwko mojemu opiekunowi? Niech się pan zastanowi, hrabio. Przecież sąd mógłby oddalić skargę.

- Och, bardzo w to wątpię. Pani zresztą także.

Usiadła wygodnie na krześle, skrzyżowała ramiona na piersi i przybrała wyniosły wyraz twarzy.

- Sam pan jest autorem tej farsy.

- I cały czas oceniam aktorkę, która ma w niej grać, i to przez dłuższy czas.

- Zdaje się, że ocenia pan każdego, kto staje na pana drodze, tak jak dzisiaj uczynił pan to wobec dżentelmenów z muzeum.

Nieoczekiwanie przypuścił kolejny atak.

- Proszę mi odpowiedzieć, Camille, ale szczerze. Gdzie zdobyła pani wiedzę z zakresu egiptologii i jakim cudem nauczyła się pani odczytywać hieroglify?

Zaskoczona pytaniem, przez chwilę się zastanawiała. Wreszcie powiedziała:

- Od mojej matki.

- Od matki? - zdumiał się.

- Kiedy byłam dzieckiem, chodziłyśmy codziennie do muzeum.

- I dlatego zaczęła pani tam pracować? Pani matka знаła sir Johna?

Camille odwróciła wzrok.

- Jestem zmęczona tym nieustannym indagowaniem, hrabio.

- Ale proszę mi odpowiedzieć jeszcze na to jedno pytanie.

- Niepokoi pana, co mnie może łączyć z Hunterem MacDonaldem? Otóż nic.

- To już zdążyłem sam wywnioskować.

Omam nie poderwała się z miejsca. Najwyraźniej bawił się jej kosztem! Nie panując nad złością, wybuchnęła:

- Hunter, hrabio, to pańskie i moje najmniejsze zmartwienie! Chce pan poznać prawdę na mój temat? Bardzo proszę! Moja matka była prostytutką na East Endzie. Wcale tak nie zaczynała... choć niektóre kobiety, sir, rodzą się dziwkami. Była siódmym dzieckiem anglikańskiego pastora w Yorku i dlatego otrzymała staranne wykształcenie. Wychowałam się w przeświadczeniu, że mój ojciec był kimś ważnym albo utytułowanym, ale chociaż żyjemy w tak oświeczonej epoce, nie zmienia to faktu, że jestem bękartem. Moja matka, wiedząc, że zostanie potępiona przez środowisko, pospieszyła do Londynu w nadziei, że zdobędzie pracę odpowiednią do jej wykształcenia i wiedzy. Jednak wysiłek okazał się daremny, zwłaszcza że była w ciąży. Jak każda matka pragnęła dla mnie lepszego życia.

Camille zamilkła, dumając nad desperacją matki, skazanej na ponurą egzystencję. Zastanawiała się również, jak daleko sama by się posunęła dla dobra swojego dziecka.

- Robiła, co mogła, żeby ukryć przede mną okropieństwo własnego życia. W dzień starała się mnie uczyć. Czytała, śpiewała i zabierała mnie do muzeum. Spędzałyśmy długie godziny w Victoria and Albert, gdzie uczyła mnie historii i języka starożytnego Egiptu. Sama dużo czytała, więc i ja pochłaniałam książki. I wiele z tego, co wiem, nauczyłam się sama. Powiada pan, że nie chciałby wyjść na durnia? Ależ, hrabio, wystarczy tylko odpowiednio mocno nacisnąć, a ręczę, że ktoś odkryje prawdę. Gdyby miał pan pod maską trochę rozumu, natychmiast zaprzestałby pan tej komedii. A jeśli za tymi kłami kryje się choć odrobina miłosierdzia, postara się pan, żeby wszystko wróciło do jakiejś takiej normalności, a ja żebym mogła zachować pracę!

Kończąc swoją tyradę, położyła dłonie na stole i pochyliła się w stronę hrabiego, cała drżąca.

Wściekłość przewalała się przez nią jak lawina. Dopiero kiedy wyrzuciła z siebie wszystko, pożałowała, że dała się sprowokować.

Hrabia nawet się nie wzdrygnął, tylko na nią patrzył. I znowu zdumiała się, widząc cień uśmiechu pod maską i błysk ożywienia, a może nawet podziwu w jego spojrzeniu.

Poderwała się od stołu i cofnęła o parę kroków.

- Niech pan coś powie - poprosiła cicho.

- Sama nauczyła się pani hieroglifów? - zapytał.

- Czy pan słyszał, co powiedziałam?! - krzyknęła zdesperowana.

- Doskonale. I jestem autentycznie zdumiony. Naprawdę samodzielnie nauczyła się pani odczytywać hieroglify?

Załamano rękę.

- Głupcze, nic pan nie zrozumiał! To nie ma sensu! - wybuchnęła znowu.
- Moja matka była prostytutką! Jeżeli ktoś zacznie drażnić, ten fakt wyjdzie na jaw.

- Naprawdę musiała być zdumiewającą kobietą - powiedział jakby do siebie.

- Czy nie wyjawiałam wystarczająco wiele, żeby wreszcie przestał pan opowiadać głupoty?

W końcu i on wstał.

- Byłbym wdzięczny, gdyby w przyszłości nie nazywała mnie pani głupcem - rzucił jakby mimochodem. - Nigdy więcej. - Wykonał ręką ruch w kierunku stołu. - Zostawiam panią samą, ponieważ uważam, że musi się pani posilić, a obecność takiego potwora jak ja przeszkadza pani w jedzeniu.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

- Proszę zostać! - krzyknęła.

- Coś jeszcze, panno Montgomery? - zapytał, obrzucając ją złym spojrzeniem.

- Niech mi pan da skończyć, hrabio, skoro tak pan nalegał! Nie ma chyba takiej rzeczy na świecie, której bym nie zrobiła dla Tristana Montgomery'ego. Uratował mnie, nie oczekując niczego w zamian. Dał mi wszystko, co najlepsze. Dlatego wezmę udział w pańskiej farsie. Zrobię, co w mojej mocy, żeby pana zadowolić. Zachowam się tak, jak pan zechce, udam się wszędzie, gdzie pan wskaże. Odmówię jednak wspólnych posiłków z panem, jeżeli z uporem będzie pan twierdzić, że oceniam ludzi na podstawie wyglądu. Zresztą to nie pański wygląd czyni z pana potwora!

- Wspaniałe przemówienie - zauważył hrabia z przekąsem.

- Wszystkiemu winna pańska nieustanna podejrzliwość i okrutne postępowanie. Jeśli zależy panu na mojej współpracy, powinien pan inaczej wobec mnie się zachowywać.

Milczał przez chwilę, po czym obszedł ją dokoła i powiedział:

- Usiądź, proszę, Camille.

Posłuchała wcale nie dlatego, że ją o to poprosił. Bała się po prostu, iż nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Pochylił się nad nią, kładąc ręce na stole po obu jej stronach. Wciągnęła w nozdrza zapach wody kolońskiej i mydła, nikłą woń skóry i dobrego fajkowego tytoniu. Czowała na sobie nieubłagany wzrok hrabiego.

- Słucham - wyrzuciła bez tchu.

- Jak ja się nazywam?

- Lord Stirling, hrabia Carlyle.

- Po prostu Brian. Proszę używać mojego imienia.

- Chętnie, o ile...

- O ile? Kolejne warunki? Kto tu kogo szantażuje?

- Musi pan przestać być... okrutny!

Był teraz bardzo blisko niej, a ona, o zgrozo, czuła się z tym dobrze. Choć rumieniec wystąpił na jej policzki, była zafascynowana. Po chwili hrabia się odsunął.

- Wystygnie pani kolacja - powiedział.

- Panu również.

- Zamierzam dać pani spokój.

- Zaprosił mnie pan na kolację, byłoby więc ze wszech miar niegrzecznie zostawić mnie teraz samą.

Zaśmiał się głośno, obszedł stół i usiadł na swoim miejscu. Zanim sięgnął po widelec, wpatrywał się w nią chwilę.

- Pani jagnięcina - przypomniał.

- Zacznę jeść, kiedy i pan zacznie.

- Musi pani wiedzieć, że nie ma nic wstydliwego w pani pochodzeniu. Dzieci nie ponoszą winy za grzechy rodziców.

- Wcale nie uważam, że moja mama grzeszyła - odparła cicho Camille. -
Myślę, że po prostu... zakochała się za mocno i zbyt nierozważnie.

- No cóż, obawiam się, że pani ojciec był osłem.

- Nareszcie jedna rzecz, co do której się zgadzamy.

Poczuła na dłoni jego rękę, ciepłą i dodającą otuchy.

- Jak powiedziałem, nie ma się czego wstydzić.

Poruszyły ją te słowa.

- Większość ludzi nie postrzegałaby tego w taki sposób. Cóż, ostrzegłam pana. Proszę nie zapominać, że teraz w pańskich rękach spoczywa mój los.

- Gdyby kiedykolwiek padła pani ofiarą intryg, stać by mnie było na pensję dla pani.

- Moja praca jest również moją pasją.

- Mam wielkie wpływy w muzeum - przypomniał.

Brian nie puszczał jej ręki. Kusilo ją, żeby przyciągnąć dłoń hrabiego do twarzy, poczuć ją na policzku. Serce jej biło nierówno i o wiele za szybko.

Zabrała rękę, przerażona nie tyle tym mężczyzną, ile własną reakcją.

- Proszę mi wybaczyć, czuję się zmęczona - powiedziała. - Przepraszam, ale... muszę odejść.

- Odprowadzę panią do pokoju.

- Jestem pewna, że znajdę drogę.

Subtelny dżentelmen, którego w nim nagle dostrzegła, zniknął w mgnieniu oka.

- Odprowadzę panią - rzekł szorstko. Pomaszerował do drzwi, otworzył je i przepuścił Camille.

Przechodząc obok, miała wyostrzoną świadomość jego bliskości. Była pewna, że słyszy jego oddech, wyczuwa trzymaną na uwięzi gwałtowność, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Kiedy znalazła się za drzwiami, ruszył za nią, po czym ją wyprzedził. Towarzyszył im Ajax. Co ciekawe, szedł przy Camille, zamiast przyspieszyć i dotrzymać kroku swojemu panu.

Po długim marszu korytarzem dotarli do drzwi pokoju zajmowanego przez Camille.

Podziękowała hrabiemu chłodno.

- Sama bym trafiła.

- Raczej nie - odrzekł szorstko. - I proszę nigdy, powtarzam, nigdy nie wędrować tymi korytarzami w nocy, rozumie pani? Nigdy!

- Dobranoc, hrabio - powiedziała, chcąc jak najszybciej zamknąć drzwi za sobą. - Dobranoc. Ajax! - Na dźwięk swojego imienia pies wszedł przez uchylone drzwi do pokoju Camille.

Odchodząc, hrabia rzucił jej jeszcze chłodne spojrzenie.

Słyszała echo jego kroków, niosące się korytarzem. Przyszło jej do głowy, że komnaty gospodarza tego zamku mogą równie dobrze przylegać do jej pokoju.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nazajutrz rano Brian zastał Camille w saloniku. Miała na sobie ciemnobłękitną suknię, którą Evelyn wyszukała dla niej w garderobie, idealnie nadającą się do pracy.

- Całkiem nieźle - zauważył.

- Cieszy mnie niezmiernie pańska aprobata, zwłaszcza że nie mam możliwości udania się do domu po własne ubranie - skwitowała komplement, a jej złociste cętkowane oczy miały złe błyski.

Oczywiście, nie dbała o jego opinię, ale hrabia nie zamierzał podejmować z nią dyskusji. Kiedy nalewał sobie herbatę, zastanawiał się, czy Camille zdaje sobie sprawę, jaka jest urzekająca. Czy wie, jak doskonałe i harmonijne są rysy jej twarzy, jaki piękny kolor mają jej bujne włosy? Jest taka szczupła, a przy tym cudownie zbudowana - cienka w pasie, o opływowych biodrach oraz idealnie kształtnych piersiach. Jej urok polega także na sposobie, w jaki się nosi i trzyma głowę. I na spojrzeniu, w którym jest widoczna żywa inteligencja.

Udało mu się odrobinę do niej zbliżyć. Na zadane pytania odpowiedziała tak żywo, że musiał uwierzyć jej słowom. Wszystko wskazywało na to, że powinien jej zaufać, ale na razie wołał zachować ostrożność. Obawiał się też narastającego w nim pociągu do tej urokliwej młodej piękności.

Odstawił filiżankę i umocnił się w swoim postanowieniu.

- Shelby przyjedzie po panią o czwartej.

- Nie mogę wyjść tak wcześnie!

- Ależ może pani, sir John na pewno wyrazi zgodę. Choć siostry są utalentowane, trzeba dać im kilka dni na wyczarowanie balowej kreacji.

Popatrzyła na niego z ledwo tłumioną złością.

- Hrabio, to wszystko jest po prostu idiotyczne. Pan prowadzi swoje dochodzenie... nie wnika, uzasadnione czy nie. Ta farsa kiedyś się skończy, a ja muszę utrzymać posadę.

- Proszę mi zaufać. Napisałem list, który Shelby wręczy sir Johnowi. Dostanie pani wolny czas.

- Hrabio...

Odwrócił się, by wyjść. Miał jeszcze wiele spraw do załatwienia. Ta dziewczyna była niczym róża z kolcami.

- Miłego dnia, Camille. Zobaczymy się jak zwykle wieczorem, u mnie na kolacji. Będę wdzięczny za sprawozdanie z wydarzeń w muzeum.

Podniosła się poirytowana.

- Jakich znowu wydarzeń?! - zawołała. - Nałożę fartuch i będę się przekopywać przez tysiącletni kurz! A poza tym już zdałam panu sprawozdanie z muzeum i z tego, co dotyczy mojej osoby.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Oj, panno Montgomery, zwykle bywa pani bardziej spostrzegawcza i bystra.

Nie dając jej szansy na odpowiedź, szybko skierował się do drzwi.

Tego ranka Camille nie mogła się skoncentrować.

Wpatrywała się w kamień, a hieroglify wciąż rozplływały się przed jej oczami. Nie udało się jej dokładnie przetłumaczyć dalszej części tekstu, ale wszystko wskazywało na to, że jest tam mowa o klątwie ciężającej nie tylko na tych, którzy wtargną i sprofanują grobowiec, ale także na ich potomstwie.

Doszła do wniosku, że musi zrobić przerwę. Wynurzyła się ze swojej niewielkiej pracowni i spojrzała w kierunku biurka sir Johna, chcąc go zapytać, czy może wyjść na filiżankę herbaty, która przywróci jej równowagę. Sir Johna nie było.

Niespokojnie rozejrzała się po gabinecie, po czym usiadła za biurkiem zwierchnika. Górna szuflada była lekko wysunięta, a gdy chciała ją zamknąć, stwierdziła, że się zaklinowała. Z trudem udało jej się wyciągnąć ją do końca. Już chciała szufladę porządnie zamknąć, kiedy jej wzrok przyciągnął wycinek prasowy, leżący na wierzchu na stosiku piór, ołówków i innych przyborów.

Okazało się, że to tytułowa strona "Timesa" sprzed ponad roku. A nagłówek był zdecydowanie prowokacyjny:

"Kłątwa z za grobu dosięga i zabija londyńskie znakomitości"

Niżej widniało zdjęcie. Chociaż odbitka była marna i ziarnista, Camille rozpoznała kobietę na fotografii - lady Abigail Stirling. Mężczyzna obok niej, nieżyjący hrabia Stirling, wysoki i imponujący, miał szlachetnie rzeźbione rysy twarzy. Małżonkowie stali przy wykopaliskach, oboje promiennie uśmiechnięci. Hrabia obejmował żonę ramieniem. Była ubrana w prostą jasną bluzkę i długą

spódnicę, on zaś miał na sobie tweedową marynarkę. Wokół stali też inni ludzie - robotnicy egipscy i rodacy.

Camille wyłowiła z szuflady szkło powiększające i kontynuowała oglądanie fotografii. Rozpoznała siedzącą na marmurowej płycie pannę Prior. Blisko wejścia do grobowca dwaj mężczyźni, Hunter i Alex, nieśli zapakowane dzieła sztuki, gotowe do transportu. W samym wejściu do grobowca stał sir John. Musiała się dobrze przyjrzeć, żeby na drugim planie, w mężczyźnie kierującym grupą Egipcjan transportujących na wzgórze sarkofag, rozpoznać Aubreya Sizemore'a.

Pod zdjęciem i nagłówkiem widniał podpis.

"Od euforii do tragedii; hrabia i jego żona padli ofiarą egipskiej kobry. Nawet królowa optakuje zmarłych, gdy zemsta z za grobu wyciąga kościste palce i śmierć zbiera okrutne żniwo".

Camille usłyszała, że ktoś nadchodzi. Chciała przeczytać cały artykuł, ale wolała nie ryzykować, że zostanie przyłapana na przeszukiwaniu biurka sir Johna. Szybko włożyła wycinek z powrotem, zamknęła szufladę i odłożyła na miejsce szkło powiększające. Poderwała się na nogi.

Serce jej waliło, choć nie wiedziała dlaczego. W tym, co zrobiła, nie było niczego zdrożnego.

Chciała tylko zasunąć szufladę, zobaczyła artykuł i zaczęła go czytać.

Wszedł sir John, wyraźnie czymś zaaferowany. Widząc Camille stojącą w gabinecie, zmarszczył brwi.

- Czy stało się coś złego, Camille? - zapytał. Oczywiście kryło się za tym inne pytanie: *dlaczego nie pracujesz?*

- Przepraszam, sir Johnie. Wszystko w porządku, czuję się tylko trochę zmęczona. Chciałam się wymknąć na filiżankę herbaty. Za to później nie pójde na lunch. Był pan bardzo uprzejmy, że przystał na prośbę hrabiego Stirlinga i pozwolił mi wyjść wcześniej, abym mogła udać się do krawcowej.

Ku jej zdumieniu, sir John machnął ręką i znowu pogrążył się w zadumie.

- Nawet gdyby pani nie pojawiła się do końca tygodnia, też byłoby w porządku - odrzekł. - Oddała nam pani ostatnio wielką przysługę. Proszę iść na herbatę. Praca może poczekać.

- Dziękuję, ale to wcale nie znaczy, że zamierzam zaniedbywać się w obowiązkach.

- Nawet mnie od czasu do czasu potrzebna jest filiżanka herbaty. Albo porcyjka brandy. Coś, co rozjaśnia umysł. Proszę się nie krępować.

Mając takie błogosławieństwo, Camille pozbyła się fartucha i sięgnęła po małą niebieską torebkę, doskonale pasującą do wytwornej sukni, o którą postarała się dla niej panna Prior. Szybko opuściła biuro.

Przechodząc przez sale wystawowe, przystanęła. Kobra wylegiwała się w terrarium. W pobliżu nie było dzieci, które mogłyby ją drażnić. Camille podeszła do szyby, zastanawiając się, czy wystawianie stworzenia na widok publiczny ma sens. Przecież szkło można stłuc.

Zmarszczyła czoło. Kobrą opiekował się Aubrey i był za nią odpowiedzialny. Wiedział coś niecoś o tych stworzeniach jeszcze z czasu wypraw. Camille poczuła się nieswojo. Widziała Aubreya na fotografii z ostatniej ekspedycji pod patronatem Stirlingów. Tak jak i pozostałych.

Odwróciła się, by odejść, ale natychmiast znieruchomiała, czując zimny dreszcz na plecach.

Rozejrzała się dookoła i aż się wzdrygnęła. Czy się złąkła, że wąż wyskoczy z terrarium i popełni za nią? Ale tu nie chodziło o węża. Po prostu wyraźnie poczuła, że ktoś ją śledzi. A przecież, jak okiem sięgnąć, nikogo nie ma. W każdym razie nikogo nie widać.

Nie mogąc się pozbyć przykrego wrażenia, że jest obserwowana, Camille wybiegła z budynku i skierowała kroki do ogródka niewielkiej herbaciarni po przeciwnej stronie ulicy.

Druga część dnia upłynęła szybko. Camille pracowało się o wiele lepiej niż przed przerwą, a znaki hieroglifów układały się w sensowną całość, potwierdzając to, czego nie była pewna rano. Wczesnym popołudniem zajrzał do niej Alex. Nie miał nic ważnego do powiedzenia, zatrzymał się w drzwiach, obrzucił Camille ponurym spojrzeniem i spytał:

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że on może być obłąkany?

- Co takiego?!

- Hrabia Carlyle. Camille, tak bardzo się o ciebie boję.

Westchnęła.

- Nie uważam, żeby był chory umysłowo.

- To jak wytłumaczysz fakt, że nosi tę maskę, dopuścił, by jego posiadłość zarosła jak dżungla, i żyje w swoich murach niczym zaszczute zwierzę?

Na korytarzu Camille dostrzegła starszego człowieka, którego wczoraj szukał Aubrey. Zgarbiony, z długimi siwymi bokobrodami i taką samą brodą, Jim Arboc z zapalem zmiatał sąsiednie biuro.

- Każdy ma prawo do ekscentryczności - zwróciła uwagę Alexowi, na co ten potrząsnął głową.

- Przecież nie ma prawa narzekać. Utytułowanemu wszystko uchodzi. Dlaczego, jako arystokrata, z takimi pieniędzmi, z takimi możliwościami...

- Alex, on nie robi niczego złego. Po prostu woli spokojne życie w swoich murach.

- Nie zyskuje się reputacji potwora bez powodu.

Uniosła brwi.

- Przecież go tu wczoraj widziałeś. Potrafi być bardzo uprzejmy.

- Camille, więc ty także!

- Co ja także? - zapytała, tracąc cierpliwość.

- Jesteś urzeczona jego tytułem, prawda?

- Alex, jesteś moim przyjacielem. Proponuję, żebyś sobie poszedł, zanim powiesz o jedno słowo za dużo.

- Och, Camille - jęknął żałośnie. - Bardzo przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte.

- A gdybym ja był bogaty? - zapytał, wchodząc do pokoju.

- Słucham?

- Gdybym był... no, gdybym był człowiekiem z dużymi możliwościami. Czy zależałoby ci na mnie?

- Mnie naprawdę na tobie zależy.

- Wiesz, że o co innego mi chodzi, Camille.

Potrząsnęła głową.

- Alex, powtarzam: jesteś moim przyjacielem i zależy mi na tobie. Na obecnym etapie życia pasjonuje mnie tylko praca. Wiesz, z jakim trudem ją zdobyłam.

- Dlaczego z nim mieszkasz? Zabierz Tristana z zamku. Jestem pewny, że skoro nie był poważnie ranny, mógłby się już wyprowadzić.

- Nie wiem, Alex, co sugerujesz, ale odbieram twoje insynuacje jako wyjątkowo obraźliwe.

- Za bardzo mi na tobie zależy, żeby nie wiedzieć, co z tego wyniknie.

- A co może wyniknąć?

- Skandal.

- Niby dlaczego?

- Pochodzisz z gminu, Camille. Nie ma w tym nic obraźliwego, po prostu stwierdzam fakt. Mieszkasz u hrabiego, który będzie ci towarzyszył podczas gali. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ludzie zaczną strzepić języki.

- Niech sobie strzepią - odparowała ostro. Kipiąc złością, wstała od stołu.
- Alex, muszę cię prosić, żebyś wyszedł. Ludzie nazwali hrabiego potworem, ale zapewniam cię, że nim nie jest. Poprosił mnie, żebym razem z nim uczestniczyła w muzealnej uroczystości, i zrobię to. Nie boję się z nim przebywać. Prawdę mówiąc, zachowanie twoje i Huntera pozostawia więcej do życzenia. Niech ludzie plotkują, a ja będę bronić tego człowieka. Był ranny, został okaleczony i oszpecony. To wszystko. Nie uważam, żeby był odpychający, nie uważam go też za potwora, pod żadnym względem. A teraz, jeżeli zależy ci na naszej przyjaźni, zamilknij i wyjdź.

- Camille!

- Alex, do widzenia!

Odwrócił się, a kiedy wychodził, usłyszała, jak mruczy pod nosem: "Tytuły... i bogactwo". Westchnęła i wróciła do pracy.

"Nie znajduję słów na wyrażenie radości z naszego odkrycia i fascynacji, z jaką drogi George i ja zanurzyliśmy się w przeszłości i teraźniejszości tego cudownego, choć udręczonego kraju. Starożytni pozostawili mnóstwo skarbów, podczas gdy tutejsi ludzie cierpią okropną biedę. Żywię głęboką nadzieję, iż odkrywając bogactwa przeszłości, spłacamy dług tym, którzy tak rozpaczliwie potrzebują naszej pomocy. Jeżeli pretendujemy do miana wielkiego imperium, musimy dbać o to, żeby nie ograbiać tych ludzi z ich dziedzictwa. Po tym wstępie postaram się przenieść na papier wszystko, co wydarzyło się tamtego wspaniałego pierwszego dnia, i opowiedzieć o cudach, jakie napotkaliśmy w trakcie wykopalisk.

Był wczesny poranek, kiedy Abdul natknął się na schody. Zaczęliśmy więc kopać z zapalem, wszyscy, łącznie ze mną. I oto wreszcie ukazały się naszym oczom zamurowane drzwi. Oczywiście zgodnie ze starożytnym zwyczajem, widniało na nich zaklęcie.

Jeden z kopiących Egipcjan, przekonany, że popełniamy świętokradztwo, wpadł w panikę. Lord Wimbley trochę był na mnie zły, że biedakowi zapłaciłam, udowadniał, iż to wszystko lenie i przesądni głupcy i że nie powinno się ich nagradzać za takie zachowanie. Hunter zbagatelizował incydent i powiedział, że mogę robić, co tylko zechcę. Jest nieodmiennie uwodzicielski i zawsze się ze mną zgadza. Myślę, że także Alex był zmartwiony, ale biedak parę razy poważnie chorował i często był nieobecny. Próbowałam go pocieszyć, bo rozumiem jego zniecierpliwienie; nie stać go na finansowanie wielu projektów, które przyniosłyby mu namacalną korzyść.

Do otwarcia szczelnie zamkniętych drzwi ściągnięto innych robotników. A potem ukazał się nam grobowiec. Oniemieliśmy. Nie był to wprawdzie grobowiec faraona, jednak odkryliśmy miejsce spoczynku kogoś ważnego: wielkiego kapłana, proroka albo świętego człowieka. A kiedy ostrożnie weszliśmy do środka, okazało się, że odkrycie jest naprawdę niezwykle. Wpadliśmy w zachwyt, a Aubrey tak się wyrywał do badania sarkofagu, że z trudem go powstrzymaliśmy.

Wiedzieliśmy, że takie odkrycie wymaga szczególnej ostrożności. Musieliśmy podjąć wiele decyzji. Znaleźiska powinny trafić do muzeum w Kairze; mówię to z pełnym przekonaniem, bo uważam, iż te skarby są własnością społeczeństwa egipskiego. Ale muszą też trafić do naszego wspaniałego centrum kultury, gdzie powinny służyć edukacji; święcie w to wierzę, że przyszłość poznaje się poprzez przeszłość. Jeżeli jest coś, czym mogłabym odplacić Bogu za takie cudowne życie, to właśnie możliwość kształcenia i oświecenia naszego społeczeństwa.

Chociaż zbadaliśmy, oczyściliśmy, skatalogowaliśmy i zapakowaliśmy te skarby, to na dobrą sprawę ledwo zdążyliśmy się im przyjrzeć. Jestem zmęczona, ale ogromnie podekscytowana. Biedny George! Nawet tutaj zadaje sobie trud rozszyfrowywania zagadek londyńskiego domu. Gdy ja jestem coraz bardziej pochłonięta pracą, on coraz częściej mówi mi o Carlyle i o tym, że nie może się doczekać powrotu, bo chce sprawdzić, czy słuszna jest jego teoria dotycząca naszego pięknego zamku".

Brian odłożył dziennik matki. Czytał go ciągle od nowa, szukając między wierszami czegoś, co by go naprowadziło na trop. Starał się dociec, czy matka nie miała poważnych problemów z którymś z badaczy, biorących udział w ostatniej ekspedycji. Lady Abigail tak w życiu, jak i w dzienniku odnosiła się do wszystkich życzliwie i przyjaźnie.

Sięgnął po notatki z autopsji, które dziś rano pożyczył mu Gregory Althorp - przyjaciel z wojska, człowiek zafascynowany medycyną, wykładowca, pasjonujący się przeprowadzaniem sekcji zwłok w poszukiwaniu prawdziwej przyczyny zgonów. Brian starał się nie myśleć o stanie, w jakim znajdowały się ciała rodziców, gdy dotarły do Anglii i do prosektorium Gregory'ego. Zastanawiał się głównie nad tym, gdzie mogły znajdować się węże, kiedy rodzice się na nie natknęli.

Zamknął oczy. W szufladzie? Czy matka wsunęła tam rękę i została zaatakowana? Została dwukrotnie ukąszona w przedramię. Czy jej krzyk zaalarmował ojca? Czy podbiegł do niej natychmiast i wziął ją w ramiona?

Musiała upaść, to by wyjaśniało złamanie podstawy czaszki. A więc krzyknęła, upadła i wtedy zjawił się ojciec.

Ale skąd ukąszenia na ramionach ojca? Jeżeli węże były w szufladzie, to gdy matka upadła, ojciec zaś przybiegł jej na ratunek, węże mogły znajdować się albo nadal w szufladzie, albo na podłodze... ale w takim razie ojciec zostałby ukąszony w stopy albo w kostki.

Brian ponownie zabrał się do studiowania notatek. Na szyi ojca znaleziono skaleczenie. Czy zadrasnął się podczas golenia? A to zagadkowe stłuczenie na ramieniu matki?

Odłożył notatki i przeciągnął dłonią po twarzy, zadowolony, że w swoich prywatnych komnatach nie musi wkładać maski. Machinalnie przejechał palcem po bliźnie biegnącej w dół policzka.

Od początku był pewny, że rodzice zostali zamordowani. Podejrzewał, że morderca postarał się, by węże znalazły się w miejscu, gdzie odruchowo muszą ukąsić, zanim zostaną zauważone. Jednak teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem morderca nie przebywał w tym samym pokoju. Czy rodzice zobaczyli twarz mordercy i wiedzieli, co ich czeka?

Wzdrygnął się. Przepęłniła go złość, a wraz z nią powróciło natrętne pytanie: dlaczego?

Przysiągł na Boga, że dotrze do prawdy.

- Och, jak miło! - zawołała kobieta, wpuszczając Camille do domku. - Shelby, mój drogi, mam nadzieję, że też wstąpisz na chwilę?

- Oczywiście, Merry, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie przepuszczę okazji wypicia filiżanki twojej wybornej herbaty i spróbowania jednej z tych babeczek, które tak pachną. - Shelby odchrząknął. - Merry, to panna Camille Montgomery, uczona z muzeum. Camille, chciałbym pani przedstawić Merry i pozostałe dziewczęta, Edith i Violet.

Camille uśmiechnęła się. *Wszystkie "dziewczęta" mają dobrze po sześćdziesiątce*, doszła do wniosku. A jednak Shelby chyba słusznie tak je nazwał; wszystkie trzy były urocze, a uśmiechały się zawadiacko i młodzieńczo.

Za to siebie nie nazwałaby uczoną. Nie miała kwalifikacji, a zwłaszcza odpowiednich dokumentów, by się za taką uważać.

Violet była bardzo wysoka i szczupła, podczas gdy nieduża i trochę przysadzista Merry imponowała wydatnym biustem.

- Camille... co za urocze imię. Ośmielę się zauważyć, że ktoś w rodzinie musiał być miłośnikiem opery - powiedziała Edith.

- No, no, może jej mama po prostu lubiła to imię - odrzekła Merry, uśmiechając się ciepło. - Edith była przez lata nauczycielką, moja droga, więc dzień po dniu słuchamy oper z tej tutaj cudownej maszyny. Trochę skrzeczy, ale... co tam! - Zwróciła się do siostry. - Czy ona nie jest śliczna? - zawołała i popatrzyła na Camille. - To dla nas prawdziwa przyjemność.

- Dziękuję - odpowiedziała zażenowana Camille.

- Merry, kochanie, zaparz herbatę - poprosiła Edith. - A my z Violet zdejmujemy miarę. Chodźmy stąd, moja droga.

Violet chwyciła Camille za ramię i zaciągnęła do pokoju na tyłach domku, gdzie stała maszyna do szycia, manekin krawiecki, półki pełne bel materiałów, szpulek nici i wszelkiego rodzaju akcesoriów. Kobiety były czarujące; paplały między sobą i zadawały jej pytania, nie czekając wcale na odpowiedź. Ani się spostrzegła, jak została w samej koszuli, a centymetr przenosił się z miejsca na miejsce. W końcu udało jej się wtrącić zdanie.

- Edith, była pani nauczycielką?

- Och tak, kochanie, i uwielbiałam uczyć!

- A teraz... wszystkie jesteście krawcowymi?

- Ależ nie! - odrzekła Violet. - Chociaż, jak widzisz, lubimy tę pracę. Jesteśmy siostrami, do tego owdowiałymi.

- To cudownie, że macie siebie nawzajem.

- Fantastycznie! - przyznała Violet.

- Och, jest nas więcej w rodzinie - oznajmiła Edith. - Merry ma wspaniałego syna, który służy w Indiach w armii jej królewskiej mości.

- I sam ma już trzech synów! - dorzuciła Violet.

- Rozumiem. Czy w ten sposób poznałyście hrabiego? - zapytała Camille.

Edith zaśmiała się uroczo.

- Och nie, kochanie. Mamy ten domek już od... dwudziestu lat, prawda, Violet?

- W rzeczy samej.

Camille musiała mieć lekko skonsternowaną minę, bo Violet wyjaśniła:

- Kochanie, znajdujemy się na terenie posiadłości hrabiego Carlyle. Oczywiście wprowadziłyśmy się tutaj jeszcze za życia jego rodziców... szyłyśmy wszystkie ubrania dla lady Stirling. Teraz szyjemy tylko koszule dla Briana. Jakże mi brak jego kochanej matki! I nie dlatego, żeby on nie był dla nas najhojniejszym z ludzi. O tak, Brian jest człowiekiem bardzo odpowiedzialnym i godnym zaufania. A teraz, moja droga, odwróć się do mnie plecami.

Kiedy Camille to zrobiła, zaskoczył ją widok stojącej w drzwiach ślicznej cztero- lub pięcioletniej dziewczynki. Mała miała wspaniałe ciemne loki, ogromne oczy i rozkoszne dołeczki w policzkach. Przyglądała się Camille i wcale nie wyglądała na onieśmiałą.

- Hm... witaj - powiedziała Camille.

Violet odwróciła się błyskawicznie.

- Ally! Dziecko, dlaczego jeszcze nie jesteś w łóżku?

Ally posłała Camille tajemniczy uśmiech.

- Chce mi się pić - powiedziała słodko. - I jestem głodna, ciociu Vi!

- Aha, poczuła babeczki - powiedziała Edith z pobłażaniem w głosie. - Och, gdzie moje dobre maniery? Ally, poznaj pannę Montgomery. Panno Montgomery, to jest Ally.

Nie przedstawiły małej z nazwiska.

- Witam panią - powiedziała Ally, dygając.

- Miło cię poznać - zapewniła dziewczynkę Camille.

Popatrzyła na Violet.

- To jedna z wnuczek Merry? - zapytała.

- Och, nie! Wszyscy wnukowie mieszkają z matkami - zapewniła Violet.

- Ally to nasza mała podopieczna - wyjaśniła Edith, składając centymetr. - No to już, wszystko zmierzone i zapisane. Ale, ale, kochanie! Musisz jeszcze obejrzeć materiał. - Ściągnęła belę z jednej z półek. - Patrz, to będzie na wierzchnią spódnicę. Mam nadzieję, że ci się podoba. Jesteśmy tak bardzo podekscytowane tą suknią!

Camille zachwyciła się materiałem. Wyglądał jak utkany ze złotej nici, a jednak w tle prześwitywała odrobina zieleni.

Ally podeszła i z namaszczeniem dotknęła materiału. Uśmiechnęła się szelmowsko do Camille, demonstrując dołeczki.

- Jest jak twoje oczy - powiedziała.

- Rzeczywiście - przytaknęła Violet. - Edith, czy hrabia nie powiedział tego samego?

- O tak, a jak dobrze pasuje.

- A teraz, moja droga, pozwól, że ubierzemy cię i przejdziemy do kuchni na herbatę.

- Och tak, tak! Na herbatę! - zawołała Ally i klasnęła w dłonie.

Violet szybko pomogła włożyć Camille błękitną suknię, a Edith błyskawicznie uwinęła się ze sznurówkami i halkami.

Camille nie mogła uwolnić się od myśli, czyim dzieckiem może być Ally. I dlaczego mieszka ze swoimi "ciociami"? Czyżby ta śliczna dziewczynka była nieślubnym dzieckiem... Briana Stirlinga?

- Chodźmy, chodźmy na herbatę - zapraszała gorąco Violet, gasząc lampę. Edith ruszyła przodem.

Ally podeszła do Camille i wsunęła rączkę w jej dłoń.

- Proszę z nami. Babeczki są przepyszne.

Rzeczywiście były. Herbata przy ładnie nakrytym kuchennym stole w małym domku smakowała wybornie. Była gorąca, a zapach świeżo upieczonych babeczek unosił się w powietrzu. Wielkolud Shelby był najwyraźniej

ulubieńcem ciotek, a także Ally. Dziewczynka piszczała z zachwytu, kiedy wziął ją na barana i galopował z nią po pokoju. Camille, zachwycona dziecięcym śmiechem, wspaniała herbatą i pysznymi wypiekami, na chwilę zapomniała o całym świecie.

Ani się obejrzała, a trzeba było wracać.

- Jutro, kochanie, będziesz musiała zajrzeć na przymiarke - zapowiedziała Violet.

- Och, wszystko powinno leżeć doskonale. Naprawdę znamy się na tym, co robimy - dodała Edith, uśmiechając się szeroko. - Chcemy, żeby suknia była idealna, więc naprawdę będziesz musiała ją zmierzyć.

- To wszystko przez ten pośpiech, kochanie - dodała Merry, kiwając głową.

- Będzie pani pięknie wyglądała, panno Montgomery - z zachwytem w głosie dorzuciła Ally.

Z jakiegoś powodu ten szczery komplement dziewczynki sprawił, że łzy napłynęły Camille do oczu. Może dlatego, że przypomniała sobie swoje młode lata i te trochę późniejsze...

Nie wychowywały jej takie kobiety. To prawda, zaopiekował się nią Tristan, lecz on nie miał w sobie nic z dobrej ciotki, a już z pewnością nie piekł takich babeczek. Cóż, za to podzielił się z nią wszystkim, co miał, i oddał jej serce.

- To miło, że tak mówisz - podziękowała dziewczynce.

Poczuła przyływ żalu i złości. Hrabia Sterling zadbał o to, żeby jego dziecko otrzymało należyte wychowanie. Ale w czym jest lepszy od innych bogatych i utytułowanych mężczyzn, którzy wykorzystują naiwne młode kobiety z niższych sfer, po czym je porzucają? Ich ofiary muszą potem samotnie zmagać się z życiem.

Przycisnęła dziewczynkę do serca.

- Dziękuję - powiedziała.

Ally odchyliła się i zajrzała jej w oczy.

- Boisz się iść na ten bal?

- Eee, nie... nie! - spłoszyła się Camille. - Właściwie to nie jest bal. To kwesta na rzecz muzeum.

- A czego by się miała bać? Ty mały słodki głuptasku - powiedziała Violet, czule mierzwiąc włosy dziewczynki. - Zresztą to będzie bal, wielka gala w muzeum. Będzie tam wytwornie i pięknie, a panna Montgomery przetańczy wiele godzin.

- Będiesz tam najpiękniejsza - zapewniła dziewczynka, ujmując twarz Camille w pulchne rączki. - Jak księżniczka.

- Jesteś bardzo, bardzo słodka i kochana, ale daleko mi do księżniczki. Pracuję w muzeum, jak wiesz.

- I tylko dlatego nie możesz przetańczyć wieczoru jak księżniczka? - oburzyła się Merry. - O nie, moja miła. Ubierzesz się w złotą suknię i na tę noc poddasz się magii. Będiesz cudowna. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę ubraną, w drodze na bal.

- Na razie musimy ruszać w drogę, choć jeszcze nie na bal - wtrącił Shelby. - Hrabia będzie się niepokoił.

- Och, racja! Oczywiście! Idźcie już, a sio! - zawołała wesoło Meny. -1 pamiętajcie, jutro przymiarka.

Camille przystanęła, spoglądając na Shelby'ego.

- Nie wiem, czy będę mogła. Przecież pracuję.

- Hrabia Stirling może wszystko załatwić - przypomniała Violet. - A teraz uciekajcie.

Po chwili Camille znalazła się w powozie ozdobionym herbem rodowym. W drodze zastanawiała się, jak daleko sięgają wpływy hrabiego. Rozmyślała też o dziecku i o słowach Violet, że hrabia Carlyle "może załatwić wszystko". Gdy dotarli do zamku, była wściekła. Nawet nie bardzo wiedziała dlaczego.

Brian przyłapał się na tym, że z niecierpliwością wypatruje wieczoru. Shelby natychmiast poinformował go o powrocie Camille, a Brian dał jej czas na odwiedzenie Tristana i odświeżenie się po dniu pracy, po czym posłał po nią Evelyn.

Polubił towarzystwo Camille. Była błyskotliwa, miała cięty język i mocno stąpała po ziemi.

Na dźwięk otwieranych drzwi szybko się odwrócił.

- Dobry wieczór, panno Montgomery.

- Dobry?

- A nie? - zainteresował się, marszcząc czoło. Zawsze trzymała się prosto, a kiedy szła, zdawało się, że płynie. Dzisiaj poruszała się z istic królewską godnością.

- Jedno jest pewne, że mamy wieczór - zgodziła się.

- Czy coś się stało?

- Nic nowego. Mój opiekun nadal przebywa pod tym dachem, stąd moja tutaj obecność - poinformowała go. Wskazała na stół. - Obawiam się, że w muzeum nie wydarzyło się nic takiego, o czym mogłabym donieść, zepsuję więc panu posiłek.

- Założę się, że jest pani w błędzie. W muzeum mogło się zdarzyć bardzo wiele interesujących rzeczy, o których nawet pani nie wie.

- Mój dzień był nieciekawym - zapewniła.

- Proszę mi o nim opowiedzieć. Przekonamy się, czy podzielę pani opinię.

Camille wysunęła krzesło, ledwo patrząc na hrabiego. Skrzywił się, ciekaw przyczyny takiej wrogości. Kiedy usiadła, a on przysuwał jej krzesło do stołu, musnął go materiał jej sukni, a palce zelektryzował dotyk włosów. Zaskoczony był własną reakcją. Zadowolony, że Camille patrzy przed siebie, cofnął się o krok. Bał się, że nie ukryje tego, czego tak nieoczekiwanie doznał. Uczucia elementarnego, czysto cielesnego.

Cóż, to piękna kobieta. Takie myśli może mieć każdy mężczyzna. Tylko niekoniecznie musi im towarzyszyć gwałtowna reakcja.

Zły na siebie, zacisnął usta. Wziął się w garść i obszedł stół, by zająć swoje miejsce.

- Czyżby siostry się pani naprzykrzały? Trudno mi w to uwierzyć.

- Były uroczce. Mimo to nie podoba mi się fakt, że zmusza mnie pan do przyjęcia tej sukni.

- Dlaczego?

- Nie potrzebuję jałmużny.

- I nikt jej pani nie proponuje.

- Gdybym nie musiała uczestniczyć w kweście, nie potrzebowałabym nowych strojów.

- Ale weźmie w niej pani udział, potrzebuje więc pani sukni. Stanie się tak dlatego, że poprosiłem panią o to. I dlatego biorę sprawę sukni na siebie. Nie widzę w tym żadnej dobroczynności.

Nalał wina. Zbyt szybko, jak mu się zdawało, chwyciła swój kieliszek i natychmiast upiła łyk. Całkiem duży łyk. Chce sobie dodać odwagi? A może niepokoi ją coś naprawdę poważnego?

- A więc proszę opowiedzieć, jak minął dzień.

- Udałam się do pracy. Shelby przyjechał o czwartej. Pojechałam z nim do miary.

Próbując nie stracić cierpliwości, hrabia wziął kilka głębokich oddechów.

- Co wydarzyło się w muzeum?

- Pracowałam.

- Panno Montgomery...

- Kontynuowałam tłumaczenie. Obawiam się, że w tekście jest mowa o kłątwie; spadnie na tych, którzy sprofanowali grobowiec, nawet włącznie z ich potomstwem.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Wiem o tym. Myśli pani, że ta wiadomość wyprowadzi mnie z równowagi? Nie wierzę w klątwy, panno Montgomery. Wierzę natomiast w zło, które pochodzi od ludzi. Zdawało mi się, że już o tym mówiliśmy. Pracowała pani przy tłumaczeniu. I co jeszcze?

Zawahala się, wypijając kolejny łyk wina.

- Widziałam... wycinek prasowy. O pańskich rodzicach i innych ludziach, biorących udział w wykopaliskach.

- Ach tak - mruknął. - I gdzie go pani widziała?

- W szufladzie sir Johna - wycodziła.

- A widzi pani? Jednak dzisiejszy dzień rzuca światło na najbardziej pasjonujący i bliski memu sercu temat.

- Sir John nie jest mordercą!

- Czyżby to oznaczało, że jednak wierzy pani, że ktoś może nim być?

Camille odwróciła wzrok.

- Załóżmy, że ktoś rzeczywiście postarał się o to, by węże znalazły się w miejscu, gdzie przebywali pańscy rodzice. Nie ma sposobu, żeby się o tym przekonać. Nie można tego udowodnić. Tylko dręczy pan siebie, i nic poza tym.

Brian odniósł wrażenie, że szklana tafla, za którą się dzisiaj ukryła Camille, na chwilę opadła. Teraz, jakby poirytowana faktem, że obnażyła przed nim emocje, nagle się wyprostowała.

- A co z moimi znakomitymi kolegami, badającymi starożytny Egipt? - zapytał hrabia.

- Co pan ma na myśli?

- Wiem, że był tam sir John. A... inni?

Westchnęła.

- Alex pracował. Mignął mi Aubrey. Nie widziałam Huntera ani lorda Wimbley'ego, w każdym razie nie natknęłam się na żadnego z nich.

- A Alex?

- Co Alex?

- Czy powiedział albo zrobił coś nietypowego? Czy wdaliście się w rozmowę?

Skrzywiła się.

- W końcu pracujemy w tym samym dziale, a ponieważ oboje jesteśmy uprzejmymi ludźmi, mamy zwyczaj ze sobą rozmawiać.

- Czy powiedział coś szczególnego? - zadał kolejne pytanie.

Dopiła wino. Hrabia wpatrywał się w nią, jakby czekał na odpowiedź, napełniając jednocześnie jej kieliszek.

- Nie powiedział nic nowego. Boi się o mnie.

- Ponieważ uważa mnie za potwora.

Uniosła rękę, dając do zrozumienia, że nie powtórzy słów Alexa.

Brian uśmiechnął się nieznacznie i zapytał:

- Co mu pani odpowiedziała?

- Jakże to ma znaczenie? Prawdę mówiąc, zaczynam wierzyć, że wszyscy mężczyźni są potworami.

- Oczywiście, że mną na czele - mruknął.

- No cóż, nieźle pan się napracował na swój wizerunek, prawda? - Patrząc na niego, znowu sięgnęła po kieliszek. - Zresztą czasami wcale nie trzeba na to pracować. Niektórym ludziom takie zachowanie przychodzi z łatwością. Człowiek urodzony i wychowany wśród przywilejów może bezkarnie zabawiać się kosztem tych, którzy stoją od niego niżej, prawda?

- Tak, pamiętam, że powinienem udostępnić teren przed pałacem sierotom - mruknął.

Podniosła się, prychnęła wściekle i, ku jego zdumieniu, cisnęła serwetkę na stół, po czym skierowała się do drzwi.

- Panno Montgomery! - zawołał ostro, gdy do nich doszła.

Zesztywniała, ale wróciła wolnym krokiem.

- Przepraszam, ale nie jestem głodna. Myślę zresztą, że zdałam już relację ze wszystkich dzisiejszych wydarzeń.

Brian podniósł się z miejsca.

- Nie może mnie pan zmusić, żebym zjadła kolację! - zawołała.

Zatrzymał się przed Camille. Okazało się, że to wcale niełatwe. Każdy mięsień jego ciała zdawał się buntować. Trzeba było nadludzkiej samokontroli, żeby nie wziąć jej w ramiona, nie przyciągnąć do siebie...

- Nie może pani wędrować samotnie po zamku - powiedział stanowczo.

Otworzył drzwi i czekał, aż ona przejdzie. Uczyniła to z wyniosłą miną. Kiedy dotarli do jej pokoju, przypomniał:

- Proszę nigdy samej nie przechadzać się w nocy po zamku, rozumiała pani?

- O tak! Zrozumiałam.

- Na pewno?

- Aż za dobrze - zapewniła.

Po czym, ku zdumieniu Briana, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tej nocy pies nie przyszedł do jej pokoju. Może hrabia uznał, że Camille nie potrzebuje anioła stróża, a może doszedł do wniosku, że już nie trzeba strzec przed nią zamku.

Po bardzo długim dniu zaordynowała sobie długą kąpiel. Choć powinna się czuć zmęczona, myśli nie dawały jej spokoju i nie pozwalały zasnąć. Tak, hrabia nie zawsze był potworem. Starał się być uprzejmy podczas kolacji.

Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że widziała jego dziecko. Czy jest na tyle bezduszny, że nie obchodzi go, że poznała prawdę? Przecież po jej wczorajszym wyznaniu musiał się zorientować, że dla niej mężczyzna mający dzieci, ale nie poczuwający się do żadnych obowiązków wobec nich, jest godny potępienia.

Może mimo wszystko jest człowiekiem odpowiedzialnym. Dziecko wychowuje się wśród pełnych miłości kobiet. Ale... bez ojca.

Camille nie знаła swojego biologicznego ojca, ale przynajmniej Tristan wynagrodził jej tę stratę. Może zresztą słowo "wynagrodził" nie jest najwłaściwsze. W końcu nie byłoby jej tu teraz, gdyby Tristan był w porządku.

Nagle usłyszała dziwny dźwięk. A potem nastąpiła cisza. Zastanawiała się, czy jej się tylko wydawało, ale już po chwili okazało się, że nie. Dźwięk dał się słyszeć. Rozlegał się w jej pokoju.

Usiadła i zapaliła lampę. Z drugiego końca pokoju wpatrywał się w nią nieruchomymi oczami egipski gliniany kot. Zignorowała go; od dziecka widywała w muzeum różne starożytne przedmioty i nie bała się przeszłości. Ale ten dźwięk...

Podniosła się z łóżka i obeszła pokój, szukając źródła dźwięku. Na koniec doszła do wniosku, że nie dochodzi z jej pokoju, ale skądś niżej. Wahala się przez chwilę, po czym na bosaka podeszła do drzwi. Wbrew jej obawom, nie były zamknięte od zewnątrz.

Ostrożnie je otworzyła i wyjrzała na korytarz. Był pusty.

Znów usłyszała to samo.

Ruszyła korytarzem, zaintrygowana coraz bardziej. Przywierając do ściany, zeszła schodami do głównego holu. W przyćmionym świetle kilku słabo palących się lamp zbroje na ścianach połyskiwały złowieszczo. Minęła hol, kiedy uświadomiła sobie, że nie zna rozkładu zamku. Na szczęście masywne podwójne drzwi sklepione normandzkim łukiem były otwarte; bez trudu wślizgnęła się do kolejnego pomieszczenia. Tutaj paliła się tylko jedna lampa. Camille przez chwilę stała nieruchomo, nasłuchując i oswajając wzrok z półmrokiem.

Dotarła do długiego holu, który w lepszych czasach mógł pełnić rolę sali balowej. Pod ścianami stały zgrabne fotele i kanapki. W jednym z narożników ustawiono fortepian, a obok na podwyższeniu stała harfa i kilka instrumentów strunowych.

Kiedy Camille pokonywała te wielkie i puste przestrzenie, ciarki chodziły jej po plecach. Z trudem panowała nad sobą. Miała wrażenie, że w pustej sali balowej słyszczyć szepty widm z przeszłości; nigdy nie doznała podobnego uczucia wśród starożytnych przedmiotów i dzieł sztuki, nawet mumii.

Przystanąła pośrodku wielkiego pokoju i obróciła się na pięcie. Odniosła wrażenie, że ktoś ją śledzi, ale nie dostrzegła nikogo.

Posuwała się naprzód, aż dotarła do dwojga pięknie rzeźbionych drzwi, osadzonych we wspólnym portalu. Po krótkim wahaniu wybrała te z lewej strony. Najciszej jak mogła, nacisnęła klamkę. Musiały być często używane, ponieważ otworzyły się bezszelestnie.

Pomieszczenie, do którego weszła, było niedużą kaplicą. Niezmienioną chyba od setek lat. Nad kamiennym ołtarzem wisiał metalowy krucyfiks. U podnóża stały świeże, mocno pachnące kwiaty.

Wahała się, czy iść dalej, czy od razu wrócić na górę i wskoczyć do łóżka. Jednak coś ciągnęło ją naprzód, w kierunku kolejnych drzwi po drugiej stronie kaplicy.

Otworzyła je powoli i ostrożnie. Gdzieś poniżej, w oddali, paliło się światło. Przyszło jej na myśl, że skoro jest w kaplicy, schody mogą prowadzić do rodzinnej krypty. Ale skąd światło w krypcie?

Nie idź na dół! - podpowiadał zdrowy rozsądek, podczas gdy stopy same kroczyły naprzód. Kamienne schody były stare, kilkusetletnie, gładkie i wyszlizgane. I zimne jak lód pod jej gołymi stopami.

Mrugające światło przyciągało ją jak ćmę.

Schody zakręcały, a ona przekonywała siebie, że musi tylko zejść trochę niżej, by się wychylić i odkryć źródło światła, a potem zachowa się rozsądnie i popędzi na górę, prosto do łóżka. Jeszcze tylko kilka stopni i już będzie mogła zawrócić.

Dotarła na dół, ale stary kamienny wspornik zasłaniał widok. Oparła się rękami o wilgotną ścianę. Nagle światło zgasło i wokół zrobiło się ciemno.

Jeszcze tylko usłyszała jakiś odgłos... ale gdzie? Na górze, na schodach? Czy może tam niżej, w ciemnościach, które rozciągały się przed nią?

Znieruchomiała, napięta do granic wytrzymałości. Spróbowała odkryć źródło zagrożenia... i wtedy poczuła, że dotykają jej czyjeś ręce.

Był późny, nawet bardzo późny wieczór, ale dla sir Johna Matthews'a czas nie grał wielkiej roli.

Reszta muzeum była pogrążona w mroku. Dopiero niedawno, w 1890 roku, zainstalowano we wszystkich galeriach oświetlenie. Przedsięwzięcie było kosztowne, wobec tego, zamykając muzeum, gaszono również większość lamp. Spod sterty wycinków sir John wyciągnął dziennik. Swoją własny. Z tamtego czasu. Z ekspedycji do Egiptu.

Była to wyjątkowa wyprawa. Wszystkie zresztą takie były. Oczywiście kłócili się. Jak to uczeni, zadufani w siebie i ocytani. Wszyscy mieli własne pomysły i wyobrażenia. Wciąż jeszcze widział przed sobą Abigail Stirling, w prostej spódnicy, tak wygodnej na pustynne piaski, i w jasnej bluzce, również praktycznej, ale haftowanej, przez to bardziej kobiecej. Jeszcze słyszy jej śmiech. Zawsze się uśmiechała i mówiła, że następny dzień będzie lepszy. Nigdy nie okazywała zmęczenia; nigdy też nie traciła zapału. Delikatna i miła, była kobietą, dla której robotnicy gotowi byli przenosić góry, a na koniec prawie to zrobili.

No i był lord Stirling - George. Opanowany. Dystyngowany. Lubił poszukiwania nie mniej niż inni, ale nie zwykł zapominać, że jest lordem Stirlingiem. Poczynał się do obowiązku wobec kraju i królowej. Troszczył się o swoją posiadłość i dzierżawców, zawsze brał żywy udział w pracach parlamentu.

Można powiedzieć, że podróżował z przenośnym biurkiem. Był niezmiernie dobrze poinformowany i obdarzony wielkim zmysłem obserwacji. Miał w

głowie istny katalog i zawsze wiedział, gdy cokolwiek - nawet najmniejszy przedmiot - zmieniło miejsce.

Lady Abigail była chodzącym wdziękiem. Zaś lord - człowiekiem ze stali. Oboje zmarli.

Nikt nie pokona śmierci. Wszyscy o tym wiedzieli; widzieli przecież wzruszające pozostałości po starożytnych Egipcjanach, którzy zabierali na tamten świat swoje skarby, sądząc, że przechytrzą śmierć.

Lord George wszedł do grobowca, a lady Abigail tuż za nim. Pomimo klątwy.

Sir John trochę chaotycznie i desperacko znowu zaczął grzebać wśród wycinków prasowych, szukając pewnej egipskiej gazety. Zaskoczył go jakiś dźwięk. Rozejrzał się w półmroku, ale niczego nie dojrzał.

To zmęczenie daje mi się we znaki, uznał, uspokojony. Trzeba mieć źle w głowie, żeby przychodzić tu dzisiaj wieczorem. Miał jednak dużo zaległej pracy, a także obowiązki. Najwyższa pora wracać.

Zgarnął papiery i notatniki do szuflady biurka i ją zamknął. Wstał i, ku swojemu zdumieniu, stwierdził, że się boi. Naprawdę boi.

- Już wychodzę! - obwieścił na głos.

Wypadł z biura, nie zatrzymując się, żeby zamknąć drzwi na klucz, nie przystając nawet na chwilę, dopóki nie znalazł się na ulicy. Jeszcze z poczucia obowiązku upewnił się, czy odrzwia narodowej skarbnicy brytyjskiej są zabezpieczone, po czym kiwnął głową pełniącemu nocną służbę strażnikowi.

Odwrócił się i pospiesznie oddalił od gmachu. Dopiero gdy dotarł do swojego przytulnego mieszkania i siedział, popijając herbatę i sącąc brandy, uświadomił sobie, że po prostu uciekł z muzeum. A przecież jego obowiązkiem było upewnienie się, czy nikt nie wtargnął do pustych sal.

Kiedy przypomniał sobie o swoim dzienniku, ręka mu zadrżała, a filiżanka zabrzęczała na talerzyku.

Ku własnemu zdumieniu, Camille nawet nie krzyknęła. Może dlatego, że była zanadto przerażona, by się odezwać. Za to serce biło jej tak mocno, że aż dudniło w uszach.

Nic nie widziała w tych istic egipskich ciemnościach, ale inne zmysły przejęły funkcję oczu. Czyjeś palce musnęły jej piersi, przykryte cieniutkim materiałem nocnej koszuli, po czym te same ręce chwyciły ją za ramiona. Dopiero po paru sekundach rozpoznała tego człowieka, wyczuła go instynktownie, jeszcze zanim dotarł do jej uszu zapalczywy gniewny szept:

- Camille!

Był wściekły i nie nosił maski.

O dziwo, już się go nie bała; przepelniała ją ulga i poczucie bezpieczeństwa. Wyciągnęła na oślep rękę i dotknęła twarzy Briana. Palcami wyczuła wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, mocny nos, pełne wargi. Chciała coś powiedzieć, kiedy złapał ją za rękę.

- Nie! - usłyszała szept.

Przypomniał, gdzie jest jej miejsce, i zaraz zniknął.

Czekała, aż strumień światła rozjaśni pogrążony w ciemności świat, ale nadaremnie. Stała bez ruchu, oparta o lodowate mury zamku. Pomyślała, że hrabia pewnie szuka lampy.

Kiedy zrobi się jasno, zobaczy jego twarz. Zobaczy, co tak straszego i monstualnego ukrywa maska.

Ale światła ciągle nie było. Kiedy hrabia wrócił, omal nie krzyknęła, bo wcale go nie usłyszała. Tylko jakiś wewnętrzny głos uprzedził ją, że jest blisko. Zapach, ciepło ciała, jakieś drgnienie powietrza... Może to ta kompletna ciemność zmaćiła jej umysł, ponieważ, kiedy jej znowu dotknął, wiedziona odruchem, drżąca, przywarła do niego. Pod bawełnianą tkaniną, okrywającą jego ramiona i tors, wyczuła silne, napięte mięśnie. Przycisnął ją do siebie. Poczula jego oddech przy swoim uchu, a zaraz potem padły zwięzłe słowa:

- Na górę!

Skinęła głową i odwróciła się, kurczowo uczepiona jego ramienia. Kamienny mur po lewej stronie był zimny, ale po prawej stronie miała Briana, który ciepłą ręką trzymał ją mocno za nadgarstek. Dotarli na szczyt schodów, prowadzących do kaplicy. Kiedy weszli, hrabia starannie zamknął za nimi drzwi.

Dopiero teraz zrozumiała, że zostawił ją nie po to, by szukać lampy; zniknął w ciemności, by włożyć maskę. Miał ich zapewne kilka; ta była inna, prosta, z cienkiej skóry i ani trochę nie przypominała zwierzęcia, prawdziwego czy mitologicznego.

W kaplicy nadal panował półmrok.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytała.

- Powiedziano pani, żeby nie spacerowała po zamku sama w nocy.

- Ja...

- Powiedziano pani, żeby nie spacerowała po zamku sama w nocy, prawda?

Wyrwała rękę i zamierzała wybiec z kaplicy. Dogonił ją kilkoma susami. Czując go za sobą, odwróciła się gwałtownie. Ku jej zaskoczeniu, porwał ją na rękę i przerzucił sobie przez ramię. Impet, z jakim to zrobił, pozbawił ją tchu i przez kilka dobrych chwil nie była w stanie protestować. W tym czasie hrabia dotarł z nią do klatki schodowej i wszedł na pierwszy stopień. Spróbowała się podnieść, ale siła i gniew, w jakim pokonywał schody, sprawiły, że bezsilnie opadła z powrotem na jego ramię.

Minęli drzwi pokoju Camille i dotarli do rzeźbionych drzwi jego komnat. Popchnął je nogą, zatrzasnął za sobą, po czym bezceremonialnie usadowił Camille w jednym z wielkich, miękkich foteli przed kominkiem.

Trzęsła się z oburzenia. Szczękając zębami, chwyciła się poręczy i zawołała:

- Jak pan śmie! Nie obchodzi mnie, czy jest pan hrabią, czy dzieckiem prostytutki! Jak pan śmie!

Ukucnął przed nią.

- A jak pani śmie! Uprzedzono panią, żeby nie wędrować po nocy. Czy wypada gościowi tak wykorzystywać sytuację? - usłyszała.

- Gość! Jestem tu więźniem.

- Miała pani nie spacerować po nocy. Kto, będący przy zdrowych zmysłach, wybiera się na odwiedzanie rodzinnych krypt po północy, chociaż go proszono, żeby tego nie robił?

- Usłyszałam... jakiś dźwięk.

- Ach, tak! Więc stało się coś złego i stąd pani pośpiech?

Nie wiedziała, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej; nie potrafiła wytłumaczyć, że coś ją pchało naprzód, choć wiedziała, że powinna zawrócić.

Dalsze słowa hrabiego zdumiały Camille.

- Co pani tak naprawdę tutaj robi?

- Słucham?

- Dla którego z tych łajdaków pani pracuje?

- Słucham?

- A więc jest tam wejście?

- Na Boga, nie wiem, o czym pan mówi. - Nagle się przestraszyła. Hrabia patrzył na nią złowrogo. Cofnęła się i wbiła głębiej w fotel.

- Na miłość boską! Po tym wszystkim mogłaby pani nie udawać niewiniątka.

Wreszcie się zorientowała, o co mu chodzi.

- Pan jest nie tylko potworem, ale i szaleńcem - powiedziała lodowatym tonem. - To po prostu obsesja; napatrzył się pan w życiu na tyle zła, że teraz widzi je w każdym i wszędzie. Nie pracuję dla nikogo, wyłącznie dla muzeum.

- To dlaczego spaceruje pani goła? - zapytał.

- Nie jestem goła.

- Prawie - poinformował ją.

Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że jej koszula nocna jest cienka i przezroczysta. Nagle poczuła, że nie może oddychać z gorąca, jakby całe jej ciało ogarnęły płomienie.

Zastanowiła się, czy tę reakcję wywołały słowa hrabiego, czy to, że wypowiedział je właśnie on. Co w nim takiego jest?

Po raz pierwszy w życiu poczuła tęsknotę silną jak głód. Zapragnęła, żeby ją objął, by jej szeptał do ucha. Tak bardzo chciała poznać tego ukrytego pod maską mężczyznę; zdeterminowanego, zawziętego mężczyznę z krwi i kości.

- Ja...

- Co? - zapytał.

Potrząsnęła bezradnie głową i objęła się ramionami.

- Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, jak udowodnić, że nie miałam złych zamiarów. Do licha! Pomogłabym panu, gdybym potrafiła, gdyby był jakiś sposób... Nie czuje pan tego? Ale nie widzę sposobu. Nie możemy wytoczyć procesu wężom. Nie wystąpią w charakterze świadków. A ja w muzeum jestem nikim. Nie pracowałam tam, kiedy trwała ta ekspedycja. Chciałabym panu pomóc, ale nie mogę.

Znieruchomiał, a kiedy się wreszcie poruszył, Camille zastygła w obawie, że ucieknie się do przemocy. Jednak, ku jej zdumieniu, wyciągnął ręce, podniósł ją z fotela, postawił na nogi i objął.

Dokładnie tak, jak tego pragnęła...

Teraz on usiadł w fotelu, trzymając Camille na kolanach i otulając ramionami.

- Pani cała drży - powiedział szorstko. - Do licha, dziewczyno, nie zrobię pani krzywdy. Chcę tylko panią ogrzać.

Pokiwała głową, niezdolna wymówić słowa. Serce waliło jej jak szalone. Nie potrzebowała ogrzewania; jej ciało było zimne w dotyku, ale w środku czuła żar. Zamknęła oczy, modląc się, żeby hrabia nie odkrył, że przestała dygotać.

Nie zniosłaby, gdyby się dowiedział, że wbrew jej niezłomnym przekonaniom pozwolił jej uwierzyć, że można zapomnieć o całym świecie i znaleźć ukojenie w jego ramionach. Powinna być przerażona, ale nie była.

Hrabia uniósł palcami jej brodę, aż zobaczyła kobaltowy błękit jego oczu. Dotknął kciukiem jej policzka.

- Albo jest pani najwspanialszą, najuczciwszą i najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, albo najbardziej zniewalającą kłamczuchą - powiedział cicho.

Zesztywniała, zmagając się z pragnieniem pozostania na miejscu, w delikatnym uścisku tego mężczyzny. Nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie na podobną słabość.

- Nie obruszaj się, Camille. Jestem skłonny uwierzyć w to pierwsze. Jak wspomnieliśmy, jestem zgorzkniały, rozdarty i zły. Czas tego nie zmienił.

- A może jednak jest pan w błędzie? - wyszeptała.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się z żalem.

- Nie. Jeden zabłąkany wąż, jedno ukąszenie... W to jeszcze mógłbym uwierzyć. Ale tyle ukąszeń i oboje moi rodzice? A to jeszcze nie wszystko. Zginęło wiele dzieł sztuki. No i te dziwne dźwięki...

Zrobiła wielkie oczy.

- Przecież posiadłość otacza potężny mur. Dookoła rośnie gęsty las. Ma pan psa. Gdyby coś się działo...

- Sama pani słyszała - przypomniał.

Potrząsnęła głową.

- Może je powodować naturalne osiadanie budynku, który przecież pochodzi ze średniowiecza. Poza tym... nikt by się tutaj nie dostał, prawda?

- Pani opiekunowi się udało.

- Tak, ale natychmiast go pan złapał.

Przesunął się, żeby lepiej widzieć jej oczy, a ją ponownie uderzyła absurdalność tej sytuacji. W sposobie, w jaki razem siedzieli, rozmawiali ściszonymi głosami, czując żar bijący od ich ciał, było coś bardziej intymnego, niż gdyby...

Nie ośmieliła się sięgnąć myślą dalej. Jeszcze by się bardziej zaczerwieniła.

- Co panią skłoniło do przechadzania się nocą? - zapytał.

Oddechnęła głęboko, nadal patrząc mu w oczy.

- Jakież... odgłosy. Oczywiście, pan mi nie uwierzy. Niewiara we wszystko jest w panu zbyt mocno zakorzeniona.

- Wierzę w istnienie przejścia gdzieś spoza muru posiadłości prosto do zamku - powiedział, spoglądając w stronę kominka.

- Przejścia?

- Podziemnego tunelu.

- Ale skoro pan o tym wie...

Wzruszył ramionami.

- Z zamkiem Carlyle wiąże się wiele różnych historii. Pierwsze mury wzniesiono wkrótce po podboju Anglii przez Wilhelma Zdobywcę. Różne stronnictwa znalazły tutaj schronienie podczas Wojny Dwóch Róż. Podobno za czasów Cromwella ukrywali się tu rojaliści. Legenda głosi, że księżę Karol zatrzymał się w tym zamku przed ucieczką do Szkocji. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że potajemne wejście nie jest tylko legendą.

- Jest pan właścicielem zamku. Jak to możliwe, żeby pan o tym nie wiedział?

- Od dawien dawna nie mieliśmy w kraju żadnych poważnych politycznych zamieszek - wyjaśnił. - Mój ojciec przychylił się do pomysłu, że takie przejście istnieje. Był uczonym, uwielbiał tajemnice. I kto wie, czy czegoś nie odkrył. Długo byłem w wojsku, a potem oni zginęli. Ojciec pisywał do mnie często, wydawał się ogromnie podekscytowany, uważał, że jest na tropie czegoś niezwykłego. Był czas, kiedy podzielałem ich entuzjazm do przeszłości, do historii, do zaginionych cywilizacji. Musi pani pamiętać, że ojciec był angielskim arystokratą, co oznacza, że na pierwszym miejscu rodzina stawiała swoje powinności. Człowiek z moją pozycją miał służyć imperium, i to nie podlegało dyskusji. Na szczęście spodobała mi się służba w kawalerii. Całe lata spędzałem poza domem, wracając tylko na święta; kilkakrotnie spotkałem się z rodzicami w Egipcie. Zapał, jaki mi zaszczepiono, kiedy byłem młody i mieszkalem w Carlyle, stopniowo przygasł. Jeśli nawet ojciec znalazł ukryte przejście, nic mi o tym nie wiadomo. Chociaż, gdyby je odkrył, z pewnością by mi o tym napisał.

Hrabia, mrużąc oczy, wpatrywał się w ogień. Camille sądziła, że tak bardzo pogrążył się w myślach, że w ogóle o niej zapomniał. Bała się poruszyć, przeszkodzić mu, bała się szukać bliższego kontaktu. Zdumiewało ją to wszechogarniające pragnienie, żeby trwać na miejscu, a nawet przysunąć się jeszcze bliżej. Pamiętając, co hrabia powiedział, nagle poczuła się prawie naga. Próbowwała sobie wmówić, że ten mężczyzna nie jest przy zdrowych zmysłach, że jego gniew może wybuchnąć z taką siłą jak te płomienie przed nimi. Ale takie myśli odpływały gdzieś w dal, gdy wdychała jego zapach i czuła silne ciało tak blisko siebie.

- A przynajmniej powinien był napisać - dodał hrabia, po czym ponownie spojrzał na Camille. - W tym właśnie rzecz. Gdzieś musi być jego niedokończony list. Moja matka prowadziła dziennik, ojciec zaś pisał listy. Wysyłał jeden i zaraz zaczynał kolejny. Tymczasem gdy zginął, nie znaleziono ani jednego.

Camille odetchnęła głęboko, starając się nie myśleć o tej sensacji i odpowiedzieć rozsądnie.

- Dokonali wielkiego odkrycia, prawda? Otworzyli grobowiec, a wszystko w ciągu zaledwie paru dni. Może pański ojciec nie miał po prostu czasu, żeby napisać - zasugerowała.

- Może, ale akurat na tym punkcie miał obsesję.

- Wyobrażam sobie - zauważyła złośliwie.

- Panno Montgomery!

Popatrzyła na niego i zobaczyła, że uśmiecha się pod maską.

- Podejrzewam, że pani na moim miejscu byłaby nie mniej zdeterminowana. W końcu wytrzymała pani tutaj, przytłoczona moją gościnnością tylko po to, by ratować nieszczęsnego złodziejzka przed tym, co mu się należało.

Zesztywniała ze złości, ale po chwili uświadomiła sobie, że wypowiedział te słowa tylko po to, żeby ją sprowokować.

- Złodziejzka?

- Tak, złodziejzka. Rzecz w tym, że nie mogła pani zrobić nic innego. Chyba rozumie pani moje położenie? Trzeba żyć w zgodzie z własnym sumieniem.

Pochylił się w jej stronę i był teraz bardzo blisko. Camille zapragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć policzka pod maską, poczuć pod palcami jego skórę. Był tak blisko... jego wargi układały się jak do pocałunku. Już czuła ich dotyk. Była jak odurzona. Chciała tego, tak, chciała...

Cofnął się i znów był szorstki i odległy. Jednym zdecydowanym ruchem poderwał się i postawił Camille na nogi. Jeszcze podtrzymał ją, by nie straciła równowagi.

- Minęło już chyba pół nocy. Odprowadzę panią do jej pokoju.

Podchodząc do drzwi, wydawał się sztywniejszy i poważniejszy niż zwykle, choć teraz Camille wiedziała, że to tylko poza.

- Camille, ja naprawdę wiem, co mówię - dodał jeszcze, gdy dotarli do sypialni Camille. - Proszę pod żadnym pozorem nie wypuszczać się na przechadzkę korytarzami. To może być bardzo niebezpieczne.

Pokiwała głową.

- Dobrze się czułam z Ajaxem.

- Cóż, jest zajęty na dworze.

- Rozumiem.

- Camille...

Jeszcze nigdy jej imię nie brzmiało tak melodyjnie, jak czuły szept wśród wabiących odgłosów nocy. Może nawet była w nim odrobina czułości.

I znów znalazł się tak blisko niej, że prawie stykali się głowami. A Camille, która zaklinała się, że podobne rzeczy nie mogłyby się jej zdarzyć, pragnęła, wręcz czekała na więcej...

- Dobrej nocy - powiedział hrabia półgłosem i cofnął się o krok. - Jutro czeka panią kolejny długi dzień.

Odwrócił się i ruszył w swoją stronę.

- Proszę zaczekać! - usłyszała własne wołanie.

Zrobiła krok do przodu.

Przystanął.

- A co mam robić, jeżeli usłyszę coś w nocy? - zapytała.

Uśmiechnął się.

- Proszę krzyczeć ile sił w gardle.

- A usłyszysz mnie pan?

Pogłębił uśmiech.

- Oczywiście.

- Czyżby był pan tak blisko?

- Ten obraz w pani pokoju, portret Nefretete...

- Tak?

- To są drzwi do mojego pokoju. Wystarczy pociągnąć malowidło za lewy róg ramy. Dobranoc, panno Montgomery - powiedział i odszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Camille opuściła już dom, ale Brianowi nie było dane dopić porannej kawy.

Pojawił się Tristan, ogolony, czysty i nieskazitelny niczym dżentelmen. Wkroczył pewnym krokiem, z podniesioną głową, na przemian zaciskając dłonie w pięści i je rozprostowując. Zatrzymał się i jeszcze odrobinę wyżej uniósł brodę.

- Dzień dobry, hrabio.

- Dzień dobry - przywitał się Brian, czekając na dalszy ciąg. Opiekun Camille wyglądał jak okaz zdrowia.

- Nie oszukujmy się, jestem zdrow jak ryba - oznajmił po chwili Tristan.

Brian lekko pochylił głowę, podziwiając odwagę, na jaką zdobył się ten człowiek.

- To się dobrze składa.

Tristan przystąpił do rzeczy.

- Dostałem się tutaj, mając nadzieję, że nie dostrzeże pan zniknięcia niewielkiego przedmiotu, który moglibyśmy spieniężyć, a potem zapłacić czynsz za wiele dni.

- Naprawdę?

- Moja pannica jest dziesięć razy więcej warta ode mnie - powiedział czule Tristan. - Nie pozwolę, żeby płaciła za moje grzechy, więc...

- Czy ma pan jakieś kontakty ze światem przestępczym? - przerwał Brian.

- Cóż, nie jestem bywalcem podejrzanych piwiarni ani burdeli w tym mieście! - oburzył się. - Ale owszem - przyznał, ciężko wzdychając. - Znam jedno czy dwa miejsca, gdzie można spotkać podejrzane kreatury.

Brian, taksując opiekuna Camille wzrokiem, rozsiadł się wygodnie. Tristan był szczupły i sprężysty, nie trudno było sobie wyobrazić, że w swoim czasie mógł być świetnym żołnierzem, co zresztą przyniosło mu szlachectwo.

- Proszę spocząć, panie Montgomery, i skorzystać ze wszystkiego, co tutaj mamy, jeżeli jeszcze nie jadł pan śniadania.

Tristan ściągnął brwi.

- Zaprasza mnie pan do stołu?

- Właśnie.

Tristan, zaniepokojony i zdenerwowany jak nigdy dotąd, zaczął nalewać kawę, ale ręce tak mu się trzęsły, że Brian musiał go wyręczyć.

- Dziękuję - mruknął Tristan, biorąc filiżankę i siadając na wskazanym przez Briana miejscu. Podjął przerwany temat. - Bo widzi pan, hrabio, ona jest dla mnie wszystkim - przypomniał ze wzruszeniem w głosie.

- Nie zamierzam jej skrzywdzić.

- Co dla jednego nie jest krzywdą, dla drugiego może być hańbą do końca życia - powiedział sentencjonalnie Tristan.

- Rozumiem.

- Jej... jej nie można traktować jak pierwszej lepszej, hrabio!

- Sir Tristanie, zapewniam pana, że nikt nie traktuje lekko pańskiej podopiecznej.

- No cóż, sir, powiem szczerze: jestem zaniepokojony i nic na to nie poradzę.

- Camille pracuje w muzeum... w dziale egiptologii.

Tristan przytaknął ruchem głowy i dodał:

- I jest właściwie samoukiem.

- Będzie mi towarzyszyła na balu i podczas kwesty.

- Tak właśnie słyszałem.

- Rzeczywiście jest utalentowana.

- Sir!

- W dziedzinie egiptologii, sir Tristanie. Sądzę, że podobnie jak pan w swojej.

Lęk pojawił się w spojrzeniu Tristana. Napotkał wzrok Briana.

- Jak widać, moje talenty nie są już takie jak dawniej. Przyłapał mnie pan.

Brian zaśmiał się cicho.

- Co pan zamierza, hrabio? Choć jestem przerażony, nie chcę dłużej ukrywać się za spódnicą mojej podopiecznej.

- Planowałem przedłożyć panu ofertę.

- Sir!

- Niemającą nic wspólnego z pańską podopieczną - uspokoił go Brian.

- A zatem...

- Chciałbym powierzyć panu pewien przedmiot do sprzedania.

- Co takiego?

- Chcę, żeby pokręcił się pan dla mnie trochę po mieście.

Tristan upił łyk kawy.

- Znalazłem się tutaj, żeby coś ukraść, a teraz zamierza pan powierzyć mi coś do sprzedania?

- Dokładnie.

- Ależ, hrabio! Jeżeli chce mi pan dać nauczkę i nasłać na mnie posterunkowego, gdy tylko stąd wyjdę, niepotrzebnie pan się trudzi. Przyznałem się do winy.

Brian pokręcił głową.

- Pan mnie nie słucha. Powierzam panu zadanie do wykonania. Chcę, żeby się pan pokręcił po mieście, zajrzał tu i ówdzie i zorientował się, czy na czarnym rynku nie pojawiły się pewne przedmioty.

Tristan wyprostował się, a wzrok mu pojaśniał.

- Mówi pan poważnie?

- Śmiertelnie poważnie. Zakładam, że panu i pańskiemu człowiekowi Ralphowi nieobce są niektóre takie miejsca.

- Mam swoje wydeptane ścieżki w mieście, to prawda. I, oczywiście, znam się trochę na sztuce egipskiej. Jak pan wie, wychowałem tę dziewczynę.

- I nauczył ją pan wszystkiego, co sam pan potrafi?

Na sugestię, że Camille może nie być wcieleniem wszelkich cnót, Tristan spojrzął z oburzeniem na hrabiego.

Brian był zaskoczony napięciem, które nagle poczuł. Czy nie pomylił się w ocenie Camille? Rzeczywiście nie jest uwikłana w spisek ze swoimi współpracownikami, nie przywiązuje znaczenia do jego maski i złej reputacji? A czyjego pozycja i tytuł nie mogły jej zaślepić? Przecież tak jej zależało, żeby dowiedział się o początkach jej życia; udowodniła mu, że poddając ją osądowi towarzystwa, otwiera puszkę Pandory. Kto tak naprawdę wie, skąd ona pochodzi?

Wstał, bojąc się, że maska nie ukryje nagłego wzburzenia, jakie go ogarnęło. Tej nocy znowu poczuł, że żyje, że jest człowiekiem z krwi i kości. Kiedy otrzymał wiadomość o tragicznej śmierci rodziców, rzucił się w wir walki; wyładował wściekłość i rozpacz, ale nie uniknął ciosu bagnetem i został ranny. Potem konsekwentnie próbował odkryć tajemnicę niezwyklej okoliczności śmierci rodziców i bezpardonowo prowadził swoją grę. Aż do wczorajszego wieczoru, kiedy to doświadczył pokusy, żeby zamknąć tę dziewczynę w ramionach i zapomnieć o całym świecie...

Poirytowany, oderwał się od swoich myśli. Odwrócił się i popatrzył na Tristana.

- Niech pan spędzi ten dzień ze swoim służącym Ralphem. Proszę przemyśleć moją propozycję i przygotować plan działania. Jednak wieczorem musi pan wrócić do łóżka. Zależy mi na tym, żeby nadal uważano pana za chorego, co najmniej do jutra. Po kweście może pan poczuć się wreszcie nieco lepiej. Rozpuścimy pogłoskę, że spieszo panu, by wznieść parę toastów za szczęśliwy powrót do zdrowia.

Tristan stał przed Brianem niczym niewielki, ale bojowy i groźny terier.

- Dowiem się wszystkiego, czego pan sobie życzy, hrabio - obiecał. -
Może pan mi zaufać.

Tego ranka dotarcie do muzeum graniczyło z cudem. Na Russell Square przewrócił się zaprzężony w dwa konie wóz i cały ładunek warzyw rozsypał się

na wszystkie strony. Pomimo wysiłków policji ludzie byli wszędzie; jedni biegli z pomocą poszkodowanemu woźnicy i zbierali jego własność, inni próbowali zagarnąć dla siebie, co się da. Karety, bicykle, jednokonki i inne pojazdy kręciły się wokół i tworzyły zatory. Niektórzy przystawali w swoich pojazdach, podczas gdy ci bardziej niecierpliwi, próbujący dotrzeć pieszo do pracy, kluczyli i omijali grupki gapiów.

W końcu Camille zastukała w dach i wychyliła głowę przez okno, by oznajmić Shelby'emu, że dalej pójdzie na piechotę. Wymknęła się z powozu i zniknęła w tłumie, zanim zdążył ją powstrzymać.

Spóźniła się trochę, muzeum było już otwarte. Szybkim krokiem minęła sale wystawowe, dostrzegając kątem oka, że przy terrarium zebrał się tłumek. Aubrey karmił właśnie węża.

Wpadła do biura. Sir John siedział za biurkiem, ale nawet nie zganił jej za spóźnienie. Uśmiechnął się tylko z przekąsem.

- Ale bałagan, prawda? - Potrząsnął głową. - Robi się coraz gorzej i gorzej! - Znów pogрузzył się w wykresy i sprawozdaniach.

Camille z trudem skupiła się na odczytywaniu hieroglifów; myślami błądziła wokół tragicznej w skutkach ekspedycji. Trochę ponad rok temu wszyscy mężczyźni z jej działu w niej uczestniczyli. Wydawało się, że po niezwykłym odkryciu wyprawa zakończy się wielkim sukcesem. Tymczasem triumf zamienił się w tragedię.

Oderwała się od pracy i wyszła z pokoju. Sir John wciąż siedział za biurkiem.

- Tak? - Podniósł głowę znad dokumentów.

- Eee... sir Johnie, co się zdarzyło po śmierci Stirlingów? - zapytała.

- Przewieziono ich ciała do Anglii, gdzie zostali pochowani. Oczywiście po ich zgonie pozostało wiele spraw do załatwienia - odparł i przeniósł wzrok na papiery. - Nie wszystko dało się zrobić naraz. Przesiadaliśmy w grobowcu, katalogując znaleziska. Wydobyto i przeniesiono w bezpieczne miejsce najcenniejsze przedmioty, wiele przygotowano do wysyłki. Posłano też telegram do Briana, do którego wiadomość o śmierci rodziców dotarła podobno tuż przed wybuchem zamieszek. Został ranny, a mimo to udało mu się szybko przyjechać do Kairu. Ciała jego rodziców przechowywano w lodzie. Brian, któremu bardzo zależało na sekcji zwłok, choć, moim zdaniem, przyczyna śmierci była zupełnie oczywista, dopilnował, żeby przewieziono je do Anglii.

- Czy ktoś natknął się na kobry?

- Co proszę?

- Kobry, te, które ich zabiły - wyjaśniła Camille.

- Nie sędzę. Chociaż rzeczywiście stanowią poważne zagrożenie i każdy, kto przebywa na pustyni, musi na nie uważać. Jestem pewny, że dostały się w jakiś sposób do ich pokojów. Po wszystkim prawdopodobnie się wyniosły. Camille, ukąszenie kobry jest śmiertelne.

- Wiem - mruknęła. - Czy przeprowadzono dochodzenie? - zapytała.

Sir John zerknął na nią spod oka.

- Oczywiście. Prowadziły je odpowiednie władze egipskie i brytyjskie. Dziecko, przecież George był ordynatem Carlyle. A teraz wracaj do siebie, Camille. Muszę popracować. Ty zresztą także.

Skinęła głową i weszła do swojej pracowni. To, co zwykle tak ją fascynowało, wydało się dzisiaj nieciekawe; jej umysł pracował na wysokich obrotach. Szybko przetłumaczyła dalszy ciąg kłątwy, aż wreszcie dotarła do ciągu znaków, które ją zafrapowały. Odczytała je na głos, powoli:

- *"Pamiętajcie, że Wielka Kobra o płonących blaskiem oczach, zrodzona z woli i rozkazu Hethre, jako twór jej własnych rąk, przyniesie najszlachetniejszą zemstę"*.

Wpatrywała się długo w tekst, potem jeszcze raz sprawdziła swoje tłumaczenie. Zerwała się z miejsca i pobiegła do gabinetu sir Johna.

Już go nie było.

Wycinek prasowy na temat tragicznej śmierci Stirlingów leżał wśród innych dokumentów. Camille obeszła biurko. Nieduży składany nóż przyspilał papier do drewna, dziurawiąc twarz na zdjęciu. Twarz sir Johna.

Uboga dzielnica East Endu, pomimo niechlubnej sławy, jaką zdobyła w okresie, kiedy buszował tu Kuba Rozpruwacz, zmieniła się bardzo niewiele.

Obdarte wychudzone dzieci o wytrzeszczonych oczach, już teraz przypominające szczury uliczne, siedziały na progach domów albo bawiły się na ulicy. Żadne nie zbliżyło się do Briana. Kiedy przechodził, rozpierzchały się na wszystkie strony. Choć przebrany za Jima Arboca, hrabia ledwo się mieścił w roboczym ubraniu, a jego oczy miały groźny wyraz.

Pomysł przeistoczenia się w Jima Arboca zrodził się dobre trzy miesiące wcześniej, kiedy w muzeum zwolniła się posada. Brian chętnie zatrudnił się do sprzątania gabinetów pracowników zajmujących się sztuką azjatycką, by potem, nie budząc podejrzeń, przenieść się do działu sztuki egipskiej. Gdyby zrobił to wcześniej, poznałby Camille Montgomery, kiedy zjawiała się w jego zamku. Niezauważony przez nikogo, zakradał się czasem do podziemnych magazynów, prowadząc metodyczne poszukiwania. Z braku oczywistych dowodów przeciwko komukolwiek musiał uzbroić się w cierpliwość.

Jako Jim Arboc też musiał być cierpliwy.

W zaaferowanym i spieszącym się tłumie migają ubogie, ale w uczciwy sposób zarabiające szwaczki, rzeźnicy w zakrwawionych fartuchach, a także robotnicy fabryczni w nasuniętych na oczy kaszkietach. Domokrażcy sprzedawali dzin i zapiekanki z mięsem, choć najczęściej bez mięsa, kuszące jednak głodnych nabywców choćby kapką gęstego sosu z pieczeni. Legalne firmy, zatrudniające za kilka pensów emigrantów o wychudzonych, smutnych, zmęczonych twarzach były tu normą. Widok kaprawych szczerbatych prostytutek, podpierających mury zajazdów, i panujący wokół smród przyprawiły o mdłości.

Włokąc się niezdarnym, ale równym krokiem, jak przystało na starego robotnika, Brian w bezpiecznej odległości podążał za dwiema postaciami. Osoby te weszły do przybytku, na którego szyldzie widniał napis "Zajazd u McNally'ego - Każdy Mile Widziany". Brian odczekał chwilę, po czym wszedł za nimi do środka.

Przy barze zebrała się spora grupka, a dzin lal się strumieniem. I dobrze, bo kobiety wykonujące tutaj swój fach już dawno miały za sobą okres świetności. Alkoholowe wypieki zdobiły ich policzki, a i nosy niektórych musiały nieraz zetknąć się z męską pięścią. W okolicy nie brakowało ciemnych

zaułków i ponurych miejsc, gdzie wystarczyło zamknąć oczy, by otrzymać przelotną przyjemność. Właściciele zajazdów cenili sobie te zużyte prostytutki, bo zwabiały do lokalu zmęczonych mężczyzn.

Po przeciwnej stronie baru stały stoły z masywnego drewna, popękane w różnych nieoczekiwanych miejscach. Pomagając sobie łokciami, Brian przecisnął się przez ciżbę, kupił szklaneczkę dżinu i usiadł w kącie przy jednym ze stołów. I obserwował.

Okazało się, że Tristan Montgomery nie jest głupcem. Przed wyruszeniem w drogę zmienił wygląd, wkładając kurtkę i czapkę dokera. Podobnie Ralph.

Tristan zamówił dżin, ponarzekał na cenę i wdał się we flirt z prostytutką, jedyną, która zdawała się mieć wszystkie zęby. W porównaniu z pozostałymi była pięknotką.

- Masz interes do obgadania, szefie? - zapytała Tristana, bawiąc się kołnierzem jego kurtki.

Tristan popatrzył na niedużą brunetkę o ciemnych oczach i miłym uśmiechu. Najwyraźniej zwęszyła, że pomimo ubrania i sposobu bycia, jest kimś ciut lepszym od większości klienteli w tym mrocznym od dymu lokalu.

- Ano mam - przyznał Tristan i pokazał błyszczącą monetę.

Ludzie wokół nich wydawali się obojętni. Podejrzane interesy były tu na porządku dziennym.

- Wymykamy się? A może zamówisz kolejny dżin, kochasiu?

Tristan chwycił kobietę za ramię i podprowadził bliżej stołu, przy którym z nasuniętą na oczy czapką siedział Brian.

- To jest prawdziwy interes, za pieniądze - poinformował towarzyszkę. - Znajdzie się więcej takich kótek, jeżeli kogoś mi znajdziesz.

- Ach tak? - kobieta zaciekawiona przekrzywiła głowę.

- Mam coś do upłynnienia.

- Hm - zastanowiła się. - Jeżeli to biżuteria, musisz wyniuchać kogoś bogatszego...

- To coś lepszego, amatorska rzecz dla specjalnego kupca. To jest... - resztę wyszeptał jej do ucha.

Brunetka cofnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie gadaj tylko, że masz mumię albo coś w tym rodzaju! Są dobre na podpałkę i niewiele więcej. Pewien gość sprzedał jedną jakiś czas temu, a jak przyszło co do czego, okazało się, że wszystkie amulety i inne cacka, które powinny znajdować się w bandażach owijających mumię, zostały wcześniej wykradzione.

Tristan przyłożył palec do ust.

- To, co mam, jest ze złota - powiedział. - Najlepszego, jakie spotkasz na rynku.

- A co ty wiesz o rynku?

Brian odnotował zmianę w intonacji głosu kobiety. Odniósł wrażenie, że ta dama lekkich obyczajów przybyła do zajazdu nie tylko w wiadomym celu.

- Są tacy, którzy sprzedają starocie? - chciał wiedzieć Tristan

- O tak, i to najlepsze.

- Kto je sprzedaje? - spytał i szybkim ruchem chwycił ją za nadgarstek.

Zaczęła się szamotać, świadoma, że nie trafiła na zamrozonego opoja.

- Teraz go tu nie ma! - pisnęła.

- Wrócę jutro - zapowiedział Tristan i wsunął jej do ręki monetę. - Wchodzę w ten interes - oświadczył. - Możesz mi się przysłużyć: załatwić kupców, wskazać mojego konkurenta i zarobić ładne parę groszy. Albo...

- Albo?

- No cóż, życie jest ciężkie, prawda?

- A ta moneta jest za lekka.

Uśmiechnął się.

- Widzę, że się dogadaliśmy. - Wyjął następną monetę, wręczył ją kobiecie, skinął na Ralpa i obaj wyszli.

Brunetka wróciła do baru i dryblasowi wycierającemu za nim szklanki zaczęła szeptać do ucha. Odpowiedział jej w podobny sposób. Kobieta wyraźnie

niezadowolona, oddała mu jedną monetę. Barman spojrział w stronę wyjścia, w którym właśnie zniknęli Tristan i Ralph, przeszedł na koniec baru i szepnął coś innemu mężczyźnie, szczupłemu, o ostrym, orlim nosie.

Mężczyzna wstał i wyszedł. Brian zrobił to samo.

Po powrocie sir John zastał Camille przy swoim biurku.

- Co pani tu robi?!

- Ja... przyszłam, żeby z panem porozmawiać.

- Co robi ten papier na moim biurku? I mój nóż?

- Dopiero co weszłam. Gazeta już tutaj leżała. Nóż także.

Sir John podszedł do biurka. Poirytowany, wyrwał nóż z blatu, złożył go i schował do kieszeni. Otworzył środkową szufladę, wsunął do niej gazetę, po czym spojrzął na Camille.

- Kto tu był?

- Nie wiem.

- Jak to pani nie wie? - zapytał podejrzliwie. Był wyraźnie zły; głos miał szorstki. Camille pomyślała, że w jego głosie jest coś więcej niż złość, a mianowicie strach.

- Pracowałam u siebie. Jest mi przykro, naprawdę przykro. Dopiero tu weszłam, żeby z panem porozmawiać, i znalazłam to - usprawiedliwiała się.

Potrząsnął głową, nie patrząc w jej stronę.

- Wygłosiłem wykład w czytelni - powiedział. - Mówiłem o cudach Nilu i o ostatniej ekspedycji. Nie było mnie trochę ponad godzinę. - Raptem osunął się na fotel, jakby nagle osłabł; przycisnął rękę do czoła. - Boli mnie głowa, potwornie boli. Pójdę już do domu.

Wstał, jakby nagle odzyskał siły, ledwo spojrzał na Camille i wypadł z gabinetu.

Była zaniepokojona. Nawet nie zapytał, o czym chciała z nim porozmawiać. Czyżby się bał?

Postanowiła wrócić do swojej pracowni. Idąc, na coś nadepnęła. Spojrzała na dół i zobaczyła, że jej szef w pośpiechu upuścił klucze. Podniosła je i pobięła za nim.

- Sir John! - zawołała.

Na próżno, zwierzchnika już nie było. Prawdę mówiąc, cały ich dział opustoszał. Nie widziała dzisiaj Huntera, co nie było niczym niezwykłym. Nie spotkała również Aubreya ani Alexa. Ani nawet tego starszego człowieka, który tutaj sprzątał.

Przez długą chwilę stała w ciszy. Chyba rzeczywiście była sama.

Ścisnęła w rękę klucze. Nadarzała się okazja, żeby ponownie zajrzeć do magazynu.

Brian szybko się zorientował, że mężczyzna z orlim nosem depcze po piętach Tristanowi i Ralphowi. Kluczyli zaułkami i ruchliwymi uliczkami, potem zanurzyli się w gęsto zabudowanej części miasta w pobliżu rzeki i muru

rzymskiego. Po drugiej stronie rzeki Brian dostrzegł wierzchołek White Tower - części twierdzy londyńskiej.

Skręcili w zatłoczoną ulicę. Tam dostrzegł, że mężczyzna z orlim nosem zbliża się do Tristana i popycha go w wąską ciemną uliczkę.

Brian przyspieszył. Typ z orlim nosem najwyraźniej miał broń. Gdy dotarli na placyk na końcu uliczki, wyjął ją i mierzył teraz w Tristana i jego służącego, robiąc przy tym groźną minę.

Brian zaszedł mężczyznę od tyłu i zaatakował, zanim tamten zwiertzył niebezpieczeństwo. Pistolet wylądował w zalegających uliczkę śmieciach. Opryszek sięgnął po nóż, który schował za cholewę buta, ale Brian wybił mu go jednym prostym ciosem.

W tym momencie usłyszał strzelaninę.

Ściskając klucze, Camille wróciła pośpiesznie do sal wystawowych. Ruch był zdecydowanie mniejszy, zostało jednak jeszcze kilka par; studenci i badacze sporządzali notatki, a uczniowie szkół artystycznych ze szkicownikami w rękach siedzieli lub stali przed posągami i płaskorzeźbami. Nakarmiona kobra zwinęła się w kłębek i spała. Po Aubreyu nie było śladu.

Z duszą na ramieniu Camille zeszła schodami w dół, tą samą drogą, którą kilka dni wcześniej odbyli z sir Johnem.

W magazynach panował półmrok. Kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, Camille ruszyła przejściami utworzonymi przez kartony i skrzynie i

dotarła do starożytności egipskich, odnajdując te, które pochodziły z ekspedycji Stirlingów.

Wiele z przechowywanych tutaj mumii nie miało sarkofagów - niektóre zostały już z nich wyjęte, inne zaś, pochodzące z masowych grobów, nigdy nie miały oddzielnych trumien.

Camille w tej chwili nie interesowała się mumiami. Przechodziła od skrzyni do skrzyni, od kartonu do kartonu i sprawdzała umieszczone na nich napisy, szukając wzmianki o złotej kobrze. Tak wyjątkowy talizman włożony do grobowca powinien być wybitnym dziełem sztuki. Czyżby wykonano go ze szczerzego złota? Możliwe. A oczy? Z rubinów? Z brylantów?

Chociaż uważnie grzebała w otwartych skrzyniach, nie znalazła żadnej wzmianki o przedmiocie, który by odpowiadał temu opisowi.

Wróciła do skrzyń z mumiami, zastanawiając się, czy przypadkiem nie chodzi o coś mniejszego, ukrytego w mumii samej Hethre.

Nie sądziła jednak, by wśród przypadkowo otwartych mumii mogła się znajdować mumia Hethre. Żaden egiptolog z prawdziwego zdarzenia nie otworzyłby sarkofagu tak znanej osobistości bez należytego przygotowania, uwzględniającego wszelkie naukowe i konserwatorskie wymogi. Skoro grobowce bywają wyposażone w różne ukryte w piasku pułapki, w spadające kamienie i inne zabezpieczenia przed rabusiami, tak samo może być w przypadku sarkofagu.

Rozczarowana Camille wpatrywała się w jedną z mumii, dumając nad nieskutecznością wysiłków ludzi i przemijalnością życia, gdy nagle przyciemnione światło w magazynach zgasło zupełnie. Znalazła się pośród mumii w kompletnych ciemnościach.

- Na ziemię! - ryknął Brian i sam też padł, przeturlał się i ukrył za kamiennym poidłem dla koni. Piekło go ramię, draśnięte przez kulę.

Nagle strzelanina ustała. Przywarł do koryta.

- Ej że! Ej że stary!

To był głos Tristana. Brian odetchnął z ulgą. Ostrożnie wychylił się z ukrycia. Tristan i Ralph wyleźli spod kół wyprężonego powozu.

Mężczyzna, który ich śledził, leżał na ziemi. Brian podszedł i nachylił się nad nim. Kula przeszła przez sam środek czoła zbira. Nie było wątpliwości, że nie żyje.

Brian szybko opróżnił jego kieszenie. Popatrzył na Tristana i Ralpha, którzy stali nad nim z rozdziawionymi ustami, zdziwieni niespodziewanym zakończeniem ulicznej bójki.

- Już was tu nie ma - powiedział.

- Co ty mówisz? - niepewnie zapytał Tristan.

Żaden z nich nie ma pojęcia, kim jestem, uświadomił sobie Brian.

- Zwiewajcie stąd, zanim pokaże się policja i zaczną wypytywać, co tu robicie i co was łączy z tym typem.

- Racja... racja - mruknął Tristan.

- Ale kto go zastrzelił? - zapytał Ralph.

- Co nas łączy z tym typem... - rzekł Tristan. - Na oczy nie widziałem gościa.

- Był w zajeździe - odrzekł Brian, rozglądając się wokół. - Siedział przy barze, na samym końcu.

- Nawet gdyby policja chciała nas przesłuchać, to przecież my naprawdę go nie znamy - powiedział Tristan.

- W ogóle - przytaknął Ralph.

- A więc życzyście sobie, żeby was przesłuchali?

- Nie!

Brian zakończył przeszukiwanie kieszeni denata, ale nie znalazł jednak przy nim żadnego dowodu tożsamości. Nie było w nich niczego poza paroma monetami i szczyptą tabaki.

- Jazda! - ponaglił obu wpatrujących się w niego mężczyzn. - Szybko!

Wyprostował się i rozejrzał uważnie po placyku. Otaczały go domy, które kiedyś mogli zamieszkiwać flamandzcy tkacze. Teraz zmieniły się w zrujnowane siedliska biedoty, gdzie w jednym pokoju często gnieździło się nawet dziesięcioro członków rodziny. Każdy dom mógł mieć siedem do ośmiu lokali. Dwa z domów miały po trzy kondygnacje i balkonik z tyłu.

- Zjeżdżajcie! - warknął Brian.

Kiedy się wreszcie ruszyli, Brian usłyszał policyjne gwizdki.

- Tędy! - zawołał, pokazując przesmyk między domami.

Popychając ich przed sobą, dotarł na sąsiednie podwórko, które wychodziło na ulicę. Wmieszali się w tłum i pobiegli w przeciwnym kierunku.

Camille kurczowo trzymała się skrzyni z mumią, nad którą jeszcze przed chwilą ubolewała. Nasłuchiwała. Początkowo w magazynie panowała kompletna cisza. Po chwili dał się słyszeć chrobot. Zupełnie jakby dźwięk wydobywał się ze skrzyni.

To przecież niemożliwe! Chociaż serce Camille waliło jak szalone, nie uwierzyłaby, że mumia ożyła. Ale jednak ktoś tu był. W ciemności, po drugiej stronie skrzyni, ktoś, podobnie jak ona, szukał czegoś i próbował ją wystraszyć...

Zobaczyła oczami duszy nóż wbity w wycinek prasowy, wycelowany prosto w twarz sir Johna. Temu, kto tu się znajduje, chodzi o coś więcej niż tylko o to, by Camille najadła się strachu.

Jak najciszej zaczęła się cofać od skrzyni. I wtedy usłyszała głos. Ochryply szept.

- Camille...

Nie miała niczego, czym mogłaby się bronić. Na szczęście nie wpadła w panikę, podobnie jak nie wierzyła w klątwy, ale... ten głos! Było w nim coś nikczemnego. Aż jej ciarki przeszły po plecach.

Powinna uciekać, ale jak? W tym bałaganie między skrzyniami? W ciemności? A co, jeżeli ten ktoś ją zatrzyma?

- Camille...

Znów ten sam cichy głos.

Zacisnęła zęby i się odwróciła. Natknęła się na pudło. Usłyszała za sobą jakiś ruch. Ktoś obchodził skrzynie.

Obmacała pudło i sięgnęła do środka, rozpaczliwie szukając czegoś, czym mogłaby się bronić. Złapała pokryty kurzem przedmiot, długi i twardy. Może berło? Ścisnęła je mocno i macając wokół siebie, obeszała pudło.

Pomimo tarasujących drogę pak i skrzyń zaczęła się przedzierać do wyjścia. Usłyszała wyraźne, podążające za nią kroki. I znowu głos:

- Camille...!

Drzwi! Już je widziała, przez szpary przeświecało światło. Pobiegnęła ku nim.

Słyszała za sobą kroki. Nagle poczuła, że kościste palce chwytają ją za włosy.

Wrzasnęła, odwróciła się i zamachnęła swoją bronią, a potem pognęła do drzwi i do przebijającego zza nich światła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Człowieku, co ty wyprawiasz? - zapytał Ralph Tristana, kiedy wreszcie przystanęli.

Znajdowali się trzy przecznice od placyku, na którym zgromadzili się ludzie, zwabieni dźwiękiem policyjnych gwizdków, choć większość, przyzwyczajona do takich sytuacji, szła dalej. W tej okolicy morderstwo nie należało do rzadkości.

- Zwiewajmy jak najdalej stąd. Słyszałeś, co powiedział ten stary z brodą.

Tristan potrząsnął głową.

- Jeszcze nie wiesz, kto to był?

Ralph rozejrzał się dookoła, chcąc jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Nie przywykł do życia, jakie stało się ich udziałem, odkąd Tristan wpadł na genialny pomysł przywłaszczenia sobie własności hrabiego Carlyle. Aż do dzisiaj nie było jeszcze tak źle; mieszkał w pięknym pokoju dla służby zamkowej, dobrze jadał i wiódł beztroskie życie dżentelmena. Ale teraz? No cóż, nie lubił, żeby do niego strzelano.

- Przecież to był hrabia Carlyle - z politowaniem uświadomił go Tristan.

- Nie!

- Jasne, że tak!

- Nie!

- Na pewno!

- Hrabia Carlyle! - Ralpa zatkało. - Skoro to on był tam w przebraniu, po co nas posłał?

- Bo umiemy się poruszać w takich miejscach, a do tego tutaj wiedzą, że nielegalnie opyliliśmy jedno czy dwa świecełka.

- Świetnie. Coraz lepiej. Wiejmy stąd, tak jak nam kazał.

Tristan pokręcił głową.

- Ja idę z powrotem. - Gdy to mówił, zabłyśły mu oczy.

- Z powrotem! Tam, gdzie omal nie zginęliśmy, jak ten typ! - zdumiał się Ralph. Próbował jeszcze podeprzeć się poważnym autorytetem. - Jak powiadasz, to był hrabia Carlyle, i zauważyłeś pewnie, że stanowczo kazał nam uciekać.

- Jasne, bo nie chciał, żeby nas przesłuchiowano. Wolał, żebyśmy nie byli w to wplątani.

- Słusznie. Więc się nie wplątujemy.

- Już nam to nie grozi. Teraz jesteśmy tylko częścią wścibskiej publiki. Gość padł na miejscu, no nie? Ludzie nie przepuszczą czegoś takiego, a na nas nikt nie zwróci uwagi.

- Nie chcę oglądać wykrwawiającego się na kocich łbach nieboszczyka.

- Ale inni chcą. Tak jak uwielbiają się gapić, gdy kogoś publicznie wieszają. Chodź już, człowieku. Nikt nas nie zauważy, a przy okazji może usłyszymy to i owo.

- Na Boga, Tristan! - jęknął Ralph.

- Może dowiemy się czegoś, co przyda się hrabiemu - zdecydowanym tonem oznajmił Tristan.

Odwrócił się i ruszył tam, skąd przyszli.

Mrucząc pod nosem, Ralph podążył w ślad za nim.

Kiedy za Camille zamknęły się drzwi, świat nagle pojaśniał. Pokonała schody i wbiegła do jednej z sal wystawowych. Zwiedzający przystawali na jej widok. Jedna kobieta wydała stłumiony okrzyk; wszyscy wyglądali na zaszokowanych.

Przez chwilę stała jak wryta, nie rozumiejąc, co się dzieje. Potem spojrzała w dół, na broń, którą porwała ze skrzyni. Trzymała w ręku ramię mumii.

Owinięte w lniane bandażę, pociemniałe i zbutwiałe z wiekiem, wyglądało jak makabryczne trofeum

Przerażona Camille upuściła ramię mumii. Świadoma, że stała się aktorką niecodziennego spektaklu, uśmiechnęła się zażenowana, przygładziła włosy i podniosła z podłogi starożytny kikut.

- To nowy eksponat - wyjaśniła.

Pognała na górę. Jedyne rozsądne posunięcie, jakie jej przyszło do głowy, było zwrócenie się do strażnika odpowiedzialnego za bezpieczeństwo muzeum. Nie zastanawiała się, jak wytłumaczy swoją obecność w magazynach. Czowała, że istnieje jeszcze szansa na złapanie winnego.

Gdy wpadła do biura, zdecydowana wezwać pomoc niezależnie od konsekwencji, zobaczyła, że biurko sir Johna jest zajęte.

W jego fotelu siedziała Evelyn Prior.

- Nareszcie, kochanie! - zawołała Evelyn. - Zaczynałam się niepokoić... Zwykły dzień pracy, a tu nikogo nie ma. Powiedz mi, dziecko, czy stało się coś złego? Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha. - Uniosła brwi. - A do tego trzymasz w ręku jego ziemskie szczątki.

- Ja... nie, wszystko w porządku - odparła szeptem Camille. Polubiła Evelyn, ale nagle postanowiła mieć się na baczności. Czy to możliwe, żeby to

pani Prior była w magazynie i przywoływała Camille, a teraz zasiadła przy biurku, żeby odsunąć od siebie podejrzenie? - Ach to! - Zmusiła się do uśmiechu. - Muszę to zanieść na miejsce. Zrobiłam coś okropnego. Aż wstyd powiedzieć, ale zobaczyłam szczura i wpadłam w panikę. Powinnam być przyzwyczajona do takich rzeczy, lecz... Przepraszam, muszę tylko... - Urwała. - Evelyn, co pani tu robi?

- Już jest po czwartej, moja droga. Przyjechałam z Shelbym, żeby zabrać cię do domku sióstr. Musimy mieć pewność, że suknia idealnie leży i że możesz się szykować na jutrzejszy bal.

- Po czwartej? - przeraziła się Camille. - Oczywiście, jeszcze tylko chwilę. Przepraszam, muszę coś załatwić.

Wychodząc z biura, zamknęła za sobą drzwi. To absurd, żeby podejrzewać Evelyn, kobietę, która wydaje się prawą ręką Briana Stirlinga. To normalne, że zdziwiła się jej nieobecnością w biurze, ale poza tym zachowuje się najspokojniej w świecie. Jeszcze bardziej musiał ją zdumieć widok Camille, ściskającej kurczowo ramię mumii, ale nawet to przyjęła zupełnie zwyczajnie.

Camille udała się na poszukiwanie strażnika. Chciała jak najszybciej odłożyć ramię mumii na miejsce. Próbowwała je ukryć w fałdach spódnicy, żeby już nie szokować zwiedzających, gdy nagle uświadomiła sobie coś jeszcze gorszego: upuściła gdzieś klucze sir Johna i nie zamknęła drzwi do magazynów.

Znalazła strażnika, drzemiącego na krześle przy kamieniu z Rosetty. Ucieszyła się na jego widok. Wszyscy, włącznie z nią, nazywali go Dziaduniem, choć naprawdę nazywał się Jim Smithfield. Pomyślała, że pewnie przeszedł na służbę w muzeum ze względu na wiek. Lubiła kapitalne historyjki o początkach pracy Jima w policji, które im czasami opowiadał.

- Jim! - odezwała się, lekko nim potrząsając.

Błyskawicznie otworzył oczy. Wiedział, że nie powinien przysypiać w pracy, poderwał się więc na równe nogi.

Camille uśmiechnęła się mimo woli.

- Potrzebuję pomocy - powiedziała.

- Tak, tak, ma się rozumieć. O co chodzi, dziewczyno?

- Muszę coś sprawdzić w magazynie. Wydaje mi się, że ktoś był na dole razem ze mną. Chciałabym to sprawdzić i zamknąć magazyn na klucz.

Skrzywił się. Zastanawiała się, czy Jim wie, że nie wolno jej na własną rękę kręcić się po magazynie.

- Ktoś tam był? - zapytał.

- Jestem pewna, że to nic poważnego. Może to tylko moja wyobraźnia? Nie zaszkodzi sprawdzić. Nie mógłby pan zejść razem ze mną?

- Oczywiście, że tak, dziewczyno! Naturalnie! To moja praca!

Camille, czując się o wiele bezpieczniej - nawet jeżeli Jim Smithfield był niemal tak stary jak samo muzeum - ruszyła przodem.

Drzwi na dole, tak jak je zostawiła, były zamknięte tylko na klamkę. Otworzyła je. Przyćmione światło paliło się, jakby wcześniej nie zgasło. Tego się zresztą spodziewała. Odtworzyła drogę, którą wcześniej wydostała się z pomieszczenia, znalazła skrzynię z mumią pozbawioną ramienia i najostrożniej jak mogła, włożyła do środka kończynę. Klucze leżały obok, przy wielkim kontenerze. Podniosła je. Jim spojrzał na nią z drwiącym uśmiechem.

- Sama widzisz, dziewczyno, nikogo tu nie ma i wszystko jest w porządku. Czyżbyś nasłuchiwała się opowieści o mumiach i o klątwach? Niech ludzie mówią, co chcą, Camille, ale mumie nigdy nie zmartwychwstaną i nie wrócą do życia. Ale ty jesteś młoda, pewnie więc łatwo cię postraszyć takimi bajkami.

- Nie. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Wydaje mi się, że ktoś tutaj był. Przyznaję jednak, że do tego czasu zdążył zniknąć.

- Pewnie ktoś z innego działu - zauważył Jim, wyraźnie rozbawiony.

Złapała go za ramię.

- Dziękuję, Jim.

- Zawsze do usług, Camille.

Wychodząc, dopilnowała, by zostawić drzwi dokładnie zamknięte. Choć przecież, kiedy tu wcześniej przysła, również były zamknięte.

Inne działy też miały swoje klucze, mogli więc tu wchodzić różni ludzie. Tylko że prawie na pewno nikt z nich nie zgasiłby wszystkich świateł. Zresztą przecucie podpowiadało Camille, że osoba, z którą przebywała tu w ciemnościach, nie pracuje w innym dziale.

Kiedy wracając, zbliżyli się do kamienia z Rosetty, Jim przystanął.

- Nie powiem o tym nikomu, ma się rozumieć. - Porozumiewawczo mrugnął okiem.

Już chciała powiedzieć, że jej wszystko jedno, ale uznała, że tak będzie lepiej.

- Dziękuję, Jim - powtórzyła i wróciła do biura.

Brian właśnie kończył opatrywać ranę od kuli, która drasnęła go w ramię, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ajax, siedzący na warcie przed kominkiem, podniósł łeb i uderzył ogonem.

- Kto tam?

- To ja, Corwin, milordzie.

- Wejdz, proszę. O co chodzi? - zapytał Brian, zawiązując maskę z tyłu głowy.

- Ten człowiek, sir Tristan Montgomery, chciałby się z panem widzieć - poinformował służący.

- Poproś go do mnie.

Corwin ruchem głowy dał znak i Tristan wszedł do komnaty.

- Dobry wieczór, hrabio.

- Dobry wieczór. Chcesz mi złożyć raport? Znalazłeś miejsce, gdzie nielegalnie są sprzedawane starożytne przedmioty?

- Pan przecież wie, że znalazłem - spokojnie i z godnością odrzekł Tristan.

- I mogę być spokojny, że panu i jego towarzyszowi udało się bezpiecznie zniknąć stamtąd przed przybyciem policji?

- Zniknęliśmy, ale wróciliśmy - odparł Tristan.

- Ach tak? - zdumiał się Brian. Człowiek z przeszłością Tristana zwykle nie szuka towarzystwa policji.

- Pomyślałem sobie, że może przyda się panu nazwisko tamtego typka.

Wyraźnie zadowolony, Brian podszedł do stolika, gdzie stała karafka brandy i kieliszki, i nalał dwie porcje.

- Pewnie, że się przyda - przyznał, podając kieliszek Tristanowi.

- To jakiś ciemny typ, dobrze znany policji. Joseph Buttonwood. Ostatnio miał czyste konto, i to właśnie wydało się podejrzanym policjantom. Wygląda na to, że wykonywał brudną robotę dla kogoś z wyższych sfer, jako że zaprzestał drobnych kradzieży ulicznych w Mayfair.

- Rozumiem - mruknął Brian.

- Sprawą zajęli się policjanci ze śródmieścia - ciągnął Tristan. - Byliśmy niedaleko, ale nie odnotowaliśmy nic szczególnie ciekawego. Po chłopakach z ulicy na miejsce przybył detektyw, złośliwy stary sierżant, Garth Vickford. Uważa, że to dobrze, gdy jedni kryminaliści wykańczają drugich, bo dzięki temu odpadają koszty procesów, skarb Korony nic nie traci i zaoszczędza się pieniądze podatników. Nie sądzę, żeby chciało im się bawić w dochodzenie.

- I tego wszystkiego się dowiedziałeś? - zapytał Brian.

- Potrafię podejść blisko i usłyszeć, co trzeba - zapewnił Tristan i wzruszył ramionami. - Pozwolę sobie dodać - kontynuował - że nieboszczyk był tylko pionkiem, a jego napad na mnie i na Ralpa był prawdopodobnie nieprzemyślany. To z tego powodu ktoś, może osoba, dla której pracował albo jego zwierzchnik ze złodziejskiej meliny, uznał, że trzeba mu zamknąć usta.

- Też tak myślę - odrzekł Brian i wstał. - Dziękuję. Oddał mi pan dzisiaj dużą przysługę i nic już nie jest mi pan winien. A swoją drogą naprawdę nie pomyślałem, że narażę pańskie życie na niebezpieczeństwo.

- Sam pan tam był i dostał kulę w ramię.

- Zwykle draśnięcie, nic więcej. Nie mogę zagwarantować, że zawsze znajdę się tam, gdzie trafią się kłopoty, jeszcze raz więc dziękuję za wyświadczoną przysługę. Zwalniam pana z wszelkich zobowiązań.

Tristan wyprostował się jak struna.

- Hrabio, wiem, że przewodził pan ludziom i walczył, i to nie za ich plecami, ale w pierwszej linii. Jednak ja też byłem żołnierzem jej królewskiej mości. Nie jestem tchórzem i nie przedkładam życia ponad honor. Z przyjemnością oddam panu jeszcze jakąś przysługę.

- Gdyby z mojej przyczyny został pan ranny - powiedział spokojnie Brian - Camille znenawidziłaby mnie i nigdy nie wybaczyła.

- A gdybym odmówił i wrócił do dawnego stylu życia, Camille by we mnie zwątpiła - zripostował Tristan. - Może nie popisałem się dzisiaj, hrabio. Może też nie do końca uwierzyłem w słuszność tego, co zamierza pan odkryć. Jednak dam sobie radę. Niech pan ode mnie nie żąda, żebym się wycofał. Na to już za późno. Wszedłem w to i czuję się tak, jak nie czułem się od wielu lat.

Brian pochylił się i pogłaskał wielki łeb Ajaxa, po czym wstał i spojrzał Tristanowi w oczy.

- Zgoda, ale proszę, żeby nie podejmował pan niczego na własną rękę. Nic nie może się odbyć bez mojej wiedzy.

Tristan uśmiechnął się szeroko.

- Zatem kładę się do łóżka, zmęczony, rozbity i niedomagający. To na wypadek, gdyby moja Camille wcześniej wróciła. - Zasalutował i wyszedł z pokoju.

Brian usiadł i znów pogłaskał psa.

- Co ja najlepszego zrobiłem? - mruknął.

Siostry, zdaniem Camille, były mistrzyniami. W ciągu jednego dnia wyczarowały tak piękną suknię, że na jej widok aż dech zapierało, a leżała idealnie.

Camille nigdy nie miała równie wytwornego stroju. Jadąc tutaj, zadbała oczywiście o ładną bieliznę: obszyty koronką gorset, odpowiednią halkę, idealnej wielkości turniurę. Widząc swoje odbicie w lustrze, zdumiała się, jak olśniewająco wygląda w nowej sukni. A kiedy się obróciła wkoło, poczuła się jak księżniczka. Dekolt był odważny, ale nie za głęboki, do tego krótkie zwiewne rękawki. Materiał mienił się przy każdym poruszeniu, a ozdobiony paciorkami obcisły gorsecik idealnie podkreślał jej kształty.

- Och, panno Montgomery! Jest pani aż za piękna - oznajmiła mała Ally.

Camille uśmiechnęła się do dziewczynki, tracąc odrobinę entuzjazmu na myśl o jej pochodzeniu.

- Dziękuję ci - odpowiedziała.

- Musi pani wiedzieć, że ja też pomagałam - pochwaliła się mała.

- Naprawdę?

- No, właściwie to tylko troszeczkę. Pozwolono mi parę razy przesyć rąbek spódnicy.

- Cudownie. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

Siostry zebrały się razem i z dumą oglądały swoje dzieło, uśmiechając się szelmowsko.

Evelyn Prior obesza ją dookoła, z aprobatą kiwając głową; Camille czuła się jak jeden z elementów nowego umeblowania. Miała spełnić konkretne oczekiwania.

- Doskonale, doskonale - stwierdziła Evelyn. Zwróciła się do sióstr z uśmiechem. - A teraz zdejmijmy to z niej i starannie zapakujmy. Hrabia czeka już na nas w zamku.

- Nie zostaniecie na herbatę? - zapytała rozczarowana Edith.

- Obawiam się, że nie. Hrabia czeka na pannę Montgomery z kolacją.

- Och, jaka szkoda! - zawołała Ally.

Evelyn uśmiechnęła się czule do dziewczynki.

- Kochanie, przecież wiesz, że zawsze możemy tu wrócić.

Ally, z powagą zbyt dużą jak na jej wiek, pokiwała głową.

Przy drzwiach powozu czekał Shelby. Uśmiechnął się do Camille i rzucił pogrzbającym tonem:

- Na jutrzejszym balu nie znajdzie się nikt piękniejszy od pani, czy to wysoko postawiona dama, czy ktoś z niższych sfer.

- Wielkie dzięki za życzliwe słowa i za wszystkie oddawane mi przysługi - odrzekła.

Szybkim krokiem nadeszła Evelyn. Camille, nadal nie wiedząc, skąd jej się wzięła podejrzliwość wobec tej kobiety, zajęła miejsce w powozie.

- Nie byłabym jej taka pewna - powiedziała Evelyn. - Nadal mam wątpliwości.

Natychmiast po przyjeździe udała się do komnat Briana. Camille zatrzymała się u Tristana, który znów leżał w łóżku.

- Nie jesteś pewna? - spytał Brian. - Przecież sama nalegałaś, żebym powrócił do towarzystwa i znalazł kobietę, która wystąpi u mojego boku. Uznałaś wkroczenie panny Montgomery w nasze życie za idealny zbieg okoliczności i za najlepsze rozwiązanie.

- Tak, ale...

- Ale?

- Ta dziewczyna jest dziwna. Wiem, co mówię.

- Jak to?

- Nie było jej w pracowni, kiedy przyjechałam do muzeum. Czekałam przy biurku sir Johna. Potem wróciła z...

- Z czym?

- Z ramieniem mumii w ręku.

- Evelyn, przecież to dział egiptologii.

- Tak, ale czy to normalne, żeby dziewczyna kręciła się po muzeum, nosząc części ciała mumii?

- Musiała mieć powód.

- Być może, ale zachowywała się co najmniej dziwnie. Ubranie i włosy miała w nieładzie, była pokryta kurzem i jakby trochę poszarzała na twarzy. I do tego to skamieniałe ramię!

- Evelyn, przecież uczestniczyłaś w najważniejszych wykopaliskach, więc wiesz, że i miejscowi, i cudzoziemcy używali mumii do podpałki.

- Tak, ale nigdy nie lubiłam brać ich do ręki.

- Jak wypadła przymiarka? - Brian zmienił temat.

Przez chwilę Evelyn milczała.

- Coś nie tak?

- Nie, wszystko w porządku. W absolutnym porządku - odrzekła Evelyn.

- Więc...?

- Sama nie wiem. Niepokoję się. Ale dość już tego. Pozwól, że przyprowadzę tutaj tę uwielbiającą mumie ślicznotkę. - Wychodząc, Evelyn zatrzymała się jeszcze w drzwiach. - Przepraszam cię, Brian. Przyznaję, to był mój pomysł, ale ta dziewczyna naprawdę jest dziwna.

Briana to zastanowiło. Odkąd wcielił się w starego Arboca, podglądał ludzi w muzeum, oceniał ich pracę. Wszystko toczyło się zwykłym trybem. Chyba że dzisiaj coś się wydarzyło.

Pukanie do drzwi zasygnalizowało przybycie Camille.

- Dobry wieczór, panno Montgomery - powitał ją oficjalnym tonem.

- Dobry wieczór.

Zauważył, że ma wilgotne włosy. Prawdopodobnie po powrocie wzięła kąpiel, urywając przed wieczornym posiłkiem trochę drogiego czasu ze spotkania ze swoim opiekunem. Czy to z powodu prochu mumii?

Wysunął dla niej krzesło, nalał wina i zajął miejsce naprzeciwko.

- Długi dzień?

- Tak, zdecydowanie.

- Wydarzyło się coś niezwykłego?

- Wszystko było niezwykle.

- Tak?

- Dzisiaj chyba nikt nie pracował.

- Sir John nie przyszedł do pracy?

- Przyszedł, ale zaraz wyszedł. W szczególnych okolicznościach - poinformowała, patrząc mu w oczy. - Wygłosił wykład w czytelni. Wysłałam z pracowni, żeby z nim porozmawiać o fragmencie tekstu z hieroglifów, gdzie jest mowa o pewnym przedmiocie. Nie zastałam go, a na jego biurku znalazłam wycinek prasowy o ostatniej ekspedycji pańskich rodziców. Był przybity szczyrzykiem, który trafił ostrzem w twarz sir Johna na zdjęciu.

- Ciekawe. Proszę dalej.

- Sir John wrócił bardzo zdenerwowany. Wkrótce potem wyszedł.

- Myśli pani, że ktoś go szantażuje? - zapytał Brian.

- Szantażuje?

- Tak. To się zdarza, sama pani wie.

- Hm - mruknęła szyderczo. - Sądzi pan, że on o czymś wie i że ktoś mu grozi?

- Bardzo możliwe.

- Wie pan coś o złotej kobreze, która ma oczy z drogocennych kamieni? - zapytała.

- O złotej kobreze? Nie. Nigdy nie natknąłem się na taką pozycję w katalogu, a także niczego takiego nie widziałem w skrzyniach, które dotarły tutaj, i w tych, które poszły do muzeum. Kobra była oczywiście symbolem królewskiego majestatu, ale niewiele mogę powiedzieć o konkretnych przykładach. Czy miała stanowić element pośmiertnej maski?

- Nie mam pewności, lecz jest o niej wzmianka w tekście, który tłumaczę.

Pochyliła się do przodu i wbiła wzrok w Briana.

- Zastanawiałam się... Za wszelką cenę próbowałam uporządkować sobie to wszystko w głowie. Pan rzeczywiście wierzy, że pańscy rodzice zostali zamordowani i niewykluczone, że tak właśnie się stało. Musiał być jakiś powód, dla którego...

- Motywacja?

- Właśnie. Gdyby ktoś pracujący w muzeum chciał ukraść przedmiot o dużej wartości, cóż... jest tu wiele rzeczy wartych fortunę. Ale żeby sprzedać coś w Anglii, nawet nielegalnie... Nie, przecież to by wyszło na jaw. A z kolei co komu po skarbie, którego nie można wystawić na widok publiczny?

- Równie dobrze można taki przedmiot przemycić do Francji, do Stanów Zjednoczonych albo do innego kraju - zauważył Brian.

Pokiwała głową.

- Tak, a jeśli mówimy o personelu muzeum, to muszę stwierdzić, że możliwość wyniesienia istnieje.

- Przecież wszystkie wystawione przedmioty są skatalogowane i opisane. Co jeszcze zdarzyło się dzisiaj w muzeum?

Camille usiadła wygodnie i wzruszyła ramionami. Miał wrażenie, że uważnie mu się przygląda i waży słowa.

- Sir John upuścił swoje klucze. Posłużyłam się nimi, żeby dostać się do magazynu.

- I właśnie tam postanowiła pani zbadać ramię mumii?

Kompletnie ją zaskoczył.

- Już wszystkie wróble o tym ćwierkają - wyjaśnił.

- Proszę sobie wyobrazić, że ktoś tam ze mną był i że w tym czasie pogasły światła.

Zdenerwował się.

- Jest pani tego pewna?

- Tak. I nawet podejrzewam, że to mogła być panna Prior. Domyślam się, że to ona jest tym ćwierkającym wróblem.

- Coś podobnego! - Był tak zdumiony, że poderwał się od stołu, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo nad nią góruje.

Camille znieruchomiła, ale się nie odsunęła.

- Tak jak powiedziałam, w muzeum nie było nikogo ze stałych pracowników. Za to była tam panna Prior.

- Oczywiście, że była w muzeum, skoro zastała ją pani w biurze. Jeśli chodzi o bawienie się w chowanego wśród mumii, to pozwolę sobie zauważyć, że Evelyn była nie tylko damą do towarzystwa mojej matki, ale i jej najlepszą przyjaciółką.

Camille również wstała i pochyliła się w stronę Briana. Jej oczy ciskały gromy.

- O co chodzi? Sam pan zaczął! Co wieczór sprowadza mnie pan tutaj i przesłuchuje! Staram się odpowiadać tak szczerze i uczciwie, jak potrafię. Pan zadaje pytania, ja odpowiadam. Nic nie poradzę, że nie podobają się panu moje odpowiedzi.

- Czy ktoś panią prosił o zaglądnienie do magazynu?

Camille milczała.

- Niech pani tam więcej nie chodzi. Niech pani nigdzie się nie rusza, kiedy w muzeum nie ma żywej duszy i nie pali się światło, rozumie pani?

- Ciągłe pan pyta, czy rozumiem! - zawołała. - Owszem! Stracił pan rodziców, których bardzo kochał. Jest pan im winien poznanie i wyjaśnienie prawdy. Ktoś może się znajdować w niebezpieczeństwie. Używa mnie pan dla swoich celów, i to też rozumiem. Jest pan bezwzględny, bogaty i utytułowany, nawet i to rozumiem. Ale mam już dość tego, że stale pan na mnie krzyczy. Czy pan to rozumie?

Zaskoczony jej wybuchem, Brian milczał. Również Camille, po wyrzuceniu z siebie tej tyrady, nie wiedziała, co powiedzieć. Zapędziła się w ślepy zaułek; nie miała pojęcia, czy dalej walczyć, czy się wycofać. Wybrała to ostatnie. Postanowiła zrobić to z godnością. Rzucając serwetkę na stół, powiedziała:

- Proszę mi wybaczyć, hrabio. Mam za sobą długi i ciężki dzień.

Skierowała się do drzwi.

- Proszę się zamknąć na klucz - rzucił szorstkim tonem.

Zatrzymała się i odwróciła.

- Tak jest, zrozumiałam. I mam nie wychodzić w nocy, ponieważ jeden Bóg wie, co tu się dzieje!

- Właśnie staram się to odkryć, panno Montgomery.

- Cudzym kosztem! - powiedziała dobitnie i wyszła.

Brian był zdumiony nagłym chłodem i martwością, jakie zapanowały w pokoju po wyjściu Camille. Chciał za nią pobiec, zatrzymać ją na korytarzu i zawrócić, choćby siłą, gdyby to było konieczne. Dlaczego ta dziewczyna go nie rozumie?

Zaklął głośno. Ajax zaskomlił. Brian spojrzał w jego stronę.

- Przepraszam, staruszkule! - powiedział.

Camille jest podopieczną złodzieja, który przypadkiem znalazł się tutaj, a on jest przeklętym hrabią Carlyle. Potworem, na którego sam się wykreował, i co mu całkiem nieźle wychodzi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Camille nie miała wątpliwości, że hrabia jest najbardziej irytującym człowiekiem na świecie. Cicho zamknęła drzwi, wychodząc z godnością z pokoju, ale w odwet trzasnęła swoimi drzwiami. Miała nadzieję, że je wyrwie z zawiasów. Naprawdę dobrze jej to zrobiło

Krążyła po pokoju wściekła, nie wiedząc na dobrą sprawę dlaczego. Hrabia poprosił ją, żeby była jego okiem i uchem, a teraz okazuje się, że jej nie ufa. Mówi, że swoją bezcenną Evelyn zna od lat, że była najlepszą przyjaciółką jego matki. A kim była dla niego? Jedną z kochanek? A to dziecko, Ally...

- Co mnie to obchodzi? - szepnęła żałośnie.

Była zła na hrabiego, ale ją to obchodziło. Był dominujący, nieustraszony, nieustannie naładowany energią. Dobrze poznała dźwięk jego głosu, mogła bez końca przyglądać się jego dłoniom, a oczy...

- To potwór! - powiedziała na głos, choć, o dziwo, dobrze go rozumiała.

Przemierzała pokój wzdłuż i wszerz. Przyznała się sama przed sobą, że nie powinna była mu sugerować, iż ktoś, kogo on lubi, szanuje i komu ufa, działa przeciwko niemu. Jej podejrzenie nie miało solidnych podstaw.

Ogień w kominku dogasał. Roznieciła go, poruszając polana, wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie, że jutro czeka ją długi i trudny dzień. Kwesta przeciągnie się do późna. Włoży piękną suknię, zabłyśnie w niej i będzie tańczyć w ramionach Briana.

Przebrała się w nocną koszulę i położyła do łóżka. Nie chciała zostać w ciemności, zostawiła więc zapaloną lampkę na nocnym stoliku. Poprawiła poduszkę i postanowiła zasnąć.

Jednak sen nie nadchodził.

Nie bała się mumii ani klątw, ale po dzisiejszych przeżyciach, na myśl o tych wszystkich przedmiotach, które towarzyszyły zmarłym w drodze na tamten świat, ciarki jej chodziły po plecach. A kiedy usłyszała ten głos... Przekręciła się, poklepała poduszkę i znieruchomiła.

To ten sam dźwięk. Coś jak drapanie o kamień, gdzieś głęboko. Zupełnie jakby zamek żył własnym życiem i jęczał z głębin swojego jestestwa.

Wyskoczyła z łóżka, nasłuchując. Nic. Po chwili znowu...

Była przerażona, a równocześnie miała dość własnego strachu. Wolałaby wybiec na korytarz, pozapalać wszystkie światła i dowiedzieć się, dlaczego nikt się nie budzi i nie udaje na poszukiwanie.

Jednak nie zrobi tego. Słusznie czy nie, coś ją przed tym powstrzymało. I wtedy jej wzrok padł na portret Nefretete. Przypomniała sobie słowa Briana: "Jeżeli zajdzie potrzeba, wystarczy pociągnąć za lewy róg ramy".

Jeszcze się wahała, pamiętając, w jakim nastroju się rozstali. Wreszcie nie mogła dłużej wytrzymać; zdecydowanym krokiem podeszła do obrazu, dotknęła ramy z lewej strony i popchnęła.

Ściana przesunęła się w jej stronę. W sąsiednim pokoju panował mrok, ale jarzył się ogień w kominku.

- Brian? - wyszeptała.

Nagle zrozumiała, dlaczego nie wybiegła na korytarz z krzykiem. Chciała być z nim. Nadal nie była pewna, czy hrabia nie jest odrobinę szalony i czy nie prowadzi dochodzenia tylko po to, żeby coś się wokół niego działo. A jednak...

- Camille?

To był jego głos, głęboki, dodający otuchy w panujących ciemnościach. Już nie było w nim złości.

Weszła, wciąż prawie nic nie widząc w półmroku. Brian wstał, owinął się szlafrokiem i podszedł do niej.

- Czy pan też to słyszał? - zapytała szeptem.

- Proszę wejść dalej - powiedział, więc, chociaż po tej stronie ściany było dziwnie zimno, posłuchała go. Ogień w kominku ledwo się palił. Dostrzegła jednak masywne, zasłane łóżko z baldachimem i stojącą przed nim szafkę. Na stole po prawej stał patefon, a na innych stołach i komodach pełno było książek i gazet.

- Czy pan słyszał? - powtórzyła.

- Tak - odparł i dodał: - Proszę tu zostać.

- Nie!

- Camille, błagam, niech mnie pani posłucha.

Zauważyła obok niego psa, który cicho zaskomlał. Brian podszedł i zabezpieczył ukryte drzwi. Nie dostrzegła żadnego urządzenia, które mogłoby je otwierać z tej strony.

Hrabia położył dłonie na ramionach Kamille. Przekonała się, że zdążył włożyć maskę. Przyłapała się na tym, iż zastanawia się, jak bardzo zeszpecona może być jego twarz. A przecież jej to nie obchodziło.

- Proszę zostać w pokoju - powtórzył.

- Ale...

- Camille, to nie są żarty. Tu się toczy bezwzględna gra.

- Nie chcę być sama!

- Zostawię psa.

- Nie! Ajax jest potrzebny panu.

- Wątpię, żebym mógł odkryć coś więcej niż dotychczas. Dźwięk ustaje, zanim dotrę do jego źródła. Proszę, Camille, niech pani tutaj zaczeka i zamknie się na klucz.

Widać postanowił jej zaufać. Odprowadziła go do drzwi i zamknęła się, jak kazał.

Wzrok oswoił się z półmrokiem. To prawda, hrabia zapuścił swoją posiadłość, ale pokój posprzątany po kolacji wyglądał bez zarzutu. Zobaczyła stoliczek z karafką brandy. Podeszła do niego, postanawiając dodać sobie otuchy. Wysączyła łyk, zastanawiając się, czy hrabia podejrzewa, że

niebezpieczeństwo może się czaić w jego rodowej siedzibie. Czy inaczej należałoby, żeby zamykała się na klucz?

Spłoszyła się, słysząc ten sam charakterystyczny dźwięk, tym razem gdzieś blisko. Odwróciła się. Czy ktoś nacisnął klamkę, czy tylko jej się zdawało?

Brian zbiegał po schodach z Ajaxem u nogi.

Trwało to wieki, ale było pewne, że dźwięk dochodzi z podziemi.

Przebiegł wielki hol, salę balową, wpadł do kaplicy, po czym najciszej jak umiał, zaczął schodzić na sam dół.

Znalazłszy się na poziomie krypty, wszedł najpierw do przestronnego chłodnego pomieszczenia, położonego przy szczytowej ścianie zamku. Kiedyś była to pracownia i magazyn rodziców. Stały tutaj dwa biurka - ojca i matki, szafy na dokumenty i mnóstwo dzieł sztuki, nad którymi prowadzili badania. Pudła z ostatniej ekspedycji piętrzyły się wysoko. Do niektórych z nich już zaglądał, do innych nie. Wszystkie były starannie opisane.

Obok znajdowała się rodzinna krypta. Rodzice w niej nie spoczywali. Pochowano ich w kościele Carlyle'ów, znajdującym się na terenie posiadłości. Od ponad stu lat w krypcie nie grzebano nikogo. Masywnych żeliwnych wrót, dzielących miejsce pochówku od pracowni, nie oliwiono od wieków.

Ajax zwęszył coś, warknął i obiegnął pracownię. W końcu zatrzymał się, usiadł i spojrzał na Briana. Dźwięk się nie powtórzył.

- Całe szczęście, że nie wierzę, by moi przodkowie mogli powstać z martwych, wiesz, piesku?

Brian uważnie obejrzał każdy kamień w ścianie pracowni. Teraz wpatrywał się w zardzewiałe żeliwne wrota.

- Jutro sprowadzimy tutaj ślusarza - powiedział łagodnie. - Chodź, stary. Dzisiaj niczego nie znajdziemy.

Ajax nie odstępował go w drodze powrotnej. Zamek wydawał się opustoszały, jakby szedł z Briana, gdy przemierzał ogromne komnaty. Brian zatrzymał się przy swoich drzwiach i lekko zapukał. Prawie natychmiast się otworzyły.

Przyciągnął Camille do siebie, jeszcze zanim zamknął drzwi.

- Co się stało? - zapytał prawie szeptem.

Nie wrywała się. Oparła o jego pierś.

- Noc, ciemność, wyobraźnia - wyszeptała i cofnęła się, szukając jego wzroku. - Nie było tam niczego... nikogo, prawda?

- Ktoś tam jest na pewno. Dzisiaj nie znalazłem nikogo, ale znaję. - Musnął ręką jej włosy. Cierpiał z powodu tej bliskości. Powinien był się cofnąć, ale tego nie zrobił.

- Pani marznie - powiedział.

Camille drżała, ale nie z powodu zimna. Nawet najmniejszy ruch Briana był jak najśłodszy dotyk, wzniecający żar, który mógłby pochłonąć ich oboje.

- Zimno pani - powtórzył Brian, choć odczuwał coś wręcz przeciwnego. Jej włosy, tak subtelnie pachnące, łaskotały go w brodę. Samo wdychanie tego zapachu było odurzające. Kiedy Camille uniosła głowę, napotkał jej płomienny wzrok. Poczuł, że mógłby zatonać w jej szmaragdowo-złotyach oczach, jasnych i ciemnych zarazem, których kryształowo czysty blask hipnotyzował. Dotknął jej policzka, chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć głosu.

- Nie kiedy jestem z panem - wyszeptała.

Wydał gardłowy jęk. Ujął jej podbródek i palcem dotknął leciutko warg, zanim przywarł do nich ustami. Trzymane na uwięzi podniecenie wybuchło ze zdwojoną siłą. Chciał jej, pragnął, pożądał. Smakowała tak słodko brandy i miętą. Jej zaciśnięte wargi się poddały. Poczuł, że mógłby wiecznie trwać w tym żarliwym pocałunku, który tak wiele obiecywał. Zwykle kierował się rozumem i logiką, ale wszystko to uleciało. Zanurzył palce w jej włosach, a ich jedwabisty dotyk okazał się kolejnym wyzwaniem dla jego ciała. Przesunął ręką wzdłuż doskonałej linii pleców Camille, króciutko zatrzymał ją na biodrach, prześlizgnął się po okrągłości pośladków, po czym niespiesznie powędrował palcami do szyi. Uświadomił sobie, że Camille się do niego tuli. A więc także była złaźniona fizycznego kontaktu. Gdzieś głęboko w jego świadomości rozległ się ostrzegający głos, ale już po chwili kolejna fala pożądania poniosła go ze sobą.

Wziął Camille na rękę i zaniósł do drugiej komnaty, gdzie w bursztynowym świetle dogasającego ognia stało łóżko. Mając ją tak blisko siebie, zapragnął jej jeszcze bardziej. Jakby w głębi niego uwolniła się od dawna uśpiona energia. Zawładnęły nim uniesienie i tęsknota. Wodził palcami po twarzy i ustach Camille, a już po chwili wyczuł pod dłonią cienki szlafroczek.

Skóra pod materiałem była rozpalona, a kształty doskonałe. Pieścił szyję Camille, aż przesunął dłoń na pełną pierś. Camille ocierała się o niego, nieprzewidywalna, gładka jak jedwab, pomrukująca cichutko i poddająca się pocałunkom.

Przyszedł wreszcie moment opamiętania. Brian się odsunął.

- Musisz wracać - szepnął, ale Camille się nie ruszyła. Czuł szalone bicie jej serca i szybki, nierówny oddech.

Dotknęła jego twarzy.

- Maską - wyszeptała. - Proszę... dla mnie nie jesteś potworem.

Był zgubiony. Nie myślał o niczym, konsekwencje przestały mieć znaczenie. Zerwał maskę, ciskając ją byle gdzie na podłogę. Gdy znów pocałował Camille, poczuł, że tonie.

Delikatnie i czule dotykała jego twarzy, odnajdując to, czego dotąd nie widziała. Ruchem lekkim jak piórko musnęła bliznę, a potem zanurzyła palce w jego włosach, przyciągając go do siebie.

Całował jej wargi, szyję, rowek między piersiami. Czulość przerodziła się w namiętność, gdy dotykał jej dłońmi, podniecał ustami i językiem. Był na krawędzi i cierpiał katusze, ale całował zapamiętale, nie mogąc się nacieszyć Camille. Obsypywał pocałunkami jej ciało przykryte cieniutkim szlafrocikiem, schodząc coraz niżej i niżej, aż do ud. Wiła się przy nim, muskając jego włosy i ramiona. Po chwili wygięła się w łuk, wydając nieartykułowane dźwięki. Ponaglała go.

Wsunął rękę pod materiał i dotarł do nagiej skóry. Pieścił ją i poznawał. Camille sięgnęła pod szlafrok, który miał na sobie. Już po chwili oboje byli nadzy. Chciał dotykać jej całej, poznawać ustami i językiem gładkość nagiego ciała. Krew w nim burzyła się do granic wytrzymałości, gdy muskał i pieścił na przemian jej uda, biodra i brzuch. Zatoczył koło wokół jądra jej kobiecości i sięgnął na ułamek sekundy w samo serce jej pragnienia i pożądania, dając upust namiętności. Wygięła się ku niemu gwałtownym ruchem, szepcząc do ucha niezrozumiałe słowa, a kiedy cicho krzyknęła, uniósł się nad nią, rozsunął jej uda, by się w niej zanurzyć...

Wiedział podświadomie, że jeszcze ma chwilę na wycofanie się, że jeszcze może jej kazać odejść. Gdy znów musnęła jego twarz, wsuwając palce we włosy i przyciągając go do siebie, spragniona pocałunku, oboje jednocześnie przekroczyli granicę rozsądku.

Camille wbiła mu palce w plecy z zadziwiającą siłą, całując go bez opamiętania. A gdy nadeszła chwila rozkoszy, Brian zatracił się cały. Wreszcie opadł obok niej, tuląc ją w ramionach. Ich ciała jeszcze drżały, płomienie zamieniały się w popiół, ochryply oddech powoli wracał do normy.

Camille leżała w milczeniu, z głową na piersi Briana, a choć wraz z otrzeźwieniem umysłu powróciła brutalna rzeczywistość, nie odsunęła się od niego. A on zachwycał się jej zapachem i dotykiem, a także ufnością, z jaką się do niego przytulała.

- Camille! - powiedział po chwili, wygładzając jej potargane włosy. - Tak mi przykro. Chociaż to może niewłaściwe słowo, bo który mężczyzna by się oparł? Ale...

- Nie mów nic - poprosiła.

- Zapracowałem sobie na opinię potwora, lecz nie zamierzałem...

Zareagowała gwałtownie, palcami zamykając mu usta.

- Nie mów nic - powtórzyła.

- Camille, nie mam zwyczaju...

- Sama dokonuję swoich wyborów! - powiedziała stanowczo.

- Nie powinienem...

- Przestań, proszę.

- Jeżeli się obawiasz...

- Dobry Boże, to nie ma nic wspólnego ze strachem. Dokonałam wyboru. Nie jestem pijana ani głupia - oświadczyła.

Zauważył, że jest bliska łez. I nie chodziło o to, co zrobił, ale o to, co powiedział.

Skonsternowany, a jednak niezdolny do końca żałować swojego postępu, próbował ją ukoić.

- Jesteś naprawdę niezwykła - wyszeptał z przekonaniem. Wiedział, że Camille zawładnęła nie tylko jego zmysłami. - Dopilnuję, żebyś zawsze miała wszystko, co trzeba - dodał.

W przyćmionym świetle była piękniejsza niż zwykle i jakże zmysłowa; cienie podkreślały jej długą szyję, szczupłą talię i pełne piersi w oprawie zmierzwionych bujnych włosów.

- Nikt nie musi się o mnie troszczyć! - wybuchła. - Sama mogę się sobą zająć!

Chciało mu się śmiać, bo była taka najeżona i śliczna, ale wiedział, że jeśli się roześmieje, Camille się od niego odsunie. Skończyło się na tym, że uśmiechnął się w ciemności i ponownie wziął ją w ramiona, pomimo jej gwałtownego sprzeciwu.

- Wszyscy od czasu do czasu potrzebujemy, żeby się nami zajmowano - powiedział z czułością, a kiedy chciała zaprotestować, pocałował ją znowu. Wystarczyło, że przywarła do niego na chwilę, by wszystkie cudowne wrażenia powróciły z nową siłą.

A jednak Camille się odsunęła.

- Powinnam wrócić do swojego pokoju - szepnęła.

- Po co? - zaprotestował. - Nie naprawimy już szkody. Co miało się stać złego, już się stało.

I znów użył niewłaściwych słów.

- Szkody? Nie czuję się w żaden sposób poszkodowana.

Przyciągnął ją ponownie.

- Jesteś doskonała - wyszeptał. Wiedział już, że Camille protestuje i złości się nie na niego, ale na siebie. Wiedział też, że naprawdę to ona postanowiła, żeby się kochali.

Skłonił głowę z pokorą.

- Jesteś samą doskonałością - powiedział jeszcze raz i powoli, z największą czułością zaczął się z nią kochać. Ta kobieta, zmysłowa, cudowna, oddawała się równie słodko, jak brała. Może od początku miała rację. Nie musieli rozmawiać, naturalne piękno dwóch złączonych z sobą ciał, kobiety i mężczyzny, nie wymagało wyjaśnień.

Później, gdy leżała przytulona do niego, jeszcze raz wyszeptał:

- Jesteś naprawdę doskonała, Camille.

- A ty, hrabio, wcale nie jesteś potworem - odszepnęła.

Rano, gdy odrobina światła rozproszyła ciemności w pokoju, wstał ostrożnie i podniósł maskę z podłogi. Noc minęła i nie wiadomo, co przyniesie dzień.

Camille sama dokonywała wyborów, co nie znaczy, że nie popełniała błędów. Kiedy się obudziła, wspomnienie nocy było jednak wyraźne i radosne. Zrobiła to, co chciała. Rozumiała matkę jak nigdy dotąd.

Była pewna, że dla nikogo innego nie straciłaby zdrowego rozsądku. Sama doprowadziła do tego, co się stało. Tak bardzo go pragnęła, a teraz... jest nieodrodną córką swojej matki.

Niespodziewanie zapłakała. Opłakiwała kobietę, która kochała ją tak bardzo, z takim poświęceniem, dopóki realia życia nie przekreśliły marzeń, nie odebrały zdrowia i wreszcie życia.

Wtedy oparciem dla Camille okazał się Tristan. A gdyby ona miała dziecko, w kim znalazłaby oparcie?

Szybko wstała, odszukała szlafroczek i podeszła do ściany. W tym pokoju wielki portret przedstawiał Ramzesa II. Musiała mocno chwycić za prawy brzeg ramy, żeby ukryte drzwi ustąpiły.

Weszła do wanny. Roztrzęsiona przekonywała samą siebie, że od jednego ustępstwa na rzecz zmysłów nie musi od razu powstać nowe życie.

W lustrze nad umywalką ujrzała swoją mizerną i poważną twarz. Tak, dokonała wyboru. Nie cofnie tej nocy niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość. Czeka ją długi dzień i bardzo długi wieczór. Będzie musiała stawić czoło mężczyźnie, w którym się zakochała. Tak, pokochała Briana, tego była pewna.

Coś sobie przypomniała. Brian zdjął maskę... specjalnie dla niej. I choć światło było przyćmione, przekonała się, że ją okłamywał.

- O, tutaj - oznajmiła Evelyn. - Tu jest krótka wzmianka o zastrzeleniu bandyty, strona siódma w "Daily Telegraph". Reporter chyba trochę za daleko się posunął. - Popatrzyła przez stół na hrabiego, który zdawał się nieobecny duchem. - Brian! - powiedziała z naciskiem. - Znalazłam w gazecie wzmiankę o zabitym człowieku.

- Przepraszam. Pozwól, że sam zobaczę. - Wziął od niej gazetę, odnalazł niewielką wzmiankę i przeczytał na głos: - "*Brutalna śmierć w Whitechapel. Złodziej zginął na miejscu. Świadców zdarzenia nie było*".

Dalej napisano, że zajmujący się sprawą detektyw nie ma wątpliwości, iż zabójcą był jakiś szubrawiec ze złodziejskiej ferajny. Sugerował, że jak kto żyje, tak i umiera.

Brian pomyślał, że powinien zajrzeć do zajazdu, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Za to jego obecność w muzeum była dzisiaj absolutnie konieczna. Czy rzeczywiście ktoś był w magazynie i śledził Camille? Czy próbowali ją nastraszyć?

Camille posądza o to Evelyn, ona zaś uważa, że Camille traci głowę albo że może zrobić coś, czego nie powinna. Początkowo to on podejrzewał pannę Montgomery o nieczyste intencje. Teraz jednak wie, że Camille jest prawdomówna i uczciwa jak mało kto.

Czy może być tego pewien? Czy jest tak urzeczony tą kobietą, że zmienił swoją opinię? A czy przypadkiem to nie jest pułapka? Odrzucił tę myśl.

Powinien pozbyć się wreszcie podejrzliwości, która zrodziła się po niespodziewanej śmierci rodziców, do której doszło w tak niezwykłych okolicznościach. Nagłe uświadomił sobie ze zgrozą, że nie tylko wpłatał Camille w bardzo niebezpieczną grę, ale że bardzo się o nią boi.

Zdecydował się nie ryzykować i nie śledzić wydarzeń w zajeździe. Nie zamierzał też zdobywać dodatkowych informacji o zastrzelonym mężczyźnie. Musi uprzedzić Tristana i Ralpa, żeby tam dzisiaj nie weszli; wolał nie narażać ich życia. Powinien udać się do muzeum, i to niezwłocznie.

Podniósł się gwałtownie.

- Evelyn, poproś Shelby'ego, niech dopilnuje, by panna Montgomery wyszła z muzeum najpóźniej o czwartej. Musimy się przebrać i zdążyć z powrotem na wpół do dziewiątej.

- Brian, czy ty... - zaczęła Evelyn, ale on już wychodził; chciał się znaleźć w muzeum przed przybyciem Camille.

Ogarnął go niepokój. Dotychczasowe wysiłki doprowadziły go donikąd. Odkąd Camille wkroczyła w jego życie, czuł się podwójnie odpowiedzialny.

Na szczęście dzień był tak absorbujący, że Camille nie miała czasu na oddawanie się rozmyślaniom. Przenoszono ekspozycje, różni dostawcy ustawiali swoje rzeczy w wielkiej sali sztuki egipskiej, a wszędzie roilo się od policjantów. Ponieważ wczoraj nikogo nie było w pracy, powstały zaległości w przygotowaniach do gali i należało ostro wziąć się do roboty. Nawet lord Wimbley zakasał rękawy, dokładając starań, by rozmieszczenie gości wypadło jak najlepiej, co oznaczało, że ci, którzy przeznaczą najwyższe dotacje na przyszłe ekspedycje i na utrzymanie muzeum, zajmą poczesne miejsca.

Aubrey kierował większością niewdzięcznych, wymagających skrupulatności prac, powarkując na starego poczciwinę Jima, który, choć wydawał się dostatecznie krzepki, by poradzić sobie ze zleceniami, był dziś tak zgarbiony i poszarzały, że zbrodnią było kazać mu ciężko pracować. Aubrey sam był w nie najlepszym humorze i zdobywał się na tolerancję jedynie wówczas, gdy w pobliżu znajdował się lord Wimbley, co było zrozumiałe.

W pewnym momencie wyłonił się problem kobry.

- Na ten wieczór powinna zniknąć z pola widzenia - nalegał sir John.

- Nie bądź śmieszny, John! - protestował lord Wimbley. - Zostawiamy przecież ekspozycję poświęconą Kleopatrze. Legenda o niej intryguje ludzi zainteresowanych Egiptem. Terrarium jest absolutnie bezpieczne.

- Ale wąż powinien zniknąć - upierał się sir John.

- Zdaje się, że to ja podejmuję decyzję - zwrócił mu uwagę lord Wimbley.

- W dzisiejszym wieczorze weźmie udział lord Sterling, hrabia Carlyle.

Mogłoby się zdawać, że wszyscy zatrzymali się w miejscu i utkwili wzrok w Camille, która, ledwo wypowiedziała to zdanie, rzuciła się, by ratować starożytną kanopę.

Sir John zwrócił się do lorda Wimbley'ego.

- Czy trzeba mu w taki sposób przypominać przeszłość? - zapytał spokojnie.

Lord Wimbley spojrzał na Aubreya.

- Niech będzie. Kobrę przeniesiemy do biura - rzucił, nie dając po sobie poznać niezadowolenia, że kto inny podjął za niego decyzję.

- Przenieść kobrę - mruknął Aubrey, wściekły, ale świadom, że lord Wimbley może w każdej chwili wyrzucić go z pracy. - Trochę za dużo spraw jak na ostatnią chwilę, ale załatwię to.

- Ja mogę przenieść terrarium - zaoferował się Alex. - Stary Arboc może mi w tym pomóc.

Ludzie wynajęci do pomocy mieli swoje zadania, muzealnicy zaś sami postanowili zatroszczyć się o drogocenne dzieła sztuki. W pewnej chwili Camille posłano do biura po listę najważniejszych spraw, leżącą na biurku sir Johna; była zaskoczona, zastając szefa w gabinecie, z rękami pod brodą, jakby złożonymi do modlitwy, i trochę nieobecny wzrokiem.

- Sir John? - zagadnęła. - Dobrze się pan czuje?

- Och, to ty, Camille - ocknął się. Zdziwiło ją jego taksujące spojrzenie. Czyżby oczekiwał, że dojrzy w niej coś nowego? - Jesteś kochana, Camille. Tak, oczywiście, czuję się dobrze.

- Wygląda pan na zdenerwowanego.

- Naprawdę? Odnoszę wrażenie, iż pojawiając się w naszym życiu, hrabia Carlyle sprawił, że powróciły do mnie sprawy z przeszłości. Teraz je na nowo przeżywam.

- Czy dochodzi pan do wniosku...

- ...że ktoś mógł zamordować jego rodziców? - dokończył sir John i potrząsnął głową. - Nie, to by było potworne. W jakim celu, na miłość boską, ktoś mógłby pragnąć śmierci Stirlingów? Przecież oni bez reszty poświęcili się dla muzeum.

- No właśnie. Poświęcili się dla muzeum - mruknęła Camille.

- Co masz na myśli? - ostrym tonem zapytał sir John.

- Niektóre z wydobytych dzieł sztuki są bezcenne. Bezcenne przedmioty są pokusą dla złodziei.

- Dzieła sztuki zostały skatalogowane, Camille. Nie mogą ot, tak sobie zniknąć.

- Nie mogły zostać skatalogowane, jeżeli nie znajdowały się w skrzyniach przysłanych do muzeum z Egiptu.

- Drogie dziecko, po co zabijać kogoś za coś, co nie zostało przywiezione?

- Ponieważ wiadomo, że to gdzieś jest. - Zawahała się. - Sir Johnie, trafiłam na fragment tekstu, wspominający przedmiot, którego nie widziałam w żadnym spisie. Chodzi o złotą kobrę. Mam prawo się domyślać, że była wysadzana drogocennymi kamieniami. Tylko ten jeden przedmiot jest wart krocie, że nie wspomnę o innych.

Pokręcił głową.

- Nie było żadnej złotej kobry.

- Uważam, że była.

Przerwali rozmowę, bo do gabinetu wkroczył Hunter.

- Camille, co tak długo? Lord Wimbley się wścieka, chyba nie chcesz, żeby zamiast na tobie, wyładował się na mnie? Chyba że... już ci na niczym nie zależy - powiedział.

Miała ochotę go spoliczkować. Zarówno on, jak i Alex zachowywali się tak, jakby przyjaźń upoważniała ich do takich przytyków.

- Hunter! - oburzył się w jej imieniu sir John.

- Przepraszam, Camille - rzucił Hunter. - Ona mieszka w zamku potwora - przypomniał sir Johnowi.

- Weź listę i sam zanieś ją lordowi Wimbley'emu - zaproponował sir John. Wstał zza biurka i podał listę Hunterowi, któremu nie pozostało nic innego, jak tylko skrzywić się z niechęcią.

- On jest tobą naprawdę oczarowany, moja droga - rzekł sir John po wyjściu Huntera. - Chodź!

- Jak to? - zdziwiła się. - Dokąd? Musimy wracać...

- Do magazynu.

- Sir Johnie, wzięłam pańskie klucze i zajrzałam tam wczoraj. Bardzo uważnie przeczytałam kartki z zawartością wszystkich kartonów.

- Wzięłaś moje klucze? - Zgromił ją wzrokiem.

- Przepraszam. Zostawił pan je tutaj, a ja właśnie znalazłam ten cytat...

Ruszył przodem, z kluczami w ręku. Szła za nim, przekonana, że gdy będą przechodzić przez główną salę, ktoś ich zatrzyma. Kiedy minęli kilkoro drzwi i dotarli do pracowni konserwatorskiej, przekonała się, że do magazynów prowadzi też inna droga. W pewnej chwili trochę się pogubiła, ale już niebawem znaleźli się na znajomych schodach, zeszli na dół i dotarli do drzwi magazynu.

- Sir Johnie - wyrzuciła z siebie jednym tchem Camille. - Ktoś mnie wczoraj śledził. Kiedy tu byłam, raptem zgasły światła. Może mi pan wierzyć albo nie, ale tutaj naprawdę dzieje się coś niedobrego.

Popatrzył na nią gniewnie i otworzył drzwi. Weszła za nim do środka. Jej szef zachowywał się tak, jakby nagle ogarnęła go obsesja. Szedł od pudła do pudła i grzebał w nich bez cienia szacunku, co chwila potrząsając głową.

- Dowiem się, dowiem! - mamrotał.

I znów Camille przeraził nagły dźwięk. Zza jednego z większych pudeł wyłonił się stary Arboc, pokaszując, jakby dopiero co przyszedł.

- Ci tam na górze czekają na pana, sir Johnie - powiedział.

Sir John odzyskał zdrowy rozsądek.

- Tak, oczywiście! Chodźmy, Camille. Zrobimy to jutro. Tak, jutro tu przyjdę.

Nie zwracając uwagi, czy Camille idzie za nimi, skierował się w stronę drzwi. Stary Arboc kuśtykał przodem. Wrócili schodami na górę, gdzie już opanowano sytuację i przygotowania dobiegały końca. Lord Wimble wyszedł, żeby spędzić trochę czasu z osobistym fryzjerem i lokajem przed wieczorną uroczystością.

- Sir Johnie, czy zechciałby pan ostatni raz rzucić okiem na plan ulokowania gości przy stole? - zapytał Hunter.

Sir John wziął listę i prawie na nią nie patrząc, zwrócił Hunterowi.

- Tak, świetnie - powiedział.

- Wychodzę - oświadczył Hunter. - Muszę się przygotować. - Popatrzył przez ramię sir Johna na Camille, po czym do niej podszedł. - Wybacz mi, moja droga. Czy mogłabyś zarezerwować dla mnie taniec? - Posłał jej skruszony uśmiech.

- Na twoje własne ryzyko - odrzekła, odwzajemniając uśmiech.

- Przysięgam, moja droga, że przy mnie nie pomylisz kroku - powiedział, odwrócił się i wymaszerował z fasonem.

Słyszając za sobą kroki, Camille się odwróciła. Stał tam Alex - spięty i blady.

- A co ze mną, Camille? Przed moim nazwiskiem nawet nie widnieje "sir".

- Oczywiście, że z tobą zatańczę.

- Może nigdy nie będę miał żadnego tytułu, ale w końcu żyjemy we wspaniałej epoce. Pewnego dnia mogę stać się bardzo bogaty i wpływowy. Różne dziwne rzeczy mogą jeszcze się zdarzyć. - Uśmiechnął się tęsknie.

- Alex, wiesz przecież, że dla mnie najważniejsza jest praca i że nie zwracam uwagi na to, czy ktoś jest bogaty albo utytułowany. Jesteś moim przyjacielem, a twoja sytuacja finansowa mnie nie obchodzi. Z przyjemnością zatańczę z tobą na balu.

- Ale...

- Co ale?

- Będzie ci towarzyszył hrabia Carlyle.

- Poprosił mnie o to.

- Jego tytuł też nic dla ciebie nie znaczy? Znosisz rozkazy potwora?

Westchnęła tylko, starając się nie okazać irytacji.

- Nie interesuje mnie ani tytuł, ani majątek. Podobnie jak wygląd. Zresztą pod maską kryje się bardzo przyzwoity człowiek.

- Nie wierzę - mruknął Alex.

- Naprawdę.

- Nie! Camille, proszę, błagam! Daj sobie coś powiedzieć! Ostrzegam cię. Uległaś zauroczeniu, ale w rzeczywistości go nie znasz. On jest mściwy. Zjawił się tutaj, żeby nas wszystkich zniszczyć.

Rozejrzała się dookoła. Po sali krzżeli się tylko dostawcy i muzycy, i to w pewnej odległości. Przy wejściu do wielkiej sali czekał Shelby.

- Muszę iść, Alex. Uwierz mi, proszę, Brian Stirling nie zamierza nas zniszczyć.

- Brian Sterling... Stajecie się sobie coraz bliżsi?

Zaczerwieniła się wbrew sobie.

- Muszę iść - powtórzyła.

- Camille, zaczekaj, proszę!

- Słucham cię, Alex.

Stał przed nią pokornie, układał w myśli słowa, ale nie mógł wydobyć głosu. Wyciągnął rękę i dotknął włosów Camille.

- Tak bardzo mi na tobie zależy. Marzyłem, że pewnego dnia... że pewnego dnia okażę się odpowiednim dla ciebie mężczyzną. Przecież fascynują nas te same rzeczy. Pochodzimy z tej samej warstwy społecznej. Jeszcze nie przyszedł czas, ale zawsze wiedziałem, że idealnie do siebie pasujemy. Ja... o Boże, jakie to trudne! Ja... zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia i wierzyłem, że pewnego dnia zdobędę wszystko, co potrzeba, żeby poprosić cię o rękę. Sądziłem, że zależy ci na mnie. Ale teraz...

Chwyliła jego dłoń i mocno uściśnęła.

- Zależy mi na tobie, naprawdę. Jesteś moim drogim przyjacielem.

- Ale nigdy mnie nie pokochasz, prawda? A mogłabyś, gdyby nie on.

- Jestem gościem w jego zamku, Alex.

Spojrzał na nią uważnie.

- A nie w łóżku?

- Zabraniam ci tak do mnie mówić!

- Wybacz mi, proszę, ale nic na to nie poradzę. Tak bardzo o ciebie się boję. Już byłoby lepiej, gdybyś się wdała w romans z Hunterem. Pamiętaj, Camille, że możesz zawsze na mnie liczyć. Przysięgam, że pewnego dnia stanę się bogatym człowiekiem. A ci, którym teraz się kłaniam, jeszcze mnie poznają!

- Alex...

Odwrócił się od niej, dodając jeszcze przez ramię:

- Strzeż się swojego ukochanego potwora, Camille. Wisi nad nim klątwa. A klątwa spadnie na ciebie, jeżeli znajdziesz się zbyt blisko hrabiego. - Odwrócił się. - On ma manię prześladowczą. Okaleczony, zgorzkniały, gotowy poświęcić każdego dla swoich celów. Camille, jesteś jego ofiarą. Uwierz mi, on jest groźny. Obyś tylko nie przekonała się na własnej skórze, że mówię prawdę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Camille czekała w holu przy głównych drzwiach i biła się z myślami. Edith i Merry przybyły, żeby pomóc jej się ubrać; było przy tym mnóstwo śmiechu. Siostry były takie urocze, takie podnoszące na duchu i takie... normalne.

Szczerze pragnęła, żeby zaczekały na jej powrót z kwesty. Niestety, obowiązki wzywały je do domu. I tak poświęciły jej wiele czasu i serca, a suknia była cudowna.

Kiedy już włożyła ją na siebie, siostry przyprowadziły Tristana, którego szczyry zachwył sprawił, że Camille poczuła się niczym księżniczka. Dumne z siebie Edith i Merry skakały przy niej jak kwoki, ale potem odjechały, pozostawiając ją samą. Tristana, który wyglądał na osłabionego, zmusiła, żeby wrócił do łóżka.

Nigdy w życiu nie miała na sobie tak pięknej i wyrafinowanej kreacji. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, poczuła się piękna.

Jedyna rzecz, co do której miała wątpliwości, to kolczyki z topazu, pozostawione na jej nocnym stoliku z karteczką: "Włóż je, proszę, na ten wieczór".

Kiedy je zobaczyła, serce podskoczyło jej w piersi. Nie widziała Briana od... momentu zaśnięcia u jego boku. Tak jak sobie powiedziała, dokonała wyboru, ale w tej chwili czuła się wyjątkowo nieswojo. Nie miała ochoty wkładać kolczyków. Fakt ich pojawienia się odebrała niemal jak zapłatę. Z kolei treść karteczki wskazywałaby raczej, że to nie prezent, a jedynie pożyczka.

Stała przy wielkim kominku, w którym płonął ogień, mimo to było jej zimno. Wieczór w muzeum napawał ją lękiem. Nagle wszystko w jej życiu stało się kłamstwem i grą; każdy wysiłek i każdy krok Briana Stirlinga zmierzał tylko do wykrycia zabójcy.

I jeszcze jedna zagadka. Skąd pewność Alexa, że stanie się bogatym człowiekiem? Zrobiło jej się niedobrze. Alex brał udział w wyprawie. Może swobodnie poruszać się po muzeum. Nie ma kluczy, ale, jak się przekonała, łatwo można niepostrzeżenie wziąć komplet sir Johna. A sir John i jego zdumiewające zachowanie? A wycinek prasowy na jego biurku? Jeżeli sam go nie wyjął, to ktoś musiał podejść do biurka, wyjąć artykuł i wbić scyzoryk prosto w jego twarz. I pozostać niezauważonym. Alex?

Odwróciła się od kominka z głową ciężką od nadmiaru irytujących problemów - całkiem realnych i tak bardzo angażujących emocje. I wtedy ujrzała Briana.

Choć w masce, wyglądał jak rasowy dżentelmen. Miał na sobie frak, wykrochmaloną, nieskazitelnie białą koszulę, czarną kamizelkę i krawat, a w ręku trzymał białe gienzowe rękawiczki. Guziki i spinki w mankietach były z czystego złota, podobnie jak dewizka zegarka w górnej kieszonce. Prezentował się elegancko i dostojnie. Schodząc ze schodów, nie wyglądał jak człowiek przyzwyczajony do takiego stroju, a jednak potrafił go nosić z nonszalancją kogoś, kto zna się na rzeczy.

Przystanął na czwartym stopniu i zapatrzył się na Camille.

- Coś podobnego! - Westchnął i zaniemówił.

Poczuła, że się czerwieni. Przypomniała sobie wszystko, co przeżyła pamiętnej nocy. Ogarnęły ją sprzeczne uczucia: chciała podbiec ku Brianowi, a jednocześnie wołałaby uciec.

- Dobry wieczór - wyszeptała.

Podszedł do niej, ujął obie jej ręce, cofnął się i przyjrzał uważniej. Na pewno była czerwona jak rak, zresztą paliło ją całe ciało.

- Te kolczyki... - rzekł. - Wiedziałem. Są idealne.

- Zwrócę je natychmiast po przyjeździe do domu - powiedziała, niezadowolona, że łamie jej się głos.

- Nie chcę, żeby je pani zwracała.

- Jak już wspomniałam wcześniej, nie interesuje mnie dobroczynność.

- One nie są wiele warte.

- Nie szkodzi. Nie życzę sobie takich prezentów.

- Rozumiem. Traktuje to pani jak coś innego niż zwykły gest?

- Nie przyjmuję prezentów - powtórzyła grzecznie, ale chłodno.

Przyciągnął ją do siebie.

- Moja droga, gdybym miał pani ofiarować prezent w dowód wdzięczności i uznania, proszę mi wierzyć, że byłoby to coś znacznie bardziej wartościowego.

Chciała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

- Co w panią wstąpiło? - zapytał cichym głosem, choć w pobliżu nie było nikogo.

- Nic. Po prostu za dobrze wiem, na jakim świecie żyję.

- Na jakim?

- W tym świecie każdy musi znać swoje miejsce - powiedziała z odrobiną goryczy w głosie.

- Czasami nasze miejsce jest tam, gdzie je sobie wybierzemy, panno Montgomery - zauważył Brian. - Nie chciałem pani obrazić. Wiedziałem, z jakiego materiału będzie pani suknia, a kolczyki należą do rodziny od dziesiątek lat. Proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się, że na obecnym etapie moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

Zastanawiała się, czy nie za bardzo wzięła sobie do serca słowa Alexa. Tak, pragnęła Briana, i to bardzo. Sama pozwoliła na wszystko, co się wydarzyło, ba, sama to spowodowała. Jednak Alex się myli. To nie miało nic wspólnego z tytułem czy z majątkiem hrabiego. A może jednak kolczyki są aluzją?

- Nie mogę przyjmować żadnych prezentów - powtórzyła, tym razem łagodniej, życząc sobie, by silny uścisk jego rąk nie sprawiał jej takiej przyjemności i żeby nie czuła się tak cudownie w jego pobliżu. Mogłaby też przestać się przejmować czułością i zachwytem, które dostrzegała w jego wzroku.

- Czy coś zdarzyło się w muzeum? - zapytał.

- Dzisiaj? Nic szczególnego.

Cofnął się, jakby nagle przesiał jej ufać.

- Nic?

- Trwały przygotowania do dzisiejszego wieczoru - odparła. Czy jest coś, o czym warto wspomnieć? Sir John zachowywał się dziwnie, ale po co o tym mówić, zwłaszcza że nie zna przyczyny. Lord Wimbley i sir John mieli różne zdania na temat kobry, ale jak ma o tym powiedzieć, nie wymieniając powodu i głównego argumentu w ich sporze?

- Ojej!

Rozdzielili się, słysząc głos Evelyn na schodach. Ona także była dziś niezwykle wytworna. Włosy upięła na czubku głowy, na szyi zawiesiła niewielki brylant, a kobaltowobłękitna suknia była bardzo elegancka. Zatrzymała się w połowie schodów, klasnęła w dłonie i się rozpromieniła.

- Mam nadzieję, że zamówili fotografa. Powinniście zobaczyć, jak wyglądacie razem. Tego się nie da opisać.

- Dziękuję, Evelyn - powiedział Brian. - Obawiam się, że mężczyźni na taki wieczór jak dzisiejszy ubierają się mniej więcej jednakowo, ale wy, panie...
- Skłonił głowę w kierunku Camille. - Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś tak zjawiskowo pięknego, panno Montgomery. A ty, Evelyn...

- Wiem, wiem. Jeszcze nigdy nie widziałeś tak zjawiskowej kobiety w moim wieku, czy tak, Brianie?

Schodząc na dół, Evelyn zwróciła się do Camille.

- Przepraszam, wyglądasz na zdziwioną. Nie zamierzałam zakłócać wam wieczoru i być piątym kołem u wozu, ale Brian nalegał.

- Przecież to ja jestem dzisiaj piątym kołem u wozu.

- Ależ, kochanie! Nie rozśmieszaj mnie - zaprotestowała Evelyn. - Po prostu zapomnij o mojej obecności. Doskonale znam wszystkich panów z muzeum, a skoro przebywałam z nimi w palącym słońcu i w paskudnym, wszechobecnym piasku, nawet wypada, żebym się pokazała.

- Oczywiście - powiedziała Camille.

Otworzyły się drzwi. Nawet Shelby przebrał się na ten wieczór; miał świetnie skrojoną liberię, a jego cylinder błyszczał jak słońce.

- Milordzie, powóz czeka.

- Znakomicie. No więc jak, moje panie, ruszamy?

Muzeum jarzyło się światłami, a przed wejściem zatrzymywały się najelegantsze ekwipaże najznamienitszych gości. Panie olśniewały biżuterią, a panowie, ci wysocy i ci niscy, szczupli i przysadziści, wszyscy na czarno, pomagali im w ich wielkim entree.

Brian Stirling został rozpoznany, jak tylko wysiadł z powozu, i zaraz też do jego uszu dotarły niestosowne uwagi.

- To hrabia Carlyle!

- Chłopak jednak z tego wyszedł.

- Musiał rzeczywiście dostać potworne cięcie. Nadal nosi maskę.

- Och, ale jak on ją nosi! - zachwyciła się jedna z zaproszonych pań.

- Panny będą się o niego ściagały, prawda, Rupert? - powiedział ktoś złośliwie.

Camille również stała się obiektem domysłów, tyle że już nie ograniczono się do szeptu.

- Kim, u licha, ona jest? Ależ wspaniała!

- To Evelyn Prior, przyjaciółka jego mamy.

- Nie pytam o Evelyn, głuptasko! Chodzi mi o tę olśniewającą istotę w złotej szacie.

- Przypuszczam, że nie pochodzi z tutejszej arystokracji.

- Może są spokrewnione i w ten sposób będę miała szansę...

- A ja słyszałam, że hrabia ma przybyć z kimś całkiem pospolitym. Pracownica muzeum, wyobrażacie sobie?

Blisko głównego wejścia natknęli się na grupę, od której, zdaniem Camille, mogła pochodzić ta informacja.

- Wielkie nieba, Brian, słyszałem, że się pojawisz, ale nie do końca w to wierzyłem - powiedział zbliżający się mężczyzna. Ubrany stereotypowo, jasnowłosa, był przystojnym młodym człowiekiem.

- Robert, cieszę się, że cię widzę - oznajmił Brian i obaj mężczyźni podali sobie ręce. - Rupert, Lavinia, jak miło. - Odwrócił się do Camille. - Kochanie, to starzy dobrzy przyjaciele. Wszyscy razem studiowaliśmy w Oxfordzie, a Rupert i ja służyliśmy w Sudanie. To hrabia Robert Offenbach, księżę Rupert i jego siostra, lady Lavinia Estes. Pozwólcie, że wam przedstawię pannę Camille Montgomery. A także panna Prior, którą chyba wszyscy znacie.

Witając się, Camille, z przyklepionym do ust uśmiechem, zauważyła, że mężczyźni wpatrują się w nią z nieudolnie skrywaną ciekawością, a lady Lavinia wręcz ostentacyjnie taksuje ją wzrokiem, zadzierając nosa. Camille musiała przyznać, że jest to kobieta wyjątkowej urody - drobna, kształtna blondynka, z olbrzymimi niebieskimi oczami i śliczną twarzą. Wyglądała olśniewająco w białej sukni, połyskującej kryształkami i koralikami, z brylantowym łańcuszkiem na szyi.

- Jak tam, Brian? Na nowo zaczynasz interesować się tym miejscem? - zapytał Robert. - To cudownie. Prawdę mówiąc, nawet sobie nie wyobrażam funkcjonowania tego działu bez twojej wydatnej pomocy i współpracy.

- Słusznie - zgodził się Rupert. - Już się obawiałem, że znów przywdziejesz mundur i podążysz do Indii, Sudanu czy nawet do południowej Afryki. A jednak nie. Cieszę się, że cię widzę.

- Cóż, jesteśmy wielkim imperium - odpowiedział Brian. - Nigdzie się nie wybieram, chyba że otrzymam szczególne zadanie. Do tego czasu zamierzam pozostać w Anglii.

- Biedaku! - zawołała Lavinia. - Zostałeś tak ciężko ranny

- Mogło być gorzej. Gdyby jeszcze ta rana nie wyglądała tak paskudnie, Lavinio - odrzekł z powagą. - Pozwolę sobie jednak zauważyć, że pomimo wspaniałych postępów medycyny wielu moich kolegów zapadło na tyfus i dyzenterię. No, ale to nie jest odpowiedni temat na taki wieczór. Wchodzimy do środka?

Tak też zrobili. Sale były rzęsiście oświetlone. Między ogromnymi płaskorzeźbionymi blokami - unikatowymi okazami średniowiecznej sztuki ormiańskiej - ulokowano orkiestrę. W dwóch salach po usunięciu eksponatów i dzięki ustawieniu stołów pod ścianami powstał duży parkiet. Gdy weszli do środka, orkiestra grała walca wiedeńskiego.

Zanim dołączyli do tłumu, Brian zwrócił się do Camille:

- Zatańczymy? Evelyn, pozwolisz?

- Oczywiście, dzieci. Tańczcie.

- Zaczekaj! - zawołała Camille, ale było za późno. Silne ramiona porwały ją na parkiet. Dziękowała Bogu za długą spódnicę i za to, że nie musi za bardzo się martwić, gdzie stawia stopy. Wystarczyło dać się prowadzić.

- Zrelaksuj się, droga panno Montgomery - poprosił Brian.

- Łatwo panu powiedzieć. Uczyłam się egiptologii głównie w tym muzeum. Przykro mi, ale tańca tutaj nie uczyli.

- Nigdy nie tańczyłaś?

- Oczywiście że tańczyłam, ale... nie na parkiecie - powiedziała cicho, czerwieniąc się.

- A zatem gdzie?

- W naszych skromnych pokoikach, z Tristanem i z Ralphem - przyznała.

- Tańczy pani znakomicie. Ci dwaj okazali się wspaniałymi nauczycielami.

- Znam tylko kilka kroków.

- Cudownie daje się pani prowadzić.

- Stara się pan być uprzejmy.

- Po cóż miałbym silić się na uprzejmość? Mówię prawdę.

- Czy spędzamy razem ten wieczór dlatego, że lubi pan wprawiać w osłupienie znajomych, pokazując się w towarzystwie pracownicy muzeum?

- Po części.

- Po części? A jaka jest druga część?

- Cóż, chciałem tańczyć z najpiękniejszą kobietą na tej sali i przysięgam, panno Montgomery, że nie zamieniłbym partnerki na żadną z przybyłych tu dam.

- Znowu stara się pan być uprzejmy.

- Nie niszczyłbym tak udanego związku, przedkładając kurtuazję nad prawdę, panno Montgomery! - oznajmił.

- Tyle pochlebstw naprawdę może mi zawrócić w głowie.

- O nie, droga panno Montgomery. Nigdy. Jest pani za rozsądna, by czyjeś uwagi mogły zrobić na pani aż takie wrażenie.

- Zależy czyje uwagi - wyszeptała.

Nagle Brian zatrzymał się w tańcu, a Camille zorientowała się, że ktoś poklepał go po ramieniu. To był Hunter.

- Proszę wybaczyć moją zuchwałość, hrabio. Obawiam się jednak, że widok panny Montgomery, poruszającej się z takim wdziękiem na parkiecie, ściągnie wkrótce uwagę każdego obecnego tu mężczyzny. Będzie rozchwytywana do końca wieczoru. A ponieważ jest moją przyjaciółką i towarzyszką pracy, proszę o wybaczenie i cierpliwość... i o ten taniec.

Brian grzecznie schylił głowę i odszedł na bok.

- Oczywiście, Hunterze.

W ten sposób Camille, która nie wierzyła w swoje umiejętności wdzięcznego poruszania się na parkiecie, znowu została porwana do tańca.

- Jesteś dzisiaj po prostu przepiękna - oznajmił Hunter.

- To tylko suknia balowa, Hunter. Szata nie czyni człowieka - odrzekła.

- Hm... Kto to może wiedzieć, jak sądzisz?

- Sądzę, że tak naprawdę nie tańczę zbyt dobrze i że muszę się skupić, żeby nie nastąpić ci na nogę.

Roześmiał się.

- Jak zawsze pragmatyczna. Nie przejmuj się moimi nogami. Jak według ciebie wygląda sala, z tym oświetleniem i doborowym towarzystwem?

- Prześlicznie. Mam nadzieję, że zdobędziemy fundusze, na które tak bardzo liczy sir John, może nawet z nawiązką.

- A co ty z tego będziesz miała?

- A co miałabym mieć?

- Nie marzy ci się wyprawa wzdłuż Nilu?

- Wątpię, żeby mi coś takiego zaproponowano.

- Naprawdę? Przecież nie spodziewałaś się też, że tutaj będziesz.

- Rzeczywiście, ale wydaje się, że jesteśmy tu wszyscy. Widzę na przykład Alexa, rozmawiającego z lordem Wimblym, a nie wydaje mi się, żebym widziała jego nazwisko na liście gości.

- Ciebie nikt by nie pominął.

- Nigdy nie zostałam zaproszona.

- Może lord Wimbly sądził, że kupno takiej sukni przekroczy twoje możliwości finansowe. - Mówiąc to, uśmiechnął się, ale już po chwili uśmiech zniknął. - Odejdź od niego, Camille. Nie wierzę, że ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach. Powiedziałem, że się z tobą ożenię, pamiętasz?

- Hunter, nie uważasz, że to by była ostateczność? - zapytała, tłumiąc śmiech.

- To cię ocali.

- Nie wyjdę za ciebie dla "ocalenia" - zapewniła go.

- Camille! - wykrzyknął. - Wiesz przecież, że zawsze byłem tobą oczarowany. A dzisiaj, w tej sukni...

- Proszę cię... - zaczęła.

Hunter nagle przystanął, bo ktoś poklepał go po ramieniu. Za nim z trochę niepewną miną stał Alex.

- Można? - zapytał.

- Oczywiście - z żalem odpowiedział Hunter.

Camille zaczęła tańczyć z Alexem, i oboje się potykali.

- Przepraszam - powiedział Alex. - To moja wina. - I chyba rzeczywiście tak było, ponieważ Camille dostrzegła Briana, tańczącego z wstrząsająco arystokratyczną Lavinia.

- Nie pasujemy tutaj - rzekł Alex.

- Ależ oczywiście, że pasujemy - zaproponowała z roztargnionym uśmiechem Camille.

Brian zakończył taniec z Lavinia i usunęli się na bok. Jakaś starsza pani ze śliczną młodą dziewczyną, najwyżej dwudziestoletnią, przyparła go do muru i oboje wdali się w ożywioną rozmowę.

- Nieprawda.

- Przecież tu pracujemy - zauważyła.

Alex westchnął.

- No cóż, nie poświęcasz mi zbyt wiele uwagi, prawda? To było do przewidzenia. Potwór czy nie, hrabia był jednym z najbardziej pożądanych i poszukiwanych kawalerów w Anglii, zanim wyruszył do walki za nasze wspaniałe imperium w służbie jej królewskiej mości. Wysoki, silny, przystojny syn Carlyle'a, a obecnie jedyny dziedzic majątku i tytułu. Człowiek, który może

nosić maskę i mieć opinię potwora, a mimo to nie traci na atrakcyjności. Czego się spodziewałaś, przybywając tu u jego boku? Pozostajesz kobietą z gminu, pracownicą muzeum. Są tutaj dziesiątki matek, gotowych sprzedać swoje córki samemu diabłu, byleby tylko mieć za zięcia jedynego dziedzica tytułu i fortuny. Jest tak, jak powiedziałem, Camille: nie pasujemy tutaj!

- Jeżeli tak źle się tutaj czujesz, nie trzeba było przychodzić.

- W ostatniej chwili stary Wimby postanowił, że mamy się stawić wszyscy. To nie było zaproszenie, tylko polecenie, które wykonałem.

- Postaraj się miło spędzić ten wieczór.

- Spróbuję się postarać.

- A teraz się uśmiechnij.

- Przecież wiesz, jak się czuję.

- Uśmiechnij się pomimo wszystko! - nakazała Camille, tracąc cierpliwość.

- Wiesz, kto tutaj jeszcze nie pasuje?

- Nie, ale sądzę, że mi powiesz.

- Evelyn. Jego bezcenna panna Prior.

- Uczestniczyła w ostatniej ekspedycji przy odkryciu grobowca - przypomniała Camille.

- O tak, uczestniczyła. Powiedziała ci o tym?

- Niezupełnie. Widziałam jej zdjęcie w jednej z gazet.

Przechylił lekko głowę na bok.

- Czy ktoś ci mówił, że jako ostatnia widziała Slirlingów żywych?

- Ja... nic o tym nie wiedziałam - zająknęła się Camille.

Alex skrzywił się.

- Zajmowała nieduży pawilon w pobliżu apartamentów Stirlingów. Zwykle przebywała razem z nimi, ale akurat tego wieczoru udała się do

pobliskiego hotelu na herbatę. Pomyśl tylko, gdyby nie wyszła, mogłaby usłyszeć krzyk i przybiec im na ratunek.

- Jeżeli Stirlingowie natknęli się na gniazdo węży, ona także mogłaby umrzeć - sprzeciwiła się Camille. - Z tego, co wiem, kobry egipskie kęsają dopóty, dopóki czują się zagrożone. A ich jad prowadzi do paraliżu. W większości wypadków ustaje oddech i śmierć następuje po kwadransie, jeżeli dostatecznie szybko nie wyssie się jadu. Nawet w takim przypadku możliwość pełnego powrotu do zdrowia jest...

- Niejeden przeżył ukąszenia kobr, jeśli w porę dostał pomoc. Popatrz tylko - rzekł Alex, pociągając Camille na środek parkietu - lord Wimbley szykuje się do przemówienia. Przyniosę ci szampana i posłuchamy. Mamy stolik koło podium. Podobno hrabia Carlyle nalegał, żeby wszyscy pracownicy usiedli przy jego stole.

Gdy Camille w towarzystwie Alexa podchodziła do stołu, paliły ją policzki. Wiedziała, że jest obiektem plotek.

Alex poprowadził ją na miejsce. Na śnieżnobiałym obrusie stała srebrna zastawa i kryształowe kieliszki. Za stołem siedzieli Brian, Evelyn, sir John, Hunter i Aubrey.

Gdy Alex udał się po szampana, Brian wskazał na butelkę w wiaderku z lodem. Delikatne, wąskie kieliszki były już napełnione.

Lord Wimbley wyszedł na środek podium i teraz wygłaszał przemówienie o znaczeniu muzeum i prowadzonych przez nie pracach, a także o potrzebie znacznych środków na finansowanie licznych ambitnych zadań. Trzeba powiedzieć, że miał dar przekonywania. Zanim skończył, wszyscy zyskali poczucie, że wspierają finansowo jedyną na świecie świątynię wiedzy, nauki i kultury.

Następnie o powiedzenie paru słów poproszono sir Johna. Jednak lord Wimbley przerwał jego wystąpienie w chwili, kiedy sir John zaczął się rozwódzić na temat ekspedycji i zagrożeń, które nieuchronnie im towarzyszą. Jako następnego lord Wimbley poprosił Briana Stirlinga, hrabiego Carlyle.

Camille zastanawiała się, czy Brian był na to przygotowany, bo zanim wstał, wahał się chwilę. Towarzyszyła mu burza oklasków.

Wchodząc na podium, uśmiechnął się, podniósł ręce i podziękował obecnym. Pięknie mówił o swojej wdzięczności wobec tych wszystkich, którzy mieli cierpliwość do niego w okresie żałoby. Zażartował na temat "potwora" z

zamku Carlyle i przyznał, że zaniedbał ten wspaniały obiekt, prawdziwy klejnot, należący zarówno do Anglii, jak i do niego. Powiedział też, że ciąży na nim klątwa.

- Jeżeli starożytna klątwa spadnie na kogoś w postaci złowieszczonego egipskiego ostrzeżenia, w które tak wielu wierzy, jest rzeczą oczywistą, że muszą istnieć siły magiczne mogące zdjąć taką klątwę. Dlatego chciałbym skorzystać z okazji i złożyć oświadczenie. - Spod zwierzęcej maski widać było jego uśmiech. - Uważam, że tak jak całkiem realna forma klątwy zrodziła ciemność, która na mnie spadła, tak samo całkiem realna forma magii zdjęła ją ze mnie. Przyjaciele, pragnę przedstawić moją narzeczoną, światło mojego życia, pannę Camille Montgomery.

Nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby podszedł i ją spoliczkował. Była całkowicie pewna, że przed wywołaniem na podium nie zamierzał wygłosić tych słów. Krew napłynęła jej do twarzy. To była kolejna sztuczka w grze; widocznie zapragnął kogoś zaszokować. Ona była tylko kozłem ofiarnym. Skończy się na tym, że straci pracę, a prasa zacznie szperać w jej przeszłości i odkryje jej pochodzenie. Takie słowa ranią. Są jak nóż wbity w serce.

- Kochanie, proszę cię, zamknij usta - szeptem, ale kategorycznie zażądała Evelyn.

Camille udało się uspokoić. Zacisnęła dłonie aż do bólu. Kusiło ją, żeby zdemaskować Briana.

- Teraz rozumiem, dlaczego moje oświadczenia nie zostały przyjęte - zauważył Hunter.

Alex wytrzeszczył oczy. Sir John patrzył na nią ze zdumieniem. Głowa lorda Wimbley'ego obracała się jak u marionetki.

Po stłumionym okrzyku zdziwienia w sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Jako pierwszy ruszył do boju lord Wimbley.

- Na Jowisza! Gratulacje, chłopcze! - powiedział, klepiąc Briana po plecach. Podszedł do Camille, chwycił ją za rękę, podniósł z miejsca i ucałował w oba policzki. - Mówię poważnie, gratuluję wam obojgu.

Jakaś pocziwa dusza zaczęła klaskać, za jej przykładem poszli inni, choć nie ulegało wątpliwości, że byli i tacy, którzy nie widzieli powodu do owacji, ale zaintrygowani hałasem zaczęli wypełniać salę.

W ślad za lordem Wimblim do Camille podszedł Brian, który na oczach całego towarzystwa wziął ją w ramiona i wycisnął szybki pocałunek na jej ustach.

- Walc, walc! - zawołała Evelyn, wstając od stołu.

Zabrzęczały instrumenty, a po chwili popłynęła muzyka.

Dopiero kiedy kręcili się po parkiecie, Camille mogła zaprotestować.

- Co pan wyprawia? - syknęła.

- Daję wszystkim do zrozumienia, że jestem szczęśliwy i zakochany - wyjaśnił Brian.

- Jest pan oszustem i kłamcą! - padło oskarżenie. - A mnie przypadła rola kozła ofiarnego.

Zmrużył oczy.

- A zdawało mi się, Camille, że właśnie ofiarowałem pani bezpieczeństwo i siłę mojego nazwiska.

- Jak pan śmiał! Nie miał pan prawa mówić takich rzeczy. Ani razu nie rozmawiał pan ze mną o tym podstępie.

- Podstępie?

- Oczywiście!

- A może byłem szczerzy? Może to wcale nie było kłamstwo, tylko prawda?

Zaczerwieniła się.

- Powiedziałam przecież - syknęła - że nie ma pan żadnych... zobowiązań.

- O tak, sama dokonuje pani wyborów.

- A pana nie wybrałam, nie musiał więc się pan ośmieszać oświadczynami.

- Ja także dokonuję wyborów, Camille.

- To nie jest tylko pański wybór, skoro dotyczy mojej osoby. Będzie mnie to drogo kosztować. Lubię moją pracę, dzięki niej wiodę przyzwoite życie. Czy pan wie, co pan zrobił? Wszystkie pańskie tak zwane przyjaciółki nie spoczną, póki nie wyszperają wszystkiego, co się da, na temat nieszczęsnej dziewczyny z niższych sfer, która pana omotała. Czy pan tego nie dostrzega? Zmieszają nas z błotem, Tristana i mnie. Zostanę intrygantką i parweniuszką, która postanowiła uwieść "potwora", żeby się wybić. Stanę się...

- Naprawdę nie jest pani gotowa stanąć u boku potwora?

Nie mogła odpowiedzieć, bo Brian znów się zatrzymał.

Za nim wyrósł Rupert.

- Gratulacje, Brianie! Zzieleniałem z zazdrości. Czy mogę?

- Dziękuję, Rupercie. Oczywiście.

Rupert porwał Camille do tańca.

- Droga panno Montgomery, moje najgłębsze i najszczerze gratulacje. To wprost niezwykle. Wreszcie komuś udało się usidlić poczciwego Briana. Wszyscy uważali, że przełamanie barier, które wznosił wokół siebie, jest prawie niemożliwe, ale pani tego dokonała; patrząc zaś na panią, nietrudno się domyślić dlaczego. Muszę wyznać, iż zniewoliła pani dzisiejszych gości. Udało się to pani jeszcze przed oświadczynami, ale teraz...

- Wąż! - rozległ się nagle krzyk.

- O Boże! - zawołał ktoś.

- To wąż Kleopatry!

Tańczący wpadali na siebie. W ogólnym zamieszaniu rozdzielono Camille z Rupertem. Była prawie pewna, że jej partner uciekł.

- To kobra! - zawołał ktoś inny.

Zaczęła się przepychanka. Muzycy porzucili instrumenty. Piękne, obsypane biżuterią kobiety uciekały co sil. Wysocy, opanowani, eleganccy mężczyźni podążali za nimi. Nawet policjanci, zatrudnieni, by zapewnić dodatkowe bezpieczeństwo na ten wieczór, czmychali w popłochu.

- Złapię go... złapię!

Camille rozpoznała głos Alexa.

Nagle rozdarł powietrze nowy krzyk, głośny i pełen bólu.

Gdy inni przewracali się o siebie, byle się stąd wydostać, Camille rzuciła się, żeby odszukać przyjaciela. Znalazła Alexa, leżącego wśród przewracanych krzesłek i potłuczonego szkła. Wąż obok niego przyjął obronną pozycję - wznosił się, wysoko unosząc głowę. Zaatakował ponownie, ale nie trafił. Był wyraźnie przestraszony biegającymi naokoło ludźmi.

- Zabić go! - ktoś krzyknął, podczas gdy wąż wił się jak oszalały, nie wiedząc, gdzie czmychnąć.

Camille zobaczyła Briana, który wysunął się do przodu i unieruchomił węża, przydeptując go butem tuż za głową. Pochylił się i złapał kobrę. Syczała i wiła się, ale Brian trzymał ją mocno.

- Tutaj! - To nadbiegł Aubrey z płóciennym workiem. Wrzucił węża do środka i wśród okrzyków: "Zabić go! Zabić!" szybko z nim zniknął.

Camille podbiegła do Alexa i uklękła przy nim, szukając miejsca, w którym zęby jadowe żmii wbiły się w jego ciało. Znalazła ślad na lewej dłoni. Na podłodze leżał stołowy nóż. Chwyciła go, przecięła skórę i zaczęła ssać, wypływając co chwila jad. Zaprotestowała, kiedy Brian położył rękę na jej ramieniu, żeby ją odciągnąć.

- Zostaw mnie, wiem, co robię.

- Camille - rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Ryzykujesz własne życie.

- Wiem, jak to zrobić bezpiecznie, przysięgam...

- Skąd?

Podniosła głowę.

- Z książek, oczywiście!

Mimo to odciągnął ją na bok.

- Zrobię to sam - powiedział stanowczo, po czym ukląkł, kontynuując to, co ona zaczęła.

- Lekarza! Chyba jest tutaj jakiś lekarz! - zawołał lord Wimby. - Powiedziałem przecież, żeby na wieczór usunąć gdzieś tego gada! - wykrzyknął ze złością. - Aubrey, jak on się wydostał? To klęska. Kwesta zakończyła się klęską!

Camille zmierzyła go lodowatym wzrokiem. Alex może umrzeć, a lord Wimby martwi się o kwestę.

- Aubrey! Niech cię szlag trafi, człowieku!

- Milordzie, to Alex miał dopilnować, żeby węża usunięto z sali - przypomniał Aubrey na swoją obronę.

W tym czasie Brian nadal wysysał i wypluwał jad, powtarzając tę czynność wiele razy. W końcu wstał.

- Czy ktoś znalazł lekarza?

Jeden z gości, wyglądający na lekko przestraszonego, wysunął się do przodu. Klękając przy Aleksie, skrzywił się na widok wyplutego jadu.

- Ten człowiek umiera! - krzyknęła Camille, trzęsąc się ze złości.

- Zrobię, co mogę... zrobię, co mogę... - wymamrotał lekarz. Z czarnego neseserka wyjął słuchawki i przyłożył je do piersi Alexa. Chwilę posłuchał, potem podniósł głowę i popatrzył na niewielką grupkę ludzi, którzy zgromadzili się wokół. Z żalem pokręcił głową.

- Nie! - zawołała Camille. - Nie! - Przypadła do Alexa, położyła głowę na jego piersi i słuchała. Nic. Żadnego dźwięku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Evelyn stała z Rupertem przed muzeum.

- Już złapano i wyniesiono węża! - zawołała Lavinia, podbiegając do nich.

- Teraz to już nie ma znaczenia. I tak jest po przyjęciu. - Rupert wzruszył ramionami.

- Rupercie! Ten odważny człowiek, który rzucił się, by nas ratować, nie żyje - skarciła brata Lavinia.

- Biedny facet. Mam nadzieję, że długo nie cierpiał. Podobno taka śmierć bywa straszna.

- O tak - przytaknęła z westchnieniem Evelyn.

- Och, Evy - zreflektował się Rupert. - Przepraszam. Przecież ty pierwsza natknęłaś się na rodziców Briana, prawda? To musiało być przerażające. - Dotarło do niego, jak bardzo jest wstrząśnięta. - Tak mi przykro, naprawdę nie zamierzałem przywoływać przeszłości. Ale w takiej sytuacji... Szkoda także przyjęcia. Tak dobrze się zapowiadało. No i ta cudowna niespodzianka! Nawet nie pisnęłaś słówka, żeby nas uprzedzić.

- Sama nie miałam pojęcia - wyjaśniła Evelyn.

- Chyba żartujesz - wtrąciła Lavinia.

- Posłałam po powóz. Zdaje się, że właśnie nadjeżdża nasz stangret, Rupercie.

- Jaka szkoda. Liczyłem na to, że zasypię Evy pytaniami i dowiem się wszystkiego na temat nieznannej piękności Briana. Dziewczyna jest oszałamiająca, prawda, Lavinio?

- No... tak.

- Skąd ona się wzięła, Evy?

- Prawdę mówiąc, natknęliśmy się na nią przez czysty przypadek - po zastanowieniu odpowiedziała Evelyn.

- Jakże to?

- Jej opiekun został ranny w wypadku.

Rupert zmrużył oczy.

- Jej opiekun? A któż to taki?

- Nazywa się sir Tristan Montgomery.

- Montgomery! - zdumiał się Rupert.

- Czyżbyś go znał?

- Raczej o nim słyszałem. Był legendarną postacią w kawalerii. Tytuł szlachecki otrzymał w Indiach.

Evelyn westchnęła. Nie to chciała usłyszeć.

- No cóż, w każdym razie zdarzył się wypadek. Sir Tristan dochodził, a właściwie dochodzi do zdrowia w zamku. A jego podopieczna nie chciała zostawić go samego - wyjaśniła.

- To jednak zadziwiające, niezależnie od oczywistych walorów tej panny - z błyskiem w oku stwierdził Rupert.

Nagle obiekt ich rozmowy wybiegł z muzeum i wpadł prosto na nich. Camille miała potarganą fryzurę, ale nadal wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Była bardzo zdenerwowana.

- Evelyn! Proszę! Musisz szybko odnaleźć Shelby'ego. Potrzebny jest ambulans.

- Ambulans?

- On żyje! - krzyknęła Camille. - Ledwo, ledwo, ale oddycha.

- Trzeba więc zawieźć go do szpitala.

Camille potrząsnęła głową.

- Zabieramy go do zamku.

- Brian tak zadysponował? - zdziwiła się Evelyn.

- Tak, tak! Alex jest w bardzo złym stanie. W szpitalu mógłby się jeszcze czymś zarazić, a to by pogorszyło jego stan. Proszę, sprowadź szybko Shelby'ego.

- Odnajdę waszego stangreta - zaproponował Rupert, podczas gdy Camille obróciła się na pięcie i pobiegła na salę.

Evelyn podziękowała Rupertowi, przeprosiła Lavinie i też wróciła do muzeum, omijając dużą salę i udając się schodami na górę. Otworzyła drzwi biura i zapaliła światło. Terrarium stało za biurkiem sir Johna. Kobra spała.

Podeszła bliżej i odczytała widniejącą na szybie terrarium tabliczkę:

"Naja haje, kobra egipska, wąż. Znak Słońca, dominacji, siły i władzy, a przede wszystkim, władzy faraona. Część ureusa, tarczy słonecznej, podtrzymywanej przez dwa węże. Symbolizuje unicestwienie wroga, a także światło, życie i śmierć".

Życie i śmierć. Alex Mittleman jeszcze żyje.

Metalowe zaczepy zabezpieczały pokrywę terrarium. Evelyn sięgnęła do nich, po czym odwróciła się i opuściła biuro, gasząc za sobą światło.

Camille wybrała jazdę konnym ambulansem, więc Brian postąpił tak samo. Mężczyzna, który na pierwszy rzut oka nie robił wrażenia lekarza, okazał się całkiem kompetentny. Opatrzył ukąszenie kwasem karbolowym, tą samą substancją, która uratowała ранego Briana od śmierci w Indiach. Jednocześnie, mimo że mogło już być na to za późno, zalecił Brianowi i Camille, aby przepłukali usta whisky, a potem się jej napili, choć najprawdopodobniej jad, którego się nałykali podczas próby ratowania Alexa, zdążył się wchłonąć albo właśnie przedostawał się do krwiobiegu.

Kiedy podjechali pod mury zamku, woźnica ambulansu zatrzymał konia. Corwin czekał na miejscu, Shelby zaś prawdopodobnie pojechał przodem z Evelyn. Brama była otwarta.

Woźnica ruszył z kopyta. Przedarli się między krzewami i drzewami zarastającymi drogę, minęli zwodzony most i wjechali na dziedziniec. Tutaj

lekarz otworzył ambulans, Brian wziął Alexa na ręce i szybko poniósł go do zamku. Evelyn czekała już w drzwiach.

- Przygotowałam dla niego pokój we wschodnim skrzydle - poinformowała.

Brian szybko pokonał schody i dotarł na miejsce, gdzie czekał Shelby. Na łóżku leżała czysta pościel, ogień palił się w kominku, a na stoliku przy łóżku leżały ściereczki i stała miednica z zimną wodą. Brian ostrożnie ułożył nieprzytomnego Alexa.

- Na poręczy krzesła wisi nocna koszula - półgłosem powiedziała Evelyn.

- Pomogę lekarzowi - zaofiarował się Shelby.

Brian skinął głową i skierował się do wyjścia. W drzwiach stała Camille, milcząca i zrozpaczona.

- W tej chwili nic dla niego nie zrobisz - zauważył Brian.

- Posiedzę z nim przez noc.

- Mogę cię wyręczyć - zaproponowała Evelyn.

- Dziękuję, ale chcę z nim zostać.

Mówiąc to, Camille nie patrzyła na Briana. Kobieta, która przysłała do niego poprzedniej nocy, nie istniała. Ta zachowywała dystans, jakby nagle stała się obca.

Zamknął drzwi, zmuszając ją do wyjścia na korytarz.

- Pozwól, żeby lekarz postawił go na nogi - powiedział.

W tym momencie pojął, że Camille z jakiegoś niezrozumiałego powodu wini go za to, co się stało.

- Zresztą rób, co chcesz - dodał ze złością i odszedł do swoich komnat.

Powinien był zabić tego cholernego węża. Dopóki kobra żyje, wszystko może się jeszcze zdarzyć.

Camille zrozumiała, że musi czekać. Opieka lekarza i pomoc Shelby'ego powinny wystarczyć. Zbiegła na dół do Tristana. Już miała zapukać, ale się powstrzymała w obawie, że go obudzi. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

Leżał w łóżku, z głową na poduszce, ale nie spał.

- Camille? - zapytał.

- Przepraszam, Tristanie, nie chciałam cię zbudzić.

- Wejdz, wejdz!

Wstał z łóżka w długiej nocnej koszuli i pospieszył do drzwi, żeby ją zatrzymać.

- Wejdz. Wyjeżdżając z zamku, byłaś taka promienna. Co ci się stało?

- Kobra wymknęła się z terrarium i ukąsiła Alexa. Przywieźliśmy go tutaj. Leży kilka pokoi dalej.

- Żyje?

Pokiwała głową, postanawiając nie mówić Tristanowi, że wyssała jad z rany. To samo zrobił Brian Stirling, przypomniała sobie i poczuła się trochę winna. Może powinna mu zaufać, co nie znaczy, że nadal może ufać jego domownikom.

I pomyśleć, że podejrzewała Alexa!

- Ale on żyje? - zapytał Tristan.

- Ledwo - mruknęła.

- Zabili tego wstrętnego gada?

- Nie. Jest zamknięty w terrarium

Camille zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

- Ktoś go wypuścił, Tristanie. Ktoś musiał to zrobić.

- Och, Camie, sam już nie wiem. - W zamyśleniu podrapał się po brodzie.
- Wąż w sali pełnej ludzi... Przecież trudno byłoby przewidzieć, kogo ten wąż zaatakuje, prawda?

- Chyba masz rację - odpowiedziała po namyśle. - Och, Tristanie, gdyby Alex umarł, to by znaczyło...

- ...że klątwa rzeczywiście działa? - dokończył.

- Niewykluczone...

- Camille!

- Pamiętaj, że do pojawienia się Briana Stirlinga w muzeum nie wydarzyło się nigdy nic strasznego.

- Nie możesz tam wracać - powiedział Tristan, nie patrząc na Camille.

- Co?

- Nie możesz wrócić do muzeum.

- To śmieszne! Przecież to moja praca! Nigdy więcej nie znajdę niczego podobnego...

- Zaopiekuję się tobą.

- Tristan! Koniec z podejrzanymi transakcjami - oznajmiła Camille.

- Przecież wiem. Dostałem nauczkę, dziewczyno. Uważam, że nie powinnaś tam wracać.

- Może raczej nie powinniśmy przebywać tutaj - odrzekła. - Czujesz się lepiej, Tristanie, znacznie lepiej. Przecież możemy pojechać do domu...

Urwała, zła na siebie, że na samą myśl o tym chce jej się płakać. Wolałaby nie opuszczać zamku. Wcale nie chciała być zła. Ale też nie chciała wystawiać się na pośmiewisko i być pionkiem w grze. Bo nim była, niezależnie od tęsknoty i pokusy, które rzuciły ją w ramiona Briana. Mężczyzny, który w dodatku zawiadomił cały świat, że się z nią ożeni.

- Do domu - powtórzył Tristan.

- Tak - potwierdziła, ale pomyślała, że, co prawda, Tristan wygląda już zupełnie nieźle, lecz przecież jest Alex. Nie zostawi go samego. Zwłaszcza odkąd uznała, że nie może ufać Evelyn Prior.

- Nie możesz tam wracać - powtórzył Tristan.

- Dokąd? Do domu?

- Do muzeum.

- Tristanie, ta praca jest dla mnie cudownym darem. - Nagle pożałowała, że tu wstąpiła. Tristan i tak by się dowiedział o całym zdarzeniu. Do rana będzie o nim głośno w Londynie. Nie może opuścić zamku dopóty, dopóki Alex oscyluje między życiem a śmiercią.

- Camille, powiadam ci...

- Tristanie, to ja przepraszam, że nie dam ci spokoju o tej porze. Chcę posiedzieć przy Aleksie i mam nadzieję, że przetrwa tę noc. Porozmawiamy jutro rano, dobrze?

Tristan był smutny i poważny. Jeszcze go takim nie widziała. Podeszła do niego i mocno go objęła.

- Camille, posiedzę razem z tobą - zaproponował.

- Na Boga, nie! Sam powinieneś leżeć w łóżku i nabierać sił.

Odniosła wrażenie, że Tristan czuje się winny, ale dlaczego? Chyba poniosła ją wyobraźnia. Jest zmęczona i zrozpaczona. W tym stanie skłonna byłaby uwierzyć, że nawet Tristan przeciw niej spiskuje.

- Ale mogę z tobą zostać...

- Dam sobie świetnie radę - zapewniła. - Tristanie, wracaj do łóżka, bo znów się rozchorujesz. Proszę!

- Camie...

- Błagam!

Westchnął i pogroził jej palcem.

- Mam lekki sen, dziewczyno. Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu krzycz. Zawołaj mnie po imieniu.

Uśmiechnęła się. Tristan od paru nocy dostaje środki uspokajające, więc śpi jak suseł. Pewnie dlatego nie docierają do niego nocne chroboty.

- Obiecuję, że cię zawołam, jeśli tylko będzie taka potrzeba. - Pocałowała go w czoło i otuliła pościelą. - W tej chwili wyglądasz bardzo dobrze, wiesz o tym? - zapytała.

Pokiwał głową.

- Tylko ani się waż iść jutro do muzeum!

Uśmiechnęła się. Dopiero od niedawna zaczęto zamykać muzeum w soboty, o czym Tristan mógł nie wiedzieć.

- Dobranoc - powiedziała.

Idąc korytarzem, zobaczyła Shelby'ego, trzymającego straż przy drzwiach pokoju, w którym leżał Alex.

- No i jak? - zapytała szeptem.

- Nadal oddycha, panno Camille. Nadal oddycha - zapewnił ją z uśmiechem. - Proszę tam wejść. Lekarz zostanie na noc, a ja się stąd nie ruszę.

- Dziękuję

Weszła do środka. Alex wyglądał bardzo młodo i delikatnie, ubrany w długą nocną koszulę, blady, z potarganymi włosami. Lekarz ulokował się w miękkim fotelu i spał. Kiedy jednak Camille ostrożnie zbliżyła się do łóżka, odezwał się:

- Gdyby pani chciała pomóc, proszę mu przykładać zimną ściereczkę do czoła. Powinien być przykryty, żeby się nie zaziębił. Na razie oddycha, a puls się ustabilizował.

- Dziękuję. - Camille skinęła głową.

- A co z panią?

- Ze mną?

- Wyssała pani jad.

- Czuję się dobrze. Przecież wszystko od razu wypluwałam.

- A często jest pani wzywana do ratowania osób pokąsanych przez żmije?

- Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Uniósł brwi, demonstrując zdziwienie.

- Dużo czytam - uspokoiła go.

Spojrzał na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- To jest bardzo niebezpieczne, młoda damo. Wystarczyłaby ranka w ustach i... miałaby już pani ten jad w sobie.

- Czuję się doskonale, naprawdę. I dziękuję.

Zgodnie z zaleceniem lekarza, chłodziła czoło Alexa, chcąc wierzyć, że to pomaga.

W pewnym momencie zaczęła przysypiać. Poderwała się, kiedy usłyszała chrobot. Najpierw wpadła w panikę, bo pomyślała, że to płuca Alexa odmawiają posłuszeństwa. Ale leżał nieruchomo i poruszał lekko wargami. Zerknęła na lekarza i przekonała się, że śpi. Dotknęła policzka Alexa. Nie był gorący.

- Wszystko będzie dobrze. Wyjdiesz z tego - wyszeptała.

- Trzyma je - wyszeptał, kręcąc głową. - Trzyma je... trzyma je w podziemiach. Podziemia... niebezpieczne...

- Co, Alex? Co jest niebezpieczne?

- Węże... w podziemiach. - Nagle otworzył oczy. - Kobry... w podziemiach. A gdy będzie gotowy... ukąsi. Pokąsa nas wszystkich.

Ponownie zamknął oczy. Camille znieruchomiała, przerażona nedorzecznymi uwagami Alexa. Spojrzała na lekarza. Wciąż miał zamknięte oczy. Przysunęła się do chorego.

- Co powiedziałeś? - zapytała cicho.

Znowu rzucał się i kręcił. W pewnym momencie otworzył szeroko oczy. Miała wrażenie, że jej nie widzi, ale zaraz wbił w nią wzrok. Palcami szarpał prześcieradło.

- Potwór! - wybuchnął. - Potwór Carlyle. Strzeż się potwora. Chce zrobić coś strasznego. Szuka zemsty. Chce zabić nas wszystkich!

Potem zamknął oczy, a palce znieruchomiały. Zamilkł, jakby nigdy się nie odzywał.

Gdzieś w oddali zegar wybił trzecią godzinę. Wokół panowała cisza.

Brian nie mógł spać, chociaż tej nocy nie rozległ się żaden dźwięk, wyrywający go ze snu i ściągający do podziemi. Ajax spał spokojnie przy kominku. Brian obiecał sobie, że jutro wezwie kogoś, kto oczyści i naoliwi zawiasy.

Dzisiejszy wieczór zakończył się klęską. Brian znowu zadawał sobie pytanie, dlaczego w złości nie zabił węża. Może uznał, że ten śmiertelnie niebezpieczny gad sam został zapędzony w ślepy zaułek i jest bardziej przerażony niż cała ta towarzyska śmietanka, pierzchająca na samą wzmiankę o jego istnieniu. Ale jak to się stało, że wąż znalazł się pośród rozbawionych gości?

Nie najlepsza sytuacja materialna Alexa Mittlemana czyniła z niego potencjalnego podejrzanego, ale to właśnie on został ukąszony i omal nie umarł - w taki sam sposób, w jaki śmierć dosięgła rodziców Briana.

A lord Wimbley? Podobno uprawia hazard i ma długi. Ale czy taki człowiek ryzykowałby tak wiele? A Aubrey? To głównie on odpowiadał za węża. Wśród muzealników nie ma ani jednej osoby, z wyjątkiem Camille, która nie uczestniczyłaby w ekspedycji do Egiptu. Ci, którzy byli na pustyni i wędrowali wzdłuż Nilu, mają doświadczenie i potrafią sobie radzić z egipską kobrą.

A sir Hunter, wielki poszukiwacz przygód? Brian przyznał się sam przed sobą, że nie lubi Huntera dlatego, że żywo interesuje się Camille.

Nadal nie wiedział, kto mógł być sprawcą wieczornego incydentu, ale był prawie pewny, że zdobył informację, której dotąd nie miał - coś, co

prawdopodobnie odkrył jego ojciec tuż przed śmiercią. Istnieje gdzieś przedmiot o ogromnej wartości, który nie został skatalogowany. A skoro tego przedmiotu nie ma w muzeum, musi znajdować się wśród relikwii i dzieł sztuki pod zamkiem.

Hrabia z terenów wokół zamku uczynił dżunglę, po której - o czym powszechnie mówiono - krążyły wilki. Nie wpuszczał na teren posiadłości prawie nikogo, z wyjątkiem lekarzy, i to tylko w ostateczności. Poza kilkoma miejscowymi kobietami, które od czasu do czasu pomagały Evelyn w sprzątanii, do zamku, pomimo jego ogromnych rozmiarów, mieli dostęp tylko najbardziej sprawdzeni i zaufani ludzie - Shelby, Corwin i Evelyn. A z nich tylko Evelyn była w Egipcie.

Teraz, kiedy mężczyzna z baru, którego śledzili, został zabity, pewne sprawy zaczynały się wyjaśniać. Swoją drogą, kto by przypuszczał, że ten łotrzyk Tristan okaże się takim skarbem. Brian wpuścił do zamku Camille i jej opiekuna, ponieważ zamierzał wykorzystać ich oboje, przy czym nie uwzględnił możliwości, że mogą skomplikować jego życie.

A teraz...

Wstał, podrywając tym samym z miejsca Ajaxa. Ogromny wilczarz popatrzył na niego i czekał, mierzając ogonem.

- Nagle zrobiło się tutaj zimno i pusto, prawda, piesku? - zapytał. - Chodźmy się trochę powłóczyć.

Ruszyli korytarzem. Shelby spał w pozycji na baczność przy drzwiach. Wierny druh otworzył oczy i o mało nie podskoczył ze strachu na widok Briana.

- To ja - uspokoił go Brian. Shelby pokiwał głową i jeszcze bardziej się wyprężył.

Brian wślizgnął się do pokoju, w którym Alex Mittleman walczył o życie. Lekarz drzemał w fotelu. Camille, wciąż w swojej złocistej sukni, spała z głową na piersi Alexa. Żadne z nich się nie poruszyło.

Delikatnie odsunął lok z twarzy Camille. Zalała go fala czułości, ale nagle przyłapał się na tym, że znowu zaczyna wątpić. Czy ta podziwiana przez niego i upragniona kobieta nie współpracuje z Alexem? A może łączy ich coś bardziej złowrogiego?

Ściągnął narzutę ze stojącego przy kominku fotela i ostrożnie okrył jej ramiona. Ani drgnęła. Wrócił na korytarz, pozostawił drzemiącego na posterunku Shelby'ego i zszedł na dół.

Ruch obudził Camille. Nie wiedziała, co się dzieje; wpatrywała się w ogień płonący w kominku, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Kiedy trochę oprzytomniała, poderwała się nagle i spojrzała na mężczyznę leżącego w łóżku. Twarz miał lekko zaróżowioną, a na czole nie widniał pot. Przyłożyła palec do jego szyi i wyczuła równomiernie bijący puls.

Z ulgą usiadła z powrotem w fotelu. Lekarz pochrapywał. Po chwili wstała, rozprostowała kości i roztarła zeszywniały kark.

Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, że zamek żyje. Przypomniała sobie wypowiedziane w gorączce słowa Alexa i ścierpła jej skóra. Powiedział, że tutejsze podziemia są pełne żmij. Bzdura! Skąd Alex miałby to wiedzieć? I w ogóle skąd takie podejrzenie?

Spojrzała na drzwi, świadoma faktu, że Shelby trzyma przy nich wartę, choć, prawdę mówiąc, nie wiedziała dlaczego. Czyżby Brian podejrzewał również Evelyn Prior? A może nie ufa jej, Camille, lub na wpół żywemu Alexowi czy nawet lekarzowi?

Podeszła do drzwi i cicho je otworzyła. Shelby natychmiast stanął na baczność.

- To tylko ja - szepnęła.

- Jak tam pacjent?

- Puls ma równy i mocny.

- Chwała Bogu.

Stłumiła ziewanie.

- Sądzę, że na chwilę mogę się położyć. Shelby, nie przynieść ci poduszki i koca?

- O nie, panno Camille. Sypiałem w gorszych warunkach, w Indiach i w Sudanie. Dziękuję, jest mi tu całkiem wygodnie.

- W takim razie dobranoc.

Zostawiła go i pospieszyła do swojego pokoju. Weszła, ale nie zamknęła za sobą drzwi. Odczekała parę chwil, a serce waliło jej jak młotem. Zastanawiała się, co ją aż tak nagli. Wreszcie sobie uświadomiła: chce się upewnić, że w podziemiach nie ma węży.

Czekała. Czas okropnie się dłużył, ale chciała być pewna, że Shelby znów zasnął i że niezauważona przez nikogo będzie mogła wymknąć się z pokoju i zbiec po schodach. Uznała, że powinna wziąć lampę, więc wpadła jeszcze po nią do pokoju, biorąc także zapalki.

Wróciła do drzwi i wyjrzała. Shelby spał.

Wyszła cicho jak zjawa. Podeszła na palcach do schodów i zaczęła schodzić, oglądając się przez ramię na Shelby'ego. Nawet nie drgnął. Pobiegła więc na dół, aż do niedużej kaplicy.

Otworzyła drzwi. Miała wrażenie, że pod nią roztacza się pustka. Kiedy wzrok się oswoił, zorientowała się, że gdzieś w oddali migocze ledwo widoczne światełko. Zawahała się, po czym odstawiła lampę i zaczęła schodzić.

Centymetr po centymetrze, słysząc własny oddech, wstępowała w otchłań. Wreszcie, gdy stopami wyczuła ostatni stopień, skręciła za róg.

Pierwsze pomieszczenie nie było tym, czego się spodziewała. Wyglądało jak biuro albo pracownia. Kamienna podłoga była zamieciona.

Wyteżyła wzrok. W oddali, po drugiej stronie, gdzie panowały iście egipskie ciemności, zauważyła masywne żelazne wrota. Na pewno prowadziły do pochowanych tu przed wiekami zmarłych, ale nie tych pochodzących ze świata starożytnego Egiptu.

W biurze znajdowały się zwyczajne przedmioty - biurka, kartoteki i skrzynie. Część dużego pomieszczenia bardzo przypominała muzealny magazyn. Relikty przeszłości, często o ogromnej wartości, zawsze były starannie pakowane i równie starannie rozpakowywane. A więc natrafiła na schowek, zawierający przedmioty przysłane prosto do zamku Carlyle, a nie do muzeum. Zmrużyła oczy na widok otwartej skrzyni. Posuwała się w jej kierunku, żałując, że po drodze zostawiła lampę. Otwarta skrzynia hipnotyzowała ją, ale nogi jakby odmawiały posłuszeństwa. Drewniana paka była olbrzymia. Gwoździe z wieka zostały wyciągnięte, i samo wieko przesunięto na bok skrzyni.

Powoli, wstrzymując oddech, podeszła jeszcze Niżej. Popatrzyła w dół na skarb zabezpieczony słomą.

W skrzyni znajdował się sarkofag. Pięknie pomalowana i ozdobiona skrzynia grobowa zmarłego była również otwarta; pokrywa leżała obok wieka drewnianej paki. Pochylając się najniżej, jak można, Camille zobaczyła, że mumia spoczywa nietknięta w swojej wewnętrznej osłonie. Poczerniała od upływu czasu i z powodu żywicy mającej zapewnić nieśmiertelność, zabandażowana mumia była ułożona w typowy sposób - ze złożonymi na piersi rękami.

Nagle w pobliżu coś przemknęło. Omal nie krzyknęła, kiedy zauważyła szczura, uciekającego do niewielkiej dziury w murze. Znowu zaczęło walić jej serce. O co chodzi? Przecież nie słyszała dzisiaj żadnych dźwięków. I chyba nie zaczęła nagle wierzyć w istnienie kłębowiska kobr pod trumnami zmarłych dawno temu ludzi.

Co tutaj robi? Czego chce dowieść? Pewnie tego, że nie istnieje żadne diabelskie laboratorium, że Brian Stirling nie zwariował i nie zaczął w podziemiach hodować węży. Doskonale. Zobaczyła wszystko, o czym chciała się przekonać. Może już wracać.

Nagle wieko skrzyni podskoczyło. Ciemna postać wyskoczyła prosto na nią. Nie zdążyła krzyknąć, kiedy jakaś dłoń zakryła jej usta i wściekły charczący szept dotarł do jej uszu:

- Zapłacisz teraz za wszystko!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przyjemna w dotyku, czysta pościel. Miękkie łóżko. Ogień w kominku.

Alex Mittlemann otworzył oczy. Chciał coś powiedzieć, ale wydał tylko skrzeczący dźwięk.

- Masz, masz, synu. To woda, wypij łyk.

Alex popatrzył na nieznanego przy swoim posłaniu. Zmrużył oczy i wypił kilka łyków. Paliło go w gardle.

- Powoli, chłopcze. Powoli. Nie przemęczaj się teraz.

Alex kiwnął głową i chociaż najchętniej wlałby w siebie całą wodę, pił dalej łyżkami. Bolała go szczęka. Wszystko go bolało. Wzrok zaczął mu się mącić.

- Masz szczęście, że przeżyłeś - powiedział nieznanomy.

Znów kiwnął głową, po czym skrzywił się zmieszany.

- Jestem lekarzem. Nazywam się Ethan Morton - dodał nieznanomy. - Przypominasz sobie? Zostałeś ukąszony przez węża, kobrę egipską, w muzeum, podczas uroczystości.

Alex przełknął i zasygnalizował wzrokiem prośbę o kolejny łyk wody.

- Gdzie ja jestem? - zapytał.

- W zamku Carlyle.

Mimowolnie się skurczył.

- Camille... sądziłem... rozmawiałem z nią, widziałem jej twarz.

- Była tutaj, synu. Wczesnie rano. Siedziała przy tobie wiele godzin, chłodziła ci czoło. Biedactwo. Pewnie się ocknęła i poszła się trochę przespać. - Lekarz zakaszłał. - Uratowała ci życie. A właściwie ona i hrabia Carlyle. Wyglądało na to, że oboje mają pewną wiedzę na temat jadu węża.

- Camille... uratowała mi życie?

- Tak, synu, a także hrabia.

Hrabia Carlyle pomagał go ratować?

- Musisz teraz odpocząć. To, że przeżyłeś, zaliczyłbym do kategorii cudów, niezależnie od tego, jak szybko zadziałała ta para.

- Camille...

- Niech dziewczyna odpocznie i ty też sobie pośpij. Zostanę tu do południa, synu. Nabierzesz sił, a panna Montgomery znów cię odwiedzi.

Alex skinął głową i ułożył się wygodniej. Został ukąszony przez kobrę, a teraz znajduje się w zamku Carlyle, Camille się nim zajmie.

Życie jest cudowne.

Panicznie przerażona Camille odwróciła się gwałtownie. Oślepił ją nagły błysk.

- Camille!

Poczuła niewymowną ulgę. To był Brian.

- O Boże! - Z wrażenia osunęła się na podłogę, jedną ręką objęła kolana, drugą przycisnęła do szyi.

Co się dzieje? Co on tu robi? W ciemności, ukryty za mumią?

- Wstań! - Brian odstawił lampę i chwycił Camille. Przyjrzała się jego twarzy. Zrobiła na niej większe wrażenie, niż mogła przypuszczać. - Co ty znów tutaj robisz, u licha? - zapytał ze złością. - Na Boga, czy muszę cię związywać na noc?

Ledwo widoczna blizna biegła od czoła przez lewy policzek. Rana nie zniekształciła linii czaszki, wysokich kości policzkowych, wyrazistego, orlego nosa ani wysokiego, ładnie sklepionego czoła. Był niezwykle przystojnym mężczyzną o surowej klasycznej urodzie; z całą pewnością nie było w nim nic z potwora. To wszystko okazało się kłamstwem. Farsą.

- A co ty robisz na dole? - odpowiedziała pytaniem.

Opuścił ręce na biodra. Nie miał na sobie nic poza białymi kalesonami. Nagi tors, szerokie ramiona i płaski brzuch połyskiwały w świetle naftowej lampy.

- Jestem panem tego zamku. Mieszkam tutaj, Camille. A zresztą zdajesz sobie chyba sprawę, że komu jak komu, ale mnie najbardziej zależy na znalezieniu przyczyny nocnych hałasów.

Żałowała, że wygląda tak nieciekawie. Potargane włosy i pognieciona suknia. Gdyby choć odrobinę lepiej się prezentowała, łatwiej mogłaby wytłumaczyć swoją obecność.

Brian założył ręce na piersi i spoglądał na Camille z wyraźną irytacją.

- Sądziłem, że bardzo ci zależy na czuwaniu w nocy przy twoim przyjacielu. Domyślam się, że ma się nie najgorzej. Czy to on cię tu przysłał?

- Nie! - oburzyła się, choć w pewnym sensie Brian miał rację. Przyszła szukać węży, co nie było najmądrzejsze, skoro Alex został dopiero co pokąsany przez kobrę. Zresztą, gdyby hrabia Carlyle, z jakiś perwersyjnych powodów, hodował je tutaj, nie dopuściłby do tego, by grasowały na wolności.

- Tutaj... coś się dzieje - powiedziała.

- To oczywiste. Już to ustaliliśmy.

- Znowu słyszałam ten dźwięk.

- I nie przysłaś z tym do mnie? Dziwne. To jedyna noc, kiedy nie słyszałem żadnego dźwięku.

- Musiałam cię słyszeć - powiedziała. Mogliby na tym sensownym wyjaśnieniu poprzestać, ale teraz dla odmiany Camille przystąpiła do ofensywy.
- A ty, hrabio? Nagle, w środku nocy, postanowiłeś otwierać sarkofagi?

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- Powtarzam, moja droga, że jestem właścicielem zamku i wszystkiego, co się w nim znajduje. Jeżeli przyjdzie mi ochota otwierać w nocy skrzynie, mam do tego prawo.

- Ale każdy by przyznał, że to co najmniej dziwne. A co z tobą! Po co ta maska, po co to udawanie? Nie masz powodów się ukrywać.

Podszedł bliżej, żeby ująć ją za ramię. Cofnęła się.

- Nie!

Mimo to zdołał ją chwycić.

- Ciszej! Obudzisz cały dom.

Umilkła. Wpatrując się w Briana, na nowo poczuła niewiarygodny magnetyzm, którym ją zniewalał.

Zapra gnęła wyciągnąć rękę i dotknąć jego twarzy, która ją zachwycała.

Chciałaby uczestniczyć w jego życiu i zmienić je. Przecież nie widział nic złego w jej pochodzeniu i żalosnych początkach jej życia, tak jak jej nie przeszkadzała jego rzekomo okaleczona twarz. Gdyby tylko mogła mu wierzyć...

- Chodźmy - zdecydował. Zgasił lampę i zostawił ją na biurku. Wziął Camille za rękę i poprowadził po schodach na górę. Starannie zamknął za sobą drzwi kaplicy. - Udało ci się przejść niepostrzeżenie obok Shelby'ego? - zapytał, marszcząc czoło.

- Tylko nie waż się na niego złościć.

- Nie będę. Jestem pewny, że decydując się na wyprawę tutaj, zrobiłaś to sprytnie i ostrożnie.

Kiedy znaleźli się na piętrze, Camille na palcach poszła w stronę swojego pokoju, tymczasem Brian, który szedł tuż za nią, zawrócił ją jednym energicznym ruchem i skierował do swoich drzwi. Otworzył je i prawie siłą wepchnął ją do środka.

- Niech ci się tylko nie zdaje... - zaprotestowała.

- Nic mi się nie zdaje. Nie zostawię cię samej na noc. Już nigdy. I nie obchodzi mnie, który z twoich tak zwanych przyjaciół się rozchoruje ani z jakiego powodu!

- Co ty sugerujesz? Nie widziałeś, że ten biedak został ukąszony, kiedy rzucił się nam na ratunek, podczas gdy twoi dostojni i bogaci kompani czmychali jak zające?! - wykrzyknęła.

- Niczego takiego nie sugeruję. Nie zamierzam też zaprzeczać faktom. Stwierdzam jedynie, że już nigdy nie zostawię cię samej na noc.

Uświadomiwszy sobie nagle, co znaczą wypowiedziane przez Briana słowa, Camille zadrzała. Wiedziała, że będąc tak blisko niego, nie zdoła się opanować.

- Czy to wszystko jest grą? - zapytała.

- Bardzo poważną, a nawet śmiertelnie niebezpieczną grą.

Cofnęła się.

- Dłużej nie potrafię w niej uczestniczyć - powiedziała.

Brian zablokował drzwi. Nie było wyjścia. Odwróciła się w poczuciu zagubienia, ale on już był przy niej i delikatnie ją zawracał. Chciał coś powiedzieć, ale pokręcił głową, przytulił ją mocno i odnalazł jej usta.

Tym razem wiedziała, czego naprawdę chce.

Słusznie czy nie, przywarła do niego, czując przemożne pożądanie. Położyła ręce na piersi Briana, delektując się nagą skórą i grą mięśni. Wbiła palce w ramiona Briana i trwała w pocałunku.

W końcu oderwał od niej usta, odwrócił ją bez trudu i zaczął mocować się z tasiemką, sznurującą jej stanik. Po chwili wymknęło mu się przekleństwo. Jednak wreszcie sobie poradził, a pośpiech, z jakim to robił, sprawiał jej coraz większą przyjemność. W ciągu paru sekund uwolniła się z obcisłego staniczka, ściągnawszy go przez głowę; cały czas czuła rękę Briana na swoim ciele.

Jeszcze raz ją odwrócił, żeby rozsznurować gorset. Trwało to wieczność, ale kiedy uwolnił Camille, nie była w stanie czekać ani chwili dłużej. Osunęła się ramiona Briana, czując ich siłę. I znów ich usta się spotkały, podczas gdy dłonie Briana zajmowały się rozpinaniem paska u jej halki, aż upadła u stóp Camille. Wtedy przyklęknął, a kiedy zdejmował wytworne pantofle i podwiązki, kurczowo trzymała się jego ramion.

Musnął jej uda palcami i nagle zwolnił tempo. Całował jej kolana, wewnętrzną stronę ud, kostki, palce stóp. Jedna pończoszka poleciała na podłogę, a on zaczął ściągać drugą. Używał palców, warg i języka, zatrzymując się dłużej tu i tam. Uniósł się lekko i przycisnął twarz do jej brzucha, łaskocząc i pieszcząc uda i biodra.

Blask ognia z kominka padał na ich ciała, podczas gdy upajali się swoim dotykiem, smakiem i zapachem. Camille wiedziała już, że cokolwiek się stanie, jest stracona. Pragnęła tego mężczyzny jak nikogo w życiu; był wszystkim, czego potrzebowała, mężczyzną, którego kocha.

Usłyszała szept Briana:

- Co ty ze mną wyprawiasz? Zapominam o całym świecie, przestaję myśleć, chyba tracę rozum...

To samo mogłaby powiedzieć o sobie, ale powstrzymała się w obawie, żeby te słowa nie zapadły jej w serce. Mierzwiła jego włosy, wędrowała palcami po karku, po plecach. Przysunęła się bliżej, okrążyła dłonią jego szczupłe biodra, dotarła do umięśnionych pośladków i przysunęła się jeszcze bliżej. Uniósł ją i posadził na sobie. Po chwili całą sobą poczuła go w swoim wnętrzu. Przenikał ją i podniecał.

Poprzednio podążała za nim, teraz chciała prowadzić. I tak zrobiła.

Kiedy wzniosła się na najwyższy szczyt, podtrzymał ją i objął mocniej. Świat wokół wirował.

Po jakimś czasie, gdy złapała oddech, wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy Briana.

- Dlaczego? - zapytała.

Myślała, że się cofnie, ale tego nie zrobił.

- Ta maska? Na początku wyglądałem potwornie.

- Ale teraz pozostała tylko blizna.

- Czy to cię oburza? - zapytał cicho.

Potrząsnęła głową.

- Nie, ale to kłamstwo.

- To nie jest kłamstwo. To dlatego, że jeszcze nie dojrzałem do poznawania świata.

- Nie identyfikuj się z tą maską - ostrzegła.

Roześmiał się na to, odszukał jej wargi i znów pocałował.

- Zawsze jesteś taka zasadnicza? Przecież wszyscy mamy swoje sekrety.

Skrzywiła się.

- Przykro mi, hrabio, ale ja nie mam żadnych tajemnic, jestem jak otwarta księga.

- Może raczej cicha woda.

- Nie zaczynamy gry od nowa.

- Ale gra i tak się toczy. Śmiertelna gra - powiedział, podnosząc się.

Leżąc nago pośród porzucanych ubrań, poczuła, że wszystko, w co tak gorąco wierzyła, przytłacza ją z ogromną siłą. Co ona robi?

Poruszyła się, żeby wstać. Nie pozwolił na to; pochylił się, wziął ją w ramiona i postawił na nogi. Przyciągnął do siebie i znów pocałował.

- Muszę iść - powiedziała. Pokręcił przecząco głową. - Ale ja nie mogę... tu zostać.

- Dlaczego nie?

Cofnęła się.

- Jesteś hrabią Carlyle - odparła.

- Za to ty jesteś czarodziejką, która nie może usiedzieć na miejscu.

Wziął ją na ręce i przeszedł do następnego pokoju, gdzie rzucił ją na chłodne, czyste, olbrzymie łóżko. Trzymał ją mocno, tak że nie mogła się ruszyć.

- Naprawdę nie możesz wałęsać się w nocy po zamku - powiedział.

- Nie będę.

- To samo mówiłaś poprzednio.

- A czy już to kiedyś obiecywałam?

- Zauważyłem, że masz wstręt do składania obietnic.

- Obietnice można składać tylko wtedy, kiedy zamierza się ich dotrzymać.

- Sama widzisz. Wrócisz do pokoju albo popędzisz do swojego drogiego przyjaciela Alexa, a potem coś cię podkusi i ponownie udasz się do podziemi. I kto tu jest dziwny?

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, przeciągając palcem wzdłuż blizny.

- Jest ledwo widoczna - orzekła półgłosem.

- Bardzo mi przykro. Najwyraźniej nie dorastam do twoich oczekiwań.

Przyjrzała mu się z uwagą.

- Nie mam żadnych oczekiwań, ale też nie lubię być oszukiwana.

- Nie zamierzałem cię oszukiwać.

- Pewnie dołączyłam do tej farsy, gdy już była mocno zaawansowana - powiedziała, po czym dodała: - Uratowałeś Alexa i jestem ci wdzięczna.

- To ty go uratowałaś.

Pokręciła głową.

- Okazałeś się znacznie bardziej doświadczony ode mnie.

- Miewałem do czynienia z ukąszeniami węży - odrzekł. - W Indiach i w Sudanie. - Wzruszył ramionami i nagle się odwrócił. - Nawet w Kairze - dodał z goryczą.

Nagle poczuła się nieswojo.

- Nigdy nie hodowałeś węży?

Popatrzył zdziwiony.

- A niby po co? Są bardzo niebezpieczne. Przekonałaś się o tym dzisiaj. - Skrzyżował ręce na karku i zapatrzył się w sufit. - Alex miał szczęście, cholerne szczęście. Ten jad jest wybitnie toksyczny. Wygląda na to, że się wykaraskał, chociaż należy przypuszczać, że jutro będzie jeszcze obolały i zamroczony. Jeśli szybko wróci do zdrowia... - Wzruszył ramionami. - Muszę rano coś załatwić. Mam nadzieję, że zaopiekujesz się swoim przyjacielem.

Camille nie odpowiedziała. Postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. W rzeczywistości planowała załatwić kilka własnych spraw.

Najwyraźniej źle zrozumiał jej milczenie.

- Camille, głęboko wierzę, że Alex przeżyje. Najgorsze ma już za sobą, a poza tym widziałem ludzi, którzy przeżyli takie ukąszenia.

- Tak, ja też w to wierzę.

- On naprawdę jest twoim dobrym przyjacielem?

Spojrzała na niego z lekkim wyrzutem. Przecież Brian powinien wiedzieć, że nie są dla siebie z Alexem niczym więcej. Jedynie przyjaciółmi.

- Tak, jest moim przyjacielem. - Teraz byłby odpowiedni moment, żeby mu przypomnieć, że nie miał prawa publicznie ogłaszać ich narzeczeństwa. Cóż, sam powiedział że jest hrabią Carlyle. Zapewne to oświadczenie to tylko element prowadzonej przez niego gry.

A przecież tyle spraw można by sobie wyjaśnić w rozmowie. Chociaż wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć to, co Brian ma jej do powiedzenia. Przecież sama go zapewniła, że to ona dokonuje wyborów.

- Dziękuję, że zgodziłeś się sprowadzić Alexa do zamku - oznajmiła. W sytuacji, kiedy tak leżała naga obok niego, jej głos zabrzmiał afektownie, ale słowa były szczerze. Oczywiście, że zajmie się Alexem. Sir John pojawi się dzisiaj w muzeum; zapowiadał to, kiedy go oderwano od przeszukiwania magazynu. Więc i ona powinna tam być. Pod nieobecność Briana wyjście może okazać się łatwiejsze, niż przypuszczała.

- Camille, mówiąc poważnie...

- Mówiąc poważnie, jestem zmęczona - mruknęła. - Odłóż na później swoją grę, błagam.

Zamilkł. Pogłaskała go czule, żeby uniknąć dalszych pytań, oskarżeń i wzmianek na temat przyszłości.

Wziął ją w ramiona.

- Sądziłem, że jesteś zmęczona.

- Za bardzo zmęczona, żeby się spierać - powiedziała. - Coś za łatwo nam to przychodzi.

- Moja droga panno Montgomery, myślę, że o wiele przyjemniej jest, kiedy się nie kłócimy.

Miał rację. Gdy tylko jej dotknął, przyszłość przestała mieć znaczenie. Zniknął problem dziecka mieszkającego w lesie. Camille nie wspominała już o grze. On jej o nic nie podejrzewał.

Nie istniało nic poza nimi dwojgiem i magią.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wiadomość o incydencie, który miał miejsce w muzeum, trafiła na czołówki wszystkich gazet. Rzecz jasna, powróciła sprawa kłątwy. Każdy reporter skrupulatnie meldował, że ukąszenie węża zdarzyło się w momencie, kiedy lord Stirling, hrabia Carlyle, powrócił, by zająć się sprawami muzeum po roku żałoby, i ogłosił swoje zaręczyny z pracownicą muzeum.

Jednak w artykułach, które Brian szybko przeczucił, nie było wzmianek o środowisku, z jakiego wyszła Camille. Dziennikarzy znacznie bardziej interesowała sprawa kłątwy i związku między ponownym pojawieniem się na scenie Briana a ukąszeniem przez kobrę pracownika muzeum. Gazety wychwalały bohaterstwo Alexa Mittlemana i trąbiły hymny na jego cześć. Opisywały w szczegółach próbę spacyfikowania gada, dodając, że obecnie młody człowiek walczy o życie.

Brian akurat skończył lekturę, kiedy do przeszklonego atrium wszedł Shelby, oznajmiając, że sir Tristan prosi go o chwilę rozmowy u siebie. Trochę to było dziwne, że opiekun Camille nie zjawił się, by przedłożyć swoją sprawę.

A jednak hrabiemu zaimponował rozsądek Tristana, a nawet go rozbawił.

- Wolałem nie przychodzić do pańskich pokoi, żeby nie widziano, jak dobrze się czuję - powiedział na wstępie. - Czy Camille została w domu?

- Tak. Myślę, że zechce poświęcić ten dzień Alexowi.

Tristan skinął głową.

- No cóż, pomyślałem sobie, że moglibyśmy się wymknąć z Ralphem i trochę się porozglądać. Wrócić do zajazdu na East Endzie, jeszcze raz pogadać z tą dziwką.

Brian uśmiechnął się.

- Cenię sobie bardzo pańską gotowość przyjścia mi z pomocą, sir Tristanie. Naprawdę cenię. Ale nie dzisiaj. Muszę sam coś załatwić i wolałbym, żeby pan został w zamku. Jak pan wie, będzie tutaj Camille.

- Tak, ale powiedział pan, że Camille ma się opiekować Alexem. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie dba o swojego starego opiekuna, ale ja już wracam do zdrowia.

- Podobnie jak Alex, śmiem twierdzić. Tristanie, nie musi pan dzisiaj wychodzić, choć, jak już wspomniałem, doceniam pańskie dobre chęci i gotowość udzielenia mi pomocy. Powrócimy do tego w tygodniu, zgoda?

- Mam swoje sposoby, milordzie. Tamtego dnia trochę straciłem czujność, ale jestem starym żołnierzem. Potrafię sobie radzić.

- Nie wątpię - zapewnił go Brian. - Odda mi pan większą przysługę, mając oczy szeroko otwarte na to, co będzie się działo tutaj.

- Jej pan też nie ufa, milordzie, co?

- Komu? Camille?

Tristan machnął niecierpliwie ręką.

- Nie Camille! Tej kobiecie, pannie Prior! Włóczy się po nocy...

- Co?

- Panna Prior - powtórzył z ważną miną. - Tej nocy spacerowała po korytarzach, to nie ulega wątpliwości.

Brian westchnął.

- Tristanie, ona jest gospodynią tego domu. Ma prawo chodzić, gdzie chce.

- W samym środku nocy?

- A dlaczego pan się włóczył?

- Usłyszałem dźwięki - odrzekł Tristan - i się na nią natknąłem. Przemknęła korytarzem i weszła do pokoju, w którym leży ten młody gość, Alex.

- Pewnie chciała sprawdzić, jak on się czuje - powiedział Brian.

- To ona tak twierdzi. Ale czy rzeczywiście chodziło jej o jego dobro? A może chciała dokończyć to, co zaczął wąż?

- Evelyn była najlepszą przyjaciółką mojej matki. Trwała przy mnie w najtrudniejszych chwilach. Bardzo mi pomogła. Mam do niej zaufanie.

- Nabrała pana, co? Taka atrakcyjna kobieta jak ona, mogę to sobie wyobrazić, bo samotność... no cóż, kobieta potrafi owinąć sobie mężczyznę wokół małego palca.

Brian nie wiedział, czy ma się śmiać, czy złościć.

- Między mną a panną Prior absolutnie nic nie ma, Tristanie. Nic poza przyjaźnią.

- Ona może być czarownicą - powiedział z przekonaniem Tristan.

- Nie wierzę w czary.

- Może niesłusznie, młody człowieku. Może niesłusznie.

- I to mówi stary żołnierz?

Tristan zaczerwienił się z zakłopotania.

- Proszę o wybaczenie, milordzie, ale źle bym się czuł, gdybym nie wyrzucił z siebie tego, co mi nie daje spokoju.

- Ostrzeżenie zostało przyjęte. Ma pan moje słowo, sir Tristanie. Dzisiaj potrzebuję pańskiej pomocy tutaj, w zamku.

- Może i tak, może i tak - mruknął Tristan. - Widział pan już dziś rano Camille?

Brian zawahał się. Czy ją widział? Tak, widział. Widział ją w pościeli, piękne ciało i burzę wspaniałych włosów rozrzuconych na poduszce. Oddychała spokojnie we śnie.

- Nie rozmawiałem z nią - odezwał się w końcu. - Muszę wyjść, żeby załatwić parę spraw. Pozostawiam ten dom pod pańską pieczęcią, Tristanie. Shelby będzie mi towarzyszyć, ale Corwin zostanie na miejscu, gdyby jego pomoc okazała się potrzebna.

Tristan przyjął to z godnością.

- Ja też mam tu swojego człowieka, Ralpa - przypomniał, co miało chyba oznaczać, że poradzi sobie ze wszystkim.

W zajeździe "McNally's" Brian zamówił podły dzin i wybrał jeden z obskurnych stolików. Po chwili dostrzegł niewysoką prostytutkę, z którą dzień wcześniej rozmawiał Tristan. Żartowała i droczyła się z mężczyznami przy barze, pozwalając się tu i tam obmacywać. Brian nie zauważył, żeby umawiała się na szybką schadzkę w ustronnym zaułku.

Po chwili kobieta go dostrzegła i odnotowała fakt, że jej się przygląda. Zbliżyła się i usiadła naprzeciwko, opierając łokcie na stole. Był to wypraktykowany ruch dziwek, powiększający piersi do maksymalnych rozmiarów; niemal wylewały się na mężczyznę, którego zaszczyciła uwagą.

- No co tam, staruszkule! Co tu porabiasz? Gapić się to możesz za darmo, o ile zamawiasz sobie dzin. Myślisz, że dałbyś radę coś więcej? - Przejechała mu stopą wzdłuż całej nogi.

- Nie szukam rozrywek, złotko.

Odchyliła się, mierząc go zmrużonymi oczami.

- Nie wyglądasz mi na takiego, co stanie na wysokości zadania, staruszkule, ale znana jestem z tego, że udaje mi się postawić niejednego siłą perswazji, jeśli łapiesz, co mam na myśli.

- Sam potrzebuję pieniędzy.

- I co, może wiesz, jak je zdobyć?

- Mam coś do sprzedania.

- Eee, wystarczy już tych śmieci.

- Mam dobry towar.

Zlustrowała go wzrokiem od stóp do głów. Ubranie miał postrzępione, przyklejoną brodę zakurzoną.

- Nie mam dla ciebie czasu, staruszku - powiedziała. - Przepraszam, ale tak to już jest. - Zaczęła się podnosić.

- Pracuję w muzeum - dodał Brian jakby od niechcienia.

Usiadła i zmrużyła oczy.

- Ukradłeś coś z muzeum?

Wzruszył ramionami.

- A kto by tam podejrzewał takiego starego jak ja, co to potrafi tylko machać szczotką?

- Wiesz, że mogłabym cię kazać aresztować.

Popatrzył spode łba.

- Wolałbym jednak zarobić. Nie sądzę, żeby odpowiedni kupcy znaleźli się w tej okolicy.

- A co masz?

Szepnął jej coś do ucha. Cofnęła się, robiąc wielkie oczy.

- Może... może mogłabym coś załatwić.

- Nie chcę żadnego "może". Widziałem ciało tego gościa, co stał przy barze. Byłem wtedy w środku.

- Ciągłe zdarzają się tutaj morderstwa.

Wyciągnął rękę i objął ją w pasie.

- Byli tu wtedy inni ludzie, którzy chcieli sprzedać błyskotki. Twój człowiek... bo to był twój człowiek... chciał ich obrabować, ale sam został zabity, zanim zdążył dobrać się do tamtych dwóch. Nie musisz nic mówić, wiem, że mi nie odpowiesz. Jeżeli masz mi pomóc przy sprzedaży, żaden złodziejasek nie ma prawa mnie śledzić. Chcę znać nazwisko i miejsce. Dobrze ci zapłacę. Jeśli będę śledzony, obiecuję, że będzie więcej trupów. Weź to sobie do serca. Dogadaliśmy się?

Kiwnęła głową. Dojrzał w jej oczach nienawiść, zanurzył więc rękę w kieszeni i wyciągnął złotą monetę, którą wsunął w rękę prostytutki. Gdyby ich ktoś obserwował, pewnie by pomyślał, że umawiają się na spotkanie w ciemnej uliczce.

Uśmiechnął się.

- Będę obserwować... i czekać - powiedział i wyszedł z zajazdu.

Już na ulicy zawahał się. Powinien dać jej czas na wysłanie za nim jakiegoś zbira. Był przekonany, że zna kupców, za to ona nie wierzyła, że Brian ma coś do sprzedania, czego nie wzięłby z sobą.

Nie pozostało mu nic innego, jak powoli iść przed siebie.

Opuszczenie zamku okazało się trudniejsze, niż Camille przypuszczała. Shelby wyjechał gdzieś z hrabią. Lekarz szykował się do wyjścia i choć wyglądało na to, że Alex skutecznie zwalcza pozostałą w organizmie truciznę, bała się zostawić go samego.

Zauważyła, że wartę przy drzwiach pokoju Alexa trzyma Corwin. Na chwilę zatrzymała się przy nim po wyjściu od chorego.

- Corwin, czy hrabia już wyszedł?

- Tak jest, panienko.

- Chciałabym, żebyś mnie zawiózł do Londynu.

Zmarszczył czoło.

- Panno Montgomery, nie mogę, niestety, opuścić tego miejsca. Wydaje mi się zresztą, że hrabia nie przewidywał dzisiaj pani wyjazdu do miasta.

- Czy traktujecie mnie jak więźnia?

- Skądże znowu!

- Umówiłam się do spowiedzi.

- Do spowiedzi?

- Jestem katoliczką, Corwinie - powiedziała Camille, mając nadzieję, że Bóg nie ukarze jej za to kłamstwo. Liczyła na to, że tam na górze właściwie ocenią jej intencje.

- Ach, katoliczka - mruknął, a po chwili dodał skonsternowany: - Dzisiaj jest sobota.

- Tak, wiem, jaki mamy dzisiaj dzień. Zawsze spowiadam się w sobotę, żeby w niedzielę być gotową na przystąpienie do Stołu Pańskiego. Mógłbyś mnie łaskawie zawieźć do Londynu? Oczywiście - dodała, postanawiając brnąć w kłamstwo, byle go tylko przekonać - zaczekasz na mnie i przywieziesz mnie z powrotem.

- Wolałbym nie zostawiać pana Mittlemana samego.

- Wcale nie musisz. Tristan i Ralph się nim zaopiekują.

Corwin wziął pod rozwagę jej słowa.

- Naprawdę muszę się wyspowiadać! - powiedziała z rozpaczą w głosie.

Kiwnął głową.

- Jak pani sobie życzy. Zaczekam na panią, proszę się nie martwić.

Udała się do Tristana. Grał w szachy z Ralphem. Wyglądał nieźle i był ubrany.

Na powitanie pocałowała go w policzek i szeptem podpowiedziała kolejny ruch. Zachwycony Tristan zrobił wielkie oczy. Posłuchał jej, a Ralph aż podrapał się w głowę.

- Camie, tak nie można! To nie jest uczciwe! Zapędziłbym go w kozi róg, na pewno.

- Masz rację, Ralphie, nie powinnam mu pomagać, ale on jest rekonwalescentem, a my nie chcielibyśmy, by myślał, że jeszcze nie odzyskał wszystkich sił, prawda?

- A jak się ma twój przyjaciel Alex? - zapytał Tristan.

- Właśnie o tym chciałabym z wami porozmawiać. Zależy mi... ogromnie mi zależy, żeby pójść do kościoła.

- Do kościoła? Toż to sobota - zdziwił się Tristan.

- Wiem, ale... - Kłamała jak z nut, i to w sprawie kościoła. Niedobrze! - Muszę z kimś porozmawiać.

- Dlaczego nie ze mną?

- Pragnie porozmawiać z kimś odrobinę od nas przyzwoitszym - wytłumaczył Ralph.

- Czuję, że to jest ważne dla mojej duszy.

- Jestem przekonany, Camie, że z twoją duszą wszystko w porządku - zauważył Ralph.

Uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że z tym jest pewien problem. Wy dwaj przysporzyliście mojej duszy trochę zmartwień - powiedziała. - Poprosiłam Corwina, żeby mnie zawiózł do Londynu, ale boję się zostawić Alexa samego. To znaczy... - zawahała się - to znaczy, nie powinno się go zostawiać samego nawet na sekundę.

Tristan popatrzył na nią z wielką powagą.

- Zajmę się nim - obiecał.

- Ralph, gdyby Tristan odszedł choć na chwilę, zastąp go - poprosiła Camille.

Służący pokiwał głową, przyrzekając solennie. Podziękowała im obu.

Teraz musi jeszcze dopilnować, żeby o jej wyjściu nie dowiedziała się Evelyn Prior.

Brian się zorientował, że od chwili wyjścia z pubu jest śledzony, mimo że poruszał się w tłumie zdążającym na sobotni targ.

Właściciele kramów z rybami sprzedawali świeżo złowione okazy, a farmerzy wychwalali wyborny smak produktów. Brian patrzył na płody rolne, które przyjechały rano prosto z południa, a ilekroć się zatrzymywał, śledzący go człowiek był tuż-tuż.

Kupił pomarańcze, prosto znad Morza Śródziemnego, jeśli wierzyć reklamie. Torba była ciężka. W sam raz.

Ruszył dalej. Zanurzał się w gąszcz uliczek, wstępując tu i ówdzie na drinka i od czasu do czasu rzucając parę monet żebrzącym dzieciakom.

W końcu znalazł to, czego szukał - zarośnięty placyk, pełen butelek po dżinie i śmieci, otoczony domami o zabitych deskami oknach.

- Mam bardzo dużo na sumieniu - poinformowała Camille Corwina. - Mógłbyś napić się herbaty albo piwa, bo zajmie mi to dobrą godzinę.

- Jak pani sobie życzy, panno Camille. Będę tu czekał - obiecał, pozostawiając ją przed wejściem do kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny.

Szybko podeszła do wielkich frontowych drzwi. Kiedy znalazła się w środku, ogarnęło ją poczucie winy z powodu własnych kłamstw. Nie była katoliczką, ale przeżegnała się przed głównym ołtarzem, a następnie szybko przebiegła przez krużgankowy dziedziniec.

Na bocznej ulicy złapała jednokonkę. Kiedy dotarła do muzeum, na ulicy były tłumy. Historia z poprzedniego wieczoru nie odstraszyła ludzi. Co więcej, wszyscy bardziej niż kiedykolwiek zdawali się być zafascynowani zabytkami starożytnego Egiptu. Groźba klątwy działała podniecająco.

Camille wychwytywała urywki rozmów, przeciskając się przez tłum zwiedzających, a potem przez sale, gdzie jeszcze niedawno stały elegancko nakryte stoły. Teraz wszystko wyglądało tak, jakby nie odbyła się tutaj uroczysta gala.

Wbiegła na górę i weszła do biura. Sir Johna nie zastała, ale na oparciu fotela leżał jego płaszcz, a więc był w pracy. Cofnęła się i zbiegła do magazynu.

Ku jej zdumieniu, drzwi były otwarte. Wsunęła głowę do środka.

- Sir Johnie? - zawołała, ale odpowiedzi nie było.

Weszła dalej, pewna, że gdzieś go znajdzie.

- Sir Johnie!

I znowu cisza.

Zaczęła się posuwać w kierunku wielkich skrzyń, zawierających sarkofagi z ostatniej ekspedycji. Teraz większość z nich była otwarta.

Światło, od początku marne, zgasło, kiedy jedna z żarówek nad głową przepaliła się i pękła z brzękiem.

- Sir Johnie?

- Camille! - Usłyszała ten sam głos co poprzednio. Po chwili spomiędzy skrzyń coś zaczęło się powoli podnosić.

- Camille!

Nagle tysiącletni kurz utworzył mgiełkę. Z sarkofagu uniosła się chwiejnie mumia...

Camille cofnęła się w ciemności, nie mogąc uwierzyć, że coś takiego jej się przytrafia.

Brian wyczuł, że ten, kto go śledzi, jest tuż za nim. Odwrócił się błyskawicznie i z całej siły chwycił mężczyznę za gardło.

- Co jest?! Zaczekaj!

Brian nie puszczał. Błyskawicznie odnotował dość porządne ubranie jegomościa, wskazujące na to, że nie jest on stałym bywalcem zajazdu.

- Mów, ale szybko, o co ci chodzi - rozkazał Brian.

- Nie miałem złych zamiarów.

- To dlaczego mnie śledzisz?

Mężczyzna się zawahał.

- To jak, idziemy na policję? - zapytał Brian.

- Co?

- Idziemy na policję, i to już!

Mężczyzna złapał powietrze w płuca i odetchnął głęboko.

- Sam jestem z policji.

Brian osłupiał.

- Co?

- Detektyw Clancy ze Scotland Yardu - pośpiesznie przedstawił się mężczyzna.

- Byłeś w zajezdzie - powiedział Brian.

- To ty byłeś w zajezdzie - odpowiedział detektyw i dodał nerwowo: - Jesteś aresztowany.

- Ja? Za co?

- Za rozbój... i morderstwo.

Przerażona Camille wpatrywała się w zjawę. Cofnęła się, gotowa zawrócić i uciec, lecz rozsądek wziął górę nad strachem. Mumie to tylko żalosne szczątki ludzi, którzy wierzyli, że ich ciała będą im służyć w życiu pozagrobowym. Nie mogą wrócić z martwych. Ktoś, kto posuwa się do tego, by udawać mumię, może równie dobrze być mordercą, chociaż... tak obandażowany nie będzie chyba mógł jej zrobić większej krzywdy. Dostrzegła w tym szansę dla siebie.

Podjęła grę, udając, że zawraca i zaczyna uciekać w popłochu. Kiedy stwór za nią pokuśtykał, rozejrzała się za czymś, co mogłoby posłużyć za broń.

Mijała właśnie skrzynię, w której grzebała poprzedniego dnia. Wiedziała więc, że mumia ma wyrwane ramię. Sięgnęła po nie, przystanęła i zamachnęła się z całej siły, trafiając poruszającego się ospale "ducha" między żebra.

- Cholera jasna! - zawyła z bólu postać, zginając się wpół.

Camille uderzyła jeszcze raz, tym razem w głowę. "Mumia" upadła na podłogę, chwytając się za głowę obandażowanymi rękami. Ucierpiało również starożytne ramię właściwej mumii.

- O Boże! - zawołała postać z podłogi.

- Kim, do licha, jesteś?! - wrzasnęła wściekła Camille, nie bojąc się już wcale.

- To ja! Chciałem cię tylko przestraszyć.

- Co za ja?

Postaci udało się usiąść. Camille szarpnęła za luźne części postrzępionego płótna.

- Auu! Nie ciągnij tak, proszę.

- Hunter! - zawołała zaskoczona.

- Tak, to ja.

- Ty idioto! Mogłam cię zabić.

Pomimo ciemności dostrzegła jego szydercze spojrzenie.

- Chyba nie tym ramieniem mumii, chociaż, muszę przyznać, zadziałałaś przez zaskoczenie, a cios masz niezły.

- Hunter, co tu robisz? - zapytała.

- Powiedziałem już. Próbowałem cię przestraszyć.

- Dlaczego?

- Żebyś uciekła od Briana Stirlinga i od tej nieszczęsnej klątwy, którą na nas wszystkich ściągnął. Nie pomogłabyś mi wstać? Błagam cię, nie wydaj mnie, nie mów nikomu, że zostałem pobity i powalony na ziemię przez kobietę.

- Powalony na ziemię! Hunter, tu chodzi o coś znacznie ważniejszego!

- Tak, wiem. Mieszkasz u tego mężczyzny i jesteś z nim zaręczona.

- Hunter, wstań wreszcie i zdejmij te bandaże.

- Tak, chyba powinniśmy się pospieszyć, zanim zjawi się sir John.

- A gdzie on jest? Jego płaszcz wisi w biurze.

Po wyplątaniu Huntera z bandażu Camille nie mogła się nadziwić, że w ogóle dała się nabrać.

- Widziałem go wcześniej, ale później gdzieś zniknął - powiedział Hunter.

- Dobrze, dobrze. Okazałeś się idiotą - oświadczyła. - A tak naprawdę, to skąd wiedziałeś, że zejdziesz na dół?

- Domyśliłem się tego po ostatnim wieczorze.

- Co za głupie przypuszczenie. Po ostatnim wieczorze nie powinnam się dzisiaj w ogóle tu pojawić.

Nagle Hunter sposepniał.

- Jak tam Alex?

- Spał, kiedy wychodziłam, ale, zdaniem lekarza, ma się zaskakująco dobrze. To prawdziwy cud.

- Hm. - Hunter zgarnął bandażę i położył je na jednej ze skrzyń. - Jak wyglądam? Nie mam kurzu albo śmieci we włosach?

- Wyglądasz w porządku jak na dorosłego faceta, który odgrywa mumię - powiedziała. - Hunter, to było naprawdę okrutne! Co chciałeś przez to osiągnąć?

Westchnął.

- Camille, nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo to wszystko mnie niepokoi. Być może nie przekonam cię o istnieniu klątwy. Coś się dzieje w zamku Carlyle i z samym Brianem Stirlingiem. Póki trzymał się z dala od muzeum, wszystko szło dobrze. Ledwo się zjawił, Alex został ukąszony przez węża, lorda Wimbley'ego wezwano przed oblicze królowej...

- Och nie!

- Och tak!

- W dodatku wygląda na to, że sir John lekko zszedł zmysły. Nie słyszy, co się do niego mówi, nigdy go nie ma za biurkiem... Przysięgam, że się o ciebie boję.

Był tak szczery, że aż wzruszający, jednak Camille postanowiła nie tłumić złości i oburzenia.

- Mogłam przez ciebie dostać ataku serca!

- Nie przesadzaj - zaprotestował. - Jeszcze zanim zaczęłaś uciekać, uświadomiłaś sobie, że mumia nie może wstać.

- Lepiej stąd wyjdźmy - powiedziała Camille i popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - A jak udało ci się zepsuć żarówkę?

- To nie ja - przyznał z niepewnym uśmiechem. - To zbieg okoliczności.

Westchnęła i pokiwała głową.

- Hunter, jeżeli kiedykolwiek...

- Camille, proszę, powiedz wreszcie, co myślisz o tym, co ci powiedziałem - błagał.

- Masz rację. Nie wierzę w klątwy. Nie powinniśmy byli trzymać kobry w muzeum.

- A jednak w powietrzu wisi coś niedobrego, czy nazwiesz to klątwą, czy szaleństwem.

Westchnęła i pochyliła głowę.

- Dlaczego zakochałaś się w tym łajdaku? Bo zakochałaś się, prawda? - zapytał, ujmując ją pod brodę.

- Hunter... - zaczęła mówić, po czym oboje zamarli.

W kompletnej ciszy i prawie absolutnych ciemnościach rozległ się upiorny jęk.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Brian siedział w jednym z kilku gabinetów stołecznego komisariatu policji razem z detektywem Clancym i sierżantem Garthem Vickfordem, który jako pierwszy pojawił się przedwczoraj na miejscu strzelaniny.

Wprawdzie Brian nie zmienił przebrania i charakteryzacji, ale przedstawił się i wyjawiał swoją tożsamość. Początkowo Clancy miał pewne trudności z daniem wiary słowom hrabiego i z ogarnięciem całej sytuacji, ale Brian miał tu najwięcej do powiedzenia, więc detektyw był zmuszony go wysłuchać.

Brian był przeciwny kontynuowaniu rozmowy na placu; nie miał pewności, czy ktoś inny z gospody nie postanowił go śledzić, a już na pewno nie zależało mu na tym, by Clancy czy on sam został zastrzelony przez

wyborowego strzelca z pobliskiego dachu lub przez zbirów nagle wypadających z zaułka.

- Wiemy jedynie, że człowiek zabity na placyku parał się ostatnio organizowaniem sprzedaży różnych przedmiotów na czarnym rynku - wyjaśnił Brianowi detektyw Clancy. - Znamy już jego imię i nazwisko, nazywa się William Green. Już wkrótce zdobędziemy więcej informacji na jego temat. Kobieta z "McNally's" zmieniła podobno rodzaj pracy w okresie, kiedy grasował Kuba Rozpruwacz, chociaż, jak sądzę, od czasu do czasu przyjmuje jakiegoś klienta. Głównie jednak udaje dziwkę i pełni rolę pośredniczki dla wszelkiego rodzaju złodziei. Wiedzieliśmy o istnieniu tego miejsca, ale dopiero po zabiciu Greena i informacji paru świadków, stwierdzających, że przesiadywał on w "McNally's", zyskaliśmy pewność, że odbywają się tam różne nielegalne transakcje, między innymi handel przedmiotami przywiezionymi z Egiptu.

- Skąd to nagłe zainteresowanie? Przecież czarny rynek na te rzeczy istnieje od zawsze - zauważył Brian.

Clancy zaczerwienił się i spojrzał na Vickforda.

- No cóż, niech to pozostanie między nami - odparł z ociąganiem. - Wszyscy wiemy, ile uwagi poświęca łaskawie nam panująca królowa Wiktoria swojemu imperium i naszej obecności w Egipcie. Ostatnio dotarło do niej, że wiele skarbów kierowanych do Anglii wylądowało we Francji. Wiadomo panu, jak bardzo ją denerwuje przewaga Francji w jakiegokolwiek dziedzinie. Udało się nam złapać kilku drobnych handlarzy, ale pozostajemy bezsilni wobec pewnego Francuza, Henriego Lacroisse'a, który ma immunitet dyplomatyczny. Lacroisse często bywa na dworze królewskim i równie często podróżuje do Francji. Podejrzewamy, że liczy na kupno pewnego bardzo szczególnego dzieła sztuki, który ktoś mógł mu obiecać. Świadcowie w sprawie Greena, kiedy pokazaliśmy im pamięciowe szkice, dwukrotnie rozpoznali Henriego Lacroisse'a jako tego, którego widywano na ulicy z denatem.

- Skoro podejrzewacie Lacroisse'a, dlaczego go nie przesłuchacie? - zapytał Brian.

- Jest francuskim dyplomata - wyjaśnił Vickford, kiwając głową. - To niełatwa sprawa. Poza tym nie uważamy, żeby to on zabił Greena. W tym czasie był u kogoś na herbacie, co potwierdzi pod przysięgą wielu świadków. I tak posunęliśmy się daleko, dyskretnie ustalając miejsca, w których bywa.

Brian spojrzał na dwóch policjantów.

- Kupiec nie zabija swojego posłańca - powiedział.

- No właśnie - zgodził się Clancy. - Zakładamy, że osoba, która ma ten skarb, albo zabiła Greena, albo zleciła to zadanie. Bóg raczy wiedzieć, z jakiego powodu. Może groził, że zacznie sypać, chcąc ratować własną skórę. W każdym razie zapłacił najwyższą cenę za swoje przestępstwa, a katowi zaoszczędził roboty.

- Czy królowa albo markiz Salisbury wiedzą, że podejrzewacie Lacroisse'a?

Clancy wyglądał na zmartwionego.

- Jak dotąd są to tylko podejrzenia. A zna pan jej królewską mość. Świetnie sprawuje rządy w ramach monarchii konstytucyjnej, ale pozostaje... no, co tu dużo mówić, pozostaje królową. Premier jest daleko bardziej pragmatyczny. Choć i on, nie dysponując dowodem, ma związane ręce. Na razie królowa, głęboko zaniepokojona tymi wszystkimi plotkami dotyczącymi dworu królewskiego, nie dopuści, żebyśmy bez niezbitego dowodu oskarżyli Lacroisse'a. Oczywiście, Lacroisse nie kupowałby skarbów, gdyby ktoś mu ich nie zaoferował. Nie posiadałem się ze szczęścia, hrabio, myśląc, że wytropiłem właściwego człowieka albo przynajmniej kogoś związanego z przestępcą, kiedy śledziłem pana w drodze z zajazdu. Obawiam się, że teraz wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Może jednak nie - zauważył Brian.

- Jak to? - zapytał Clancy.

Brian wstał.

- Detektywie Clancy, protokół dyplomatyczny uniemożliwia panu przesłuchanie Monsieur Lacroisse'a. Jednak mnie nie przeszkodzi zaprosić go na kolację razem z kuratorami i personelem muzeum.

Camille poszła w kierunku, skąd dochodził jęk.

- Zaczekaj, może ci grozić niebezpieczeństwo! - zawołał Hunter i szybko za nią podążył.

Nie bała się, że spotka ją coś złego.

Ten jęk wydał cierpiący.

Rozglądała się bacznie. W końcu, w drugim rzędzie skrzyń, zobaczyła leżącego na podłodze człowieka. To był sir John.

- Dobry Boże! - krzyknęła, przyklękając koło niego. Próbował usiąść, więc chwyciła go pod ramiona. - Sir Johnie...

Nie wypadało go pytać, czy dobrze się czuje, skoro było widać, że coś mu się przydarzyło. Zamrugał powiekami i zaczął dochodzić do siebie.

- Co się stało? Czy to coś poważnego? - zapytała, patrząc nań z niepokojem.

Potrząsnął głową i się skrzywił.

- Proszę mi pomóc wstać!

Hunter był już przy nich.

- Sir Johnie, proszę się mnie przytrzymać.

- Nie powinien się pan za szybko podnosić. Proszę się nie spieszyć. Co się stało? - zapytała Camille, widząc, że sir John nie zwraca uwagi na jej ostrzeżenie.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Camille pokręciła głową, Hunter wzruszył ramionami.

- Hm... Nie wiemy, ale to musiała być dobra chwila - odpowiedział, nie przyznając się, że od pewnego czasu przebywa w magazynie.

- Sir Johnie, co się panu przydarzyło? - dopytywała się Camille.

- Chodźmy lepiej na górę. Powinien pan napić się trochę wody - zasugerował Hunter.

- Czy ktoś na pana napadł? - nie ustępowała Camille, biorąc sir Johna pod drugie ramię, by pomóc doprowadzić go do drzwi.

- Ja... - Zatrzymał się. - Sam nie wiem! Byłem tutaj, żeby się rozejrzeć. Wiem, że to musi gdzieś być.

- Co musi tu być? - dopytywał się Hunter.

- Jak to co? Kobra, ma się rozumieć - odrzekł sir John, zdziwiony, że Hunter nie rozumie, o czym mowa.

- Sir Johnie, uważam, że powinniśmy udać się na policję - powiedziała Camille.

- Jaka kobra? - ponownie zapytał Hunter.

- Policja? - zdenerwował się sir John. - Nie! Wykluczone! - Wyrwał się Hunterowi i Camille i zaczął się cofać. - To było wieko skrzyni. Nikt za mną nie szedł. Po prostu bezmyślna nieuwaga. Byłem poirytowany, a krzątał się tu ten starszy mężczyzna do sprzątanía. Chyba potraktowałem go zbyt ostro. Poza tym byłem nieostrożny. To wieko z zawiasami... Podniosłem je, ale go nie zabezpieczyłem i spadło mi na głowę.

Camille nie uwierzyła w ani jedno słowo. W dodatku nagle zaczęła podejrzewać sprzątającego. Ten starzec wszędzie się kręci!

- Arboc był tutaj? - zapytała.

- Tak.

- Sir Johnie, może to on pana uderzył? - zasugerowała.

- Camille, przecież powiedziałem, jak do tego doszło!

- O jakiej kobrze pan mówił? - powiódł pytanie Hunter.

- W inskrypcji, nad którą pracuję, jest wzmianka o złotej, wysadzanej klejnotami kobrze - odparła zniecierpliwiona Camille. - A coś takiego nie figuruje na żadnej liście i w żadnym katalogu!

- Wierzę w jej istnienie - wtrącił sir John - i muszę ją znaleźć, póki... póki nie jest za późno.

- Moglibyśmy poświęcić jeden dzień, wezwać policję i cały personel, i dokładnie wszystko przeszukać - zaproponowała Camille.

Sir John spojrział na nią, ale wyraźnie myślami był gdzie indziej.

- Trzeba to znaleźć - podkreślił. Dotknął czoła i zamknął oczy. Wyglądał, jakby znowu miał zemdleć.

Camille wyciągnęła rękę i pomacała tył jego głowy. Aż krzyknęła.

- Sir Johnie! Ma pan ogromnego guza na ciemieniu. Tu potrzebny jest lekarz...

- Nie! To nic takiego, samo przejdzie. Nie chcę lekarza. Już i tak za bardzo i za często zwracamy na siebie uwagę. Żadnych lekarzy w muzeum i koniec z rozmowami o klątwach - polecił.

- A więc proszę udać się do domu! - kategorycznie oznajmiła Camille.

- Tak, musi pan wracać do domu - zawtórował Hunter.

Popatrzył na jedno i na drugie, po czym westchnął i jakby stracił energię.

- W porządku, w porządku. Już jadę. - Zebrawszy resztki sił, ruszył powoli w kierunku drzwi. - Postawię tutaj jednego ze strażników. Za wiele jest kluczy do magazynu. Za wiele kluczy. - Odwrócił się. - Idziecie? - zapytał podejrzliwie.

- Tak, tak, oczywiście - mruknęła Camille. Rzuciła okiem na zegarek. Boże, Corwin uznał ją za okropną grzesznicę!

- Hunter, muszę już iść - powiedziała. - Dopilnuj, proszę, żeby sir John zaraz wsiadł do kabrioletu lub do powozu. Ja wracam do domu.

- Dopilnuję wszystkiego - przyrzekł Hunter.

Życzyła jeszcze sir Johnowi bezpiecznej i spokojnej niedzieli, po czym zostawiła go z Hunterem i wybiegła z budynku.

Sir John cierpiał katusze i był tak roztrzęsiony, że nie mógł uporządkować myśli. Stali z Hunterem w jednej z sal wystawowych. Sir John uważał, że powinien zostać, dokończyć to, co zaczął, ale z drugiej strony rzeczywiście powinien znaleźć się w domu, żeby odpocząć.

- Chodźmy, sir Johnie. Dopilnuję, żeby pan stąd wyszedł. Obiecałem Camille.

- Tak, tak... ona już wkrótce będzie hrabiną, prawda?

- Wierzy pan w to? On ją tylko wykorzystuje. Wszystko dlatego, że szuka zemsty. Na nas.

- Nie... nie... to niemożliwe.

- Sama się wkrótce przekona. Nie pozwolę mu dłużej wykorzystywać jej przeciwko nam.

- A co zamierzasz zrobić? - zaniepokoił się sir John.

- Zdemaskować go!

- Zrujnujesz nas wszystkich.

- Ależ, sir Johnie, są jeszcze inni bogaci ludzie w Anglii. A on nie jest normalny wbrew temu, co twierdzi i demonstruje. Chodźmy, musimy się stąd wydostać.

Pomimo bólu głowy sir John zaczął się opierać.

- Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Sir Johnie, obiecałem Camille, że wróci pan do domu.

- Zaczekaj więc tu na mnie. Muszę najpierw coś załatwić.

- Pójdę z panem.

- Nie! - ostro sprzeciwił się sir John i popatrzył podejrzliwie na Huntera. - Zaczekasz na mnie tutaj! - dodał i chwiejnym krokiem wszedł na schody.

Camille wróciła do kościoła, przecięła krużgankowy dziedziniec, omal nie zderzyła się z księdzem i zatrzymała na chwilę, żeby pokornie prosić go o przebaczenie.

Droga powrotna dłużyła jej się bardzo. Zastanawiała się, co dziś robi Brian; modliła się, żeby wrócić przed nim do zamku.

Gdy zajechali przed bramę, było już prawie ciemno. Koła powozu toczyły się wąską drogą, a Camille słyszała wycie wilków w lesie, zapowiadające zbliżającą się noc. Stukot końskich kopyt niósł się po zwodzonym moście.

Przy drzwiach zamku podziękowała Corwinowi i szybko weszła do środka. Udała się od razu do pokoju Alexa, gdzie na szczęście zastała Tristana i Ralpa. Grali w szachy.

- Jak on się miewa? - zapytała.

- Budzi się od czasu do czasu. Wypił trochę herbaty i odrobinę bulionu. Chyba czuje się nieźle - odpowiedział Tristan.

- Ta kobieta mu przyniosła bulion - dodał Ralph.

- Najpierw powąchaliliśmy, a dopiero potem skosztowaliśmy. I jeszcze żyjemy - poinformował Tristan.

Camille pomyślała, że zbyt serio traktują swoje obowiązki. Przecież panna Prior, choć wydaje się podejrzana, chyba nie odważy się otruć nikogo w domu hrabiego.

- Zostanę z nim, a wy możecie... Cóż, właściwie nie macie nic do roboty. - Teraz, gdy Tristan wyzdrowiał, mogliby wrócić do domu. Tyle że za jej namową przebywał tutaj Alex. Zresztą, czy jej samej zależy na powrocie do domu?

- Możemy pospacerować - zaproponował Tristan Ralphowi.

- Spacer nie byłby zły - przyznał Ralph - gdyby nie wilki.

- Eee, wilki są po drugiej stronie mostu. Przejdziemy się po dziedzińcu, a potem wrócimy do gry. Znowu dostaniesz ode mnie baty!

- Też mi coś! - oburzył się Ralph. - Kiedy wygrywałem, jaśnie pan Tristan niespodziewanie dostał skurczu w nodze i przewrócił szachownicę.

- Tristanie, nie wątpię, że oddasz tę partię Ralphowi - powiedziała Camille.

- Niech tam, Ralph wygrał. No to co, idziemy? Zobaczymy, czy Żelazna Dama nas nie zatrzyma.

- Niech tylko spróbuje.

Po ich wyjściu Camille usiadła przy Aleksie, zauważając, że nabrał kolorów i że puls bije mu mocno. Trzymała go za nadgarstek, kiedy otworzył oczy. Uśmiechnął się słabo.

- Camille.

- Jestem tutaj. Jak się czujesz?

- Lepiej - odpowiedział i próbował usiąść.

Złapała go za ramiona i położyła z powrotem.

- Zostałeś ukąszony przez kobrę, Aleksie. Nie rób niczego na siłę.

- Camille... - powtórzył z wysiłkiem.

- Jestem tutaj.

- Musimy uciekać. Wszyscy. Ty, ja, Tristan i Ralph.

- Alex, musisz najpierw dojść do siebie.

Potrząsnął głową.

- Znowu będzie próbował mnie zabić.

- Kto?

- Hrabia Carlyle.

Głos miał ochryply i urywany. Po chwili zaczął drzeć.

- Aleksie, Brian nie próbował cię zabić. Zostałeś ukąszony przez kobrę.

- On ją wypuścił.

- Alex, przyjechałam z Brianem do muzeum. Wcześniej tam nie wchodził.

- Był tam. Wiem, że był. - Głos miał słaby, ale nagle chwycił ją mocno za rękę. - Camille, czy ty nic nie widzisz? On nas wszystkich oskarża. Jego rodzice zginęli, a on nas oskarża. Wszystkich, którzy tam byli. Chce, żebyśmy zmarli tak jak jego rodzice... jeden po drugim, i żeby nie było śladów ani dowodów.

- To istne szaleństwo!

- Bo to jest szaleństwo.

- Posłuchaj mnie, Alex. Briana nie było w muzeum.

- Był. Wiem, że był. On szuka sposobów, żeby nas wszystkich uśmiercić. Ponieważ jego rodzice zginęli, a my nie.

- Alex...

- Musimy opuścić zamek, Camille.

Westchnęła.

- Nie możemy. Jesteś jeszcze za słaby. Zresztą to ja nalegałam, żeby przewieźć cię tutaj.

- Wiesz, że on nigdy się z tobą nie ożeni, prawda?

Wiem! - odpowiedziała mu w duchu.

- On ma swoje sposoby, zawsze miał. Chce ciebie wciągnąć w to szaleństwo, Camille. Musisz przejrzeć na oczy, zdać sobie z tego sprawę.

- Alex! Proszę... - Urwała, słysząc pukanie. Wstała i otworzyła drzwi.

Stała w nich Evelyn Prior.

- A więc wróciłaś, moja droga - powiedziała.

- Tak.

- I zajmujesz się Alexem, jak widzę.

- Zostanę przy nim na noc.

- Oczywiście. Posiedzę przy nim, gdy jutro udasz się na mszę.

- Na mszę?

- Drogie dziecko, na pewno będziesz chciała pójść do kościoła. Po tak długiej spowiedzi... Nie miałam pojęcia, że jesteś aż tak religijna. Oczywiście, hrabia jest anglikaninem. Nasza wiara różni się trochę od waszej.

- Po tych wszystkich spędzonych dzisiaj w kościele godzinach, panno Prior, ufam, że Bóg mi wybaczy, jeżeli jutro nie wezmę udziału w mszy. Alex jest moim przyjacielem, dotrzymam więc mu towarzystwa.

- Możesz poprosić o to Tristana.

- Uważam to za swój obowiązek.

- Rozumiem. Czy mam przysłać ci kolację tutaj?

- Dziękuję, to bardzo miło z pani strony - odparła Camille. - Czy hrabia już wrócił? - spytała po chwili.

- Nie widziałam go.

- No cóż, dziękuję.

- Wkrótce przyślę kolację - zapowiedziała panna Prior. Zmierzyła Camille baczny spojrzeniem, odwróciła się i wreszcie wyszła.

Camille wróciła i znowu usiadła przy łóżku. Alex zapadł w niespokojną drzemkę. Przysunęła jeden z ciężkich foteli i ułożyła się w nim wygodnie. Nie minęło kilka minut, a sama zasnęła.

Sir John spodziewał się, że ktoś zapuka do jego drzwi. Potarł guza z tyłu głowy, przystanął na chwilę, po czym dotknął leżącego przed nim na biurku niedużego pistoletu.

Rozległo się ponowne pukanie. Mocniejsze.

Wsunął pistolet do szuflady, na wierzch papierów, tak, by mógł łatwo po niego sięgnąć.

- Proszę - powiedział - drzwi są otwarte.

Gość wszedł i zamknął za sobą drzwi. Gdyby ktoś kilka chwil później znajdował się w pobliżu, usłyszałby stłumiony strzał.

Shelby musiał odmówić Brianowi Stirlingowi. Służył z nim w Indiach, widział go w najcięższych sytuacjach, gdy ryzykował życie, nie oglądając się na innych. Udał się za nim do Kairu i towarzyszył mu w chwilach rozpacz, wściekłości i żałoby. Służył mu nie dlatego, że aż tak bardzo potrzebował pracy, ale dlatego, że przy Brianie Stirlingu nigdy nie odczuł, że w życiu istnieje coś ważniejszego od człowieczeństwa.

Obecnie jednak Shelby zastanawiał się nad poczytalnością hrabiego.

- To zadanie jest niewykonalne.

- Niewykonalne? Nie istnieją rzeczy niewykonalne! - oświadczył Brian.

- Co to był za dzień! Nie wiedziałem, czy wyjść z ukrycia, czy nie, kiedy okazało się, że rzekomy winowajca z placyku jest oficerem policji - mówi! z przejściem Shelby. - Ale teraz, hrabio, kiedy zaistniała realna szansa dowiedzenia się, co naprawdę się dzieje, musimy wychodzić z zamku akurat w nocy? Czy warto teraz to zaczynać?

- Ten, kto chodzi po zamku, z każdą nocą się przybliża. Zamek jest wprost naszpikowany drzwiami i klatkami schodowymi. Mój ojciec był przekonany o istnieniu tunelu. Podzielał jego opinię. Tak, przestrzeń wokół zamku jest olbrzymia, ale powinniśmy natrafić na jakiś ślad, miejsce, w którym ziemia została poruszona. - Uśmiechnął się szeroko i podrapał się w przyklejoną brodę, która zaczynała już nieźle dawać się mu we znaki. - Nie znasz bajki o zimie i o wiewiórce?

- Gdy dorastałem, w mojej rodzinie, liczącej dziesięć osób, nieczęsto opowiadało się bajki. Rodzice przeważnie pracowali, w ten czy w inny sposób - odrzekł Shelby i westchnął. - A może pan mi ją opowie?

- Czemu nie. Czy gdy zbliża się zima, wiewiórka stara się wciągnąć do dziupli dziesięć żołądzy naraz? Oczywiście, że nie! Bierze żołądź jeden po drugim. Dzisiaj zabierzemy się do tego z dwóch stron. Ty zaczniesz przy bramie i będziesz się posuwał krok po kroku, co noc, aż okrążysz całą posiadłość. Ja pobędę się tej przeklętej brody, przyślę ci Corwina i zaczniecie od razu, gdy tylko wzejdzie księżyc. Sam wezmę się za to od drugiej strony. Najpierw jednak

udamy się do twojego mieszkania. Muszę czym prędzej pozbyć się tej charakterystyki, bo jeszcze chwila, a rozszarpie ją razem z własną twarzą!

Shelby wpatrywał się przez chwilę w Briana, a wreszcie pokręcił głową.

- O co chodzi?

- Już od miesiący zagląda pan do podziemi.

- To prawda - odrzekł Brian - spędziłem długie miesiące w pracowni rodziców na dole, która dawniej była salą tortur. W krypcie grobowej jeszcze nie byłem.

- I musi pan to robić akurat dzisiaj?

- Jeżeli mamy schwytać złodzieja i zabójcę, to właśnie teraz, Shelby.

- Co robić. Zaczniemy, skoro pan sobie życzy.

Camille ocknęła się nagle i popatrzyła na Alexa. Nadal spał. Zastanawiała się, co ją wyrwało ze snu. Po chwili już wiedziała.

Kamienie starego zamku zawsze wydawały dźwięki, wprawdzie odległe i stłumione, ale powracające. Brzmiało to jak drapanie - czasami ostre i przeszywające, czasami przypominające jęk.

Ponownie spojrzała na Alexa, który zdawał się spać niewinnie jak baranek. Dotknęła jego czoła i stwierdziła, że nie jest rozpalone. Także puls miał równy i mocny.

Za jej plecami skrzypnęły drzwi; chyba ktoś zajrzał do środka. Nie zdążyła się odwrócić, kiedy drzwi się zamknęły. Wstała, zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Podeszła do drzwi, uchyliła je i wyjrzała na korytarz.

Zobaczyła Evelyn Prior, która właśnie odeszła spod drzwi Alexa i zdążała w kierunku schodów. Miała na sobie nocną koszulę i biały szlafrok, przez co zdawało się, że prawie płynie nad podłogą. Nie niosła lampy, ale, oczywiście, nie potrzebowała jej. Znała drogę na pamięć.

Camille miała wielką ochotę udać się za Evelyn. Odwróciła się w stronę Alexa; wciąż spał, a mimo to bała się go zostawić. Chyba dlatego, że chłopak tak bardzo się bał. Ten strach był zaraźliwy.

Choć lęki Alexa wydawały się nieuzasadnione, Camille nie mogła pozbyć się obawy, że gdy młody człowiek zostanie sam, w tak opłakanym stanie, ktoś wślizgnie się do środka i dokończy rozpoczęte przez kobrę dzieło.

Podeszła do fotela i usiadła. Nagle ogarnęła ją tęsknota za poprzednią nocą, za czułością, pieśczością i zbliżeniem w ciemności - gdy rzeczywistość nie przejmuje kontroli nad pożądaniem.

Brian Stirling prawdopodobnie znajduje się na dole, w podziemiach. Jak zawsze szuka odpowiedzi na to, co stało się jego obsesją. Jeżeli Evelyn natknie się na niego... To nie ma sensu. Evelyn jest z Brianem od zawsze. Gdyby miała wobec niego złe zamiary, nie musiałaby tak długo czekać. Poza tym Ajax jest na pewno ze swoim panem.

Nagle Camille się przestraszyła. Gdzie Brian podziewał się przez cały dzień? I dlaczego nie przyszedł się z nią zobaczyć, dlaczego jej nie szukał, nie zmusił, żeby z nim poszła?

Zardzewiałe zawiasy wrót zawyły niczym jakiś potężniak. Mógł spróbować otwierać je stopniowo, po centymetrze, ale doszedł do wniosku, że jedno szybkie, choć hałaśliwe pociągnięcie będzie lepsze. Że też zapomniał sprowadzić rzemieślnika, który by je oczyścił i naoliwił!

Kaplica grobowa, nieużywana od wielu, wielu lat, była zadziwiająco czysta. Nikt tu niczego nie ruszał, nie zakłócał spokoju zmarłym. Wzdłuż głównej nawy stały rzędy nagrobków, a w ściany wmurowane były krypty

grobowe. Budowla miała plan krzyża łacińskiego. Najstarszy nagrobek pochodził z 1310 roku i należał do jednego z przodków, hrabiego Morwytha Stirlinga, który został później pierwszym panem na Carlyle. W drugiej połowie osiemnastego wieku jedna z przedsiębiorczych praprababek Briana zleciła konserwację nagrobków, stąd między innymi czytelne liternictwo na kamiennych płytach. Tu i ówdzie dostrzegł pajęczyny, a od czasu do czasu pokruszony kamień. Idąc, usłyszał pisk szczura.

Odwrócił się na ten dźwięk i niewiele brakowało, żeby się roześmiał. Ajax, skomląc cicho, stał po drugiej stronie wrót, jakby ostrzegał Briana przed pójściem dalej.

- Wszyscy oni należą do rodziny, piesku - uspokoił Ajaxa. Wyszedł z kaplicy i udał się w kierunku pracowni rodziców. Zatrzymał się przy schodach i stał cicho, nasłuchując.

- Ktoś tam jest, piesku? - zapytał szeptem, a pies zaczął warczeć. Brian szybko wbiegł po schodach, ale ten, kto się tam znajdował - jeśli w ogóle był - zniknął. Czy to Camille urządziła sobie kolejną nocną wyprawę?

Wbiegł na pierwsze piętro, ale wokół panowała cisza. Widać okazał się nie dość szybki, choć serce waliło mu mocno z wysiłku. Podszedł do drzwi, za którymi powracał do zdrowia Alex Mittleman.

Camille siedziała przy łóżku z zamkniętymi oczami. Głowę położyła na rękach, opartych o poręcz fotela. Powinien podejść i sprawdzić, czy nie udaje. Może dopiero co zeszała na palcach na dół, żeby zobaczyć, co on tam robi?

- Pilnuj ich, Ajax - polecił Brian i wrócił do swoich zajęć.

Camille zaskoczyły liczne głosy, dobiegające z jadalni, dokąd wreszcie dotarła spóźniona i obolała po nocy spędzonej w fotelu, na co nie pomogła nawet kąpiel. Przybyła chyba jako ostatnia.

Brian Stirling siedział, jak zawsze, nad swoimi gazetami. Evelyn Prior ulokowała się naprzeciwko niego. Byli tu też Tristan i Ralph, prawiący komplementy Evelyn za podane do śniadania pyszne babeczki. Ralph, który przez wszystkie lata wspólnego mieszkania z Tristanem i Camille uważany był za członka rodziny, czuł się trochę nieswojo w wytwornym oszklonym atrium, gdzie podawano śniadanie. Nawet Alex - poszarzały i osłabiony - jakoś tu dotarł. Mieli też gościa - lorda Wimbley'ego.

Lord Wimbley siedział nad ogromną porcją jajecznicy na bekonie i choć bez przerwy mówił, znajdował też czas, żeby delektować się śniadaniem.

- Powiedziałbym, że wszystko przyrządzono po prostu idealnie - zwrócił się do Briana w momencie, kiedy weszła Camille. - Panno Prior, jest pani wysmienitą kucharką.

- Dziękuję - odpowiedziała z fałszywą skromnością, wstając od stołu na widok Camille. - Kawy, kochanie? A może herbaty?

- Poproszę o kawę - odparła Camille.

Brian spojrzął znad gazety. Nie wyglądał na specjalnie zadowolonego, mimo to wstał i wysunął dla niej krzesło.

- Dzień dobry, Camille.

- Miło cię widzieć, drogie dziecko - powitał ją lord Wimbley.

- Camille! - odezwał się Tristan z wyrzutem w głosie. - Wychodzisz za mąż!

- Ja... - Spojrzała na Briana.

- Hrabia poprosił mnie właśnie, żebym wam pobłogosławił. Dlaczego nie powiedziałaś mi ani słowa o tym oficjalnym oświadczeniu złożonym podczas gali? - zapytał z goryczą.

- Bo... Wiesz, że Alex był prawie umierający - powiedziała.

- Przecież to niezwykła, wspianiała nowina! - Tristana wyraźnie rozpieła duma.

Co z tego, kiedy to kłamstwo! - miała ochotę krzyknąć.

- Kiedy odbędzie się ślub? - zapytał lord Wimbley. - Wielkie wydarzenie, mogę to sobie wyobrazić. Absorbująca uroczystość, wymagająca precyzyjnego zaplanowania - zauważył pragmatycznie.

Evelyn podała Camille filiżankę kawy.

- Istotnie, zwłaszcza że hrabia jest anglikaninem, a przyszła panna młoda katoliczką.

- Nie jesteśmy katolikami - sprostował Tristan, robiąc zdziwioną minę. - Należymy do Kościoła anglikańskiego.

- Ach tak? - Evelyn znacząco popatrzyła na Camille, która poczuła, że teraz naprawdę znalazła się w opałach.

- Oficjalnie zawsze uczestniczyłam w nabożeństwach Kościoła anglikańskiego - powiedziała - ale też od dawna pociągały mnie obrządki Kościoła katolickiego, przestrzegam więc niektórych jego praktyk. - Pan Bóg naprawdę będzie musiał jej to wybaczyć.

- Cóż, żyjemy w czasach, które wymagają tolerancji - zauważyła Evelyn.

- Królowie też poślubiali katoliczki - wtrącił Ralph.

- Ale kilku z nich straciło głowę - zauważyła Evelyn.

- Tylko Karolowi Pierwszemu ścięto głowę! - zaprotestował Tristan.

- Ale wielu członków rodów królewskich zaprowadzono na szafot - nie ustępowała Evelyn.

- To nie ma sensu! Żyjemy w oświeconej epoce, w czasach jednej z najświetniejszych monarchii konstytucyjnych, jakie kiedykolwiek istniały - zwrócił im uwagę lord Wimbley. - Pomyślałem, Brianie, że podczas dzisiejszego wieczornego spotkania, niezależnie od wagi poruszanych tematów, musimy uczcić twoje zaręczyny z naszą drogą Camille!

- Wieczornego spotkania? - zapytała.

- Tak. - Wzrok Briana pozostał nieprzejeđnany. Camille doszła do wniosku, że doniesiono mu o jej wczorajszych poczynaniach i dlatego jest zły. A gdzie on sam był przez cały dzień?

- W rzeczywistości to będzie kolacja - wyjaśnił Brian. - Na szczęście Alex czuje się na tyle dobrze, że będzie mógł wziąć w niej udział. Będzie też sir John,

lord Wimby, francuski poseł pan Lacroisse i paru dżentelmenów z rady nadzorczej. Oczywiście zostanie też zaproszony Aubrey, a także sir Hunter. Wydaje się wskazane, żeby po wydarzeniach podczas gali dokonać pewnego przegrupowania.

Przegrupowanie, też mi coś! - pomyślała Camille.

- Zjesz jajecznicę, kochanie? - zapytała Evelyn.

- Nie, dziękuję. Jakoś straciłam apetyt.

- Wyobrażam sobie, co tu się dzisiaj będzie działo. Jest tyle do zrobienia! Niebawem zaroi się od różnych dostawców. - Evelyn była zaróżowiona, chyba z zadowolenia. - Jak za dawnych czasów - dodała po chwili wahania.

- Cóż, powinienem się już zbierać - orzekł lord Wimby. On także wyglądał na zadowolonego. - Mam jeszcze mnóstwo do zrobienia. Brianie, muszę powiedzieć, że ogromnie się cieszę. Twój pomysł wydania kameralnej kolacji w celu rozsądnego pogadania o przyszłości jest znakomity, po prostu znakomity.

- Cieszę się, że pan go pochwała, milordzie - odrzekł Brian, wstając od stołu.

- A zatem do wieczora - zwrócił się hrabia do wszystkich i skierował do wyjścia.

- Chyba powinienem odpocząć, jeżeli mam się pokazać z najlepszej strony wieczorem - powiedział Alex.

- Posiedzę przy tobie - zaofiarowała się Camille.

- Nie - ostro zaprotestował Brian. - Tristan i Ralph urządzili sobie coś w rodzaju turnieju szachowego, mogą więc dotrzymać towarzystwa Alexowi i zadbać o wszystko, czego będzie potrzebował. Chciałbym zamienić z tobą parę słów, moja droga.

Skinęła uprzejmie głową, choć poczuła się zaniepokojona.

- Chodźmy więc - ponaglił Brian.

Camille zmusiła się do uśmiechu i wyszła przed nim z jadalni. Kiedy dotarli do jego apartamentów, Brian otworzył drzwi i znów przepuścił ją przodem.

- Gdzie, na miły Bóg, byłaś wczoraj? - zapytał.
- A gdzie ty byłeś?
- Miałem sprawę do załatwienia. Gdzie się podziewałaś?
- Miałam sprawę do załatwienia.
- Spowiedź?
- Mam wiele grzechów na sumieniu.
- Potraktuj mnie, proszę, jak spowiednika. Gdzie byłaś?
- Poszłam do muzeum - odpowiedziała.
- Co?

Wzięła głęboki oddech i powtórzyła:

- Poszłam do muzeum.
- Oszalałaś?
- Pracuję tam!
- Tam przedwczoraj wieczorem grasowała kobra. A swoją drogą musiałaś wiedzieć, że to niebezpieczne, skoro okłamałaś Corwina. Ten łatwowierny człowiek spędził wiele godzin przed kościołem, czekając na ciebie.
- Naprawdę weszłam do kościoła.
- Ale po co poszłaś do muzeum?
- Żeby znaleźć złotą kobrę. Przedmiot, którym zdają się wszyscy interesować.
- Nie pójdziesz więcej do muzeum! - zapowiedział ze złością Brian.
- Pójdę, dokąd zechcę! - oświadczyła Camille. - Nie jestem twoim więźniem. Nie możesz też dłużej przetrzymywać Tristana. - Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ma do czynienia z hrabią Carlyle, za którego sprawą niejedno może się jeszcze zdarzyć.
- Tak ci spieszo stąd wyjechać? Tak ci tu źle?

- Dokonuję własnych wyborów - przypomniła mu. - Nie możesz mi wciąż rozkazywać. A gdzie ty byłeś? Dlaczego stale znikasz? Co za chorobliwą grę prowadzisz?

- Nie ma w tym nic chorobliwego. Mówiłem ci, że ta gra jest niebezpieczna. Bóg mi świadkiem, nie podejrzewałem, że sprawa przyjmie taki obrót. Nie spodziewałem się... do licha, Camille! - Podeszedł blisko i chwycił ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć. - Niech cię diabli wezmą!

- Ciebie niech diabli wezmą! - odparowała.

Nagle Brian przywarł do jej warg, jakby chciał wyładować złość i niepokój. Podniecił ją sam jego dotyk. Odwzajemniła pocałunek, wtuliła się w niego, burząc mu palcami włosy i sięgając do guzików jego koszuli... Coś ją jednak powstrzymało.

- Maska! - wyszeptała.

Zawahał się, ale zaraz ją zdjął.

W płataninie złączonych ust i ramion pozbywali się ubrań. Camille, która jeszcze przed chwilą wyśmiałaby myśl, że szaleńczo pragnie zbliżenia, teraz łaknęła pieszczot Briana, tęskniła za pożądaniem i energią, które w niej wyzwaliał z każdym dotykiem. Zrzucone ubranie walało się tam, gdzie je zostawili, a oni, nie przestając się całować i pieścić, przesuwali się centymetr po centymetrze w stronę drzwi, dzielących ich od sypialni. Wreszcie znaleźli się przy wielkim łóżu z baldachimem, a Camille, padając na nie, poczuła ciężar ciała Briana na sobie.

Kiedy w nią wszedł, wszystko inne przestało się liczyć. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż poszybowała na sam szczyt.

Pod osłoną jego ramion przeleżała długie słodkie chwile, słysząc muzykę ich serc.

Brian musnął palcami włosy Camille, a ustami jej czoło. A potem wrócił do tematu:

- Nie pójdziesz już do muzeum.

- Muszę.

- Nie pójdziesz.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić.

- Jestem hrabią Carlyle.

- Nie żyjemy w feudalnej Anglii. Nie jestem twoją poddaną. Sama dokonuję...

- W tym wypadku nie masz wyboru!

- Niech cię diabli wezmą!

- Ciebie niech diabli wezmą!

I znowu była w jego ramionach, pieszczona i całowana.

Dużo później Brian szepnął:

- Żałuję, że nie możemy tego robić przez cały dzień.

- Nie skończyliśmy dyskusji.

- Inaczej być nie może - uciął, wstając. - Jest dużo do zrobienia. Mnóstwo - dodał. Zostawił ją na łóżku i zaczął zbierać rozrzucone ubrania. Chociaż go nie widziała, była pewna, że pierwsze, co zrobił, to włożył maskę. - Spotkamy się przy wyjściu za godzinę - zapowiedział.

- Sam przed chwilą mówiłeś, że jest mnóstwo do zrobienia.

- To prawda. Jest niedziela, a skoro poczułaś tak wielką potrzebę wypowiedzenia się, że wysiadłaś przed katolickim kościołem, mam wrażenie, że warto by również pojawić się w naszym parafialnym kościele.

- Ale...

Za późno. Usłyszała, jak zewnętrzne drzwi do apartamentu otwierają się i zamykają, a potem w holu rozległ się głos Evelyn. Camille poderwała się i szybko pzbierała ubranie. Poprawienie fryzury wymagało pewnego wysiłku. Wreszcie, doprowadziwszy się do ładu, wyszła do holu. A tam już nie było nikogo.

Pospieszyła do pokoju Alexa i zajrzała do środka. Tristan i Ralph grali w szachy przy kominku, szepcząc coś jeden do drugiego i zerkając od czasu do czasu na śpiącego Alexa.

Właśnie miała oznajmić swoje przybycie, kiedy Tristan powiedział:

- To nie jest szaleństwo. Nie dopatruję się go w fakcie zabicia człowieka na ulicy ani w tym, że na miejscu znalazł się hrabia Carlyle, kiedy nas śledził przebrany za Arboca.

Zdumiona Camille zastygła w progu.

- Ale i tak najwyższy czas, żeby się stąd wynieść, razem z dziewczyną, Tristanie. Ja ci to mówię.

- Przecież się z nią zaręczył!

Ralph spojrział smętnie na Tristana.

- Tak? To dlaczego ryzykuje swoje życie, a teraz i jej życie?

- Pilnuje jej w muzeum, udając tego starego człowieka - przypomniał Tristan.

Arboc! Brian udaje Arboca, lecz jej o tym nie powiedział. A więc był w muzeum wczoraj rano, kiedy sir John został zraniony w głowę.

Brian Stirling to Jim Arboc. Jak powiedział Alex, ludzie umierają, kiedy Brian znajduje się w pobliżu.

Zamknęła drzwi i pobiegła do swojego pokoju. Oparła głowę o gzyms kominka. Alex, kiedy ukąsiła go kobra, powiedział: "*On pragnie zemsty. Chce zabić nas wszystkich*".

Choć serce mówiło jej co innego, musiała przyznać, że hrabia Carlyle to mistrz kamuflażu, czy nosi maskę, czy nie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na szczęście wyprawa do kościoła nie trwała długo. Po powrocie do zamku Camille rozpaczliwie próbowała uporządkować myśli i uczucia. Po pierwsze, Brian Stirling to Jim Arboc. Przeczytała to nazwisko wspak, co wprawiło ją w jeszcze większy niepokój. Arboc czytany od tyłu to cobra. Nazwisko było anagramem. Po drugie, Tristan był poinformowany o tym, co się dzieje, i nic jej nie powiedział. Z tego wynika, że dzisiaj wieczorem albo jutro skoro świt musi zrobić mu niezłą awanturę. Po trzecie, w inskrypcji znalazła wzmiankę o złotej, wysadzonej klejnotami kobrze. Skrzynie pochodzące z ekspedycji znajdują się w dwóch miejscach - w muzeum i w zamku. Wreszcie po czwarte, kiedy zginęli Stirlingowie, oni wszyscy tam byli.

Ale jaka jest w tym jej rola? Wiedziała, że się nią posłużono. Brian otwarcie to oznajmił na samym początku.

Dlaczego mu zaufała? Wydarł z niej wszystkie informacje, ale o sobie nic nie powiedział. Nosi maskę, której nie potrzebuje. Nietrudno odkryć, że przepełniają go gorycz i żal.

Krążąc niespokojnie po pokoju i rozważając na wszystkie możliwe sposoby zebrane dane, Camille się zatrzymała. Nagle zrozumiała, że wie, gdzie znajduje się złota kobra.

Nie mogła się doczekać, żeby móc sprawdzić słuszność swojej teorii. Jednak o wymknięciu się dzisiejszego wieczoru z zamku nie było mowy. Trudno, musi poczekać.

Jeżeli rzeczywiście Stirlingowie zostali zamordowani, to na pewno z powodu złotej kobry. Czy w tym wypadku istniał lepszy, bardziej sadystyczny sposób zabójstwa, jak przez użycie węża?

Przy wejściu podawano szampana. Evelyn, pełniąc rolę pani domu, wręczyła Camille długi, wąski kieliszek. Brian, znów elegancki w wieczorowym stroju, przywołał ją od razu, chcąc jej przedstawić pewnego cudzoziemca.

Położył rękę na ramieniu Camille. Tym naturalnym, opiekuńczym gestem dawał do zrozumienia, że jest kobietą, z którą zamierza spędzić resztę życia. To powinno być cudowne uczucie. Tymczasem Camille miała mieszane doznania. Zakochała się w Brianie, a zarazem się go bała, i to z bardzo wielu powodów.

- Kochanie, pozwól, że ci przedstawię pana Lacroisse'a. Jest dyplomatą z Francji, człowiekiem równie oddanym poszukiwaniom starożytności Egiptu jak każdy w naszym przeświątym muzeum. Monsieur, to panna Camille Montgomery, moja narzeczona.

Francuz był postawny, wysoki i elegancki, o subtelnych, ascetycznych rysach; nosił wąsiki i starannie przystrzyżoną kocią bródkę. Schylił się szarmancko do ręki Camille.

- Jestem oczarowany, mademoiselle.

Dołączył do nich lord Wimbley.

- Henri! Moje gratulacje! Podobno udało ci się wejść w posiadanie jednego z cenniejszych dzieł sztuki w ostatnich czasach, dużego popiersia Nefretete. Nie miałeś kłopotów z działem starożytności w Kairze?

- Nieraz zdarzało mi się współpracować z tym działem - wyjaśnił Francuz. - Popiersie zostało nabyte legalnie. Wiadomo, że gdy naukowcy egipscy pertraktują z Anglikami i Francuzami w sprawie zakupu, otrzymują odpowiednią zapłatę. Gorzej, kiedy ich biedota próbuje sprzedawać coś na własną rękę. Jak pan wie, istnieje wielu rabusiów plądrujących groby, całe rodziny utrzymują się od wieków z okradania grobowców i sprzedawania wszystkiego, co znajdą, obcokrajowcom. Ale, ale, hrabio... to panu i grupie pańskich kuratorów, radzie nadzorczej i pracownikom należą się gratulacje. Nie było dotąd odkrycia, które mogłoby rywalizować z tym, czego dokonywali przez długie lata lord i lady Stirlingowie.

- To prawda - przyznał lord Wimbley. - A oto nasz podróżnik i poszukiwacz, sir Hunter Mac-Donald. Hunterze, czy poznałeś już Henriego?

Hunter dołączył do grupy.

- Jak dotąd nie miałem przyjemności - odparł, ściskając dłoń Francuzowi.

Do przodu wysunął się Aubrey.

- A my chyba spotkaliśmy się w kairskim muzeum. Jestem Aubrey Sizemore.

- Tak, tak... oczywiście. Pamiętam pana. - Mina Lacroisse'a mówiła całkiem coś innego, ale nie wypadało zaprzeczać.

- Dlaczego nie widać sir Johna? - zapytała Evelyn. - Lordzie Wimbley, był pan u niego z zaproszeniem?

- Ależ oczywiście, Evelyn. Niestety, nie zastałem sir Johna, chyba że nie chciał otworzyć. Wsunąłem mu karteczkę pod drzwi.

- Może jednak nie otrzymał zaproszenia - zauważyła Evelyn. - To do niego niepodobne. Kiedy nie przebywa w muzeum, pracuje w domu.

- Zaczekajmy jeszcze parę minut z kolacją - powiedział Brian.

- To znakomity fachowiec. Po prostu znakomity - odezwał się hrabia Wimbley.

- A jaki świetny mówca - dodał Hunter.

- Proszę mi wybaczyć, że oddalę się na chwilę - powiedziała półgłosem Camille. Nie widziała wśród gości Tristana i Ralpa ani Alexa Mittlemana. A zresztą sztuczny entuzjazm zebranych i ich zainteresowanie nieobecnością sir Johna odbierała jako cczą gadaninę. - Zobaczę tylko, gdzie jest Tristan.

- Camille - szepnął Brian, marszcząc brwi.

Zignorowała go i pospieszyła na górę.

Alexa nie było w pokoju. Nie zastała też Tristana ani Ralpa. Kiedy wróciła na dół, goście zgromadzili się już w sali balowej. Nie mając wyboru, musiała do nich dołączyć.

Sala balowa przeszła metamorfozę. Długi stół, zastawiony dużo bardziej elegancko niż stoły podczas kwesty sprzed kilku wieczorów, olśniewał pięknym obrusem i serwetkami, delikatną porcelaną i srebrnymi wizytownikami. Do stołu podawali specjalnie wynajęci na wieczór służący, więc wszyscy domownicy, włącznie z Shelbym, Corwinem i Ralphem, mieli swoje nakrycia.

Brian zajął miejsce na jednym końcu długiego stołu, Camille na drugim. Przybyło wielu nieznanym jej członków rady nadzorczej muzeum, większość z żonami i z córkami. Dwa nakrycia zabrano, w tym jedno przeznaczone dla sir Johna.

Przyglądając się towarzystwu, stwierdziła, że nie ma również Shelby'ego.

Gwar rozmów wypełnił salę. Tematem był oczywiście starożytny Egipt. Polemizowano na temat królowej Hatszepsut - czy do jej przedwczesnej śmierci przyczynił się, czy też nie jej przyrodni brat, Tutmos III, który uważał, że uzurpuje sobie ona prawo do tronu, podczas gdy on osiągnął już odpowiedni wiek, by zostać faraonem. A jak potem rządził? Był wielkim wojownikiem, który przyczynił się do wzrostu potęgi Egiptu.

Rozmowa była ożywiona; odkrycie Stirlingów obejmowało okres panowania Tutmosa III, a potężny arcykapłan był blisko związany z faraonem, towarzyszył mu na polu walki, a także, jak podaje starożytna legenda, przekazał mu nadzwyczajne zainteresowanie czarami.

- Dotąd jeszcze nikt nie zidentyfikował mumii Hatszepsut - zadumał się Henri Lacroisse. - To by dopiero było odkrycie!

- Wiele mumii odkrytych w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku w pobliżu Deir el-Bahari na obrzeżach Teb udało się już zidentyfikować - dodał lord Wimby na użytek Camille, ponieważ większość, a przynajmniej ci, którzy wiedzieli, o czym mowa, była w Egipcie. - Tylu faraonów z czasów Nowego Państwa, ukrytych dwa tysiące lat temu przez kapłanów. Trzeba przyznać, że każda mumia to fascynujący obiekt. A każdy nietknięty wielki grobowiec... To naprawdę fantastyczne! Moja droga, nie możesz sobie nawet wyobrazić tego skwaru, napięcia, okropnych warunków, a potem tego wielkiego szczęścia w momencie odkrycia. Może gdy już będziesz mężatką, twój mąż wyśle nową ekspedycję dla uczczenia pamięci rodziców.

Camille przyglądała się lordowi Wimby'emu, którego, jak się wydaje, zupełnie nie zdziwiło zdumiewające oświadczenie Briana, wygłoszone zeszłego wieczoru.

- To będzie zależało wyłącznie od Camille, hrabio - dobitnie powiedział Brian.

Na samą wzmiankę o możliwości zorganizowania nowej ekspedycji podniósł się entuzjastyczny gwar. Hunter sprawiał wrażenie zdeprymowanego, Alex był szary na twarzy. Aubrey wydawał się zajęty jedzeniem.

Camille straciła nadzieję, że kolacja kiedykolwiek dobiegnie końca. Brian okazał się wyjątkowo uprzejmym gospodarzem; wciągnął francuskiego gościa w ożywioną rozmowę na temat różnych odkryć i nabytków, wzajemnych francusko-brytyjskich stosunków i współpracy z Egipcjanami. Na koniec zasugerował, by panowie przeszli na cygaro i brandy, a panie miło spędziły czas przy kawie i herbacie w saloniku na górze.

Camille miała chaos w głowie. Mimo to wstała i wraz z Evelyn starała się jak najuprzejmiej pełnić honory pani domu. Nadal uważała, że to wszystko jest farsą, wymyśloną i odgrywaną przez człowieka w masce.

Wreszcie goście zaczęli wychodzić. Camille stała z innymi przy wyjściu, podczas gdy Evelyn Prior przejęła obowiązki, wyszukując nakrycia i palta oraz żegnając gości. Camille postanowiła skorzystać z zamieszania.

Minęła salę balową i wślizgnęła się do położonej w pobliżu kaplicy. Drzwi prowadzące do podziemi były zamknięte. Otworzyła je i zaczęła schodzić na dół. Po chwili się zatrzymała. Na dole byli ludzie. Szeptali gorączkowo.

- Ona za dużo wie. Coś trzeba z tym zrobić.
- O Boże, chyba nie zamierzasz...
- Właśnie, że tak!
- Nie żartuj. Mało już było nieboszczyków?
- Ale dzięki tej klątwie łatwo o przypadkową śmierć.

Jak oni się tam dostali? Kręconymi schodami, jak ona, czy może innym wejściem?

Serce łomotało jej w piersi. Może wystarczy, że zaczeka na nich przy wejściu do kaplicy, tam, gdzie jeszcze kręcą się dostawcy i gdzie na jej krzyk na pewno ktoś się zjawi, a przestępcy zostaną zdemaskowani.

Naraz na dziedzińcu rozległ się przeraźliwy krzyk. Kolejne okrzyki przenikały przez stare mury zamku, wdzierały się w nocną ciszę. Narastały, zamieniając się w jeden wielki wrzask. Szepczący na dole ludzie zamilkli. Lada chwila mogą wejść po schodach i przyłapać ją na podsłuchiwanie.

Camille zawróciła i jak szalona pobiegła na górę. Odgłos jej kroków i bicie serca zagłuszały tupot nóg człowieka podążającego za nią. Dopadła kaplicy i pobiegła do drzwi, za którymi znajdowała się sala balowa.

I wtedy została zaatakowana. Coś przeleciało nad jej głową i oślepiło.

Krzyknęła najgłośniej, jak mogła, ale ktoś brutalnie popchnął ją na ziemię. Szarpiąc się i uwalniając z grubej, duszącej tkaniny, próbowała wstać. Uderzyła o coś. Ołtarz?

Jak przez mgłę dotarł do niej odgłos kroków. Przeżona, nie przestawała walczyć; wiła się, żeby uniknąć ciosu, który w każdej chwili mógł na nią spaść. Wtedy otoczyły ją czyjeś ramiona i podniosły. Wyrwała się zawzięcie, gdy ją dokądś niesiono. Potem zaczęła spadać.

- Sir John nie żyje!

Tristan spędził wieczór, siedząc obok uroczej żony sir Johna, zaproszonej wraz z synem, członkiem zarządu muzeum. Kiedy oznajmiono straszną nowinę, Tristan właśnie odprowadzał tę damę do powozu.

Shelby - wysłany, by się dowiedzieć, gdzie przebywa sir John - przybył z tą przerażającą wieścią akurat w momencie, kiedy wszyscy stali przy drzwiach w oczekiwaniu na powozy. Będąc mężczyzną potężnej postury, zdołał zawrócić tłum, rozglądając się jednocześnie za Brianem Stirlingiem, ale nigdzie go nie dostrzegł. W końcu przekazał wiadomość, ponieważ dłużej nie mógł jej ukrywać.

- Nie żyje! - zawołała zrozpaczona wdowa.

- Jak to się stało? - zapytał ktoś inny.

- Policja jeszcze tego nie ustaliła - wyjaśnił Shelby. Przez następne kilka minut nie był w stanie powiedzieć słowa; zaskoczeni i przestraszeni goście przekrzykiwali się wzajemnie, zadając pytania.

- Mój Boże! Czy to na pewno prawda?

- Czy zmarł naturalną śmiercią?

- A czy policja nic konkretnego nie powiedziała?

- Na pewno został zamordowany.

- Może to kolejne ukąszenie węża.

- Ciężyła na nim klątwa.

- Dobry Boże! - zawołała wdowa. - Może wszyscy, którzy uczestniczyli w tej potwornej ekspedycji, są przekłęci!. A jeśli to spadnie na tych, którzy w jakikolwiek sposób są związani z muzeum?

- Nic się takiego nie działo, dopóki Stirling znów się w to nie wmieszał! - krzyknął ktoś.

Tristan rozejrzał się. Briana Stirlinga nie było, nie mógł więc się bronić, ale nagle się pojawił i wszedł między ludzi, górujący nad nimi i nieprzystępny w swojej zwierzęcej masce i w eleganckim wieczorowym ubraniu.

- Nie istnieją klątwy - oświadczył głośno i ze złością. - Istnieją tylko złe ludzkie zamiary. - Jego wzrok ciskał gromy na zebrany wokół tłum. - Moi rodzice nie padli ofiarą klątwy. Zostali zamordowani.

- On nadal w to wierzy - powiedział ktoś stojący obok Tristana. - Czy hrabia zakończył czas żałoby i opuścił swoje odosobnienie, żeby pozabijać po kolei członków ekspedycji?

Po tej wypowiedzi ludzie zaczęli się bezładnie tłoczyć i Tristan nie mógł dostrzec, kto rzucił tę tak niebezpieczną, grożącą wybuchem sugestię.

- Ludzie, nie ma niczego takiego jak klątwa - powtórzył Brian Stirling. Powiódł wzrokiem po tłumie. - Ale są mordercy i policja dotrze do prawdy i ustali, co naprawdę kryje się za śmiercią sir Johna. A kiedy to się stanie, morderca stanie przed sądem i zawiśnie na stryczku.

Camille leżała u podnóża kręconych schodów. Ku swojemu zdumieniu, uświadomiła sobie, że wokół panuje cisza. Wyczołgała się spod ciężkiej tkaniny. Na biurku paliła się nieduża lampa, a większość pomieszczenia pogrążona była w cieniu.

Była tu sama, schwytana w pułapkę. Nie wiedziała, czy ktoś przyjdzie ją uwolnić. Już by nie żyła, gdyby nie podekscytowane głosy, które wypełniły zamek. Może ktoś w tej chwili zaciera ręce, licząc na to, że skreśli kark, spadając po tych zdradzieckich schodach.

Z tą myślą poderwała się na nogi. Pomysł przeszukiwania skrzyń i odnalezienia mumii Hethre wydał się jej po prostu obłąkany. Tutaj, na dole, w ciemności, w samym sercu zamku, gdzie była uwięziona, czyhało na nią straszliwe niebezpieczeństwo.

Odrzuciła starą lnianą zasłonę jak najdalej od siebie i zmusiła się, by wejść na schody. Szła ostrożnie, żeby nie stracić równowagi i znów nie polecieć na dół.

Ktoś próbował ją zabić. Ktoś, kto wie o istnieniu podziemi, pracowni i skrzyń. Co bowiem innego mogłoby tu kogoś sprowadzić?

Musi się stąd jak najszybciej wydostać i spowodować, żeby prawda wyszła na jaw. Gdy jednak dotarła na szczyt schodów, stwierdziła, że drzwi zostały zamknięte od zewnątrz.

Znowu wpadła w panikę. Czy warto walić w drzwi? Czy przy tym zamieszaniu przy drzwiach frontowych ktokolwiek ją usłyszy?

Wróciła do pracowni, do jej części ze skrzyniami; rozglądała się, rozpaczliwie szukając możliwości ucieczki i narzędzia, które by posłużyło za broń. Podbiegła do biurka, na którym świeciła pojedyncza lampa, i szybko przeszukała szuflady. Nic! Może najwyżej chwycić pióro i w razie potrzeby zaatakować nim podstępnego zabójcę.

Rozglądała się dalej, modląc się o to, by zdołała zachować spokój. Zauważyła, że żelazne wrota do krypty są uchylone, weszła więc do środka. W krypcie panowała ciemność. Wróciła po lampę z biurka i ponownie weszła do sklepionego pomieszczenia, nasłuchując, czy nikt nie zbliża się do drzwi kaplicy. Posuwała się wzdłuż nagrobków. Było tu zimno, bardzo zimno. Nie spoczywały tu mumie należące do innej cywilizacji, do świata, który istniał tak dawno temu, że był wręcz nierealny.

Tutejsi zmarli to przodkowie Briana Stirlinga - dawni rycerze, hrabiowie i damy.

- "Lady Eleonora, żona Jamesa, piątego hrabiego Carlyle" - odczytała szeptem, podnosząc lampę.

Omial jej nie puściła, gdy w pobliżu rozległ się pisk. Odwróciła się błyskawicznie; przeszedł ją dreszcz. Z przerażeniem wpatrywała się w uderzającego skrzydłami o kamień, szukającego punktu zaczepienia nietoperza.

Nietoperz! Skoro tu się znalazł, musi być jakieś inne wejście.

Podniosła lampę, żeby przyjrzeć się nagrobkom pod ścianą. Potem postawiła lampę na ziemi i zaczęła naciskać kamienne płyty. Mijały sekundy, minuty... Czy poniosła porażkę? Czy tamci dwaj ludzie, szepczący między sobą, czekają tylko na odpowiednią chwilę, by wrócić i dokończyć to, co zaczęli?

Działała w gorączkowym podnieceniu, pchając, naciskając, przesuwając, pukając. Ujrzała wreszcie wąziutką szczelinę. Jedna płyta nie leżała w równej linii z innymi kamieniami. Był na niej napis - samo imię, bez daty urodzin. Nic więcej, tylko "Sarah".

Popchnęła płytę. Rozległ się dźwięk, który już poprzednio słyszała. Odgłos zgrzytającego o kamień kamienia.

Camille popchnęła mocniej. Kamień przesunął się do przodu. Przed nią zionęła czarna czeluść. Sięgnęła po lampę, umieściła ją w dziurze i podciągnęła się na rękach. A potem zaczęła się ciężka przeprawa. Czołgała się, pchając przed sobą lampę i próbowała zobaczyć, co znajduje się przed nią. Brakowało jej powietrza. Musiała przywierać do ścian, by nie stracić poczucia odległości.

Zatrzymywała się i oddychała głęboko. Mało brakowało, a wpadałaby w panikę z powodu niekończącej się ciemności. Z każdą chwilą słabła. Uświadomiła sobie, że znalazłaby się w potrzasku, gdyby ktoś wszedł z tamtej strony. Nie miała pojęcia, dokąd prowadzi to przejście.

W pewnym momencie zauważyła, że czołga się pod górę. Zatrzymała się, walcząc z zawrotem głowy spowodowanym ciasnotą i brakiem powietrza. Posunęła dalej lampę i, aby odzyskać równowagę, oparła się ręką o mur z lewej strony. Rozkruszył się i rozpadł. Na końcu nowo odkrytego tunelu dostrzegła światło.

Zdmuchnęła lampę i zaczęła się czołgać w tamtym kierunku. Coś przysłaniało światło, ale nadal tam było. Parła naprzód do światła i do powietrza, a także do wolności.

Było coraz jaśniej. Dotarła do końca, ale coś blokowało wyjście. Napała z całej siły. Poruszyło się tyle co nic. Spróbowała się przekręcić w tunelu i ułożyć w takiej pozycji, żeby móc z całej siły pchać nogami. Usłyszała

skrzypiący dźwięk, jakby drapanie. Napierała coraz mocniej. Blokada przesuwała się centymetr po centymetrze. Wreszcie zrobiło się dość miejsca, żeby mogła się prześlizgnąć. Przedostała się przez niedużą szparę, którą z takim trudem wywalczyła.

Rozejrzała się dookoła i z przerażeniem uświadomiła sobie, gdzie się znajduje.

Briana nie zdziwił fakt, że informacja przekazana przez Shełby'ego wywołała takie poruszenie. Kiedy już trochę oswojono się z wiadomością, a on oświadczył, że policja wykryje prawdę na temat dawnych i nowych zbrodni, ludzie przycichli. Teraz spieszyło im się do wyjścia.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że nie widzi Camille.

- Gdzie jest Camille? - zapytał stojącego przy wejściu Tristana, przyglądającego się beznamiętnym wzrokiem odjeżdżającym powozom.

- Co? Nie wiem. Muszę ją znaleźć. Śmierć sir Johna będzie dla niej ciosem. To straszne zniżył głos. Najpierw tamten człowiek na placyku. Teraz sir John. Muszę odszukać Camille.

- Zajrzyj do jej pokoju, a ja przeszukam parter - zdecydował Brian.

Tristan ruszył ku schodom. Brian szybko wrócił do sali balowej, ale kiedy nie zastał tam Camille, zaczął się zastanawiać. Postanowił udać się do kaplicy. Po drodze chwycił jeden z eleganckich lichtarzy ze stołu. Dotarł do pracowni, lecz tam nikogo nie było. Skrzynie były lekko poruszone, a na podłodze leżała postrzępiona i zakurzona zasłona.

Wyprostował się i popatrzył w kierunku wielkich żelaznych wrót. Były otwarte akurat na tyle, żeby się przez nie prześlizgnąć. Wszedł do krypty. To, czego szukał przynajmniej od roku, było teraz świetnie widoczne. Jedna z dużych kamiennych płyt, przykrywających sarkofagi, była odsunięta. Podeszedł bliżej. Za płytą nie było grobu, tylko tunel. Wczołgał się do niego. Przejsście

było ciasne i nierówne, trudno było pchać przed sobą świecznik. Nie miał czym oddychać. Świeca niezasilana przez tlen wkrótce zgasła. Kompletnie ciemności zdawały się nie mieć końca. Nagle zobaczył blade, odległe światło.

Czołgał się w tamtą stronę, a im był bliżej, tym bardziej się bał. Koniec tunelu był zatarasowany. Została tylko niewielka szpara, za mała, żeby się przez nią wydostać. Z wysiłkiem odepchnął przedmiot, który blokował przejście. Już od paru chwil dokładnie wiedział, co to jest, i przeklinał sam siebie.

Jak mógł o tym nie wiedzieć?

Camille odetchnęła głęboko. Rozejrzała się dookoła i zaczęła biec w stronę schodów, kiedy usłyszała głosy. Dochodziły z sali balowej. Powoli przesunęła się w tamtą stronę, ale nie weszła. Nie wiedziała już, komu może ufać. Tristanowi? Ale Tristana tam nie było. Podobnie jak Ralpha. Mimo wszystko zerknęła do środka: dostrzegła Huntera i Evelyn Prior. Byli sami i rozmawiali szeptem.

- A teraz ta wiadomość o śmierci sir Johna. I do tego policja nie informuje, w jaki sposób umarł - mówił Hunter.

Sir John nie żyje!

To było przerażające! Omal nie krzyknęła, w ostatniej chwili zasłoniła usta ręką. Sir John nie żyje...

Hunter był z nim w muzeum, kiedy podobno wieko skrzyni uderzyło go w głowę. Był tam też stary Arboc.

- Wiesz, co to wszystko znaczy według mnie? - zapytała Evelyn. Stali blisko siebie z pochylonymi głowami. Powiedziała coś jeszcze, czego Kamille nie dosłyszała. A potem nagle Evelyn podniosła wzrok, jakby wyczuwając, że są obserwowani.

Camille wycofała się spod drzwi. Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Nikomu nie ufała. Miała tylko jedno wyjście.

Wybiegła na dziedziniec frontowymi drzwiami. Zobaczyła w oddali powóz, mijający zwodzony most i zmierający w kierunku zalesionej części posiadłości. Unosząc spódnicę, pobiegła za nim. Oddychała z trudem, była cierpiąca i obolała, ale biegła tak szybko, jak mogła. Jednak powóz był znacznie szybszy. Zwolniła, rozpaczliwie chwytając powietrze.

Wtedy usłyszała za sobą trzask łamanej gałązki. Przerazona, skoczyła do tyłu. Nie zobaczyła nikogo. Jednak na tyłach dziedzińca, prowadzącego do zamku, ktoś był. Ktoś, kto ją widział. Ktoś, kto ją tropił.

Ogarnięta paniką, nie wiedząc, co robić, pobiegła do lasu.

Brian prosto z tunelu wszedł do swojego pokoju. Masywna szafa, stojąca w tym samym miejscu od kilkuset lat, była tym ciężkim przedmiotem, tarasującym nieduży, kwadratowy wlot tunelu.

Był przerażony. Tylko jedna osoba mogła się tędy prześlizgnąć. Camille! Co, na Boga, sobie pomyśli? Czy już wie o sir Johnie? Gdzie się, do diabła, podziała?

Wypadł z komnaty i zbiegł ze schodów. Przy wejściu nie było żywej duszy. Na dziedzińcu zostało już tylko kilka powozów, a ich woźnice najprawdopodobniej spali. Nagle, patrząc w stronę zwodzonego mostu, dostrzegł biegnącą w ciemności postać.

Zamarł. Camille! Uciekała, zdjeta trwogą. To jego tak się bała!

Biegła do lasu, tam, gdzie było niebezpiecznie, gotowa rzucić się w ramiona każdego, kogo zna i komu ufa.

Kiedy Brian rzucił się za nią, inna postać wyłoniła się z lasu. Ktoś, kto ścigał Camille...

Biegając, Camille uświadomiła sobie, że Tristan i Ralph są w zamku i że grozi im niebezpieczeństwo. Zabrakło jej jednak odwagi, żeby zawrócić. Musi

się wymknąć prześladowcy. Nie może wrócić do zamku, do tych, których kocha, bo sama zginie.

Dławił ją strach. W głowie miała gonitwę myśli. Brian to przecież Arboc, a w dniu, gdy zaatakowano sir Johna, Arboc znajdował się w muzeum. Nie wrócił do domu... Mógł się zorientować, że sir John żyje, i udać się do jego mieszkania. Ale w jakim celu?

Dlatego, że oni wszyscy muszą zapłacić najwyższą cenę. Ale przecież Brian nie jest mordercą. Za bardzo mu zależy na rozwiązaniu zagadki. Tak bardzo chciałaby mu wierzyć. Jednak on kłamał i wciąż nosił maskę. Tunel z krypty prowadzi prosto do jego sypialni.

Usłyszała wołanie. Serce jej zamarło. To Brian chciał ją znaleźć. Powinna się zatrzymać. Przecież nie zabije jej we własnym lesie.

Ale nie może z nim rozmawiać. Wystarczy, żeby jej dotknął, a ona zapomni o rozsądku.

I znów usłyszała swoje imię. Poznała głos Huntera. Przystanęła na chwilę, przytrzymując się drzewa. Hunter! Przecież to Hunter szeptał z Evelyn w sali balowej. W podziemiach także ktoś szeptał.

Zawył wilk. Przerazona Camille pobiegła dalej.

Brian znał leśne ścieżki.

Dopał do miejsca, gdzie mignęła mu głowa Camille. Dzięki poświęceniu księżycy było mu dość łatwo podążać jej śladem. Nagle gwałtownie zahamował, gdy wiązadło maski zaczepiło o zwisającą gałąź. Klnąc, zerwał maskę z twarzy i pognął dalej.

Słyszał wycie wilków, wiedział, że są blisko. Sam je zachęcił do zamieszkania w tych lasach; były częścią jego życia - zgorzkniałego,

upodobnionego do potwora samotnika. Wilki bały się ludzi. Nie skrzywdzą Camille; nie podejda bliżej. Słyszac ludzkie kroki, rozbiegną się po lesie.

- Camille!

W końcu ją dogonił. Gwałtownie się odwróciła i popatrzyła mu prosto w twarz takim wzrokiem, że serce omal mu nie pękło z żalu. Przystanął, ponieważ nie śmiał się do niej zbliżyć.

- Camille, proszę cię na wszystkie świętości, chodź ze mną. Błagam. - Wyciągnął ręce i zrobił krok w jej stronę.

Niedaleko rozległ się trzask łamanych gałęzi. Na polanę wyszedł Hunter.

- Camille, dzięki Bogu! - Ruszył w jej stronę, ale Brian, głosem pełnym wściekłości, rzucił mu ostrzeżenie:

- Tylko jej dotknij, a będziesz martwy.

Hunterowi zwężyły się oczy. Zniknęły pozory przyjaźni, kurtuazja i uprzejmość. Zwrócił się do Camille.

- On nas zabije.

Brian potrząsnął głową i wyprostował się jak struna.

- Kłamiesz!

Hunter rzucił mu pełne pogardy spojrzenie.

- Wiesz, że jeden z nas jest mordercą - powiedział do Camille. - Na miłość boską! Ten człowiek jest potworem i są na to dowody. Podejdz do mnie, tylko ostrożnie i szybko.

Camille, potargana, w podartej i zakurzonej pięknej sukni, patrzyła to na jednego, to na drugiego.

Brian pomyślał, że zaraz podejdz do Huntera, i serce skurczyło mu się z bólu. Nie wiedziała, komu zaufać.

- Zastanów się, moja miła - powiedział. - Pomyśl o wszystkim, co zobaczyłaś, czego się dowiedziałaś i co sama wyczułaś. Powędruj myślami wstecz, Camille, i zadaj sobie pytanie, który z nas jest potworem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Nie wierzę żadnemu z was!

Hunter podszedł do Camille i szorstkim ruchem ujął ją pod rękę.

- Spójrz tylko na niego. Przecież jego twarz jest w porządku. Nosi maskę tylko po to, żeby bezkarnie odgrywać tę kłamliwą farsę. Ten człowiek jest szalony!

Brian doskoczył i wyrwał Camille z rąk Huntera. Ten zajął pozycję do walki. Był muskularny i silny, walczył w oddziałach królewskich i umiał się bronić, ale zamachnął się za szybko i za mocno. Brian pochylił głowę i uniknął ciosu. Kiedy się wyprostował, Hunter szykował się do kolejnego uderzenia. Brian zatrzymał go prostym ciosem w szczękę w momencie, gdy sierpowy Huntera lądował na jego ramieniu. Cios był mocny i kiedy Hunter zatoczył się do tyłu, Brian zastosował blok.

- Chcesz nas wszystkich pozabijać? - krzyknął Hunter.

- Ty łajdaku! Chcę tylko poznać prawdę.

- Sir John nie żyje.

- Nie zabiłem go - odparował Brian. - Równie dobrze ty...

- Ty draniu! Ja go na pewno nie zabiłem! - Hunter chciał poprawić cios, ale Brian poradził sobie, chwytając go za szyję.

- Przestań!

Dopiero kiedy Camille wczepiła się palcami w jego włosy, usłyszał jej krzyk:

- Przestań, bo go zabijesz!

Trwało chwilę, zanim Brian się opanował i rozluźnił uścisk. Nagle w lesie pojaśniało, a po chwili pojawił się Shelby na koniu.

- Milordzie! - zawołał.

Tuż za Shelbym przybyli następni jeźdźcy: Tristan i Ralph.

- Camille! - Tristan zeskoczył na ziemię, podbiegł do dziewczyny i wziął ją w ramiona.

Shelby i Ralph pozostali na swoich wierzchowcach. Hunter i Brian dalej mierzyli się wzrokiem, a Tristan patrzył na nich jak na dwa tygrysy w zoo.

Zmarszczył brwi na widok twarzy Briana.

- Przecież pańskiej twarzy nic nie brakuje.

- Dokładnie - rzucił Hunter. - Ale z jego duszą nie wszystko jest w porządku.

- W jaki sposób zmarł sir John? - lodowatym tonem zapytała Camille.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Od ukąszenia - odparł w końcu Shelby.

- Kobry?

- Tak.

- Jak to się stało?

- Tego nikt nie wie - powiedział Brian. - Przynajmniej jak dotąd. Wąż znajdował się w jego mieszkaniu. Podobno sir John o tym wiedział. Strzelił i zabił gada, ale dopiero wtedy, gdy ten go ukąsił.

Camille podeszła do Briana i zaczęła go okładać pięściami.

- Byłeś tam! W piątek byłeś z nim razem w muzeum! Jako Arboc! Co z nas za durnie. Że też nikt na to nie wpadł.

- Byłem tam wcześniej. Tego dnia ani razu nie spotkałem sir Johna - odpowiedział spokojnie Brian.

- Co tam robiłeś?

- Rzuciłem okiem na terrarium i sprawdziłem, czy nikt przy nim nie majstrował. - Zawahał się. - Poza tym Arboc został zatrudniony do pracy fizycznej. Musiałem zamieść i sprzątnąć po poprzednim wieczorze.

- Okłamywałeś nas - syknęła Camille.

- On kłamie na każdym kroku - dodał Hunter.

Brian nie spuszczał wzroku z Camille.

- Ciebie nigdy nie okłamałem. Nie mówiłem ci o pewnych sprawach, dopóki nie nabrałem do ciebie zaufania i nie przekonałem się, że nie współpracujesz z żadnym z tych ludzi.

- Miałyby współpracować? Z nami? - powtórzył Hunter. - A niby przy czym?

- W odnalezieniu tego, za co zginęli moi rodzice. Do zamku prowadzi wejście jeszcze z okresu średniowiecza, są tu też tunele biegnące od krypty grobowej do tego ukrytego wejścia. Jestem absolutnie przekonany, że mój ojciec odkrył to wszystko przed śmiercią. Ktoś, kto się o tym dowiedział, wtargnął tą drogą do zamku. Jestem w stanie sobie wyobrazić - kontynuował Brian, zwracając się prawie wyłącznie do Huntera - co wydarzyło się w Egipcie. A kiedy o tym pomyślę, robi mi się niedobrze. Zabójca najpierw zagroził mojej matce, a potem wyciągnął z ojca wszystko, co mógł. Skrzynie z przedmiotami z wykopalisk były już na statku. Prawdopodobnie ojciec nie znał odpowiedzi na wszystkie pytania, ale musiał powiedzieć mordercy, albo mordercom, gdzie, według niego, może znajdować się sekretne wejście do tunelu, a zatem i do podziemi. Gdyby skrzynie znalazły się tutaj, na terenie posiadłości, ktoś będący w posiadaniu tak cennej informacji mógłby się wślizgnąć do środka niezauważony. Ojciec zrobiłby wszystko dla ratowania matki, mówił więc prawdę. Prawdopodobnie opowiadał przez długi czas, grając na zwłokę, byle tylko uratować matkę. Musiał jednak się domyślić, że niezależnie od tego, co powie, zabójcy nie wypuszczą ich żywych.

Ból był tak wielki, że Brian musiał przerwać. Po chwili ciągnął:

- Ich śmierć nie była lekka. Najpierw byli torturowani. Sekcja zwłok wyraźnie na to wskazuje. Czy pragnę zemsty? Dobry Boże, tak! Czy pragnę zabijać z zemsty? Nie, ty głupcze! Chcę poznać prawdę. Chcę, by odbył się proces i żeby zabójcy byli świadomi każdego dnia aż do egzekucji, że czeka ich śmierć, tak jak mój ojciec, który z pewnością wiedział, że pomoc, której tak rozpaczliwie wypatrywał, nie nadejdzie.

Zapadła cisza. Hunter pokręcił głową.

- Brianie, to co mówisz, nie może być prawdą.

- Przestudiuj notatki z autopsji, Hunterze. Mam wrażenie, że sir John coś niecoś wiedział. Nie wiem dokładnie co, ale na pewno coś ważnego. I dlatego musiał umrzeć.

Żałosne wycie wilka poniosło się aż do nieba.

- Powinniśmy wracać do zamku. - Ustami Tristana przemówił głos rozsądku. - Tutaj, w lesie, niczego nie wskóramy.

- Tak - zgodziła się Camille. Podeszła do Ralpha, który nadal siedział na koniu. - Pomożesz mi, Ralph? Jestem naprawdę zmęczona i nie mam ochoty iść piechotą.

Ralph pochylił się, chwycił ją za ramię i pomógł usiąść po damsku przed sobą. Tristan dosiadł swojego wierzchowca.

Najwyraźniej wszyscy uznali, że Brian - chociaż był panem tego zamku - i Hunter mogą wracać pieszo. A jeśli w drodze ponownie rzucą się na siebie i pobiją, cóż... to ich sprawa.

Brian ruszył w stronę zamku. Hunter zrównał z nim krok.

- Tajemne przejście, powiadasz?

- Ojciec uważał, że pod zamkiem jest tunel wykopany na polecenie jednego z przodków, który był zagorzałym zwolennikiem Karola Pierwszego. Sądzę, że wówczas tą drogą przekazywano wiadomości, przierzucano ludzi. Po okresie panowania Anny Stuart i po ostatecznym podpisaniu unii ze Szkotami przejścia podziemne przestały być potrzebne. Ta historia fascynowała ojca. Opowiadał ją czasami. Jego pasją był starożytny Egipt, ale wierzył też głęboko, że jest wiele do odkrycia tutaj, w domu. - Zamilkł na chwilę. - Gdyby tylko tu został...

Szli szybkim, równym krokiem. Minęli most zwodzony i zbliżali się do zamku od strony dziedzińca.

Hunter wskazał na powóz stojący z brzegu.

- Pożegnajmy się. Myślałem, że zamierzasz skrzywdzić Camille - powiedział. To nie były w dosłownym sensie przeprosiny. - Chyba byłem głupi. Od chwili kiedy ją poznałem... No cóż, jest nie tylko piękna, ale także

niewiarygodnie inteligentna i wie, czego chce. Może trochę flirtowała i drażniła się ze mną, ale nigdy nawet nie myślała o romansie. Zresztą sam uważałem, że jako niezamożny mężczyzna powinienem poszukać mającej żony. Gdy podczas kwesty powiedziałeś oficjalnie, że się z nią ożenisz, uświadomiłem sobie, iż jestem skończonym osłem. Camille wiedziała, że jestem nią oczarowany, ale ja miałem się za kogoś lepszego... No i proszę, przegrałem i jestem nieszczęśliwy. Do końca pozostanę jej najbardziej oddanym obrońcą. Hrabio, jeżeli nie masz poważnych zamiarów, jeśli ją skrzywdzisz w jakikolwiek sposób, przysięgam, że będziesz miał we mnie wroga.

Brian był zaskoczony nagłą i płomienną deklaracją Huntera.

- Bo widzisz, teraz zmądrzałem - dodał Hunter. - Ożeniłbym się z nią i kochał do końca mojego życia.

Czy to wszystko to tylko pozory? - zastanawiał się Brian. Zachowanie Huntera często bywało nieszczerze. Czy jego deklaracja była szczerą, czy też odegrał tę scenę, żeby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia?

- Mogę cię zapewnić, Hunterze, że nigdy nie pozwolę skrzywdzić Camille. A gdybym się dowiedział, że ktoś chce to zrobić, zabiłbym go na miejscu, ryzykując stryczek.

Popatrzyli sobie w oczy.

- Proszę, do czego doszliśmy. Okazuje się, że zaczyna się prawdziwa gra, w której każdy podejrzewa każdego o najgorsze. Co my najlepszego robimy? Przecież muszą być jakieś odpowiedzi, jakieś rozwiązania! Sir John nie żyje - przypomniał Hunter. - Muzeum to wspaniała instytucja, a my ją zniszczymy, podobnie jak nas samych, jeżeli nie położymy kresu temu szaleństwu!

- Szaleństwo? I tak, i nie. Ktoś sprzedaje skarby za granicę. Szaleństwo? Nie, jeśli na tym można zbić fortunę.

- Lacroisse! Podejrzewasz, że Lacroisse kupuje od... od kogo?

- Gdybym wiedział, znalazłbyśmy winowajcę. Sądzę, że policja zacznie nas wszystkich przesłuchiwać.

- I jeżeli będziemy mieć szczęście, znajdzie odpowiedź.

- Nie. To zabójcy będą mieć szczęście, gdy policja znajdzie odpowiedź. Bo jeśli ja pierwszy odkryję prawdę... No cóż, obawiam się, że przypomnę

sobie dokładnie, w jaki sposób zginęli moi rodzice. A zatem dobranoc, Hunterze - powiedział Brian, wchodząc z ciężkim sercem do zamku.

Tristan wydawał się zmartwiony, kiedy po drodze do zamku zasugerował, że należałoby już go opuścić.

- Nie możemy tego zrobić - oznajmiła Camille.

- Dlaczego?

- Klucz do wszystkich tajemnic i do zbrodni znajduje się tutaj.

- Ale w zamku nie jesteśmy bezpieczni. Ludzie tutaj umierają - powiedział Ralph.

Na dziedzińcu, przed frontowym wejściem, Camille zsunęła się z konia.

- Jeśli tak się przejmujesz, wracaj do domu, Ralph.

- Co takiego? - zdziwił się.

- Ralph próbuje cokolwiek z tego zrozumieć - wtrącił się Tristan. - Najpierw Alex został ukąszony, a teraz sir John nie żyje. Nie martwię się o Ralpa ani o siebie, bo prawdę mówiąc, nieźle nam się tu żyje. Ale ty, Camille... Wiem, że jesteś zaręczona z hrabią, ale twoje życie jest dużo więcej warte niż jakikolwiek tytuł.

- Tristanie, to nie ma nic wspólnego z tytułem. Dzisiaj wieczorem wiele spraw się wyjaśniło. Zbliżyliśmy się do poznania prawdy. Nie wyjedziemy stąd - oświadczyła stanowczo. - Przynajmniej ja tu zostanę, a wy róbcie, co chcecie.

- Nie możemy ciebie zostawić! - oburzył się Tristan.

- Nie chciałabym, żeby któregoś z was spotkało coś złego - tłumaczyła.

- Camille!

- Wybacz, ale muszę wziąć kąpiel - powiedziała i weszła do domu, wpadając na Evelyn, która nerwowo krążyła przy wejściu.

- Camille! - zawołała, przerażona jej wyglądem. - Co się stało? Gdzie jest hrabia? Gdzie Hunter? Mówił, że widział, jak biegłaś w stronę lasu.

- To prawda. Tristan i Ralph powinni być tu lada chwila. Idę do siebie. Dobranoc.

- Camille! - zawołała zawiedziona Evelyn.

- Dobranoc! - Camille zniknęła za rogiem.

Znalazłszy się na górze, zamknęła za sobą drzwi i zdjęła brudne ubranie. Puściła wodę, ciesząc się z góry, że dzięki specjalnemu urządzeniu podgrzewającemu wielką metalową wannę weźmie teraz gorącą kąpiel. To prawdziwy luksus!

Nie mogąc się doczekać odpowiedniej temperatury, zanurzyła się w wodzie.

Nie usłyszała, kiedy wszedł, dopóki go nie ujrzała w drzwiach łazienki.

- Bałem się, że odjechałaś, że uciekłaś jak najdalej stąd - powiedział cicho Brian. - Myślałem, że nadal jesteś na mnie zła.

Pracowicie szorowała łokieć.

- Owszem, jestem zła. Nawet bardziej niż zła. I serce mi krwawi z powodu sir Johna. Mój mały kącik na ziemi rozsypał się w gruzy. A ty jesteś potworem.

- Ale nadal tu przebywasz.

Popatrzyła na niego. Rysy twarzy miał napięte, oczy pociemniałe.

- Jestem członkiem zespołu - powiedziała. - Chociaż nie mam stopni naukowych i doświadczenia moich kolegów, rozumiałam, że jestem naukowcem, chociaż nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy.

- Jak to?

Odłożyła mydło i gąbkę, wstała i ociekając wodą, sięgnęła po ręcznik. Zbliżyła się do niego i zmrużyła oczy.

- Ty draniu! - prychnęła. - Wiedziałeś, co jest za szafą!

- Przysięgam, że nie miałem o tym pojęcia. - Unieruchomił jej rękę. - Nie wiedziałem nic aż do dzisiaj.

Zrozumiała, że nie kłamie. Sama dostała się tam tylko dzięki rozsypującej się ścianie. Popatrzyła na niego z lękiem.

- To nie jest jedyny tunel - zauważyła. - Są jeszcze inne przejścia. Właściwie znalazłam tę drogę przez przypadek. Brian, ktoś mógł już wejść do środka, a teraz dostanie się tutaj.

Pokręcił głową.

- Nie. Już nie.

- Ale...

- Shelby i Corwin są właśnie w podziemiach i zamurują tunel.

- A więc zawsze kiedy słyszałeś ten dźwięk, ktoś był w podziemiach.

- Tak sądzę. A już na pewno dzisiaj wieczorem - powiedział stanowczym tonem. - No właśnie, co robiłaś niedawno na dole? Co ci przyszło do głowy, głuptasie, żeby tam schodzić!

- Nie zesłam, tylko zostałam zrzucona ze schodów - sprostowała, zadzierając brodę.

- Co takiego?

- Usłyszałam szepty i...

- W podziemiach? Gdzie byłaś, że je usłyszałaś?

- No dobrze, chciałam zejść na dół, ale zatrzymałam się przy schodach. - Obserwując jego twarz, zamilkła. Naprawdę mu wierzyła. Jeszcze w lesie, kiedy wygłaszał płomienną mowę, poznała po jego oczach, że mówi prawdę.

Mogłaby również przysiąc, że Hunter gonił ją dlatego, że też chciał ją ratować.

Pragnęła powiedzieć Brianowi, że wie prawie na pewno, gdzie znajduje się złota kobra, bezcenny przedmiot, który popycha morderców do coraz zuchwalszych czynów. Chciała też mu wyznać, że w rozmowie, którą podsłuchiwała, padły pogrożki pod jej adresem. Nie dał jej szansy.

- Camille, wywożę cię z zamku!

- Co?

- Jutro. Nikt nie może o tym się dowiedzieć. Zamieszkaś z siostrami w ich domku.

Wyrwała się z jego uścisku.

- Razem... z twoim dzieckiem?

- Co takiego?

- Czy one nie wychowują twojego dziecka? Cóż, uważam, że siostry są urocze, ale nie pojedę tam i nie zamieszkać z nimi, przysparzając im dodatkowego kłopotu.

Spiorunował ją wzrokiem, odwrócił się i ruszył w kierunku swoich apartamentów. Odczekała chwilę i poszła za nim.

- Odkąd cię znam, ciągle przede mną grasz i mnie okłamujesz! - krzyknęła.

- Camille, nigdy cię nie okłamałem.

- Nazywaj to, jak chcesz, w każdym razie unikasz mówienia mi prawdy.

- Nie możesz tu dłużej zostać - powiedział. - To miejsce stało się zbyt niebezpieczne dla ciebie.

- I co z tego, skoro i tak nie wyjadę?

Zawrócił i przyciągnął ją do siebie.

- Jedna noc więcej! - szepnął.

Podniosła głowę, chcąc się dowiedzieć, co ma na myśli, ale już znalazła się w uścisku jego ramion, porwana w wir namiętnego pocałunku; nie było tu miejsca na protest czy odmowę. Rzuciła ręcznik i przywarła do Briana. Pieścił jej wilgotne włosy, przesuwając dłonie po plecach, tulił nagie krągłości,

przyciągając ją coraz bliżej. Oderwał się na chwilę i popatrzył jej w oczy, jakby szukał słów. Potrząsnął głową i znów ją pocałował.

Camille zaczęła rozbierać Briana. Pociągnęła za idealny węzeł fulara, pracowicie rozpinając guziki z masy perłowej przy kamizelce i koszuli. Pozwalał jej na wszystko, nie przestając się w nią wpatrywać. Uwolnił się z koszuli i znów ją przytulił. Całował jej usta, płatki uszu, ramiona, szyję. Robił to powoli, odbierając jej resztki sił. Głaskała jego plecy, schodząc coraz niżej i niżej, aż wsunęła ręce pod pasek czarnych, podbitych jedwabną podszewką spodni i natrafiła na zapięcie. Przytulił ją jeszcze mocniej, pochylił się i nie przestając jej całować, zrzucił pantofel, a potem dragi.

Pozbył się spodni, a Camille poczuła jego wezbraną męskość, zastanawiając się mgliście, czy to nie ją ogarnęło szaleństwo. Po chwili Brian wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Całowali się bez opamiętania, nawzajem znaczyli wargami wilgotne ślady na ciele, wtapiali się w siebie, odrywali, aż zwarli się w jedno, zatracając się w namiętności. Camille zrozumiała, jak bardzo kocha Briana i jak głupio dotąd postępowała; nie miała wątpliwości, że mogłaby oddać za niego życie, bo teraz to on stał się jej życiem. Nieważne było w tej chwili, co jest kłamstwem, a co prawdą.

A jednak nie spędził z nią tej nocy.

Kiedy wydawało się jej, że sufit zamienił się w niebo usiane gwiazdami i że nie istnieje na świecie wspanialsze i bardziej rozpalające uczucie, podniósł się raptownie i wstał.

- Wyjedziesz jutro - oznajmił stanowczo.

Ku jej zdumieniu, wrócił do siebie, zamykając za sobą sekretne drzwi między ich pokojami.

Zaszokowana, wpatrywała się w sufit, który znowu był tylko zwykłym sufitem. W końcu usiadła na łóżku. Znalazła koszulkę, którą Evelyn Prior dała jej pierwszej nocy. Zapatrzyła się na twarz Nefretete. Brian powiedział kiedyś, że gdyby go potrzebowała, wystarczy pociągnąć za lewy róg.

Wahała się chwilę, ale podeszła do obrazu. Położyła rękę na ramie i jeszcze raz otworzyła ukryte drzwi.

Nie zastała Briana w sypialni, był w drugim pokoju. W szlafroku z wyhaftowanym na kieszonce rodzinnym herbem, siedział za biurkiem i czytał notatki. Popatrzył na Camille jak na intruza.

- Nie wyjadę stąd - oznajmiła. - Najpierw muszę poznać prawdę.

- Nikt jej nie zna - zauważył Brian. - Policja jest świadoma tego, co tu się dzieje. Kontrolują wywóz dzieł sztuki starożytnej z Anglii do innych krajów. Wiedzą o morderstwach. Teraz sprawa znajduje się w ich rękach.

- Ale ja wiem, że...

- Daj spokój! Jeżeli cokolwiek wiesz, to musisz mieć świadomość, że znajdujesz się w poważnym niebezpieczeństwie. Nie musiałaś zaglądać tam, gdzie nie powinnaś, głuptasie. Mogli cię zabić dzisiaj wieczorem.

- Znalazłam to, czego ty nie mogłeś znaleźć od roku! - wykrzyknęła.

- Tak? No to przypomnij sobie, w jakich okolicznościach.

- Znalazłam, bo zostałam zamknięta w podziemiach i musiałam się stamtąd wydostać. Temu, kto nawiedza zamek, nie udało się ustawić zaznaczonej płyty dokładnie w tym samym miejscu.

- I w tym rzecz. Zostałaś zamknięta w podziemiach.

- A czy przypadkiem nie wciągnęłaś mnie w to wszystko, żeby przyspieszyć bieg wydarzeń?

Utkwił w niej wzrok.

- Masz rację, ale ty już swoje zrobiłaś.

Zaskoczyło ich pukanie do drzwi.

Camille skrzyżowała ręce na piersi.

- Jesteśmy zaręczeni - powiedziała, jakby na usprawiedliwienie.

- Nie. Zaręczyny zostały zerwane. Dobry Boże, Camille, jak ty to sobie wyobrażałaś? Przecież znasz swoje pochodzenie!

Był to najokrutniej szy cios, jaki kiedykolwiek jej zadano, choć przecież od początku uważała, że Brian nie zamierza się z nią ożenić. Jednak pomysł zamieszkania razem, spania i budzenia się we wspólnym łóżku stał się częścią jej marzeń.

- Na miłość boską, nie patrz tak na mnie - rzekł szorstko. - Zaręczyny zostały zerwane. Hojnie ci to wynagrodzę - dodał - ale dłużej nie będziesz przebywać w zamku.

- Brian? - Głos na korytarzu należał do Evelyn. - Brian, przepraszam, ale Ajax był w moim pokoju. Jest tu teraz ze mną. Zachowuje się nienormalnie, drapie w drzwi.

Camille zamierzała umknąć, ale nie zdążyła. A może to Brian celowo pospieszył się z otwarciem drzwi, nie dbając o jej honor.

Ajax wpadł do pokoju i w paru susach podbiegł do swojego pana.

- Siad, Ajax, siad! - zawołał Brian, łagodząc rozkaz drapaniem psa za uchem.

Kobiety zmierzyły się wzrokiem. Nagle Ajax skoczył na Camille, merdając ogonem. Nieprzygotowana, omal się nie przewróciła.

- Och, Brian. Tak mi przykro, przepraszam - kajała się Evelyn.

- Wszystko w porządku, zostaw go tutaj. Spróbujmy, na Boga, pospać choć trochę tej nocy! - powiedział zniecierpliwiony.

- Tak, masz rację - mruknęła Evelyn i się oddaliła.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zawołała Camille, wściekła i bliska łez. - Tristan powinien cię wyzywać na pojedynek!

- Inaczej byś nie wyjechała - odpowiedział. - Co miałem zrobić? A o Tristana się nie martw. Nie żyjemy w średniowieczu. Może mnie spoliczkować nawet tuzinem białych rękawiczek, ale nie przejmuj się. Nie zrobię nic złego twojemu opiekunowi.

Zaszokowana i oniemiała Camille stała bez ruchu. Już miała się odwrócić i wybiec, gdy Brian podszedł do niej, podniósł ją delikatnie i usiadł przy kominku jak kiedyś, sadzając ją sobie na kolanach. Pogłaskał ją po włosach.

- Muszę cię gdzieś ukryć.

- To mój wybór...

- Nie! Tym razem nie masz wyboru!

- Wydaje mi się - wyznała wreszcie - że wiem, gdzie szukać złotej kobry.

Odsunął się, żeby się jej przyjrzeć.

- Gdzie?

- Mumie często grzebano z amuletami, które wkładano między bandaże - powiedziała.

- Tak, oczywiście, ale złota kobra, dla której warto popełniać morderstwa, musi być większa od niedużego amuletu.

Pokręciła głową.

- Dokładnie nie wiem, co to naprawdę może być. Nie sędzę też, by ktokolwiek to wiedział, ponieważ ten przedmiot nigdy nie został skatalogowany.

- Gubię się w tym wszystkim. Teraz mówisz dla odmiany, że to nie musi być amulet. Więc co?

- Coś większego, ale uważam, że to na pewno znajduje się przy mumii.

Potrząsnął głową.

- Mumia arcykapłana została już wyjęta ze skrzyni.

- A mumia Hethre? Czy jest tutaj, czy w muzeum? - zapytała.

- Ani tu, ani tam - odpowiedział. - W każdym razie nic o niej nie wiemy. Mumia Hethre nigdy nie została znaleziona, a może nigdy nie została zidentyfikowana?

- A może tym, którzy ją pochowali, zależało, żeby pozostała niezidentyfikowana. Złota kobra mogła mieć magiczną moc, odstraszącą nie tylko rabusiów grobowców, ale także, co jest bardzo możliwe, chroniącą współczesnych jej ludzi.

- Przed czym?

- Przed Hethre. Starożytni Egipcjanie sami mogli się bać jej mocy i pochowali ją bezimiennie, ale wraz z talizmanem, który dawał gwarancję, że magiczna moc Hethre nie obróci się przeciwko nim.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Camille wreszcie zasnęła. Musiała spać bardzo mocno, upłynęło bowiem dużo czasu, zanim obudziło ją pukanie do drzwi. Przez kilka chwil przeciągała się leniwie i nie spieszyła z wstawaniem, dopiero kiedy dźwięk stał się zbyt natarczywy, rozejrzała się i uświadomiła sobie, że spała w sypialni Briana, którego przy niej teraz nie ma.

Poderwała się, zamknęła tajemne drzwi, znalazła szlafrok i zawołała, że zaraz podejdzie.

W drzwiach stał Corwin.

- Mam panią stąd zabrać, panno Camille - powiedział.

- Co takiego?

- Mam załadować pani rzeczy i zawieźć panią do leśnego domku sióstr - wyjaśnił niecierpliwie.

Choć wszystko w niej się buntowało, zachowała kamienny wyraz twarzy. Pomyślała, że Brian jednak troszczy się o nią i że jej potrzebuje. Nagle poczuła się głupio, a serce na moment zamarło jej z żalu. Powiedział przecież prawdę. Jest hrabią, a ona pochodzi z gminu. Oczywiście, że się o nią troszczy.

W końcu niejednen arystokrata zadawał się z dziewczętami z niższych sfer.

Corwin wyjął zegarek kieszonkowy i sprawdził czas.

- Za godzinę, panno Camille?

Za godzinę, pomyślała... Za godzinę zostanie wywieziona jak niechciane dziecko. Nagle wstąpiła w nią furia. A więc hrabia Carlyle chce się jej pozbyć za wszelką cenę! Znakomicie!

- Tak, godzina mi wystarczy. A co z Tristanem i Ralphem?
- Sir Tristan powiedział, że nie opuści pani, gdziekolwiek pani pojedzie.
- Czy domek w lesie nie jest na to za mały, Corwinie?
- Na pewno będzie im wygodnie. W oborze jest dużo miejsca, panienko.
- Obora? Ze zwierzętami?
- Ależ skąd! To bardzo przyjemne i przestronne miejsce, a siostry nie hodoją zwierząt. Wychowują dziecko.

Przyjemna obora! Gdy raz się tam znajdzie, utknie na wieki.

- A co z Alexem? - zapytała.
- Pan Alex ma się bardzo dobrze. Odwieziemy go dzisiaj do jego domu, panno Camille.
- A zatem za godzinę, Corwinie - powiedziała uprzejmym tonem, zamknęła za sobą drzwi i zaczęła się zastanawiać. Ma godzinę. Tylko godzinę. Po chwili wiedziała już, co powinna zrobić.

Rozejrzała się po pokoju. Na dobrą sprawę niczego nie musi pakować poza paroma rzeczami dla zmylenia czujności.

Otworzyła drzwi.

- Corwinie!

Zatrzymał się w pół drogi.

- Chcę zabrać trochę ubrań. Czy mógłbyś mi przynieść kufer podróżny, coś, w co mogłabym spakować moje rzeczy?
- Oczywiście, panno Camille. Już się robi - odpowiedział z ulgą.

Kiedy odszedł, w pośpiechu umyła się i ubrała, wrzucając parę rzeczy do torby. Potem napisała kartkę, którą zostawiła na łóżku, otworzyła drzwi i odetchnęła z ulgą. Na korytarzu nie było żywej duszy.

Brian zapukał i czekał. Po chwili dostrzegł oko zerkające przez niewielki otwór, a następnie drzwi się otworzyły.

- No i co? - zapytał sir John.

- Wiadomość już się rozniosła. Shelby powiadomił wszystkich, że pan zmarł po ukąszeniu przez węża. Gazety przekazały informację o pańskiej śmierci. Teraz już tylko musimy czekać na kolejne posunięcia. Może ten, kto za tym stoi, otrzymał już część zapłaty i teraz bardzo się niecierpliwi. Podczas wczorajszej kolacji w podziemiach przebywały dwie osoby. To dla mnie nic nowego, wiem, że ktoś tam wchodzi pomimo strzeżonej bramy, ponieważ, tak jak przypuszczał mój ojciec, do zamku prowadzi tunel. Ale jeszcze wczoraj, późnym wieczorem, zamurowaliśmy wejście. - Zrobił krótką przerwę. - Jeszcze wcześniej ktoś zrzucił Camille ze schodów.

- Camille! Mój Boże, czy ona...

- Na szczęście nic jej się nie stało, a dzisiaj, dla bezpieczeństwa, odeślę ją z zamku.

Sir John pokiwał głową.

- A co z Lacroisse'em?

- Mam wrażenie, że wiadomość o pańskiej śmierci mocno go przestraszyła, ale nie wiem, czy podjął jakieś kroki. Tacy ludzie jak Lacroisse łatwo wpadają w obsesję.

- A nie mógłby pan po prostu na niego donieść? - podsunął sir John z nadzieją w głosie.

- Mógłbym, ale najpierw chcę go porządnie nastraszyć i myślę, sir Johnie, że mógłby mi pan w tym pomóc. Wiem, że pan mi ufa. Wiem również, że nie chce pan dać wiary, iż moi rodzice zostali zamordowani. Gdyby pan jednak sobie coś przypomniał, jakieś zdarzenie z tamtego dnia, o którym pan nie pamięta, a które może się okazać decydujące, byłbym wdzięczny.

Sir John westchnął i wskazał ręką na fotele, zapraszając, żeby usiedli w tym wynajętym pokoju.

- Czy po drugiej stronie drzwi stoi policjant? - zapytał nerwowo. - Gdybyś wtedy nie przyszedł... Myślę, że byłem przygotowany. Miałem w szufladzie stary wojskowy pistolet, naładowany i gotowy do użycia, ale nigdzie nie widziałem węża. Gdybyś go nie zabił strzałem z pistoletu...

- Sir Johnie, już po wszystkim. Prosiłbym teraz, żeby zechciał pan ze mną porozmawiać.

- Tamtego dnia... - Sir John rozsiadł się wygodnie. - No cóż, znasz procedury po zakończeniu wykopalisk. Wszystko odbywa się powoli i zmuennie, a jednocześnie niezwykle. Zwłaszcza przy takiej masie cennych znalezisk. Wiele z nich przekazano do muzeum w Kairze, a twój ojciec zapłacił bająnskie sumy za to, co zamierzał zabrać do kraju, większe, niż się spodziewano.

- Był uczciwy we wszystkich transakcjach - przyznał Brian.

- Tak, to był wspaniały człowiek i obywatel. Bardzo mi go brak.

- Wielkie dzięki. Mnie również go brakuje. Ale kontynuujmy, proszę.

- Napracowaliśmy się ciężko, ale prawie wszystko zostało popakowane. Wieczorem zamierzaliśmy urządzić uroczystą kolację, oczywiście późną, albowiem po długim dniu pracy wszystkim nam potrzebna była porządna kąpiel.

- Czy wszyscy jednocześnie opuściliście stanowisko?

Sir John zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć.

- Nie, pierwszy odszedł Aubrey. Zamierzał się na chwilę położyć. Następny był Alex. On zawsze był delikatny. Wtedy też chorował, w ciągu ostatnich tygodni pracował mniej, a wyglądał jak z krzyża zdjęty, tak więc też chciał odpocząć. Zaraz po nim oddalił się Hunter. Lord Wimbley... zaraz! Nie, lord Wimbley odszedł przed nim. Miał ważny list do wysłania. Evelyn i ja zostaliśmy z twoimi rodzicami i naszymi egipskimi kolegami, czekając na wyciągnięcie ostatniej skrzyni. Potem wróciliśmy razem. Rozstaliśmy się w centrum Kairu. Oczywiście Evelyn została z twoimi rodzicami, a ja wróciłem do hotelu. Jak wiesz, rodzice zajmowali stary pałac, przerobiony na użytek angielskich gości, takich jak my. A Evelyn ulokowała się w służbowym domku.

- Potrzęsnał głową. - Właściwie powinieś porozmawiać z Evelyn, bo to ona ich znalazła.

- Spotkaliście się w restauracji na uroczystej kolacji, prawda?

- Tak, cała reszta. Potem przybyła Evelyn z ludźmi z ambasady. Biedna kobieta, była załamana.

- Czy Hunter był z wami prawie do końca?

- Tak.

- Ale wyszedł trochę wcześniej?

- Tak, już ci to wszystko mówiłem.

- Kto pierwszy przybył do restauracji?

- Ja. - Sir John skrzywił się. - Byłem tak głodny, że już nie mogłem wytrzymać.

- A potem?

- Brian, to było tak dawno temu.

- Proszę, sir Johnie.

- No dobrze. Siedziałem już przy stoliku, gdy... zaraz... chyba pierwszy zjawił się Aubrey? Tak, tak, to był Aubrey. Nie, jednak Alex. Teraz już sobie przypomniałem, ponieważ rozmawialiśmy o jego stanowisku w muzeum. Potem Aubrey, Hunter i na końcu lord Wimbley. - Pokiwał głową. - Nie wiem właściwie, po co ci te informacje.

- Chcę jeszcze raz wszystko przeanalizować. Kogo pan widział w dniu, kiedy znalazł pan wycinek prasowy przebity nożem?

Sir John skrzywił się z obrzydzeniem.

- Tego dnia był Aubrey. Co do innych... nie jestem pewny. Byłeś ty. Camille też, oczywiście. A ja... Nie mogłem uwierzyć, że śmierć twoich rodziców została ukartowana. Dopiero kiedy Kamille zamieszkała w zamku i chyba dała ci wiarę, zaczęło do mnie docierać, że od samego początku coś podejrzewałem.

- Kogo pan podejrzewał, sir Johnie?

- No cóż, miałem parę poszlak.

- Proszę mówić wszystko, co panu przychodzi do głowy, błagam!

- Przecież mogę się mylić.

- Oczywiście, ale może naprowadzi mnie pan na właściwy trop.

- Mam wrażenie, że lord Wimby miał poważny dług. Och nie, przecież to niemożliwe.

- Tak, on jest zadłużony - zgodził się Brian.

- Ale lord Wimby nie cierpi wszelkich węży. I tu tkwi problem. Jest tylko jedna osoba, która naprawdę sobie z nimi radzi.

- Aubrey Sizemore.

Sir John przytaknął, kiwając głową.

Camille przemknęła niepostrzeżenie korytarzem, zbiegła ze schodów i minęła salę balową, nie napotykając żywej duszy. Najbardziej się bała, że wpadnie na Evelyn, ale jej też nie było w pobliżu. Prawdę mówiąc, wielki zamek sprawiał wrażenie wyludnionego.

Z sali balowej weszła do kaplicy, a stąd do podziemi. Na kręconych schodach było ciemno. Na szczęście zabrała lampę, pokonała je więc bez większego trudu.

Wiedziała, że musi się spieszyć. Jedno po drugim zaczęła zdejmować wieka skrzyń. To było proste; była pewna, że Brian już wszędzie zaglądał. Co najmniej w dziesięciu skrzyniach znajdowały się mumie. Wystarczyło więc odwinąć każdą z bandaży, nie zastanawiając się, co by na to powiedziało wielu egiptologów. Pomyślała, że ludzkie życie jest więcej warte niż zabytki.

Zaczęła rozwijać mumię po mummii, oglądając każdą dokładnie i wdychając starożytny kurz. Mogłaby wyeliminować mumię mężczyzn, ale tu

akurat takich nie było. Nie wykluczała, że natrafiła na harem najwyższego kapłana.

Spojrzała na wiszący na szyi zegarek. Minęła blisko godzina. Wkrótce zaczną jej szukać. Miała nadzieję, że nie uwierzą w to, co napisała na kartce. Jeszcze trzy mumie, i koniec. Gdyby niczego nie znalazła, to by znaczyło, że mumia Hethre znajduje się w muzeum i że tam trzeba jej szukać, znaleźć kobrę i zakończyć sprawę. Chociaż, uznała Camille, samo odnalezienie kobry nie zdemaskuje mordercy, ale przynajmniej udaremni kradzież, a może też dalsze zabójstwa.

Koła powozu zastukały po jezdni, zatrzymując się przed miejską siedzibą lorda Wimby'ego. Brian zostawił Shelby'ego na koźle, a sam zapukał do drzwi. Zamierzał lekko przycisnąć lorda do muru. Wizyta była niezapowiedziana, więc Jacques, doskonale wyszkolony lokaj hrabiego, czynił mu pewne trudności, tłumacząc, że jego pan odpoczywa i że od rana jeszcze na niego nie dzwonił. Nie zastanawiając się długo, Brian wyminął lokaja i wbiegł na schody.

- Milordzie! - zawołał oburzony Jacques i ruszył za nim.

- Ani się waż! - krzyknął Brian i otworzył drzwi.

Tak jak się obawiał, lord Wimby leżał na podłodze. Nie zważając na przeraźliwy krzyk lokaja, Brian ostrożnie przemierzył pokój i pochylił się, żeby sprawdzić puls. Serce lorda dawno przestało bić. Leżał z otwartymi oczami, a dzwonek, którym być może chciał wezwać Jacques'a, znajdował się nieopodal. Lord Wimby nie żył już od wielu godzin. Brian zbadał starannie ciało i wstał.

- To ta klątwa! O Boże, to ta klątwa! - wykrzykiwał Jacques. - Wąż! Został ukąszony przez węża! O mój Boże, w domu są kobry! Wynoszę się stąd, wynoszę...

- Jacques! Przestań natychmiast! - huknął Brian, złapał lokaja za ramiona i nim potrząsnął. - Zapewniam cię, że to nie jest ukąszenie węża. Znalazłbym ślad. Otwarte usta twojego pana i skrzycone ciało wskazują na zupełnie inny

rodzaj trucizny. Wezwij policję. Pospiesz się, słyszysz? Dotrzyj do detektywa Clancy'ego z londyńskiej policji. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to atak serca, spowodowany wiekiem, ale konieczna jest autopsja. Uważam, że został zamordowany.

- Zamordowany! Przecież ani na chwilę nie opuszczałem domu, odkąd lord Wimbley wrócił wczoraj wieczorem. Nikt tu nie wchodził, nikt. Dobry Boże! Lord Wimbley nie żyje, a ja cały czas byłem tutaj. Pomyślą, że to ja... a przecież, jakże bym mógł! Oni mnie zaaresztują. To ta kłątwa! Nie powinien był jechać do Egiptu.

- Został otruty jeszcze przed powrotem do domu, tylko o tym nie wiedział - powiedział Brian. - Policja cię nie zaaresztuje. A teraz biegnij, rób, co ci kazałem, Jacques.

Brian wypadł na dwór. Wiedział, kto to zrobił i dlaczego. Musiał się spieszyć.

Jeszcze jedna mumia, prymitywnie i byle jak rozpakowana. Camille pomyślała, że prawdziwi uczeni skazaliby ją za to na długie, trwające ze dwa tysiące lat tortury. Zabrała się za ostatnią.

Zanim zaczęła, poczuła dreszcz podniecenia. Nasączone żywicą lniane bandaże zostały bardzo starannie nałożone, materiał był wysokiej klasy, podobnie jak żywica. Maską przedstawiała chłopca, choć mumia należała do kobiety. Bandaże nawarstwiały się w okolicy klatki piersiowej, być może po to, żeby spłaszczyć biust, albo, pomyślała Camille, raczej po to, by zatuszować fakt, że coś w nich ukryto.

Była tak pochłonięta pracą, że nie usłyszała kroków na schodach i nie zauważyła, że jest obserwowana.

Wzięła nożyce i ostrożnie przecięła stwardniałą warstwę żywicy na piersi mumii. Następnie zaczęła zdzierać starożytne płótno. Dopiero gdy usłyszała głos, uświadomiła sobie, że ktoś tu jest.

- Znalazłaś coś!

Z przerażeniem ujrzała zbliżającego się Huntera.

- Niezupełnie. Pomyślałam, że skoro jestem taka uczona, to może coś znajdę, a tymczasem, jak widzisz, narobiłam samych szkód. Gdyby żył sir John, na pewno by mnie wyrzucił z pracy.

Hunter pokręcił głową.

- Nie, Camille, masz rację! Wiem, co ci chodzi po głowie. To była czarownica, którą czczono, ale również się jej bano. To dlatego tak ją pochowano; ci, którzy ją grzebali, chcieli, żeby jej dusza pozostała na zawsze w świecie zmarłych. - Zamilkł na chwilę. - A oto i ona - dodał.

Camille znalazła mumię, ale to Hunter zdjął rzeźbę z piersi Hethre. Stulecia nie odjęły przedmiotowi nic z jego wspaniałości. Nie tyle liczyła się tu ilość użytego złota, ile klejnoty. Ogromne oczy kobry lśniły, ale najwięcej szlachetnych kamieni - brylantów, szafirów i rubinów - użyto na ozdobienie rozszerzonego kaptura.

Hunter stał tuż obok Camille. Wiedziała, że musi stąd wyjść, musi uciekać jak najdalej i jak najszybciej.

- Camille! - wyszeptał.

Nie patrzył na nią. Wpatrywał się z zachwytem w znalezioną kobrę. Kiedy odsunęła się od niego, nawet tego nie zauważył.

- Hunter, co ty tu robisz? - zapytała.

- Słucham? - Odwrócił się w jej stronę. - Przyszedłem zobaczyć się z Brianem, żeby go błagać, by wprowadził mnie w to, co tu się dzieje.

- I po to zszedłeś do podziemi?

Uśmiechnął się, a ten uśmiech ją przeraził.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale wokół nie ma żywej duszy. Jedyne przy bramie stoi policjant. Wyłożyłem mu moją sprawę, a on pozwolił mi wejść.

- Na górze nie ma nikogo?

- Nie byłem na górze

- Przyszedłeś prosto tutaj?

- Tak.

- Dlaczego?

- No cóż, ponieważ...

- Hej! Kto tam jest na dole!

Słyszając ten głos, Camille poczuła niewysłowioną ulgę. Czym prędzej odsunęła się od Huntera.

- Zejdź na dół, Alex! - zawołała.

Alex miał na sobie zwykłe ubranie, a w ręku niedużą torbę. *Gotów do powrotu do domu*, pomyślała Camille. Czuł się niezłe, a ich wszystkich mieli usunąć z zamku.

Stała teraz między nimi dwoma. Alex zatrzymał się przy schodach. Camille odwróciła się i zauważyła, że Hunter ukrył kobrę za plecami.

- Alex - powiedziała, czując się coraz bardziej nieswojo - zawołaj, proszę, Corwina!

Hunter skrzywił się.

- Alex!

Odwróciła się, żeby go odepchnąć i samej wbiec na schody. Tymczasem Alex zastąpił jej drogę.

- Camille, odsuń się od niego! - ostrzegł Hunter, na co Alex tylko się uśmiechnął.

- Jak miło! Wielki podróżnik, poszukiwacz przygód, badacz, zawsze czarujący sir Hunter MacDonald! Świetnie się składa, że tutaj jesteś.

Zaszokowana Camille, zgodnie z sugestią Huntera, zaczęła się cofać.

- Wiedziałem, że jesteś żałosny. Nie przypuszczałem tylko, że jednocześnie nędzny, podły i śmiertelnie niebezpieczny. I że idziesz po trupach do celu - odgryzł się Hunter.

- Śmiertelnie niebezpieczny? Owszem, mój szlachetny i odważny, pasowany na rycerza przyjacielu - wycedził Alex. - Widzę, że znalazłaś mój skarb, Camille. Hunter, podaj mi go.

- Alex, jeżeli natychmiast nie zejdziesz z drogi - ostrzegł Hunter - uszkodzę cię.

- Czyżby?

W ułamku sekundy Alex chwycił Camille za włosy i szarpnął w swoją stronę. W tym samym momencie rzucił torbę, którą trzymał w ręku, uwalniając jej żywą zawartość.

Węże rozpełzły się z sykiem po podłodze, dochodząc pod same stopy Camille. Wrzasnęła, gdy Alex pociągając ją za sobą, schylił się i chwycił jednego, przykładając jej prawie do szyi obnażone kły jadowe rozwścieczonego gada.

- Zabieram klejnot, Hunter! Rzuć mi go! Ja zaś rzucę węża i zostawię was oboje tutaj, dając wam co najmniej spore szanse na obronę.

Hunter rzucił mu drogocenną kobrę. Alex puścił węża, by złapać lecący przedmiot i odepchnął Camille. Krzyknęła, wpadając między węże.

Brian zrezygnował z powozu, wziął zamiast niego jednego z najlepszych wierzchowców lorda Wimbley'ego. Wydał instrukcje Shelby'emu i ruszył z kopyta. Poganiał biedne zwierzę podczas całej drogi powrotnej do zamku. Jadąc, przeklinał pomysły swoich przodków. Ten zamek, obwiedziony murami, obwarowany, otoczony fosą, prawie niedostępny dla wroga, a w gruncie rzeczy bezbronny.

Zatrzymał się na dłużej przy bramie wjazdowej, by odbyć rozmowę ze stojącym na straży policjantem.

- Czy mój człowiek już wyjechał z panną Montgomery?

- Nie, panie hrabio. Do zamku przybył sir Hunter MacDonald. Powiedział, że ma ważną sprawę i że nie może czekać.

Brian się nie odezwał, tylko pognął spienionego wierzchowca drogą przez las, potem przez zwodzony most prosto do zamku.

Camille prześlizgnęła się między wężami, obeszła skrzynie z mumiami i stanęła obok Huntera. Po chwili usłyszeli wołanie:

- Camille!

Alex zatrzymał się na schodach i się uśmiechnął.

- Stirling! - zawołał. - Stirling! Pomóż nam, pomóż! To Hunter. Postradał rozum. Chce nas pozabijać!

- Nie! - wrzasnęła Camille. - Brian, nie schodź!

Za późno. Był już na górze schodów. Minął Alexa i przystanął na widok wijących się na podłodze węży.

- Zabij go! Zabij Huntera! - krzyknął Alex.

- Brian, uważaj na niego! - wrzasnęła Camille.

Alex szykował się właśnie, żeby zrzucić Briana ze schodów. Krzyk Camille go nie powstrzymał. Brian jednak nie upadł, przygotowany na atak z tej strony. Zaparł się z całych sił, powalił Alexa i rzucił go na podłogę. Alex zdążył jednak uchwycić się jego kłap; potężny Brian przewrócił się i razem z nim wylądował u stóp schodów.

- Na Boga! Zrób coś! - krzyknęła Camille do Huntera.

- Co?

Pochyliła się nad najbliższą skrzynią, wyrwała mumii nogę. O dziwo, węże, ze strachu przed walczącymi mężczyznami, czmychnęły na boki. Mogły pochować się w skrzyniach czy pod deskami podłogi, mogły też zaatakować.

Alex był zdecydowany na wszystko. Kiedy Brian z trudem próbował go poskromić, udało mu się sięgnąć do kieszeni, wyciągnąć nóż i zagrozić nim Brianowi. Zwarci ze sobą, walczyli zawzięcie. Brian chwycił Alexa za nadgarstek. Duża kobra podpełzła do nich i uniosła się w pozycji obronnej.

- Nie! - krzyknęła Camille, rzuciła się do przodu i z całej siły uderzyła gada zmumifikowaną kończyną.

Nóż wypadł Alexowi z ręki. Brian wyprostował się, pociągając go za sobą. Kiedy Alex próbował jeszcze złapać nóż, odrzucił go nogą. Alex z całej siły uderzył plecami w ścianę, a po chwili osunął się na podłogę, tuż obok kobry, która zaatakowała z sykiem i ukąsiła go w szyję. Alex, o dziwo, lekko się uśmiechnął, ale wtedy zaatakowała go druga kobra, a potem następna... Wydał przesywający krzyk i zamilkł.

Camille patrzyła na to z przerażeniem.

- Camille!

Hunter podbiegł do niej, grzmocąc i roztrącając niebezpieczne gady koło jej stóp.

- A teraz wiejemy! - krzyknął Brian. Wyciągając broń, strzelił do jednego węża, po chwili wycelował w następnego.

Dźwięk strzału poniósł się echem. Droga była wolna. Camille rzuciła się ku schodom, Hunter za nią. W połowie kręconych schodów Camille przystanęła.

- Brian! - zawołała.

Rozległ się kolejny strzał. Po chwili Brian do nich dołączył. Pociągnął Camille na górę.

- Kiedy wreszcie nauczysz się, że masz mnie słuchać! - wykrzyknął.

- Posłuchałam - odparła. - Godzina... Corwin dał mi godzinę, więc ją wykorzystałam i... - Padła mu w ramiona.

- Skąd, u licha, wiedziałeś, że nie powinieneś mnie zabić? - zapytał Hunter.

- To długa historia. Na razie musimy odnaleźć pozostałych domowników
- powiedział Brian z troską w głosie. - Potem pogadamy.

Ponaglanie Briana obudziło w Camille nowy niepokój. Z Hunterem u boku pognęła po schodach do części mieszkalnej.

Zbliżając się do pokoju Tristana, usłyszała walenie w drzwi. Ktoś próbował je wyłamać od wewnątrz, najwyraźniej taranując krzesłem. Towarzyszyły temu ochryple wrzaski Tristana, wołającego o pomoc, a przy tym w niewybrednych słowach - co mu się rzadko zdarzało - wyzywającego Evelyn od zdradzieckich dziwek.

Gdy Hunter wysunął z drzwi stary drewniany rygiel, Tristan i Ralph runęli na korytarz. Tristan próbował złapać równowagę, balansując krzesłem, którego używał jako tarana.

- Gdzie ona jest? - huknął. - Zamknęła nas w pokoju, wiem, że zamknęła!

- Nie zamknęłam cię, bezmyślny człowieku! - zawołała Evelyn, zbliżając się w niekompletnym ubraniu. - Sama spędziłam ostatnią godzinę w bieliźniarce, jeśli chcesz wiedzieć!

Brian, który nadbiegł za nimi, cały czas rozglądał się nerwowo.

- Brakuje Corwina - powiedział.

- Może jest w stajni? - zasugerował Hunter.

Brian pobiegł na dół. Ruszyli za nim. Także stajnie ktoś zaryglował od zewnątrz. Brian otworzył wrota, wszedł do środka i rozejrzał się wokoło. Usłyszeli czyjeś głuche stękanie.

- Żyje! - odetchnęła z ulgą Evelyn, biegnąc za Brianem w stronę bel siana, zza których dochodził jęk.

Leżący tam Corwin próbował usiąść. Na widok Briana wyraźnie się zawstydził. Zdawało się, że bardziej doskwierają mu wyrzuty sumienia niż ból fizyczny.

- Zawiodłem pana, hrabio. Byłem na strychu, bo poszedłem po nową uprzęż, a on zaszedł mnie od tyłu i popchnął. Gdyby nie siano, dawno bym nie żył. O Boże, Boże - narzekał, próbując stanąć o własnych siłach. - Zawiodłem pana, a dziewczyna...

Zamrugnął powiekami, dostrzegając wśród zebranych Camille.

- Panienska miała czekać w swoim pokoju - powiedział z wyrzutem.

- Panienska jest uparta jak osioł i nigdy nikogo nie słucha - zauważył Brian.

- No właśnie, i do tego taka śliczna! Idealnie pasuje na żonę hrabiego Carlyle - powiedziała Evelyn ku zdumieniu Camille. - Pokochałabyś całym sercem lady Abigail, moja droga. Ona też była niemożliwie uparta.

Camille zrobiło się przykro. Już chciała poinformować pannę Prior, że hrabia nie zamierza się żenić z dziewczyną z ludu, ale uznała, że chwila nie jest odpowiednia.

- Wciąż czegoś tu nie rozumiem. To wszystko zrobił Alex? Przecież sam został ukąszony przez węża! Był chory i nie opuszczał zamku. Skąd wziął węże? Jak to wszystko zorganizował?

- Może nigdy nie dowiemy się całej prawdy, ale odpowiedzi na niektóre pytania już znam - powiedział Brian. - Teraz musimy wysłać do Londynu policjanta, który stoi przy bramie, i sprowadzić tutaj detektywa Clancy'ego. Evy, opatrz głowę biednemu Corwinowi.

- Podjadę do bramy - powiedział Corwin.

- Nie ruszaj się. Ciesz się, człowieku, że jesteś w jednym kawałku. Ja to zrobię - zaofiarował się Hunter.

- Nie powiem, żebyś i ty nie miał szczęścia - zwrócił mu uwagę Brian. Po chwili dodał: - Dziękuję ci. Nie wiem, po jaką cholere się w to wplątałeś, ale w samą porę przyszedłeś nam w sukurs. Jeszcze raz dziękuję.

- Pozwól, że teraz pójde po policjanta. Nie tracę nadziei, że wkrótce zaspokoisz moją ciekawość.

- Powiedz mu także, żeby dopilnował, by sprowadzono tu również sir Johna - powiedział Brian.

- Sir John nie żyje - przypomniała Camille. - Chyba miałeś na myśli lorda Wimbley'ego.

- Nie - odrzekł Brian. - To lord Wimbley nie żyje. Sir John żyje i ma się dobrze. Wytłumaczę ci to wkrótce. Corwinie, oprzyj się na moim ramieniu. Wracamy do domu.

Brian uśmiechnął się do Camille z taką czułością... Zawahała się, po czym wyciągnęła rękę i ściągnęła mu maskę.

- Naprawdę jej nie potrzebujesz - powiedziała. - Chociaż nadal prawie nic z tego nie rozumiem, wydaje mi się, że potwory nie muszą strzec już zamku Carlyle. Jestem pewna, że klątwa została zdjęta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Naprawdę nie rozumiem, w jaki sposób Alex to wszystko zorganizował - powiedziała Camille, popijając doskonałą herbatę zaprawioną brandy, podaną przez Evelyn. Grzała się przy kominku. - Do kogo szeptał w krypcie, kiedy zaatakował mnie po raz pierwszy?

- Jeszcze tego nie rozumiesz? - zapytał sir John z kpiarskim uśmiechem.

- Do lorda Wimbley'ego? - zapytała.

- Nigdy nie poznamy całej prawdy - powiedział Brian, stając przy kominku z ręką opartą na gzymsie. Zarówno lord Wimbley, jak i Alex nie żyją. Chocili słyszałem tę historię tuzin razy z najrozmaitszych źródeł, nie byłem w stanie ułożyć tej mozaiki w sensowną całość aż do dzisiejszego ranka, gdy odbyłem rozmowę z sir Johnem.

- Pomogłem ci? Dzisiaj rano?

- Zainteresowała mnie pańska wzmianka o charobie Alexa. Wcześniej natrafiłem na tę informację w pamiętniku mojej matki - wyjaśnił Brian.

- To nadal niczego nie wyjaśnia - stwierdził sir John.

Camille przyznała mu w duchu rację.

- Alex wówczas chorował po pierwszym ukąszeniu kobry. Niewykluczone, że potem zaczął poważnie eksperymentować z ich jadem. To dlatego zapewne zaryzykował ukąszenie węża podczas kwesty. Wiedział, że znajdują się ludzie, którzy przetrną ukąszenie i wyssą jad, i się nie przeliczył. Nasze podejrzenia skupiły się na innych, ponieważ Alex, oddany pracownik, tak bardzo chciał ratować sytuację, że gotów był skonać w mękach.

- W jaki sposób udało mu się wnieść węże dzisiaj? - zapytała Camille, pogubiona w tym wszystkim.

- Wystarał się o nie wczoraj wieczorem - odrzekł Brian.

- Wczoraj wieczorem? Przecież był tutaj.

- Czy aby na pewno? Panowało duże zamieszanie. Pobiegł do lasu, kiedy Hunter i ja skakaliśmy sobie do gardeł.

- Alex! Kto by pomyślał - mruknął Hunter.

- Nie był sam - powiedziała Camille. - Współpracował z lordem Wimblym. Jednak po co lord miałby zabijać twoich rodziców, skoro byli równie bogaci i znani?

- Tytuły nie zawsze chronią przed popadnięciem w olbrzymie długi - podpowiedział Tristan. - Był hazardzistą, czyż nie, Brianie?

Brian nachylił się w stronę detektywa.

- Po tym, jak na placyku zastrzelono Greena, detektyw Clancy zaczął dokładnie badać stare kartoteki policyjne.

- Jakiego znowu Greena? - zdziwiła się Camille.

- Taki nicpoń i zatwardziały kryminalista - pospieszył z odpowiedzią Tristan. - Ralph i ja trochę maczaliśmy w tym palce - podkreślił z dumą.

- To prawda - potwierdził z uśmiechem Brian.

- Co takiego?! - zawołała Camille, wpatrując się w Tristana. - Podobno byłeś zbyt chory, żeby opuścić zamek. Kiedy się w to wszystko wplątałeś? Brian! Jak mogłeś narażać życie Tristana?

- Moja panno - przerwał Tristan. - Jestem dorosłym człowiekiem, byłym żołnierzem jej królewskiej mości. Dzięki Bogu, Ralph i ja nieźle sobie radzimy.

- Nawet mi do głowy nie przyszło, że narażę go na niebezpieczeństwo - zwrócił się Brian do Camille. - A swoją drogą, widocznie jesteście do siebie bardzo podobni... On też nie był w stanie trzymać się od tego z dala.

- Może powinniśmy powrócić do początków - rzeczowo zauważył Aubrey. - Lord Wimbley sprzeczał się od czasu do czasu z pańskim ojcem, Brianie. Nie wyglądało to groźnie. Co jakiś czas kłóciliśmy się wszyscy, a to na temat kolejności prac, to znów z powodu podniesienia i wyciągnięcia jakiegoś cięższego przedmiotu... i wielu innych spraw. Takie spory zdarzają się podczas wszystkich ekspedycji.

- Ja też się spierałem z twoim ojcem - przyznał Hunter. - Uważałem, że poświęca za dużo uwagi ocaleniu dziedzictwa egipskiego dla Egipcjan.

- Wydaje mi się - powiedział sir John - że twój ojciec parokrotnie wyciągał lorda Wimbley'ego z kłopotów finansowych. Dzień przed śmiercią lady Abigail była podekscytowana czymś, co wyczytała z napisu na murze.

- Czy chodziło o złotą kobrę? - zapytała Camille.

- Wtedy nic o tym nie wiedziałem, ale teraz, z perspektywy czasu, myślę, że tak, oczywiście, że tak. Alex musiał być z nią, kiedy to czytała. Wiedział więc, że rzeźba istnieje i że nie została skatalogowana. Czekano go długie i żmudne poszukiwanie, ale musiał być pewny, że ją znajdzie - powiedział sir John. - Co do nas... po prostu niczego takiego nie dostrzegliśmy. - Potrząsnął głową. - Niestety, nie zauważyliśmy inskrypcji na ścianie.

- Przez cały ostatni rok - poinformował detektyw Clancy - Alex przekazywał nieduże przedmioty monsieur Lacroisse'owi, zapewniając go stale, że najwspanialsze i niewiarygodne znalezisko dopiero się pojawi. Lord Wimbley mocno na niego naciskał. Jak wiadomo, z tego grona jedynie lord Wimbley miał rozległe kontakty z dworem królewskim i w kręgach międzynarodowych.

- Ale...

- Słusznie, wiem, co chciałaby pani wiedzieć. W jaki sposób lord radził sobie z tym wszystkim? Otóż podział ról był następujący: lord Wimbley nawiązywał kontakty, Alex znajdował to, co trzeba, zatrudnili też pośrednika, Greena, tego, którego zabito na placyku.

- Chwileczkę! - zaprotestował Tristan. - A kto zabił Greena?

- Sam lord Wimbley - odpowiedział Clancy.

- Nadal nie rozumiem, w jaki sposób Alexowi udało się wyjść stąd wczoraj wieczorem, wrócić do Londynu i przywieźć węże - powiedziała Camille.

- Nie musiał wracać aż do Londynu - wyjaśnił jej Brian. - Nikt z nas nie dotarł do głównego tunelu biegnącego od podziemi. To bardzo długi i korytarz, ale wyobrażam sobie, że wystarczy się przyzwyczaić, żeby swobodnie móc się w nim poruszać. Jeszcze nie wiemy dokładnie, którądy biegnie, ale uważam, o czym chyba wkrótce się przekonamy, że wylot tunelu znajduje się na drodze, na której przypuszczalnie stoją wiejskie domy. Mittleman najprawdopodobniej wynajął jeden taki dom, który mu służył za bazę wypadową. - Zamilkł na chwilę. - Uważam, że torturował moich rodziców przed śmiercią, żeby wyciągnąć z nich informacje.

Tristan popatrzył na Evelyn.

- To znaczy, że pani nie chodziła w środku nocy do Alexa.

- To chyba oczywiste! Jak pan śmie! - oburzyła się Evelyn.

- Muszę przyznać, że ja sama miałam pewne podejrzenia co do panny Evelyn - wyznała Camille.

- Ty pierwsza znalazłaś Sterlingów, Evelyn - przypomniał jej Hunter.

- Tak, i myślę, że dochowałam tajemnicy. - Spojrzała ze skrucą na Briana. - Kiedy do nich dotarłam, jeszcze żyli. Ledwo. Naprawdę nie mogłabym nic dla nich zrobić. Byłam przerażona, oczywiście... Bałam się, że węże nadal tam są.

- Aubrey, ty również byłeś jednym z podejrzanych, ponieważ jako jedyny zajmowałeś się kobrą w muzeum - powiedział Brian,

Aubrey wydał pomruk, żeby zaprotestować.

- Co tam ja! Sam nie miałem pojęcia, że Arboc to pan!

Evelyn zwróciła się do detektywa Clancy'ego.

- A co z tym Francuzem Lacroisse'em? Nie mógł przecież nie wiedzieć, że kupowane przez niego przedmioty pochodzą z nielegalnego źródła.

Clancy westchnął.

- Chciałbym doczekać chwili, kiedy ten człowiek zgnije w więzieniu. Nie wątpię, że wiedział, że podczas tych wszystkich poszukiwań ginęli ludzie. Udało mi się osiągnąć tylko tyle, że wszystkie, nawet najmniejsze informacje o nim przekazywano zarówno królowej, jak i lordowi Salisbury'emu. Lacroisse zostanie wydalony z kraju. Niestety, to wszystko.

- To wprost nie mieści się w głowie - wtrąciła Evelyn.

- A czy ktoś wie, w jaki sposób zmarł lord Wimbley? - zapytała Camille.

- Cóż, mój dobry znajomy przeprowadzi sekcję zwłok. Podejrzewam, że Alex stracił zaufanie do Wimbley'ego. W końcu to on spijał śmietankę, podczas gdy Alexowi przypadła brudna robota. Zarabiali sporo na drobnych przedmiotach, ale dopiero kobra miała przynieść krocie. Jej sprzedaż umożliwiłaby Wimbley'emu spłatę wszystkich długów, natomiast Alex mógłby dzięki temu zacząć zupełnie nowe życie - powiedział Brian.

- Ale jak on zmarł?

- To się jeszcze okaże, ale sądzę, że został otruty ogromną dawką arszeniku i że to Alex mu go zaaplikował, kiedy znaleźli się razem w zamku. Podejrzewam, że obawiał się, iż Wimbley nie wytrzyma napięcia. Prawdopodobnie Alex doszedł do wniosku, że jego utytułowany przyjaciel odnosi znacznie większe korzyści z nielegalnego przedsięwzięcia, podczas gdy całe ryzyko spada na niego.

Camille zwróciła się do sir Johna.

- A pan, sir Johnie? Jak pan mógł dopuścić do tego, żebyśmy uwierzyli w pańską śmierć!

Starszy pan zrobił skruszoną minę.

- To był pomysł hrabiego, drogie dziecko. Musisz się z tym zwrócić do niego. A swoją drogą, gdyby nie on, naprawdę już bym nie żył. Przybył do mnie z zamiarem postawienia mi zarzutów... No i akurat w samą porę, żeby zabić węża.

- Poczulem wielką ulgę i radość, przekonując się o pańskiej niewinności - oświadczył Brian.

- Mogłeś mi powiedzieć, że sir John żyje! - zirytowała się Camille.

- Jest mi naprawdę przykro - sumitował się Brian - ale nie chciałem niczego ryzykować. Wszyscy mieli uwierzyć w śmierć sir Johna, żeby już nikt nie próbował odebrać mu życia.

- Odnoszę wrażenie, że będziemy o tym jeszcze nieraz rozmawiać - rzekł Hunter. - Choć nigdy nie poznamy całej prawdy, którą zabrali do grobu lord Wimby, Alex, a nawet ten Green.

Evelyn poderwała się z miejsca.

- Może to wstrętne, co powiem, ale żałuję, że Alex nie cierpiał tak, jak cierpieli lord i lady Stirlingowie. Umarł podobnie, ale o wiele za szybko. Uniknął stryczka i możliwości głębokiego zastanowienia się nad swoją pazernością i okrucieństwem.

Tristan wstał i podszedł do niej.

- Już jest po wszystkim, moja miła panno Prior. Nareszcie po wszystkim. Może byłoby lepiej na tym poprzestać.

- Jeszcze nie możemy - spokojnym tonem powiedział Brian i zwrócił się do detektywa Clancy'ego. - Pojadę teraz z panem do miasta. Mam wrażenie, że wyjaśniliśmy wszystko najlepiej, jak potrafiliśmy. Czy ciało Alexa zostało usunięte?

- Tak - odrzekł Clancy. - Proszę nie mieć za złe moim kolegom... Bali się węży, obawiali się, że za chwilę pojawią się następne. Zachowali się jak baby, bojące się myszy.

- Nie wszystkie kobiety boją się myszy! - zaprotestowała Camille, zdumiona, że takie same słowa, równocześnie z nią, wypowiedziała Evelyn Prior.

Roześmiały się nerwowo. Wszyscy poczuli ulgę, pozostał tylko smutek, że z powodu zbrodniczej chciwości Wimby'ego i Alexa tak wartościowi ludzie jak Stirlingowie stracili życie.

- Pojadę z tobą, Brianie - zaproponowała Camille.

Odruchowo dotknął blizny. Camille wiedziała, że choć hrabia nie jest potworem, upłynie trochę czasu, nim nauczy się żyć, niczego nie udając.

- To nie jest konieczne.

- Postanowiłam, że pojedę - oznajmiła zdecydowanym tonem i dodała: - Proszę. Naprawdę zależy mi na tym, żeby być z tobą.

Myślała, że znów zaprotestuje. W końcu to była jego pasja i jego długotrwałe poszukiwania. I było to jego cierpienie, rozpacz i strata. Wreszcie to się skończyło. Teraz, jako hrabia Carlyle, zajmie należne mu miejsce w towarzystwie, ona zaś powróci do swojego dotychczasowego życia. Ale w tej chwili chciała być tylko z nim.

- Brianie - wyszeptała.

- Jak sobie życzysz, najdroższa.

Było późno, kiedy opuścili posterunek policji. Brian i Clancy przygotowali oficjalny komunikat dla prasy, zredagowany tak, żeby raz na zawsze położyć kres wszelkim pogłoskom o kławie.

Wreszcie, w drodze powrotnej do zamku Carlyle, znaleźli się sami.

- Czym chcesz teraz się zająć? - zapytała Camille.

Brian odwrócił głowę i uśmiechnął się szeroko.

- A jak myślisz? Zatrudnię ogrodnika? Udostępnię posiadłość publiczności w niektóre dni? Zacznę zapraszać na pikniki i zabawy dziesiątki sierot?

Uśmiechnęła się.

- No cóż, jeśli o mnie chodzi, liczę na to, że uda mi się zachować posiadłość. Sir John na pewno nadal będzie kierować działem. Zastanawiam się, kogo z członków zarządu weźmie na miejsce lorda Wimbley'ego.

Milczał przez chwilę.

- Mnie - powiedział wreszcie.

- Przyjmiesz to stanowisko? - Camille była zaskoczona.

- Oczywiście. To nie poszukiwania naukowe ani starożytne cuda zabiły moich rodziców, tylko ludzie.

- Mimo wszystko może będę dalej pracować - mruknęła Camille.

- Nie.

- Zwolnisz mnie?

- Jakoś nie wyobrażam sobie, żebyś mogła zatrzymać swoją dawną posiadłość.

- Jak to? - stwierdziła ze zgrozą.

- Wyprawa nad Nił może potrwać wiele miesięcy.

- Czyżbyś chciał mnie zatrudnić przy tej wyprawie?

- Zatrudnić? Dobry Boże, nie!

- Co pan sugeruje, panie hrabio?

- Jako naukowiec, najdroższa, sprawdziłaś się jak mało kto. Ale żebym miał cię zatrudniać? Nie sądzę, by ktoś zatrudniał własną żonę na miodowy miesiąc.

Miodowy miesiąc! Nil, ekspedycja, coś, o czym wcześniej mogła tylko marzyć! Odwróciła głowę, by ukryć łzy.

- Przecież wiesz, że wcale nie musisz. Nie kryłeś, że nie ożenisz się z kobietą o nieodpowiednim pochodzeniu, i jakkolwiek wszystkie twoje zagadki się wyjaśniły, ja nadal pozostaję prostą dziewczyną. A gdy ucichnie ten cały zgiełk, jakiś dociekliwy dziennikarz odkryje, że moja matka była prostytutką na East Endzie i...

- Camille?

- Tak? Dopiero zaczęłam...

- Już nic nie mów.

- Dlaczego? Sam przecież...

- O Boże, aleś ty kłótliwa! Naprawdę będę musiał nauczyć się z tym żyć, chyba że jakoś cię utemperuję... i chyba wiem już, jak to zrobić - powiedział i zanim zdążyła się odsunąć i zaprotestować, zamknął jej usta pocałunkiem.

Minęła dłuższa chwila.

- Camille, jesteś taka olśniewająca i błyskotliwa, a jednak taka ślepa w pewnych sprawach. Kocham cię do szaleństwa, kocham twoją determinację, nawet twój upór, kocham twoją inteligencję, a także brawurę, z jaką idziesz za

głosem serca. Ale masz przestać igrać swoim życiem, tego będę wymagać od mojej żony. Camille, czy ty nie rozumiesz? Ja nie tylko nosiłem brzydką maskę. Wszystko wokół mnie było szpetne, zgorzkniałe i przekłete. A potem wkroczyłaś w moje życie, zerwałaś maskę i zdjęłaś klątwę. Obawiam się, że bez ciebie brnąłbym w to dalej, czując się człowiekiem przeklętym. Nie dopuścisz do tego, prawda?

Odebrało jej głos.

- Odpowiedz, proszę, Camille.

Uśmiechnęła się i usiadła mu na kolanach, całując bez opamiętania.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

- No cóż, pod warunkiem, że mnie kochasz.

- Kocham, jeszcze jak - szepnęła żarliwie. Objęła go za szyję. - Bezgranicznie. Razem udostępniemy teren wokół zamku sierotom i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc tym, którzy urodzili się w biedzie. I jeszcze Nil! Pewnie, że tam pojedziemy! - Nagle spoważniała. - Musisz sprowadzić dziecko do zamku i wychować je tutaj.

- Jakie dziecko?

- Ally. Siostry są cudowne, ale to twój obowiązek.

Ku jej zdumieniu, wybuchnął śmiechem.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedziała surowym tonem.

- Obawiam się, że siostry połamią ci obie ręce, moja droga, jeżeli spróbujesz odebrać im Ally.

- Ale...

- Przepraszam, Camille. Powinienem był wcześniej wyprowadzić cię z błędu, ale wątpię, czy byś mi uwierzyła. Ally nie jest moim dzieckiem.

- Ale...

- Nie mam dzieci, najdroższa, choć jestem gotów podjąć wszelkie próby, by zostać ojcem. Chciałbym mieć taką dziewczynkę jak Ally.

- A zatem kto...?

- Siostry bardzo przyjaźniły się z moimi rodzicami. Ojciec przekazywał im część odsetek od kapitału, są więc dla mnie jak ciotki. Wiem coś niecoś o tajemniczym pochodzeniu Ally, ale to tylko podejrzenie. Musisz mi uwierzyć na słowo i pokochać nas oboje, jeżeli zechcesz. Ally nie jest moją córką, ale nazywa mnie wujkiem Brianem. - Zawahał się. - Nie jest też dzieckiem mojego ojca. W grę wchodzi królewskie koneksje, ale to wszystko, co mogę wyjawić. Zachodzi obawa, że jakikolwiek rozgłos mógłby Ally zaszkodzić, włącznie z utratą życia.

- Dobry Boże! - zawołała Camille.

Położył palec na jej wargach.

- To na zawsze musi pozostać tajemnicą - rzekł poważnym tonem Brian.

- Oczywiście!

Uśmiechnął się.

- Ally jest uroczym i ślicznym dzieckiem, i jest mi bardzo droga. Nigdy nie bała się maski.

- No cóż, to tak jak ja - oświadczyła Camille.

- Nigdy?

- Hm, może tylko troszeczkę.

Roześmiał się i pocałował ją.

Dotarli do zamku i weszli do środka, trzymając się za ręce. Zaniepokojona Evelyn wyszła im naprzeciw.

- Wszyscy wracają do dawnego życia i zbierają swoje rzeczy - oznajmiła.
- Dobrze, że przynajmniej wy już jesteście. Ralph udał się do zajazdu z Corwinem. Tristan i ja do ostatniej chwili czekaliśmy na was z kolacją. Prawdę mówiąc, dopiero zaczęliśmy.

- Przepraszamy, Evelyn. Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział Brian. - Ja i tak muszę najpierw odpocząć.

- Trudno - mruknęła Evelyn. - Camille...

- Jestem wyczerpana. Po prostu wykończona! - zawołała Camille i rażno pobiegła na górę.

Po paru chwilach dogoniła Briana i znalazła się w jego ramionach. Ubrania powędrowały na podłogę, ona zaś delektowała się każdym centymetrem cudownego nagiego ciała Briana.

W wielkiej sali balowej, gdzie Ajax drzemał smacznie przy kominku, Evelyn zajęła swoje miejsce. Popatrzyła na Tristana.

- Uważam, sir Tristanie, że trzeba jak najszybciej urządzić ten ślub.

- Nasz? - zażartował.

- Co też pan opowiada! Ja nigdy...! - oburzyła się Evelyn.

- Myślę, że się zgodzisz - zapewnił ją Tristan.

Zaszokowana Evelyn zamilkła.

- Och, daj spokój, Evelyn - powiedział Tristan i wstał. - Na Boga, kobieto! Możesz sobie zadzierać nosa i wprawiać w zakłopotanie niejednego, ale nie mnie.

- Ale ja nigdy... - powtórzyła zdławionym głosem.

Obszedł stół, stanął za nią, delikatnie położył ręce na jej ramionach i przysunął usta do jej ucha.

- Naprawdę nie chcesz? - zapytał z chytrym uśmiechem.

- Miałam na myśli ich ślub.

- Oczywiście. A potem nasz.

- Musimy porozmawiać - powiedziała, sznurując usta.

- Musimy też zrobić o wiele, wiele więcej! - zapewnił ją.

Odwróciła się, by znów zaprotestować, ale Tristan zamknął jej usta pocałunkiem.

Kiedy oderwał się od jej warg, Evelyn milczała przez parę chwil.

- Porozmawiamy - zapewnił ją.

Wreszcie pozbyła się wszelkich hamulców:

- I jeszcze o wiele, wiele więcej - wyszeptała, a Tristan uznał, że koniecznie musi ją jeszcze raz pocałować.